KS. J. HERMANOWICZ

CHINY-SYBIR-MOSKWA



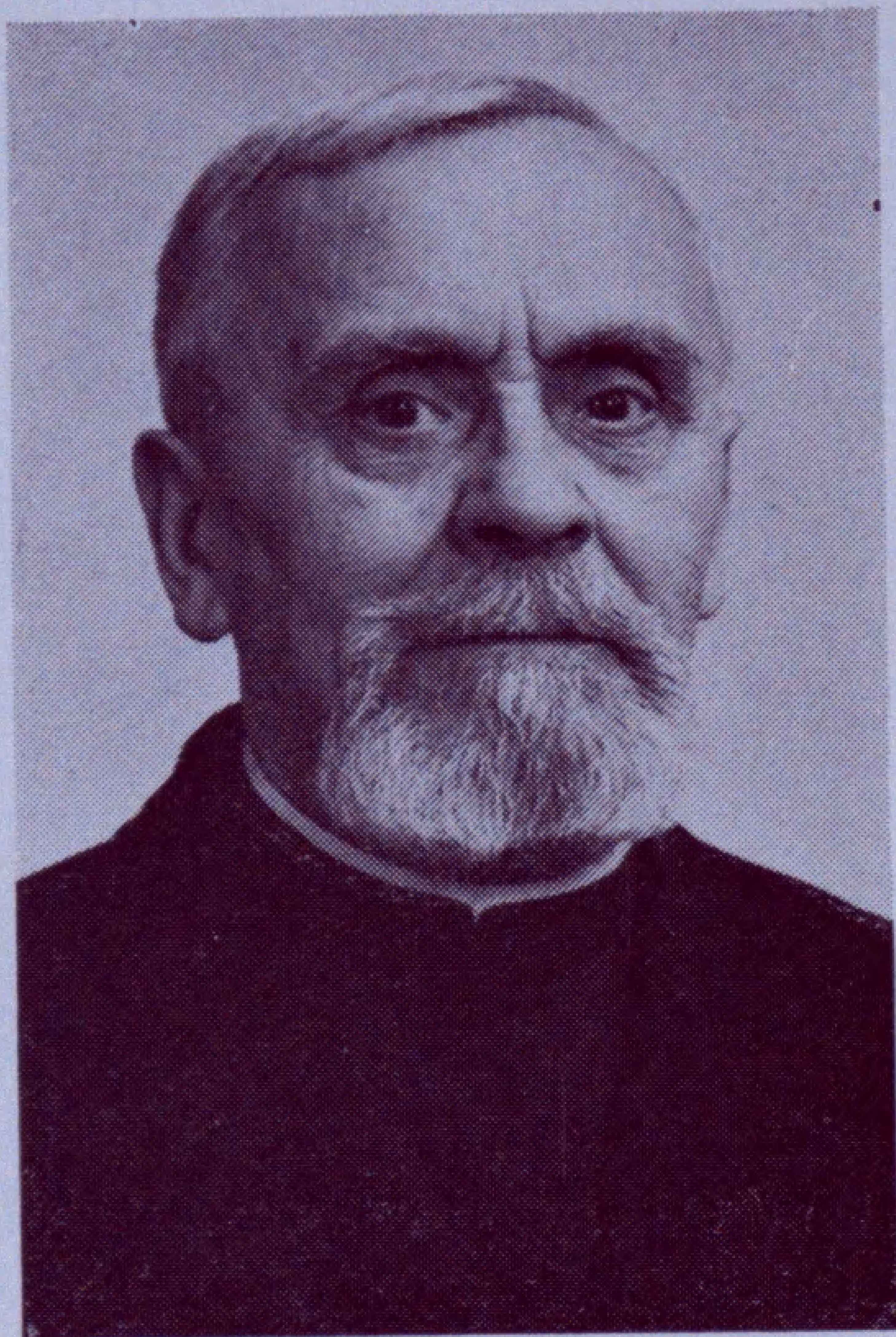
VERITAS

TOM 68 SERII CZERWONEJ
„BIBLIOTEKI POLSKIEJ"

KS. JÓZEF HERMANOWICZ

CHINY - SYBIR - MOSKWA

PAMIĘTNIK



Ks. Józef Hermanowicz, Marianin, pisarz i poeta białoruski, urodził się w miejscowości Holszany, powiatu oszmiańskiego na Wileńszczyźnie, w roku 1890. Po ukończeniu szkoły w Oszmianie udaje się do Wilna, gdzie przygotowuje się do seminarium duchownego i kończy je otrzymując święcenia kapłańskie w roku 1913. Pracuje potem w duszpasterstwie parafialnym na wsi i w Białymstoku do roku 1924, w którym wstępuje do zgromadzenia Księży Marianów.

W roku 1932 zostaje wysłany na misje do Mandżurii, odwołany po czterech latach z powodu stanu zdrowia do Wilna, wraca ponownie na misje w 1939 roku do Harbina, gdzie pracuje jako wychowawca w internacie i jako wicedyrektor Liceum św. Mikołaja, przez cały okres II wojny światowej.

Przemiany polityczne w roku 1948 doprowadzają do całkowitej likwidacji katolickiej misji wschod-

CENA: szyl. 21/-, dol. 3.50.

CHINY
SYBIR
MOSKWA

Biblijatecy
Francišta Skaryny
u Londanie -
na dobry uspamin.
aŭtar
a. Hermanovič

20-I-1971.

KS. JÓZEF HERMANOWICZ

CHINY - SYBIR - MOSKWA

WSPOMNIENIA MISJONARZA
Z ŁAGRÓW SOWIECKICH



KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY
„VERITAS“
4 - 8 Praed Mews, London, W.2. England.

Tytuł oryginału
KITAJ — SIBIR — MASKWA

Tłumaczył z języka białoruskiego
Jan Józefowicz

Przekład autoryzowany

Za zezwoleniem Władzy Duchownej.

PRINTED IN ENGLAND

Printed by: Veritas Foundation Press, 5, Praed Mews, London, W.2.

O AUTORZE

Ks. Józef Hermanowicz, pisarz i poeta białoruski, urodził się 4 marca 1890 r. w m. Holszany, Oszmiańskiego powiatu, ziemi Wileńskiej.

Kiedy Józio miał dwa lata, ojciec jego Stanisław osierocił rodzinę, pozostawiając matce Annie z Sawickich troskę o wychowanie trojga dzieci, poza Józefem, trzyletnią Ludwinię i dwumiesięcznego Stasia.

Staś nie żył długo, za to Ludwinia i Józio chowali się zdrowo, aczkolwiek warunki życia były bardzo ciężkie, ale Opatrzność Boża nad nimi czuwała.

Matka utrzymywała swoją gromadkę robieniem ręcznie wełnianych rękawiczek, w czym pomagały jej dzieci. Mały Józio odrabianie lekcji przeplatał robieniem rękawiczek.

Naukę zaczął w ósmym roku życia w miejscowej szkole rosyjskiej, a potem uczęszczał do szkoły miejskiej w Oszmianie a po jej ukończeniu udał się pieszo (80 km) do Wilna do ciotki Antoniny Sawickiej, która umożliwiła mu, pomimo swoich skromnych warunków materialnych, dalszą naukę i przygotowanie do seminarium duchownego.

W roku 1913 wyświęcony na kapłana ks. Józef poświęca się następnie różnym rodzajom pracy duchownej: wikariusza na wiejskim probostwie, potem w Białymstoku. W tym czasie w mieście był tylko jeden kościół na 30 000 parafian.

Następnie, podczas wojny światowej, pracy w szpitalach i obozach wojskowych.

W 1924 r. ks. Hermanowicz wstępuje do zgromadzenia zakonnego Księży Marianów: pracuje jako proboszcz parafii i jako prefekt i nauczyciel gimnazjum. W 1932 wysłany do Mandżurii pracował jako wychowawca w internacie i nauczyciel w Liceum św. Mikołaja w Harbinie. Po 4 latach wytężonej pracy z powodu zdrowia został odwołany i wyznaczony na rektora studiów Domu Zakonnego kleryków Marianów w Wilnie. W 1939 wezwany ponownie do Harbina był wychowawcą, nauczycielem, wreszcie wicedyrektorem Liceum.

W 1948 cała katolicka Wschodnia misja w Harbinie została rozgromiona: księża aresztowani przez chińskich komunistów i wydani Sowietom. Te dzieje niewoli przedstawione są tu w żywej zwięzłej i pogodnej mowie, świadczy to dodatnio o autorze, że potrafił ująć je tak obrazowo, ciekawie i dowcipnie, z takim znawstwem charakterów, że się je czyta jednym tchem. Czytelnik odbywa z autorem tę tragiczną wędrówkę po komunistycznym piekle i przeżywa z nim jego kłopoty i niedolę, ale nie wpada w zniechęcenie czy apatię i nie traci nadziei na lepsze jutro. Kiedy zaś zamknie książkę i rozważy te dzieje duszy i ciała, wówczas zrozumie wyraźniej, czým jest w naszych czasach wolności ten „Dom Niewoli", rosyjska komuna, która tak imponuje wielu niedoświadczonym na Zachodzie.

Dobrze się stało, że ta książka została przyswojona polskiej mowie. Przełożono ją również na język rosyjski i jest w tłumaczeniu na hiszpański i włoski.

Oto co mówi o „Wspomnieniach" ks. J. Hermanowicza w 1964 krytyk O. Weres w Australii: „Wspomnienia napisane ciekawie, żywą białoruską mową. Co

zaś najciekawsze, że o. Józef Hermanowicz na całe zabójcze śledztwo NKWD, na sowieckie więzienie i łagry spogląda okiem duchownego i humorysty. ...

Autor wspomnień należy do duchowieństwa z powołania i dlatego wszelkie nieszczęścia, przyjmuje jak karanie Boskie, do cierpień wciąż się gotuje i znosi je ze spokojem, mężnie. A do tego o. Józef przeplata to wszystko swoim talentem humoru i dlatego gdy czytasz, o tym piekle czerwono-moskiewskiej inkwizycji, często chwytasz się za boki, od jego dowcipów. Niewątpliwie, w sowieckim piekle tylko takim trzeba być człowiekiem jak o. Józef Hermanowicz. Lecz cała bieda w tym, że takimi mogą być tylko osoby duchowne z powołania — jak o. Józef. Ale piekło Rosji i jemu dokuczało tak dotkliwie, że wyrywały się mu wyrzuty z ironią pod adresem Pana Boga.

W tych wspomnieniach widzimy wrodzoną inteligencję autora. Spostrzegawczość, żartobliwość i nadzwyczajny, jak na duchownego, dowcip... Konając w pazurach wroga z głodu, śmiać się samej śmierci w oczy, to już zwycięstwo nad wrogiem."

Tyle powiedział krytyk. Zauważmy, że autor w opowiadaniu odprawia jednocześnie publiczną spowiedź, bynajmniej nie szczędząc samego siebie.

Chociaż „Wspomnienia" naogół już się czytelnikom sprzykrzyły, to jednak niniejsza książka ze względu na swoje walory na pewno nie zestarzeje się i — przetłumaczona na zachodnie języki — stanie się poczytną i pożyteczną lekturą, wzywającą ludzkość, żeby otworzyła oczy na światło i prawdę.

Dr C. S.,
Wychowanek Autora Wspomnień

WSTĘP

Chiny zajmujące obszary środkowo-wschodniej Azji długo uważano za najbardziej odległy, niedostępny i nieznany kraj Dalekiego Wschodu. Z południa otaczają je niebotyczne Himalaje, z zachodu — rozległe pustynne stepy, z północy — łańcuch gór. Od wieków Chińczycy nazywali swój kraj „środkiem świata".

Chiny rozsiadły się wygodnie w bezpiecznym miejscu. Wszystko tam wielkie: niezmierzona pustynia Gobi, ogromne rzeki — Żółta (Huang-ho) i Błękitna (Jangcy-Ciang)[1], a na północy Amur z dopływami Sungari i Ussuri.

Chiny to kraj godny bliższego poznania. Mają one za sobą cztery tysiące lat historii i tradycji, a ludność ich przekracza obecnie zawrotną liczbę siedmiuset milionów.

Chińczycy izolowani od świata przez naturę, sami jeszcze to odosobnienie pogłębiali. Od północy odgrodzili się słynnym Wielkim Murem, wzniesionym w III w. p. Chr. dla obrony przed najazdami nomadów mongolskich.

Ważnym czynnikiem izolacji było również chińskie pismo ideograficzne, które powstało ok. 2000 lat p. Chr. i liczy przeszło 50 tysięcy znaków. Wpłynęło ono na zjednoczenie wielu chińskich ludów w jeden naród i jedno państwo, pomimo różnych języków i dziesiątków narzeczy. Znaki pisma umożliwiają Chińczykom porozumiewanie się między sobą, ale ten

---

1) Jangcy-Ciang (dawn. Jang-Tse-Kiang), Błękitna Rzeka — największa rzeka Chin i Azji, dł. 5200 km.

„mur hieroglifów" nie pozwala obcym przeniknąć do duszy Chińczyka.

Wreszcie ostatnim, współczesnym czynnikiem izolacji stał się komunizm. Jednak teraz Chiny komunistyczne odwracają się nie tylko od krajów kapitalistycznych, ale i od sowieckich towarzyszy. Nie dlatego, żeby Chińczycy byli złymi komunistami, ale dlatego, że są to zupełnie inni ludzie, że psychika ich jest zupełnie odmienna.

Chińczycy mają swoją starodawną kulturę, która pod wpływem buddyzmu i konfucjonizmu stworzyła zwyczajowy kodeks życia rodzinnego, społecznego i państwowego. Kultura chińska opanowała przed wiekami Japonię i Indochiny, wprowadzając tam swoje pismo i obyczaje.

Charakterystyczne cechy Chińczyków — to poczucie honoru, miłość ojczyzny, głęboki szacunek dla rodziców i kult zmarłych przodków, przywiązanie do dawnych obyczajów, wierność w dochowywaniu zobowiązań, skromność, opanowanie, pracowitość, cierpliwość, wytrwałość, oszczędność i zamiłowanie do handlu. To też nie należy uważać Chińczyków za ludzi niekulturalnych i stawiać ich na jednym poziomie z dzikusami. Niektórzy lekkomyślnie wyśmiewają chińskie ceremonie towarzyskie. Ich pokłony i inne przejawy grzeczności i uprzejmości nie są pustą formą, lecz wypływają z głębokiego przekonania i są szczere.

Gdyby misjonarze katoliccy przybywali do Chin z pełnym zrozumieniem dla ich odwiecznej kultury i nie okazywali swej wyższości, nie narzucali swych poglądów i stylu życia — jednym słowem, gdyby okazywali należyty szacunek dla narodu i człowieka według zachęty św. Pawła Apostoła i w duchu samego Chrystusa, to już dawno całe Chiny mogłyby być katolickie.

Dusza chińska o bogatym podkładzie naturalnym, bardzo bliskim chrześcijaństwu, podatna jest dla nauki i ducha Chrystusa. Katolicka liturgia doskonale odpowiada chińskiej umysłowości, a zwłaszcza wschodni obrządek katolicki miałby tu — jak sądzę — jeszcze większe powodzenie przy odpowiednim do-

stosowaniu do chińskiej muzyki i obyczajów. Ponadto należy pełnymi rękami czerpać ze skarbnicy mądrości Buddy i Konfucjusza, brać wszystko, co w nich dobre i piękne, zastępując pogańskie wierzenia moralnością Chrystusową.

*

W Chinach katolicka praca misyjna płynęła wartkim strumieniem. Liczba katolików dochodziła do pięciu milionów. Oprócz jednego kardynała i kilkudziesięciu biskupów — Chińczyków, było ponad dwa tysiące księży. Katolicka szkoła zajmowała czołowe miejsce. Przy każdej misji prowadzono szkołę podstawową. W miastach zakony otwierały szkoły średnie. W Pekinie założono uniwersytet katolicki, prowadzony przez ojców werbistów. W Tiencinie uniwersytet mieli jezuici. Istniało tam też ich muzeum. Uniwersytet w Szanghaju ze znanym wydziałem lekarskim, oraz ze stacjami astronomiczną, sejsmograficzną i metereologiczną Oceanu Spokojnego, również prowadzili ojcowie jezuici. Gdy zagrażała burza, wystrzał armatni alarmował chińskich rybaków, którzy szybko zwijali sieci.

Przy misjach katolickich organizowano ambulatoria, szpitale i zakłady dla sierot.

Rosyjska Cerkiew Prawosławna miała również swoje misje w Chinach. Powstała tam przypadkowo i w szczególny sposób. W XVII wieku Chińczycy prowadzili wojnę z Rosją i dwukrotnie zdobywali twierdzę Albazin nad Amurem. Po długim oblężeniu zmuszono głodem obrońców twierdzy do poddania się. Chińczycy podziwiali męstwo Zabajkalskich Kozaków i, po wzięciu do niewoli, osadzili ich na działkach wokół Pekinu, pożenili z Chinkami, pozostawiając całkowitą wolność religijną. Rosyjski Synod wyznaczył prawosławnych duchownych do pekińskiej misji „albazińskiej". W następnych pokoleniach „albazińcy" schinizowali się zupełnie, ale nadal nosili imiona prawosławne, oraz zachowali prawosławie.

*

W Mandżurii pracowaliśmy dwadzieścia lat. Stałym naszym miejscem pobytu był Harbin. [1]) Były to właściwie dwa miasta: stare chińskie Fu-Kia-Tien, i nowe — miasto emigrantów, przeważnie Rosjan.

Mandżuria był to faktycznie kraj chiński. Dawnych mandżurów można znaleźć tylko w głębokich zakątkach.

Mandżuria podobnie jak Chiny ma naturalne granice. Na północy rzeka Amur, na zachodzie stepy mongolskie, na południu — Wielki Mur, Morze Żółte i góry koreańskie, na wschodzie — rzeka Ussuri i góry Małego Chinganu.

W roku 1931 Mandżuria jako bezbronny kraj znalazła się bez wojny w rękach Japończyków. Aby jednak zachować pozory, obdarzyli oni Mandżurię „samodzielnością", dali jej cesarza Pu-I, a sami uważali się za sprzymierzeńców. Nowe państwo przyjęło nazwę Mandżukuo. Chińska ludność nie uznawała miana „mandżurów", cesarza ani rządu.

Na ogół Chiny nie mogły się uskarżać na brak opiekunów. W końcu ubiegłego stulecia rząd rosyjski rozpoczął budowę linii kolejowej przez Mandżurię, aby skrócić drogę do Władywostoku i Oceanu Wielkiego, i w podstępnym porozumieniu, wymógł tzw. „dzierżawę" tych terenów na 99 lat. Prócz tego Rosja przeprowadziła linię na południe przez Mukden do Morza Żółtego. Powstały wtedy miasta: Nowy Harbin, Dalnij, Port-Artur i inne. Japończycy poczuli się zagrożeni i rozpoczęli wojnę (1904-1905), w wyniku której odebrali Rosji połowę południowej linii kolejowej i nadmorską kwantuńską prowincję w Mandżurii.

Do końca ubiegłego wieku Mandżuria była krajem bardzo słabo zaludnionym i mało znanym. Odkąd jednak rozpoczęto budowę kolei Mandżuria ściągnęła na siebie uwagę całego świata. Okazało się, że jest to kraj wielkich możliwości. Posiada olbrzymie lasy (tajgę), wielkie pokłady węgla, urodzajne ziemie, zdrowy klimat i duże znaczenie strategiczne. Wtedy

[1]) Harbin (dawn. Charbin, chińs. Pinciang) ośrodek gospod. pn. wsch. Chin; 1.169.000 mieszk. Stocznia, fabr. chem., materiałów wybuchowych, węzeł kol., port, lotnisko.

także Chińczycy „odkryli" Mandżurię. Napływa tam olbrzymia fala chińskich pracowników rolnych. Chwytają się wszelkiej pracy, ale najbardziej pociąga ich ogrodnictwo. Odwieczna motyka zastępuje Chińczykowi konia, pług i wszelkie maszyny.

Do budowy kolei zjechało z Rosji wielu specjalistów — inżynierów i techników, kupców, a także różnych obieżyświatów. W Mandżurii zebrało się ponad trzysta tysięcy osiedleńców łącznie z tymi, którzy ocaleli z pogromu białych generałów (Korczaka, Siemionowa i innych). Byli to Rosjanie, Kozacy Zabajkalscy, Ukraińcy, Polacy, Żydzi i Niemcy oraz trochę Litwinów, Białorusinów, Łotyszów, Czechów, Estończyków.

Katolicy mieli w Harbinie trzy kościoły. Jeden dla Chińczyków i dwa dla emigracji — kościół św. Stanisława i św. Józefata. Swoje świątynie posiadali też Ormianie, starowiercy — popowcy, i ewangelicy, a Żydzi dwie bardzo bogate synagogi.

Prawosławni posiadali w Harbinie około trzydziestu cerkwi. Niektóre z nich były olbrzymie i niezwykle bogate. I w innych miastach, jak Chajłar, Mulin, oraz zespole wiosek Trójrzecza powstały cerkwie i szkoły. Harbin stał się ośrodkiem i metropolią prawosławnej cerkwi w Chinach. Metropolita Melecjusz miał dwóch biskupów sufraganów, Dymitra i Juwenala. Po rewolucji rosyjskiej zamieszkał w Harbinie biskup Kamczatki Nestor. Wielu prawosławnych emigrantów osiadło też w Szanghaju, Tiencinie i Pekinie. Zachowywali oni swe stare zwyczaje. Na ogół, kto tylko był zaradny i nie trwonił pieniędzy, mógł w Mandżurii żyć spokojnie i w dostatku. Z Chińczykami można było dojść do porozumienia.

Prawosławni Ukraińcy wybudowali w Harbinie piękną cerkiew we własnym stylu.

Gdy w 1931 r. Japończycy niespodziewanie zagarnęli Mandżurię, warunki życia pogorszyły się. Konkurencja w handlu z Japończykami stała się niemożliwa, gdyż byli oni całkowicie zwolnieni od podatków. Ponadto nad wszystkimi zawisła niepewna przyszłość i obawa konfliktu z Sowietami. Dlatego wielu pospiesznie uciekało w głąb Chin, przeważnie do Szanghaju, na Filipiny, do Ameryki lub Australii.

W grudniu 1945 r., po krótkich walkach z Japończykami, Mandżurię zajął Związek Sowiecki. Harbin oddano bez walki.

Wszystkich interesowało, jak się ułożą stosunki w prawosławnej cerkwi? Duchowieństwo prawosławne oddzieliło się bowiem od moskiewskiego patriarchatu i przyłączyło się do Zagranicznego Soboru w Jugosławii. Wraz z władzami sowieckimi przybyła do Harbinu delegacja patriarchy moskiewskiego. Bez żadnego sprzeciwu włączyła ona całą metropolię pod władzę Moskwy, a metropolitę Melecjusza złożono z urzędu. Na jego miejsce został wyznaczony biskup Nestor. W Harbinie dziwiono się, że Nestor, dotychczasowy opiekun monarchistów, tak szybko zdobył zaufanie patriarchy i władz sowieckich. Istotnie był to człowiek obrotny, towarzyski, świetny mówca, który potrafił się szybko dostosować do nowych warunków.

Tymczasem stary Melecjusz wkrótce umarł. Zdawało się, że Nestor już ostatecznie umocni się na stanowisku metropolity. I tak przeszło trzy lata. Ale na życie cerkiewne spadły mocne ciosy. W szkołach zabroniono nauki religii i usunięto ikony. Motłoch chiński niszczył cmentarz prawosławny; rabowano drzewa, krzyże, ogrodzenie i nagrobki. Inne cmentarze również wiele ucierpiały. Pod naciskiem wiernych metropolita wystąpił w obronie dewastowanych cmentarzy, poprawiono ogrodzenie i napady ustały.

Po trzech latach rządów komunistycznych w Mandżurii zdawało się, że już skończono wysyłki do Związku Sowieckiego, ale przyszłość miała zgotować wielkie niespodzianki.

Na wiosnę 1948 r. patriarcha moskiewski wezwał Nestora na zjazd episkopatu zagranicznego. Głośno mówiono o tym w Harbinie. Podobno metropolita przygotował chińskie regionalne podarunki dla patriarchy, a dla Stalina papierośnicę wysadzaną drogimi kamieniami. Nestor odprawił nabożeństwo, wygłosił płomienne kazanie i pożegnał się z wiernymi. Tymczasem na trzy dni przed wyjazdem milicja chińska napadła na niego w nocy, aresztowała i osadziła w więzieniu w Harbinie, w bardzo ciężkich warunkach.

Później odstawiono metropolitę do granicy sowieckiej i wydano w ręce rządu moskiewskiego. Z kolei wtrącony został do więzienia w Czycie na Syberii, gdzie i my znaleźliśmy się w sześć miesięcy później. Podobno metropolita dostał 25 lat.

Nikt w Harbinie nie wiedział, jakie były przyczyny nagłego aresztowania. Wielu zadawało sobie pytanie, dlaczego Nestora wyniesiono do tak wielkiej godności, aby następnie cisnąć nim o ziemię?

Ale czy kto potrafi rozwiązać zagadki życia w Sowietach? Można jedynie tyle powiedzieć, że Związek Sowiecki to sfinks dwudziestego wieku — jedno myśli, drugie mówi, trzecie robi, a czwarte... Taka to już tam zwykła taktyka — przyciągnąć człowieka obietnicami, obsypać wszelkimi łaskami, przyhołubić, a potem złamać go i zlikwidować. Tak się też stało z tymi, którym po ostatniej wojnie światowej „ojczyzna wybaczyła". Komunizm sowiecki bowiem, odrzuciwszy Chrystusa, uznał za swoich bogów Marksa i Lenina, a w praktyce wyznaje Machiavellego.

W roku 1923 łacińskie i wschodnie duchowieństwo harbińskie oraz wierni zwrócili się do Rzymu, prosząc papieża o przysłanie kierownika dla wschodniej katolickiej misji w Chinach. Wyznaczony został na to stanowisko archimandryta Fabian Abrantowicz z zakonu księży marianów, były rektor katolickiego seminarium duchownego w Mińsku (1918-1920), doktór filozofii, człowiek wielkiej wiedzy, znany kaznodzieja i pisarz.

Duszpasterstwo zostało mniej więcej zabezpieczone. Jednakże emigranci, a wśród nich i nasi katolicy wschodniego obrządku, opuszczali pospiesznie Mandżurię, poszukując spokojniejszych miejsc w wolnym świecie. Przyczyną popłochu był narastający konflikt chińsko-sowiecki w 1929 r. W tym czasie bandy sowieckie dokonywały straszliwych napadów na pograniczne wioski osiedleńcze, najbardziej na obszarze Trójrzecza. Wielu ludzi pomordowano, wielu uprowadzono w głąb Sowietów. Pozostawały bezdomne dzieci, tułające się bez dachu nad głową.

Porozbijane rodziny — ofiary sowieckich napadów i pogromu Trójrzecza — biedne i ograbione, pojedyńczo lub grupami przybywały do Harbina. Bywało, że opuszczeni chłopcy samotnie przyjeżdżali do miast bez biletu, włócząc się po ulicach. Wielu z nich zwracało się do naszej misji z prośbą o pomoc i opiekę. Wtedy misja, choć nie było na to środków, musiała otwierać internaty i szkoły dla bezdomnych dzieci. Tak powstały trzy internaty ze szkołami: Liceum św. Mikołaja dla chłopców, sióstr urszulanek i franciszkanek dla dziewcząt. Watykan przyszedł z pomocą tym charytatywnym instytucjom. Naukę w szkołach prowadzono według dawnych programów gimnazjalnych z językiem wykładowym rosyjskim, ale uczono też języka angielskiego i chińskiego. Każda szkoła miała swoją kaplicę, gdzie codziennie odprawiano msze święte. Oprócz Rosjan przez szkołę przewinęło się nieco dzieci innych narodowości — Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Niemców, Ormian, Chińczyków, Gruzinów i innych.

Gdy ojciec Abrantowicz zaginął, papież Pius XII mianował w 1939 r. archimandrytą ojca Andrzeja Cikoto. Ojciec Cikoto pracował na stanowisku administratora apostolskiego w Mandżurii. Był to bardzo ciężki okres wojny Japonii z Ameryką, wojny ze Związkiem Sowieckim, i nadejścia w roku 1946 chińskich komunistów.

Nie trzeba się rozwodzić nad wszystkimi naszymi nieszczęściami. Kiedyś ojciec Fabian Abrantowicz wyraził myśl, że misja dotąd nie da plonu, dopóki nie zrosi jej krew pracowników. Nadspodziewanie szybko sprawdziły się jego słowa. I on sam, i jego następca, ojciec Andrzej Cikoto, zginęli jako ofiary bezbożnego systemu. Wszystkie nasze szkoły zostały rozgromione, misja zlikwidowana... Jednak mamy w Bogu nadzieję, że nadejdą lepsze czasy i znajdą się nowi pracownicy. Matka Boska, której opiekę odczuwaliśmy w pracy i nieszczęściu, dopomoże do odrodzenia się świętej sprawy.

CZĘŚĆ PIERWSZA

OD HARBINA DO CZYTY

Więzienie

PRZED PAMIĘTNYM BOŻYM NARODZENIEM

Zimą w końcu roku 1948 rozeszła się po Harbinie nadzwyczajna wiadomość o wydarzeniach w katolickiej misji wschodniego obrządku. Choć mówiono, że w Chinach wszystko jest możliwe, zwłaszcza w ustroju komunistycznym, jednak to, co tam zaszło przekraczało i chińskie niespodzianki. A było to tak:

22 grudnia 1948 r., o godzinie 18, do Liceum św. Mikołaja w Harbinie przy ul. Staro-Harbińskiej 78 zwaliła się cała gromada chińskiej milicji. Porwali wszystkich księży, nie dając im zabrać palt ani czapek, choć na dworze był siarczysty mróz i wiatr; nałożyli na ręce kajdanki, zawiązali oczy, wsadzili do autobusu i wywieźli do więzienia.

W całym europejskim Harbinie powstał popłoch, gdyż na ogół były to czasy niespokojne. Współmieszkańcy z Liceum pobiegli do urzędów chińskich zasięgnąć języka, co się stało z ojcami? Ale chińskie władze komunistyczne odmawiały wszelkich wyjaśnień.

— Nic nam nie wiadomo, „nasza nie wiedzieć", mówili. „Nasza tego nie dotyczyć". Może jaka czarna banda skradła waszych księży? Szukajcie ich sami.

Potem zaczęli wykrętnie zwodzić aż skierowali poszukiwania na południe do miasta Tiencin. I według znanej w komunie taktyki, w ciągu kilku tygodni zamazywali jasne fakty... A tymczasem już nazajutrz milicja chińska wywiozła księży ze stacji Stary Harbin na zachód do granicy sowieckiej. Tam 25 grudnia 1948 r. wydano misjonarzy delegacji sowieckiej, która odtransportowała ich do więzienia wojennego w Czycie na Syberii.

W porwanej grupie znajdowało się trzech księży ze zgromadzenia marianów:

1. Archimandryta Andrzej Cikoto — od 1939 r. administrator apostolski na całą Mandżurię i zarazem dyrektor Liceum św. Mikołaja. W 1923 roku założył on w Drui, w województwie wileńskim białoruski klasztor. W latach 1935-1939 był generałem zgromadzenia księży marianów.

2. Ojciec Józef Hermanowicz, urodzony 4 kwietnia 1890 r. w województwie wileńskim. Razem z ojcem Cikoto odbywał studia w seminarium duchownym w Wilnie.

3. Ojciec Tomasz Podziawa, prefekt Liceum św. Mikołaja i szkół sióstr urszulanek i franciszkanek.

Siostry urszulanki i franciszkanki pozostały na wolności, ale ich szkoły i internaty (urszulanki — 130, franciszkanki — 180 dziewcząt) komuniści zamknęli, a wszystkie zakonnice wygnali z domów. Długi czas musiały się one tułać bez środków do życia po Harbinie i Chinach, wreszcie pozwolono im wyjechać bądź do Europy, bądź do Ameryki. Liceum św. Mikołaja, w którym było 220 uczniów, w tym 150 w internacie, rozpędzono odrazu po dokonaniu aresztowań księży.

Razem z marianami byli aresztowani dwaj księża świeccy: Ks. Paweł Chaley, Francuz, i ks. Paweł Portniagin, Rosjanin, wykładowca literatury rosyjskiej.

Oprócz pięciu księży aresztowano dwóch świeckich profesorów — Wiktora Własowa, Rosjanina, nauczyciela historii i sekretarza liceum, oraz Piotra Marczyszyna, Ukraińca, matematyka. Obaj byli katolikami wschodniego obrządku.

Misja nasza i szkoła istniały w Harbinie od 1928r. W latach 1945-48 pracowaliśmy pod władzami ateistycznymi, to też przekonywano nas, że sami powinniśmy zamknąć liceum. Mówiono:

— Nie wytrzymacie nacisku rewolucji. Likwidujcie szkołę.

My jednak trwaliśmy na stanowisku, choć przeczuwaliśmy, czym się to wszystko skończy. Na naszym utrzymaniu było ponad 500 dzieci. Uczniowie — to przeważnie dzieci emigrantów z dawnej carskiej Rosji i Związku Sowieckiego. Wszystkich, którzy zwracali się do misji, w miarę możliwości przyjmowaliśmy, karmiliśmy wychowywalśmy w duchu Chrystusowym. Komu to mogło przeszkodzać, że dzieci często pozbawione wszelkiej opieki — były przez nas dopilnowane i mogły wyrosnąć na dobrych ludzi i pożytecznych obywateli?

Misja nasza przetrwała dwadzieścia bardzo ciężkich, a przy końcu pełnych trwogi lat. Początkowo przy starej władzy chińskiej, od roku 1931 pod okupacją japońską, zamienioną w 1945 r. na okupację sowiecką. Po upływie pół roku Harbin zajęli chińscy komuniści.

Mimo stałej kontroli żadna ze wspomnianych władz nie mogła znaleźć powodu do przyczepienia się. Nawet sowieckie NKWD, choć z natury bardzo podejrzliwe, nie mogło nam nic zarzucić. Nie ukrywaliśmy się przed kontrolą, tym bardziej, że Staro-Harbińska ulica, gdzie mieściła się siedziba misji, jest jedną z głównych arterii miasta. W 1945 r. obok naszego domu miał swą kwaterę marszałek Związku Sowieckiego Malinowski. Interesował się szkołą i czasami wypytywał o nią ludzi. Nad liceum misji roztaczało opiekę czujne oko sowieckich władz, ale tylko jeden z nauczycieli, pan A. był wzywany na badania. Bili go przy tym na śledztwie specjalnymi sowieckimi „kiełbasami" z piasku. Jednak śledczy go zwolnił. Pan A. nie był wplątany w żadne sprawy polityczne, znał bowiem tylko swój dom i szkołę; dziwiliśmy się za co go bez powodu męczyli. Nie znałem jeszcze wtedy logiki stalinowskiej, a to bardzo ciekawa logika! Oto jak Sojuz rozumie szpiegostwo:

„Jeśli ktoś może być szpiegiem, to jasne, że nie może nim nie być".

Dlatego należy go aresztować, a na badaniach więzień musi się przyznać do szpiegostwa.

Jeśli się przyzna, to wygrał na czysto. Dostanie wtedy normalny wyrok od 10 do 25 lat. Jeśli jednak

się nie przyznaje, wtedy obowiązkiem sędziego „pomóc” mu w przyznaniu. A w tym kierunku mają oni nieprzeciętne zdolności i wyrobioną praktykę; tak potrafią zmaltretować każdego, że za nimi wszystko posłusznie powtórzy.

Ale gdyby zaszedł wypadek, że ktoś przetrzyma całą sowiecką inkwizycję i nie przyzna się do winy, której nie popełnił, to mu sąd lub „OSO” i tak karę wymierzy, a może do niej i coś przyłożyć... za upór. Prowadzący dochodzenia może sam ukarać upartego, a później wypuścić. Zdarzały się takie wypadki, chociaż rzadko. Mają one miejsce, gdy w sędzim kołaczą się resztki ludzkiego sumienia.

Ponieważ pan A. uczył u nas języka angielskiego, więc według sowieckich założeń *„nie mógł nie być angielskim szpiegiem”*, za co powinien przykładnie odpokutować. Na szczęście natrafił właśnie na śledczego z resztkami sumienia, który go po ukaraniu wypuścił.

Dyrektor liceum, archimandryta Andrzej, był również wzywany do NKWD, ale śledztwo trwało krótko. Zwolnili go zaraz i nawet nie bili, czemu się wszyscy dziwili, a my uważaliśmy za dowód wielkiej łaski bożej. W tym bowiem czasie odbywało się jakgdyby polowanie na ludzi. Nikt nie był pewny swej godziny, dlatego utarło się wówczas samą nazwę NKWD tłumaczyć: „Nie wiem Kiedy Wrócę do Domu”.

Podczas swego krótkiego pobytu w Mandżurii bolszewicy wywieźli wielu ludzi, nazywając ich japońskimi szpiegami. Aresztowali nawet kilku duchownych prawosławnych. Nas zarówno oni, jak później komuniści chińscy, nie zaczepiali aż trzy i pół roku.

W tym czasie zaczął nas często nachodzić jeden były uczeń, Chińczyk, Li-Go-Dun, którego przed paru laty wydalono ze szkoły. Budziło się we mnie podejrzenie, że będzie teraz mścił się za usunięcie z liceum, Chińczycy są bowiem bardzo mściwi. Chińczyk, poganin, za niewielką krzywdę, choćby w oczy udawał największego przyjaciela, gotów okrutnie się zemścić po dwudziestu, lub trzydziestu latach.

W dzień św. Andrzeja były imieniny naszego dyrektora. Uroczystość odbywała się w tak miłym nastroju, że obecni ze zdumieniem mówili:

— Coś musi grozić szkole... Za dobrze wszystko się składa. Jest tak pięknie, że aż strach bierze... Niech nas Bóg strzeże!

Prace w liceum prowadzono spokojnie, z dużym nakładem sił i bez rozdźwięków. Nawet najmłodsi chłopcy uczyli się sumiennie. Nadchodziło Boże Narodzenie, którego wszyscy z upragnieniem oczekiwali.

Na dworze zima w pełni. Zima to osobliwa, mandżurska. Kąsa przedświąteczny mróz i dmie przejmujący wiatr, a śniegu niewiele. Wieczorami mróz dochodzi do 30 stopni. Rzadko na niebie pojawiają się obłoczki, a i te jakieś przeźroczyste, przelatujące szybko jak bojaźliwe ptaki. Czasem zniżają się i sypią śniegiem. Wicher gna ten śnieg, wzbija wysoko w górę, a potem ciska nim o ziemię, zwija po polach, aż zmiata go do rowów i wykrotów. W środkowej Mandżurii śnieg nie zakrywa całej ziemi i płaty stwardniałej golizny trzaskają na mrozie. Nie ma tu w czasie zimy odwilży. Słońce zawsze przenikliwe, świeci jaskrawo i nieprzyjemnie dla nienawykłych oczu europejczyka, ale mimo że hojnie rozsiewa swoje promienie, nie ma siły przemóc mrozu.

Europejczycy twierdzą, że jaskrawe światło słoneczne oraz piasek pędzony wichrem z pustyni Gobi, a także pył z gliniastego gruntu są powodem skośnych oczu azjatów. Ale prawdę mówiąc, wcale nie są oni kosoocy, mają tylko przymrużone powieki. W ten sposób natura sama chroni ich przed ślepotą. W czasie wichrów, gdy chmury pyłu zasłaniają słońce, europejczycy nie opuszczają swych domów, a gdy muszą wyjść, zakrywają oczy rękami. Chińczycy i Japończycy chodzą wtedy spokojnie. Japonki w swych kwiecistych, obszernych kimonach, z szerokimi rękawami, chwieją się śmiesznie na wietrze, jak jakieś przedziwne motyle.

Ta mandżurska pogoda utkwiła mi szczególnie w pamięci, ponieważ w taki właśnie wieczór aresztowano nas i wywieziono z liceum.

JAK NAS „UKRADLI"?

Kradniesz, kradniesz,
dokąd nas zawieziesz ładnie?

We wschodnim obrządku święto Niepokalanego Poczęcia N.M.P. przypada dnia 9/22 grudnia. W naszym liceum dnia tego mszę św. odprawiał archimandryta Andrzej. Jego dostojny wygląd, głęboki bas, powolny, melodyjny śpiew, a przede wszystkim szczera pobożność, zawsze pobudzały lud do skupienia i modlitwy. W kazaniach posługiwał się przekonywującymi przykładami i silną argumentacją; mówił o zgodności wiary z rozumem, o miłości Boga względem ludzi, o potędze wszechpośrednictwa Najświętszej Dziewicy, Matki Bożej.

Po mszy św. ojcowie z misji zaprosili na obiad grono nauczycielskie. Odbył się on w spokoju i nastroju rodzinnym. Po obiedzie wszyscy, jak pracowite mrówki rozeszli się do swoich zajęć. Uczniowie przygotowali lekcje przedświąteczne. Obszedłem wszystkie klasy — wychowawcy byli na stanowiskach, chłopcy przy pracy. Tego dnia nie trzeba było ani czynić wymówek, ani popędzać. Byłem zdumiony. Mogłem spokojnie udać się do swego kąta na trzecim piętrze.

I tu narzuca się ciekawe spostrzeżenie. Ludzie często lepiej wyczują odległe niebezpieczeństwo niż zupełnie bliskie. Nieszczęście jest tuż, tuż, a człowiek go nie widzi i nie obawia się ani we śnie, ani na jawie. Śpi smacznie, pracuje spokojnie lub się bawi. Nagle przychodzi katastrofa i tak, na pozór najbezpieczniejszy człowiek znajdzie się oko w oko z Najwyższym Sędzią — Bogiem. Doprawdy „nie wiemy ani

dnia, ani godziny". Czasem ludzie jakby umyślnie zbierają wszystkie siły swoje i bardzo się spieszą, żeby zdążyć w samą porę i na to właśnie miejsce, gdzie czeka ich zguba. Przedziwna i tajemna boska Opatrzność. Tak było wtedy ze mną...

Oto przechodząc obok kancelarii dyrektora widzę na korytarzu gromadę chińskiej milicji. Zatrzymują mnie i każą wezwać według listy wszystkich księży z liceum. Jasne, po co milicja przyszła, sprawa „prosta jak obwarzanek". Teraz dziwię się sobie, jak mogłem wtedy nie wyczuć sytuacji? Dlaczego nie ostrzegłem innych? Nasz Francuz był człowiekiem bardzo sprytnym, mógłby zmylić czujność Chińczyków i nie dać się im schwytać, a inni księża przynajmniej ubraliby się ciepło na drogę... Ale ja byłem tak spokojny, jakby mnie zaczarowali. Czy może sam Bóg w tym fatalnym momencie zesłał na mnie to dziwne odrętwienie?

Wszyscy zbierają się u dyrektora. Wtedy starszy milicjant zaczyna nam czytać po chińsku jakiś „dokument", a inny Chińczyk tłumaczy go na rosyjski. Słuchamy uważnie, ale nie możemy nic zrozumieć ani po chińsku, ani po rosyjsku. Pytamy więc o co chodzi? Chińczycy tłumaczą, że jacyś „źli ludzie" mieszkali u nas. Po tych wyjaśnieniach robi się nam już zupełnie... ciemno.

Teraz dopiero — po śledztwach, więzieniu i łagrach — rozumiem, dlaczego nam wtedy czytano ten zbędny papier. Komuniści chińscy przyjęli sowiecką praktykę, aby wszystkiemu nadawać pozory legalności. Mogli nam jasno przedstawić o co chodzi, bo był między nimi poprzednio wspomniany, dawny nasz uczeń Li-Go-Dun, który zupełnie dobrze mówił po rosyjsku. Ale milicji wcale nie było potrzebne, żebyśmy zrozumieli pismo, oni mieli tylko przeczytać „dokument" dla dopełnienia formalności.

I nagle wszystko się wyjaśnia, gdyż dwóch drabów chwyta mnie pod ręce, mocno ściska i zaczyna wyciągać z kancelarii. Wyrywam się i krzyczę:

— Płaszcz! Dajcie mi się ubrać! Nic nie pomaga.

Sprowadzają mnie po schodach na podwórze, stąd przez plac na drugą stronę ulicy i wsadzają do

autobusu. Szybko przyprowadzają tu wszystkich księży. Na ulicy było zupełnie pusto, widocznie ruch skierowano bocznymi ulicami. Zakładają nam kajdanki. Pierwszy raz w życiu mam taką „ozdobę". Zawiązują nam oczy. Trącam w bok sąsiada i szepczę:

— Napewno nas rozstrzelają...

Wszystkich gnębi ta sama myśl. Modlimy się więc po cichu, wzbudzamy żal za grzechy i po kryjomu udzielamy sobie nawzajem rozgrzeszenia.

Nim to jednak miało nastąpić, zaczyna się do mnie dobierać mróz, i to tak ostro, że zapominam zupełnie o wszelkim niebezpieczeństwie. Ale cóż? Nie mogę przed nim obronić ani uszu, ani nosa, bo mam ręce skute do tyłu. Mróz znajduje już drogę za kołnierz. Trzęsę się z zimna i proszę kolegów, żeby się do mnie przycisnęli. Zdawałoby się, że jadąc na rozstrzelanie, nie ma potrzeby myśleć o mrozie... Może to i prawda, ale mróz gryzie jak pies.

Autobus nasz mknie szybko ulicami, podrzucając na wybojach. Po hałasie ulicznym domyślam się, że jesteśmy jeszcze w mieście. Naraz pod nami dudni most... A więc przejeżdżamy tor kolejowy do centralnego Harbina.

— Dokąd nas wiozą? Plączą mi się myśli, rwą na strzępy i w duszy powstaje koszmar. Próbuję się modlić, ale nic z tego nie wychodzi. Przyzwyczajam się jakoś do zimna i kajdan na rękach. Staram się wyobrazić sobie ludzi sparaliżowanych lub tych, co stracili na wojnie ręce, lub czekających po wyroku na rozstrzelanie.

Autobus zatrzymuje się. Zdjęto nam z oczu opaski. Ciemno. Stoimy przed słabo oświetlonym, dwupiętrowym domem w centralnym Harbinie. Prowadzą nas na drugie piętro, wpuszczają do pustego pokoju o dwóch oknach, i każą usiąść półkolem na podłodze, twarzą do drzwi. W drzwiach jest okienko, a na korytarzu siedzi dozorca, który zaraz krzyczy:

— Szuchua pusin! Nie wolno rozmawiać.

W kilka minut później wepchnięto do nas naszego krzywonogiego sekretarza, Wiktora Własowa, zmęczonego do ostatnich granic. Chwytamy go pod ręce, żeby nie upadł i ostrożnie sadzamy w naszym

półkolu. Po jakichś pięciu minutach wprowadzają Piotra Marczyszyna, nauczyciela matematyki. Myśleliśmy, że jeszcze kogoś nam doślą, ale na tym się kończy. Tymczasem nie zwracając uwagi na „szuchua pusin", Własow opowiada, jak u nich w domu milicja rozbiła okno, przeciągnęła go przez nie do autobusu i naturalnie przy tej okazji stłuczono mu okulary. Słyszał tylko płacz żony i córki. Teraz już każdy opowiada swoje przeżycia, ale dozorca tak ostro nam pogroził, żeśmy zamilkli na długo.

Dyrektor zaczyna się modlić, więc i my za nim, jak kto mógł odmawiamy pacierze wieczorne.

Mówią, że morze stwarza modlitewny nastrój. I to jest prawda. Jechałem kiedyś trzydzieści trzy dni japońskim parowcem i morze pobudzało mnie do modlitwy. Szczególnie nocą, gdy rozmigotane gwiazdy jakby rozmawiały ze Stwórcą, co je rozsypał po bezkresnych przestworzach i przez miliardy lat dogląda, jak pasterz owce. Morze kołysało się spokojnie i odmawiało swój odwieczny pacierz. Przestworza śpiewały hymn pochwalny „Błogosławcie Panu gwiazdy na niebie; błogosławcie mrozy i zimna, morza i rzeki, błogosławcie Panu duchy i dusze sprawiedliwych".

A my byliśmy zamknięci i niepewni życia w mocy niesprawiedliwych i bezbożnych ludzi, lecz mimo wszystko nie wyrwą nas oni z rąk Bożych! Znikąd nie możemy oczekiwać ratunku, tylko od Boga. Modlitwa nasza staje się żywą, dziecięcą pogawędką ze Stwórcą, a jednocześnie błaganiem. Wlewa nam w serca ożywczy balsam. Nie mogę pojąć, jak ludzie skrzywdzeni i nieszczęśliwi potrafią się obejść bez wiary i modlitwy.

Nadchodzi wieczór. Kolacji nam nie dają, ale nie dopominamy się, bo o niej nie pamiętamy. Dozorca krzyczy, żeby się kłaść. Odtąd robimy wszystko na wrzaskliwą, ale planową komendę. Kładziemy się tak, jak kto siedział, na gołej podłodze. Co za wygoda! Nie trzeba się rozbierać, ani rozkładać pościeli...

I tu jest początek mojego „szczęścia w nieszczęściu", które mi wiernie dotąd towarzyszy. Byłem w lekkim ubraniu i nocnych pantoflach, przy tym niedomagałem na złośliwą niedokrwistość i ze wszyst-

kich byłem najstarszy. Mogła więc ta pierwsza noc, na gołych deskach, nabawić mnie zapalenia płuc, a nawet spowodować śmierć. Tylko jeden archimandryta Andrzej zdołał odepchnąć milicjantów w czasie aresztowania i pochwycić swoje stare, ale ciepłe futro. I oto dyrektor kładzie się na podłodze właśnie tuż przy mnie. Ojciec Andrzej był wysoki, a poły jego futra szerokie. Leżę przy nim skulony i niczym nie okryty. Przywarłem plecami do dyrektora na prawym brzegu jego futra, a drugą połą nakrywa mnie ojciec Cikoto, no i grzeję teraz plecy przy jego sercu i czuję się „jak u Pana Boga za piecem". Choć ani chwili nie spałem, rozgrzałem się zupełnie i oderwałem od wszelkiej troski. Zresztą nikt z nas nie mógł zasnąć, oprócz Piotra Marczyszyna, który całą noc chrapał, jakby grzmoty się nad nami przewalały. Nasze przeżycia są ciężkie, a przyszłość groźna, więc i sen się nie ima. Moje myśli płyną jak wody rzeki, zatem i noc się nie dłuży.

Gdy nastał brzask, zaczynamy szeptać i ktoś zapytuje Marczyszyna:

— Jak ci się spało?

— Jak tu można spać? Ani na chwilę oka nie zmrużyłem.

Wtedy buchnął wśród nas taki gwałtowny śmiech, że nie pomogło chińskie „pusin". W tym momencie zapomnieliśmy o całej naszej tragedii, bo na scenie rozgrywała się pierwszorzędna komedia. Tylko główny bohater, Marczyszyn, spogląda to na prawo, to na lewo i nie rozumie, z czego się wszyscy śmieją. Nawet Chińczyk patrzy na nas przez lufcik zdziwiony. Myśli na pewno, że przy rewolucyjnych władzach śmiech jest niedozwolony. Wreszcie zaczyna na nas z całęj siły wrzeszczeć.

Według nakazów rewolucji wstajemy, nadymamy się jak nasz poganiacz. Czarne myśli mącą tak dobrze rozpoczęty dzień więzienny. Wokół nas krąży natrętna myśl: „Co oni chcą z nami zrobić?"

„NO... I POJECHALIŚMY!"

„Jak jechać, to jechać!" Krzyknęła papuga, gdy kot ją ciągnął za ogon.

Wypadki rozwijają się w szybkim tempie. Każą nam się myć, choć nie ma się czym wycierać. Każą nam przetrzeć podłogę i dają do picia chińską „czcha", czyli herbatę. Cukru nam oczywiście nie dają, ale za to każdy dostaje kawałek chleba i chiński ogórek. Długi, cienki, twardy i bez smaku. Po tym każą nam w tym samym pokoju urządzić „spacer". Dozorca z zegarkiem w ręku pilnuje porządku, a my możemy rozprostować zbolałe kości. Do pary miałem Piotra Marczyszyna. Rozmawiać wolno tylko po cichu. Chodzimy dwójkami kolejno, po dziesięć minut.

— Będziemy, mówię Piotrowi, rozwiązywać zadania.

— Jakie?

— Będziemy mnożyć. Jedenaście razy jedenaście, dwanaście razy dwanaście itd.

Gdy tak mnożyliśmy, doszliśmy do 25. Nikt nas nie może uspokoić i tylko, gdy Chińczyk krzyczy głośniej od nas, zniżamy trochę głos.

Obiad. Wrzątek, chleb i ogórek. Kolacja to samo, tylko nieco za wcześnie podana.

— Będzie coś nowego, mówimy między sobą.

Dla zabezpieczenia duszy odprawiamy dokładną spowiedź, z pełnym przygotowaniem i modlitwą. Jakie to szczęście, że możemy się spowiadać, i że możemy innych spowiadać. Kończymy w samą porę, bo zaraz rozpoczynają rewizję. Jestem spokojny, że nic nie mam, jednak znalazło się. Zabierają mi zegarek, różaniec, pasek, sznurki, chustki do nosa, wszystkie dro-

biazgi znalezione w kieszeniach i odcinają metalowe guziki. Zrobili z nas prawdziwych pustelników. Zabrane przedmioty dokładnie spisują i obiecują zwrócić, tak bowiem nakazuje porządek wprowadzony na początku sowieckiej rewolucji. Od nikogo jednak potem nie słyszałem, ażeby mu w więzieniu czy łagrach cokolwiek zwrócono, a i sam, gdy wychodziłem na wolność, nic nie otrzymałem. Zaraz też poczęto wydawać nam na drogę chińskie ubranie. Trzeba trafu, że znajduję się przy samych drzwiach i dozorca daje mi watowane odzienie, kaftany i spodnie, abym z kolei podawał kolegom, którzy odrazu je kładą na siebie. Ale na siedmiu otrzymaliśmy tylko cztery komplety. Dyrektor mając futro nie potrzebował dodatkowego ubrania, Partniagin dostał tylko spodnie, a ja malutką, dziecinną kołderkę. Nakładam ją na plecy i w ten sposób jestem dobrze „odbezpieczony", żebym mógł zmarznąć w drodze. Wieczór jest bardzo zimny, ale Bóg obiecał strzec tego, co mu zaufał.

— Wychodzić, pada komenda.

Na dworze ciemno. Na niebie migają z ożywieniem gwiazdy. Czy i im zimno? Mróz większy niż wczoraj, tylko wiatr ucichł. Ładujemy się do ciężarówki i siadamy na gołej, obmarzłej podłodze. Chińczycy znów nam wykręcają ręce do tyłu i zakładają kajdanki, potem każą nam się położyć i nakrywają brezentem. Nie możemy nic widzieć.

— Co to znaczy? Dokąd nas wiozą? Czy nie za miasto na rozstrzelanie? — szepczemy przerażeni między sobą.

Nerwy znów są naprężone. Ja się modlę i myślę o śmierci. Ale i w obliczu śmierci wdziera się myśl o przenikliwym mrozie. Marznę w plecy, bo kołderka mnie nie grzeje; nie mogę się nią otulić, bo mam ręce skute na plecach, wiercę się tak, że aż koledzy się dziwią. Ale czy człowiek ciepło ubrany zrozumie kiedy nagiego?

Wiozą nas długo i daleko. Zgiełk miasta dawno ucichł, było więc jasne, że jesteśmy już daleko za Harbinem. Nareszcie auto staje i Chińczycy zdejmują z nas brezent. Patrzymy. Znajoma stacja. To Stary Harbin, cztery kilometry od miasta. Domyślamy się,

że wywiozą nas na Sybir. Lżej się od razu zrobiło na duszy, choć wiemy, że i tam nie czeka nas wolność.

Wiozą nas towarowym wagonem. W połowie wagonu były górne nary, na których rozlokowali się konwojenci. Nas zagnano pod prycze, gdzie siedzimy na gołych deskach. Od spodu i ścian ciągnie przenikliwym ziąbem. Dwaj milicjanci dyżurują przed narami przy piecu i pilnują nas. Siedzimy rzędem pod ścianą ze skutymi rękami na grzbietach. Usiłuję przyzwyczaić się do chłodu, ale mi się to w żaden sposób nie udaje... Chińczycy szczerze zajęli się piecem. Gdy napalą robi się ciepło, a moim dobrze odzianym kolegom nawet gorąco, mnie w sam raz. Gdy piec wystyga, ja jeszcze szybciej stygnę. Zimno mi w nogi, kolana, plecy. Wiem jak daleka droga do granicy Syberii, czuję więc, że dla mnie nie ma ratunku, nawet pierwszej nocy nie wytrzymam. Czy nie lepiej więc, aby mnie od razu rozstrzelali? Ale we wszystkim jest wola Boża. Od razu też okazało się, że nie sądzona mi jeszcze śmierć. Sąsiad mój z lewej strony, Francuz, szepcze mi po cichu:

— Kajdany mi się rozkuły, tylko nic nie mówmy nikomu.

Zdziwiłem się bardzo, i zaczynam dłubać w swoich, ale one, przeklęte, jeszcze bardziej się zaciskają. Francuz to otwiera, to zamyka swoje okowy, tylko wystrzega się oczu konwojentów. Uważam, że przytrafiło mu się wielkie szczęście, ale okazuje się wkrótce, że w tym było jeszcze większe moje szczęście, bo on teraz otulał mnie moją kołderką jak malutkie dziecko. W ten sposób zaczynam się po trochu rozgrzewać.

Nadchodzi zmierzch. A potem jakże strasznie długo ciągnie się pokutna, piekielna noc! Moja sytuacja była podobna do tej, którą opisuje Dante w jednej z pieśni „Piekła" gdzie skazańcy zapadają coraz głębiej w zamarzłe jezioro. Boli mnie strasznie głowa, morzy sen, a mróz nie daje zasnąć. Przytulam się do futra dyrektora, ale ten nic mi nie może pomóc, bo sam ma skute ręce, a przy tym śpi. Wszyscy aresztowani śpią, opierając się jeden o drugiego. Konwojenci zasnęli przy wystygłym piecu, a ja zasnąć nie mogłem...

Noc dalej płynie — późna, mroźna i wietrzna. Syberyjski wiatr, choć nie buszuje jak u nas na Białorusi, ale słychać jego tęskny poświst, jakby się wpraszał do chaty. Wreszcie przedłużająca się w nieskończoność noc zaczyna blednąć, powoli przecieka słabiutkie światło. Szarzeje. Wydaje mi się, że świt nadchodzi strasznie wolno. Chińczycy rozpalają pośpiesznie ogień. I oni, choć młodzi, ciepło ubrani i mogli się poruszać, jednak w tę chłodną noc również przemarźli. Jak ja wytrzymałem? Dziw!

Konwojenci poczęli nas pojedyńczo wypuszczać „za swoimi potrzebami". Na ten czas zdejmowali kajdanki, wypuszczali z przedziału i zaraz wołali:

— Szybko, szybko!

Ale teraz moje nerwy wypowiedziały posłuszeństwo. Nie wyszło nic „z na krótko", a Chińczyk krzyczał z tyłu:

— Twoja, szybciej!

A u mnie strajk na całego. Przestraszyli się i nasi, i Chińczycy. Oni muszą nas całych odwieźć do granicy i wymienić „ludzki towar" na „czena" — pieniądze. Gdyby ktokolwiek z nas zmarł w drodze, byłby skandal i konwojenci odpowiadaliby za to osobiście. Ja sam przestraszyłem się najbardziej, bo nie było przecież ani lekarza, ani lekarstw... Stoję więc i czekam. Przeszło może z piętnaście minut, konwojenci przestali krzyczeć, i gdy się nieco uspokoiłem, powoli przeszła i moja bieda... Konwojent nie nakłada mi już kajdanków. Gdy po obiedzie chcą mnie znów zakuć, korzystam z mojej choroby i podnoszę krzyk. Chińczycy machnęli rękami, a ja dalej jadę rozkuty. W Chinach jest bowiem taki zwyczaj, że ten kto głośniej krzyczy, ten ma większe możliwości wygrania czy to w sądzie, czy handlu. A więc krzyczę:

— Pu-jo. Nie trzeba. Moja chory, twoja „mamandi" — ty poczekaj.

Teraz już mogę swobodnie się otulać, grzać ręce, rozcierać uszy i pomagać skutym kolegom.

W ten sposób dojeżdżamy do gór Wielkiego Chinganu, wznosimy się przez znaną mi Pętlę do tunelu (idąc tutaj pod górę pociąg zatacza pełny krąg długości pięciu kilometrów).

Chingan to najpiękniejsze miejsce w Mandżurii. Góry ciągną się od rzeki Amur na południe, gdzie się powoli obniżają i rozpływają w mongolskich stepach. Znane na całym świecie mandżurskie „sopki", dziwne, wystające jak głowy cukru, ongiś wytoczone w nie znanym geologicznym warsztacie, stoją pojedyńczo lub parami. Czasami stożek jest równiutko ścięty przy samym wierzchołku. Samotnie pnie się w górę starodawny, wygasły wulkan, i choć teraz zupełnie niegroźny, ale swym wyglądem zewnętrznym przeraża turystów. Kiedyś w roku 1935, chodziłem tu po górach Chinganu, podczas ciepłego lata, gdy przyroda w pełni rozkwitała. Ale teraz wygłodniały, zziębnięty, po nieprzespanych dwóch, pełnych lęku nocach, jestem zamknięty w zimnym wagonie i niezdolny do podziwiania Mądrości Bożej, zaklętej w cudach natury. Raczej narzuca się podziw dla czegoś przeciwnego — „cudu" ludzkiego obłędu, gdy człowiek traci tylko siły, czas i pieniądze, ażeby bez żadnej dla siebie korzyści znęcać się nad swym słabszym bliźnim...

Pociąg szybko mija Chingan i wjeżdża w mongolskie stepy. Przestrzenie między stacjami są bardzo duże. Stepy zamienia mandżurska tajga — puszcza. Na jakiejś niewielkiej stacji w tajdze odczepiają nas i przetaczają na boczny tor, a nasz pociąg leci dalej. Długo stoimy w lesie iglastym. Część konwojentów gdzieś przepadła, a my snujemy domysły i sprzeczamy się o powody zatrzymania i mimowoli znów wypełza upiorna myśl, że Chińczycy kopią nam grób w lesie przed wykonaniem wyroku. Już po raz trzeci w ciągu dwóch dni stajemy przed tym straszliwym domysłem.

Czekamy w lesie do późnego wieczora 24 grudnia 1948. Był to więc Święty Wieczór — wieczór wigilijny! Cały chrześcijański świat wspominał rocznicę narodzenia Bożego Dziecięcia, Księcia Pokoju i Zbawcy zmęczonego rodzaju ludzkiego. *„Przyszedł do swoich, a swoi Go nie przyjęli"* (Jan I, 11).

Ale o Bożym Narodzeniu, o tej świętej pamiątce i wielkiej nadziei, nie mogłem spokojnie myśleć, bo znów zwaliła się nowa bieda. Moje nogi tak zdrętwiały, że dłużej nie mogę wytrzymać. Ryzykuję więc i bokiem

przysuwam się do pieca ... Przerażeni koledzy sykają na mnie ostrzegawczo:

— Nie leź!

Sami Chińczycy zbaranieli widząc moją śmiałość. A ja już grzałem nogi przy piecu i utrzymywałem mocno zdobytą pozycję.

Zdaje mi się, że gdybyśmy byli odważniejsi, moglibyśmy od Chińczyków wytargować więcej swobody. Ale wtedy, w początkach niewoli, baliśmy się wszystkiego, nawet — do czego teraz wstyd się przyznać — baliśmy się wtedy ... śmierci.

JAK NAS „SPRZEDAWALI"?

Rodzinna to moja ziemia,
tak cudnej jak ona nie ma...
Któraż jest tobie podobna,
modrooka, moja rodna?!
(K. Bujło)

Kończy się pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Bóg tymczasem nie żąda ofiary naszego życia. Dojeżdżamy do granic Syberii, do chińskiego miasteczka Mandżuria. Wszyscy niespokojnie oczekujemy ukończenia targów Chińczyków z moskalami. Kłócili się zawzięcie, bo obydwie strony dobrze się znały nawzajem i jedni drugim nie ustępowali.

Na stacji stoi pełno pociągów i pojedyńczych wagonów. Poplątane tory ledwo oświetlone. Wreszcie przeprowadzają nas z pociągu chińskiego do rosyjskiego. Dręczy nas pytanie, jak nas przyjmą ludzie biali od żółtych? Choć prawda, teraz to oni byli jednakowo czerwoni. Ja o niczym innym nie mogłem myśleć, jak o tym, aby się rozgrzać u nowych gospodarzy i o to serdecznie modlę się do mojego świętego patrona. Na szczęście sowiecki wagon pasażerski, do którego nas wprowadzają jest ogrzany. Za nami wchodzą Chińczycy zabrać swoją odzież i kajdany. Nie żałujemy niczego i mówimy w duchu:

— Niech wam samym służą!

Oficerowie z sowieckiej delegacji spoglądają z pogardliwym uśmiechem na Chińczyków, jak ci spiesznie zgarniają swoje łachy i wynoszą się bez zwykłych pokłonów. Jasne, że obydwie strony nie są zadowolone z targów. Sowiecka, że za dużo musiała zapłacić, a chińska, że za mało wzięła.

Muszę tu lojalnie przyznać, że Chińczycy w czasie drogi nie znęcali się nad nami. Byli to ludzie niepiśmienni i posłuszni rewolucjoniści. Wszystko cośmy przez nich wycierpieli wynikało z ich nadmiernej ostrożności i przezorności oraz naszej zbytniej, a niemądrej uległości.

Chyba dlatego, żeby nie okazać się gorszymi od Chińczyków, moskale nałożyli nam swoje kajdanki, tego samego rodzaju i jakości, co chińskie. No i cóż? Siedzimy cichutko, a naprzeciw nas siedzi cała moskiewska delegacja — podpułkownik, major i trzech poruczników. Z tego co zaszło, mogliśmy się domyśleć, jakimi „ważnymi ptaszkami" jesteśmy w ich oczach. Milczą wszyscy, tylko młodsi oficerowie zlekka się uśmiechają i poszeptują między sobą. Tak się cieszy myśliwy, gdy trzyma w ręku żywego zająca. Ale nam się wcale śmiać nie chce.

Ludzie zdrowi, syci, pełni sił, ubrani w galowe wojskowe mundury, spoglądali na nas osłabionych, wychudłych, niedołężnych, w odzieniu wybrudzonym w czasie podróży. Wyczuwamy, że mamy przed sobą nie przedstawicieli prawa i ładu społecznego, lecz gwałtu i niesprawiedliwości. Oni jednak nie chcieli wiedzieć, że i nad nimi jest większa Moc — Wszechmocny Sędzia. Jesteśmy więc zaskoczeni, gdy nagle po swojemu litują się nad nami. Przewodniczący delegacji bowiem powiedział:

— No, może już wystarczy tych świecidełek świętym ojcom?

Oficerowie milczą. Dowódca patrzy władczo na nich i na nas i poleca:

— Zdjąć to z nich.

Zdjęto nam kajdany i już więcej nie zakuwano.

Wtedy rozpoczynają z nami ożywioną i bezładną rozmowę. Od razu rzuca się w oczy rozbieżność między zasadami komunizmu i ludzkim sposobem postępowania.

— Co wspólnego ma wasz program ze swobodą myślenia i prawdą? zapytywali ojcowie. Prawda jest sama w sobie niezależna od niczego.

Ale gdzie tam! Dla nich komunizm to religia. Marks — nowy Mesjasz, a Engels, Lenin i Stalin —

jego apostołowie. Partia zastępuje kościół, a ich komunistyczna wiara stawia człowiekowi większe i trudniejsze wymagania niż wiara w Boga. Niechby ktoś ośmielił się odchylić od linii partyjnej, zostanie w tragiczny dlań sposób „oczyszczony w komunistycznym piekle".

Nie mieliśmy jednak doświadczenia w dyskusji z komunistami, bo komunizm znaliśmy tylko z książek. A tu partia, a właściwie jej sekretarz Stalin, zastępował cara rosyjskiego. Wtedy ukazy kończyły się: „Być po siemu!" (wykonać bez dyskusji) i teraz to samo.

Do mnie przysiada się major Iwanow-Michajłow, który potem był moim śledczym w Czycie.

— Ty — mrakobies! (czarci tumanie!) wita mnie.

— Pomyłka w adresie, nie ja jestem czarcim tumanem.

— A kto, może ja? pyta, robiąc wielkie oczy.

— Nie nazwałem was jeszcze w ten sposób, a wy mnie już.

Widzę wtedy, że major ma dobrze w czubie. Tymczasem dyrektor ostrzega mnie:

— Bądź z nim ostrożny.

Na szczęście Iwanow sam się ode mnie odczepił. Oddycham z ulgą, bo on swoją prowokacją wywoływał u mnie wilka z lasu. Mogłem się zdenerwować i nagadać mu do słuchu, a toby się źle dla nas kończyło.

Jest już bardzo późno. Dają nam słodzoną herbatę, chleb i ryby. Jemy więc kolację! A potem spać, spać! Kładę się na gołej ławie, bo nam pościeli nie dali, z kułakiem pod głową. W wagonie jest tak ciepło, że mija całe zamrożenie z poprzedniej podróży. Na dworze trzaska siarczysty mróz, dmie wicher, a pociąg przetacza nas przez góry wysokie, przeciąga przez tunele, wiezie dolinami rzek. Ja ciągle śpię, choć sen mam niespokojny. Zrywam się, stękam — mimo to przespałem całą noc. Podróż trwa dwa dni, i chociaż odbywa się w ustawicznym strachu, nie przynosi nam nic złego. Nie zauważyliśmy, że przejeżdżamy przez rzekę Szyłkę, przebywamy łańcuch Gór Jabłonowych... Rano pociąg jedzie przez pagórkowaty teren. Masy

śniegu zalegają góry. Śnieg wypełnia przełęcze i parowy, równiny pokrywa puszysta kołdra.

Rankiem nasz dyrektor wzdycha:

— No, dla nas już wszystko skończone.

— Co skończone? pytamy.

— Wszystko! My, liceum, i cały nasz Harbin.

Milkniemy. Każdy po swojemu przeżywa myśl dyrektora. Ja zaś odczuwam w duszy niejasny, jednak zdecydowany protest przeciw jego wróżbie. Ze smutkiem w duszy każdy się modli.

Tak przyjechaliśmy do Czyty. Wychodzimy z pociągu. Panuje tu wschodnia, syberyjska zima. Śniegu masa, a mróz taki, jakiego jeszcze w życiu nie spotkałem. Ale pogoda jest wspaniała. Słońce świeci jasno, kąpiemy się poprostu w jego promieniach, aż zapominamy o mrozie, ale chociaż świeci ostro, nie jest dla oczu tak przykre, jak w Mandżurii. Miało się ochotę postać, pochodzić i nacieszyć się nim, bo teraz tonęliśmy w olbrzymich syberyjskich kożuchach, które dostaliśmy jeszcze w wagonie. Jednak nasi opiekunowie pamiętają o nas i od razu zapędzają nas do psiej budy na kołach, która w więziennym języku nazywa się „czarny gawron („czornyj woron"). Każdego z kolei wpychają do osobnego kąta. Nie mogę w nim ani stać, ani siedzieć, ani się obrócić — tak przykurczony męczę się, gdy wóz podrzuca wioząc do więzienia. Nie mogę pojąć, jak w podobny kojec zdołano upchnąć naszego olbrzymiego dyrektora i jak on znosi jazdę? Żeby nie zdradzać do czego „gawron" służy, jest on na zewnątrz podobny do samochodu rozwożącego chleb.

Do więzienia przyjeżdżamy 27 grudnia 1948 r. Tam nas wszystkich umieszczają w „pojedynkach".

WIĘZIENIE

Wojskowe więzienie w Czycie miało grube, mocne ściany, długie korytarze i malutkie okienka. Stwierdzam z zadowoleniem, że moja „pojedynka" nie chłodna. Mój kącik — to komórka, w której nie można się obrócić. Jako całe umeblowanie służy żelazne łóżko, nocna szafka i „parasza". Okienko w samym kącie pod sufitem wychodzi na sąsiednią ścianę. Przenika przez nie słabe, szare światło. Dlatego dzień i noc pali się silna elektryczna żarówka. Temperatura w celi zawsze jednakowa i całe szczęście zawsze ciepło, co przy lichej odzieży i pościeli oraz przy „chudym" wyżywieniu jest jedynym ratunkiem dla życia.

Gdyby nie osłabienie oczu i nerwów, powinienbym „pojedynkę" uważać za luksus. Teraz moje życie za kratami „cieknie normalnie", wyrażając się więziennym językiem. Cały dzień należy do mnie, mogę robić, co tylko zechcę, tylko... że co 5 — 10 minut przez „judasza" (wilcze oko — „wołczok") kontroluje mnie strażnik.

Kto przekracza ustalony porządek, naraża się na grubiańskie wymyślanie, albo musi stać w kącie, albo dostaje całą normę karceru, czyli osiem dni. Wstawało się na rozkaz, szło spać na rozkaz. Wprawdzie wolno siedzieć na łóżku, ale nie wolno się opierać ani o poduszkę, ani o poręcz łóżka, ani o ścianę. Kłaść się spać czy nawet drzemać w ciągu dnia było w więzieniu śledczym surowo zabronione. Wydawałoby się, że „siedzenie" to łatwa sprawa, ale to złudzenie. Za to, gdy więzień wyjdzie na wolność ma prawo powiedzieć:

— „Odsiedziałem" pięć (dziesięć, czy dwadzieścia pięć lat).

Gdy tylko więzień siedząc na łóżku zdrzemnie się, zaraz krzyczy na niego dozorca z korytarza. Taki jazgot bardziej drażni niż bicie, i choć krzyczy na jednego, denerwuje wszystkich w całym korytarzu.

W nocy nie wolno obrócić się do ściany i czymkolwiek zakrywać twarzy. W „pojedynce" musiałem spać na plecach, z nogami zwróconymi do drzwi, ażeby dozorca mógł przez „judasza" widzieć moje oczy. Żarówka świeci mocno całą noc, i choć jak najmocniej mrużyć powieki, to jednak światło drażni i przerywa sen. W ten sposób doprowadzono mnie do zupełnego roztroju nerwowego. Zjawia się bezsenność. Mogę sypiać najwyżej od półtorej do dwóch godzin na dobę. Gdyby nie modlitwa, z pewnością zupełnie postradałbym zmysły.

W tych ciężkich chwilach ratunkiem jest dla mnie różaniec odmawiany na palcach. Krótkie rozważanie tajemnic i powtarzające się modlitwy do Najświętszej Panny uspakajają moje poszarpane nerwy.

W więzieniu karmią trzy razy dziennie. Całkowitego głodu nie odczuwałem. Chleb dostaje się rano na cały dzień. Jest on czarny, ciężki (ma dużo wody), żytni z domieszką owsa, kukurydzy i jeszcze czegoś. Zupa — krupnik ledwo okraszony, owsianka albo jęczmień, nieraz gryka, proso, lub nie przetarta pszenica. Na drugie kasza — ta sama co w zupie, tylko gęstsza. Czasami trafia się kapusta, ohydna, rzadka i ciemna. Nic dziwnego, że jedzenie brzydło i osłabiało swoją jednostannością. Owies i jęczmień bowiem ciągną się całymi tygodniami. Cukru dają 9 gramów dziennie. Jedni słodzą nim kubeczek herbaty, inni wsypują do kaszy, a inni odrazu z dłoni wsypują do ust. W mojej „pojedynce" straciłem 12 dziennych porcji cukru, bo jeszcze nie umiałem domagać się swoich praw. Czasami dawali rano 20 gramów śledzia. Gdy w porcji trafiła się głowa, to nie było czym się radować. Ale i tu nie miałem praktyki. Potem, gdy byłem w grupie z Japończykami, nauczyłem się zjadać śledzia „bez reszty" — z głową, „z kościami", skórą i ogonem, zgodnie więc z nauką Lenina, który mówi: „W wielkiej gospodarce każdy śmieć się przyda".

Drugiego miesiąca pobytu w więzieniu zaczęto mnie lepiej karmić i leczyć. Zdawało mi się, że wszystko idzie ku lepszemu, ale poprawa wkrótce się skończyła.

W czasie śledztwa więzień przedstawia taką wartość, jaką ma dla preparowanego procesu. Dlatego pilnują go bardzo. Po pierwsze, żeby nie popełnił samobójstwa. Po drugie, żeby nie zwariował (trochę gwoździ w mózgu nie zaszkodzi). Po trzecie, żeby się zupełnie nie rozchorował i po czwarte, żeby w czasie badań nie umarł.

Po rozprawie może sobie więzień chorować, głodować, czy kończyć życie, ile dusza zapragnie. Nikt się tego nie przestraszy. Jako nowicjusz w więźniarskim fachu dziwiłem się nieraz, dlaczego lekarka tak dba o mnie, bo jej miałem do zawdzięczenia, żem się nie zapoznał z karcerem, choć mnie nim śledczy często straszył. W karcerze kromka chleba i woda, a co czwarty dzień jeszcze i miska krupniku. Nie ma tam ani łóżka, ani pościeli; często więzień siedzi w samej bieliźnie. Przy moim zdrowiu taki głodowy i zimny karcer musiałby mnie „uziemić".

Moi sąsiedzi, jakby się zmówili, co rano z dwóch stron stukają do mnie w ścianę. Wydawało mi się przy tym, że sąsiad z lewej używa jakiegoś alfabetu. Ucieszyłem się obecnością żywych ludzi, ale wstyd mi było, że nie mogę rozszyfrować alfabetu Morsa. Robiłem sobie gorzkie wyrzuty, że we właściwym czasie nie nauczyłem się szyfru. Może przekazują mi wiadomości? Jak długo jeszcze będę siedział w „pojedynce"? Może długie lata? A tu jestem niemy. Z drugiej strony, może to i lepiej, że nie znam szyfru? Przy mojej niezręczności możebym trafił do karceru, albo stał się ofiarą sąsiada — prowokatora?

Miałem też i gościa — była to wielka i bardzo zagłodzona pluskwa. Pewnie wysłana na zwiady — odbyła wielką podróż, aby znaleźć świeżą krew. Ale ja, nie biorąc pod uwagę jej pionierskich zapędów i nie patrząc, że przyszła w delegacji, bez sądu skazałem ją na śmierć... za szpiegostwo (zgodnie z sowieckim kodeksem karnym, § 58 p. 6.). Pewnie na ich gromadę przypadła obecnie głodowa pięciolatka, bo

w ślad za pierwszą, zaczęły nadciągać inne delegatki. Wszystkie je spotkał ten sam los. Aż rozpaliła się we mnie myśliwska żyłka, postanowiłem nie przepuścić ani jednemu z tych stworów.

Nareszcie zjawia się i gość na dwóch nogach — nowy nieznajomy dozorca.

— Rozbieraj się! krzyczy wchodząc.

— Co takiego? Po co?

Zdziwiłem się i przestraszyłem. Chyba mnie nie chce zjeść? myślę. — Gdyby próbował, będę się bronił.

Rozbieram się. Rozpoczyna się rewizja. Maca ubranie, bieliznę, pościel, zagląda w każdy zakątek. Cóż można było znaleźć u człowieka zrewidowanego przez Chińczyków i odgrodzonego od świata? Musiał on jednak wywrócić wszystko i coś zabrać, choćby ostatni już, złamany guzik. Z pościeli przecież nic nie da się wziąć. Siennik jest ze starych paprochów słomy, poduszka z morskiej trawy, a kołdra stary łach, wszystko całkiem demokratyczne. Kontroler to spec w swoim zawodzie; szybko i zręcznie bada obręby i szwy ubrania i pościeli. Nie mogę w końcu zmiarkować, czy jest zadowolony z wyników rewizji, bo znika nagle, nic nie powiedziawszy. Uczciwie przyznaję, że on choć pracował szybko, ale starannie, fachowo, z uwagą, sprawnie i bardzo dokładnie. O delikatności lepiej nie wspominać, to przecież przeżytek dawnych, burżujskich czasów. Takie rewizje odbywają się co miesiąc.

Mieliśmy jednego bardzo dokuczliwego dozorcę. Biegał jak oszalały od drzwi do drzwi, wrzeszczał przez „judasze" aż echo szło po wszystkich korytarzach.

— Jak siedzisz? Dlaczego się opierasz? Siedź równo! Stań w kącie! A ty nie drzem — widzę cię! . . .

Ośmiogodzinny dzień pracy był dla nas i dla niego prawdziwą katorgą. Mało tego. Przy nim i inni dozorcy stają się surowsi, mocniej krzyczą i obrzydliwie dokuczają. Jednym słowem horyzont naszej niewoli zasnuwał się chmurami. A ten dozorca „Jowisz" grzmi bez przerwy i wali piorunami. Na szczęście nie długo. Chyba się szybko zdarł lub dostał awans. Nikt po nim nie płakał.

GŁODÓWKA

Doszła mnie ważna wieść,
że nie ma co jeść..

Gdy człowiekowi jest dobrze, to pożąda czegoś jeszcze lepszego. Gdy miałem ciepło w celi, zachciało mi się spaceru po syberyjskim mrozie, a początek roku 1949 był wyjątkowo zimny. Słyszałem, jak moich sąsiadów wyprowadzano kolejno na piętnastominutowy spacer. Ja nie mam butów i ciepłego ubrania, chyba też dlatego odczuwam ból głowy i okropną bezsenność. Zapytywałem dozorców, w jaki sposób zdobyć ubranie; zaczepiałem o to śledczego, zawsze bez rezultatu.

W tym nieszczęściu wpadłem w rozpacz i poważyłem się na głodówkę, choć wiedziałem, że głodówka więźnia w Związku Sowieckim jest uważana za wielkie przestępstwo. Ale rozpacz — to zły doradca. „Tonący brzytwy się chwyta". Uczepiłbym się brzytwy, gdyby mi ją kto podał.

I rozpocząłem głodówkę. Rano nie przyjąłem ani chleba, ani cukru; Tak przyszły ciężkie dni — pierwszy, drugi, trzeci, czwarty... Nie mogę powiedzieć, aby mi to przychodziło z trudnością, nawet mogłem lepiej sypiać. Ale teraz, po więzieniu i łagrach, zastanawiam się, czy był wtedy sens prowadzić głodówkę? I tak, i nie...

Po pierwsze: Trzeba było najpierw zobaczyć prokuratora i postawić mu ultimatum z zagrożeniem głodówką. Możliwe, że sami daliby mi ubranie.

Po drugie: Kiedy już zdecydowałem się na głodówkę, trzeba było położyć się na łóżko i jęczeć.

Po trzecie: Trzeba było zawczasu zapoznać się ze sposobami głodówki (jest na ten temat specjalne

studium), inaczej człowiek może sobie mocno zaszkodzić.

Po czwarte: W rozstroju nerwowym głodówka jest niedozwolona, bo szybko prowadzi do grobu.

Moje zwycięstwo było połowiczne, dali mi bowiem buty, czapkę, dwa ręczniki i dwie chusteczki do nosa, ale nie dostałem ani palta, ani ciepłego odzienia. Dłużej głodować nie mogłem — trzeba było walkę porzucić, żeby nie umrzeć.

Pierwszy mój spacer, zdobyty z takim trudem, przechodzi pomyślnie. Dozorca wyprowadza mnie samego do „wybiegu" — zagródki, która miała dziewięć kroków na dziewięć. Choć płot tu jest gęsty i wysoki, i mogę widzieć tylko niebo, jednak słońce dociera do jednego kąta. Radość moja jest niezmierna, bo już od dawna słońca nie widziałem, ale siarczysty mróz nie dozwala ogrzać się w jego promieniach. Aby nie zamarznąć, muszę bez przerwy biegać. Dozorca, który mnie pilnuje ze strażnicy, nie zatracił jeszcze ludzkich uczuć, bo nie przeszkadza mi w uprawianiu przymusowego sportu; stoi jak bocian w gnieździe, ubrany w ogromne kożuszysko i dziwi się napewno, jak taki chudziak, ledwie ubrany, mocuje się z syberyjskim mrozem. Ale ja się tak zmordowałem, że już więcej nie mogę wytrzymać, a mój „sezam" był zamknięty do wyznaczonego czasu. Mróz przenika do kości. Wreszcie usłyszałem, że dozorca otwiera furtkę i wrzeszczy na mnie jak na parobka:

— Wychodź!

Idziemy. Ale jak? Ja według przepisów trzymam ręce założone z tyłu jak wielki pan, a idę przed konwojentem jak aresztant; zatrzymuję się przed drzwiami jak ślepy, ustępuję na bok jak sługa i odwracam się do ściany jak dureń. Tu wyprzedza mnie dozorca i pierwszy przechodzi przez drzwi, a ja dopiero wtedy za nim jak pies. Na korytarzu znów przepuszcza mnie naprzód — i tak mijamy się w więziennym tańcu aż do mojej celi. Tam zamknął drzwi wielkim kluczem i ja pozostałem za kratami jak kryminalista. W więzieniu trzeba umieć przemykać się i lawirować jak na łódce w wirze wodnym, wśród wielkich kamieni,

bo inaczej będą cię jak osła popychać i wymyślać jak pijakowi.

Na każdej przechadzce marzłem bardzo, ale potem w celi się rozgrzewałem. Później, gdy już byłem „na wspólnym mieszkaniu" z Japończykami, jeden z nich pożyczał mi na spacer swój zapasowy kożuszek. Dopiero na wiosnę 1949 r. dostałem więzienną „fufajkę" — krótki waciak. Zabroniono mi wtedy chodzić w sutannie, aby nie obrażać uczuć bezbożników. Wierzchniego waciaka (buszłata), który się zwykle zakłada na fufajkę w czasie zimy, nie dostałem zupełnie.

Moja nieudana głodówka nie była zupełnie bez korzyści, bo choć nierozważnie ryzykowałem, to jednak dokonałem próby wytrzymałości, a to mi było właśnie potrzebne jako zaprawa w śledztwie, aby nie ulec. Dobry Bóg zachował mnie przy życiu, mimo złośliwości ludzkiej i moich własnych pomyłek.

Jeszcze raz potem urządziłem głodówkę, ale ta mi się zupełnie nie udała. Miała ona być protestem przeciw fałszywym oskarżeniom. Ale zagrozili mi, że będą przemocą karmić przez nos. Przestraszyłem się pogróżki i po dwóch dniach przerwałem głodówkę (zrozumiałem, że przedłużanie jej może się stać grzechem samobójstwa).

Więzienia i łagry są dla więźniów wielką szkołą życia. Nie można się więc dziwić, że niektórzy ludzie po długej „odsiadce" mówili:

— Nie żałuję, żem siedział! Naturalnie tak mogli mówić tylko ci, co mieli szczęście wyjść na wolność.

I ja również wyniosłem bogatą praktykę życiową, choć muszę stwierdzić, że bezpłatna „szkoła" sowiecka drogo mnie kosztowała.

ŚLEDZTWO

Do sądu idę ze spokojem —
z tymi co się Boga boją.

Zazwyczaj jest przyjęte na świecie, że śledztwo ustala fakty i oczyszcza z fałszywych zarzutów. Oskarżony powinien przez swą szczerość w tym dopomóc. Do sądu należy szukanie dokumentów, świadków i dowodów przestępstwa. Przygotowany w ten sposób materiał ma ustalić winę oskarżonego. Dopóki śledztwa nie ukończono i sąd się nie odbył, nie można podsądnego uważać za winnego i karać go, straszyć lub zwodzić, drażnić i maltretować. Tak jest w tych wolnych krajach, gdzie są w poszanowaniu przepisy sprawiedliwości, kultury i religii. Takiej swobody teoretycznie broni również Związek Sowiecki, ale zobaczymy dalej, jak to wygląda w praktyce.

Na początku śledztwa powiedziano nam, że nie jesteśmy aresztowani, a tylko zatrzymani, i że będziemy przesłuchani w charakterze świadków. Dopiero po upływie trzech tygodni (15.1.1949) zawiadomiono nas, że przyszedł z Moskwy nakaz aresztowania. Czekałem teraz wystraszony, co nowego się stanie, ale nadal pozostawiono nas w naszych pojedynkach.

Dziwiły mnie takie porządki, dlatego zapytałem śledczego:

— Jeśli nas aresztowała milicja chińska, dlaczego nie stajemy przed sądem chińskim? Prawnie jesteśmy obywatelami polskimi, dlaczego więc Chiny nie wydały nas Polsce, tylko Sojuzowi? Jeśli nie jesteśmy aresztowani, dlaczego posadziliście nas do więzienia, i dlaczego do więzienia wojskowego, chociaż jesteśmy cywilami?

Śledczy nie udzielił mi wyjaśnień, tylko zwymyślał. A nasz Francuz za ustawiczne protesty i zapytania zarobił osiem dni ostrego karceru. Dopóki człowiek w Sowietach nie zrozumie, że tu nie rządzi prawo, lecz przemoc, dopóty będzie się daremnie denerwować.

W pojedynce przebywałem ponad pięćdziesiąt dni i, oprócz dozorców, lekarza i sędziego śledczego, nikogo więcej nie widziałem. Gdy przechodziłem przez korytarz, przepędzano z niego „wszelkie żyjące stworzenie", a nawet innych dozorców. Jeśli konwojent przypadkiem zorientował się, że mogę kogoś w korytarzu spotkać, zaraz stawiał mnie nosem do ściany i dawał znak gwizdkiem, żeby obecni uciekali z mojej drogi. Nawet gdy szedłem do ustępu, okazywano mi ten sam szacunek.

Przypominam sobie, jak w Harbinie w czasie okupacji, Japończycy urządzali powitanie cesarzowi Mandżukuo Pu-I według carskiego ceremoniału. Wtedy ludzi z ulic wpędzali na podwórza, a kto się spóźnił, musiał położyć się na ziemi z nogami w kierunku ulicy. Potem pisali w gazetach, jak to lud „z entuzjazmem" witał cesarza. W 1945 r. ten sam cesarz Pu-I siedział w więzieniu w Czycie, tym samym, gdzie ja się znalazłem. Chodził po tych samych korytarzach. Czyż więc ja nie powinienem zadzierać nosa, gdy mnie pędzono po korytarzach według carskiego ceremoniału?

Dziwi mnie tylko, skąd Sowiety biorą tylu ludzi do konwojów, sądów i ochrony, aby móc trzymać miliony więźniów. Ile trzeba było cierpliwości i wytrwałości, aby zadośćuczynić tym śmiesznym formalnościom.

Wypytywałem wiele osób z różnych środowisk, osób które dobrze znały sowieckie życie, ilu ludzi w Związku Sowieckim siedzi w więzieniach? Ogólnie utrzymywała się opinia, że po śmierci Stalina w więzieniach, łagrach, na przymusowych robotach było ich nie mniej niż trzydzieści milionów.

Dla ilustracji podam znany w Polsce kawał z 1955 roku. Pewien agitator sowiecki podczas poga-

wędki z polskimi urzędnikami podpił sobie trochę. Gdy Polacy zaczęli się chwalić, zapytał ich:

— Ile macie w kraju ludności?

— 28 milionów.

Wtedy bolszewik uśmiechnął się pobłażliwie.

— I wy to nazywacie państwem?

— A bo co, dlaczego?

— Bo u nas w łagrach siedzi więcej.

Powstaje pytanie, skąd bierze się w Związku Sowieckim tylu przestępców? Na to pytanie przytoczę charakterystyczny fakt, o jakim słyszałem w łagrze. Przy odejściu etapu z łagru sprawdzano kolejno więźniów. Każdy wywołany łagiernik musiał powiedzieć swoje nazwisko, wiek i paragraf wyroku. Jeden z „etapników" wychodzi i recytuje według formuły:

— Iwan Iwanowicz Iwanow, urodzony w takim a takim roku, paragraf 58, punkty — czwarty, szósty, 25 lat. Potem machnął ręką i od siebie dodał.

— Za nic mnie posadzili.

Na to dyżurny dozorca złości się:

— Co ty będziesz gadał, że „za nic", u nas „za nic" dają tylko 10 lat.

Ale dozorca poprawiając Iwanowa niechcący powiedział prawdę, choć niepełną, bo potrafią też „za nic" dać dwadzieścia pięć.

A oto drugi autentyczny przykład sprawiedliwości sowieckiej. Opowiadał mi o tym dawny komunista Wiktor Nikanorowicz Siemigorow, profesor jednego z rosyjskich uniwersytetów. Wysłali go zagranicę jako korespondenta. Po powrocie dostał z miejsca 10 lat łagrów za szpiegostwo. W czasie badań mówi do swojego sędziego:

— Pozwólcie mi opowiedzieć zdarzenie podobne do mojego.

— Mów.

— Za cara jeszcze, w naszych okolicach rozmnożyły się wilki. Nie było na nie żadnego sposobu. Rząd wtedy wyznaczył nagrodę 25 rubli w złocie za każdego zabitego wilka, a za skórę osobną zapłatę. Chociaż wielu próbowało szczęścia, nikt nie mógł wilka zabić. Wreszcie jednemu myśliwemu udało się. Wypłacili mu premię i kupili skórę. Na drugi tydzień tenże myśliwy

przynosi drugą skórę, a na trzeci — trzecią. Co to znaczy — dziwiono się w okręgu — że on jeden tylko ma takie szczęście, a wilki dalej buszują. Zwołano komisję, ta obejrzała skóry i okazało się, że były to skóry psie, zręcznie ufarbowane. Wtedy śledczy zapytał:

— Więc ty, Siemigorow, uważasz, że my preparujemy wasze oskarżenia, a wy jesteście niewinni?

— Takby trzeba powiedzieć, bo i moja skóra w waszej robocie. Wy z nas robicie szpiegów, a prawdziwe wilki — szpiedzy — dalej swobodnie grasują. No cóż, psa łatwiej złapać, a wilk lepiej umie się skryć, albo wyszczerzy zęby.

Po czym Siemigorow dodał:

— Dużo w więzieniu przemyślałem. Ludzkość przez dwa tysiące lat szanowała prawo rzymskie, które weszło do kultury całego świata. A my mamy możność żyć w kraju w całej pełni „swobodnym" — w Związku Sowieckim. I ja właśnie w tym „wolnym i sprawiedliwym" państwie przy pierwszym mym spotkaniu ze śledczym usłyszałem od niego:

— „Ty, taka twoja..." — Proszę mi powiedzieć, jak pogodzić jedno z drugim?

Nie znalazłem na to żadnej odpowiedzi, bo nam obu było wstyd.

W nowoczesnym, sowieckim śledztwie wszystko idzie według planu. Najpierw więc łaźnia, potem lekarz, jednocześnie i fotograf, następnie odciski palców rąk, wreszcie się idzie do samego naczelnika więzienia, a do celi przychodzi fryzjer i wszystko gotowe. Rewizja już była i to nie jedna. Tak przygotowanego oddają cię w ręce śledczego.

W więzieniu nie mówią ci, do kogo cię prowadzą, ale ja wyczuwałem, że szybko spotkam się z sędzią śledczym. Pod wpływem Dostojewskiego już zawczasu niepokoiła mnie historia Roskolnikowa — mnie podobnie jak jego intrygowało, dlaczego śledczy tak długo nie wzywa? Wreszcie wezwał! Przyszedłem i byłem od razu mile zdziwiony, widząc młodego, sympatycznego człowieka. Mimo wszystko byłem ostrożny, jak na gładkiej i niepewnej kładce. Z rozmowy od-

niosłem wrażenie, że to człowiek prosty, pracowity i spokojny. Kazał mi opowiedzieć koleje mojego żywota.

Była to istna plątanina. Przemierzyłem mnóstwo miejsc i krajów, przeżyłem wojny i rewolucje, odbywałem długie podróże, zajmowałem się różnorodną pracą, przechodziłem wiele chorób i innych doświadczeń. Bałem się więc zaplątać we wspomnieniach i zastanawiałem się, czy nie lepiej jakieś fragmenty opuścić. Śledczy zadawał mi wiele pytań, tak że się mieszałem, a nawet przy opowiadaniu najzwyklejszych faktów plątałem. Parę razy próbował mnie zastraszyć, albo pochwycić na sprzecznościach, ale mu się to nie udawało, bo mówiłem prawdę. W końcu doszliśmy do zgody i byłem zadowolony ze swego życiorysu, a nawet z mojego śledczego, z myślą że i nadal nie zechce mnie krzywdzić. Wchodziłem więc do śledztwa nie obciążony przeszłością. Jakież jednak było moje rozczarowanie, gdy następnym razem stanąłem przed innym sędzią! Był nim mój znajomy, major Iwanow, członek delegacji, która nas kupiła od Chińczyków. Iwanow był wysoki i dobrej tuszy. Miał około 50 lat, na wskroś czerwony i ciałem i duchem, zdrowy jak burżuazyjny buhaj. Znał dobrze nasze stosunki harbińskie, ogólnokościelne, a zwłaszcza watykańskie. Uważał jednak pilnie, żeby się nie wygadać, skąd jest tak dokładnie poinformowany. Ale komentarz do stosunków kościelnych dawał swoisty, to znaczy sowiecki i bezbożny. Mógłby być wybitnym sędzią, gdyby był normalnym człowiekiem. Nieraz na śledztwo przychodził porządnie wstawiony, ale zupełnie pijanego nigdy go nie widziałem. Nie bił mnie, ale język miał plugawy. Wiedział, że jego bluźnierstwa były dla mnie gorsze niż bicie... Oszałamiały mnie one do tego stopnia, że nie wiedziałem co mówić i zapomniałem, co mówiłem. A śledczemu właśnie o to chodziło — bawił się mną, jak obżarty kot zachudzoną myszą.

Do tego czasu jeszcze nie znałem dobrze bolszewików. Co prawda w 1920 r. aresztowali mnie, ale po trzech dniach wypuścili. W Harbinie w czasie okupacji bolszewickiej, propaganda przedstawiała

Związek Sowiecki jako kraj wolny, światły, praworządny i bogaty. A teraz słyszałem od wyraziciela komunistycznej kultury takie bezwstydne wyrażenia, jakich nigdy i od nikogo nie słyszałem.

Nasza zabawa w śledztwo trwała pięć miesięcy. Najpierw Iwanow zastraszył mnie wymyślaniem i groźbami, potem trochę złagodniał, starał się zaskoczyć pytaniami, wykorzystać brak doświadczenia. Czasem ten okrutny wilk przybierał skórę jagnięcia, obiecywał łagodny sąd i niedużą karę — tylko trzy lata. Raz jeden poczęstował mnie nawet herbatą z cukrem, chlebem i kiełbasą, a byłem wtedy bardzo głodny. Czasem nastawiał mi patefon z białoruskimi płytami; mówił o polityce, opowiadał nowiny lub anegdoty. A potrafił zaciekawić, błysnąć wiadomościami i inteligencją. Mój zmęczony umysł ulegał jego podstępnym chwytom, i choć przeczuwałem, że mnie oszukuje, poddawałem się. Po powrocie do celi robiłem sobie gorzkie wyrzuty i tym bardziej rozstrajałem nerwy.

To znowu Iwanow stawał się zajadłym wilkiem i rozwścieczonym tygrysem lub chytrym lisem, a zawsze przy tym obrzydliwą świnią. Groził mi 25 latami, zsyłką na wyspę na Oceanie Lodowatym:

— Są tam dwa białe niedźwiedzie, ty będziesz trzecim.

A wymyślał! Straszył, pokazując na mapie jak bolszewicy napadną z Albanii na Rzym, przerobią Bazylikę św. Piotra na kino, a papieża i kardynała Nowego Jorku, Spellmana, powieszą. Był on prawdziwym artystą w grze w „ciuciubabkę", tylko że to ja miałem oczy zawiązane. Ileż zdrowia straciłem, nim poznałem metodę Iwanowa i Sowieckiego Sojuzu. Bo zabawa w komunizm obejmuje całe bolszewickie państwo oraz część świata wolnego. Jedynie pierwszy sekretarz partii może patrzeć obydwoma oczami, partia komunistyczna widzi tylko jednym okiem, i tylko to, co jej sekretarz pokaże, a „frajerzy", czyli cała reszta społeczeństwa, mają oczy zawiązane. Gdybym wtedy znał tę prawdę, jak ją teraz znam...

Kiedy pewnego razu Iwanow groził mi 25 latami, oburzony odpowiedziałem:

— Jak to, Lenin za carskich rządów, za zorganizowanie przewrotu dostał tylko trzy lata, a co ja zrobiłem? Całe życie uczyłem i wychowywałem małe dzieci.

— Lenin dostał trzy lata za obronę ludu, a ty występowałeś przeciw ludowi.

— W jaki sposób występowałem przeciw ludowi? Może ucząc w szkołach gramatyki łacińskiej?...

Na to śledczy bluzgnął soczyście cuchnącym słownictwem. W końcu zrozumiałem, że na wymysły nie należy odpowiadać. Zrobiłem też uroczyste postanowienie — milczeć. Jednak nic z tego — w żaden sposób nie potrafiłem się opanować! Teraz wstyd mi, gdy to sobie przypomnę, jednak wtedy miałem nerwy chore, a jego prowokacje paliły mnie jak rozpalone żelazo. Czasem Iwanow świdrował mnie oczami, hypnotyzował. Postanawiałem sobie: „nie będę mu patrzeć w oczy", ale mimo to patrzałem — oczy się same podnosiły; postanawiałem z całej siły, ale cóż? brakło mi jej. Bywa tak z samochodem, gdy zepsują się hamulce lub kierownica — kierowca skręca w odpowiednią stronę, a wóz leci w przepaść.

NADCHODZI CZAS DOŚWIADCZENIA

„A gdy was wydadzą nie myślcie, jak albo co byście mówić mieli; bo w owej godzinie będzie wam dane, cobyście mówili". (Mat. 10, 19).

Znając zasady nauki chrystusowej, starałem się zawsze do nich stosować, a więc i idąc na badania niczego nie planowałem; jednak bywało i tak, że się plątałem, bo i pamięć miałem osłabioną i śledczy zbijał mnie z tropu. Później zrozumiałem, że Bóg dopuszczał pomyłki, ale mnie nie opuścił. Podobnie nieraz ojciec uczy synka pływać. Pozwala żeby dziecko zachłysnęło się wodą, ale nie dopuści, aby utonęło. Do końca śledztwa zachowałem jasność umysłu, nie mściłem się w czasie badań nad wrogami, ale ich oszczędzałem, na ile to było możliwe. Do czynów nie popełnionych nie przyznawałem się, chociaż Iwanow robił wszystko, żeby mnie do tego doprowadzić — wmawiał mi je, wymuszał groźbami, łudził obietnicami i maltretował, nic jednak nie osiągnął. Nie wyrzekłem się też wiary.

Ja, podobnie jak wszyscy aresztowani, miałem już z góry wyznaczoną karę. Mimo wszystko, ci co stali twardo przy swoim i nie przyznawali się do nie popełnionych przestępstw, wyszli na tym lepiej niż ci, co bez winy przyznawali się nic na tym nie zyskując, gdyż i tak otrzymali wyroki według bolszewickiej sprawiedliwości. W teorii sąd sowiecki zabrania kłamać, ale w praktyce jak najbardziej do tego zmusza.

Wszyscy aresztowani zabiegali o szybkie zakończenie śledztwa jako najgorszego etapu. Sąd faktycznie był zewnętrzną formalnością. Na rozprawę nikt

nie mógł przyprowadzić swoich świadków ani wziąć adwokata. Gdyby ich nawet dopuszczono, to oskarżony jeszcze bardziej by sobie zaszkodził. Tacy świadkowie — bądź to z obawy, bądź z przezorności — pogrążyliby go jeszcze więcej. Adwokat u nich, podobnie jak wszyscy, wykonuje normy. Wśród tysięcy łagierników nie było wypadku, aby komu adwokat dopomógł. Niektórzy mówili, że adwokat próbował obrony; inni, że nawet nie znał sprawy i prawie wcale nie zabierał głosu. Często zdarzało się, że po ciężkim śledztwie rozprawy sądowej wcale nie było; kary wymierzano zaocznie w sądzie wojewódzkim, a w sprawach ważniejszych w sądzie moskiewskim OSO (Osoboje Sowieszczanije). W ścisłym słowa znaczeniu są to tylko sowieckie organy administracyjne.

Do 1947 r. najwyższym wymiarem kary było 10 lat łagru, ale od tego czasu podniesiono stawkę do 25 lat. Wyrok 25 lat nazywano popularnie „katuszka" albo „szpula". Najcięższym wyrokiem było 25 lat plus 5 lat zsyłki z dodatkiem 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Odtąd 10 lat — to wyrok „krótkoterminowy", a wyrok 5-cioletni uważano za śmiesznie mały, a nawet podejrzany. W łagrach zazwyczaj mówiono o „katuszce": „Stalin nakazał żyć 25 lat". Zresztą prawa kodeksu są tak mgliste, że śledczy z łatwością mógł podciągnąć pod paragraf 58 każdy fakt, aby OSO mogło zastosować pełny wymiar kary — 25 lat (namotać cały „kłębek").

Strasznie oszukali się ci, co „sypali" swoich znajomych. Muszę tu opowiedzieć o konfrontacji, jaką miałem w śledztwie. Iwanow zdobył skądś dwóch świadków przeciwko mnie. Obydwaj byli moimi dawnymi uczniami z Harbinu. Jeden z nich, Kuncewicz, był w naszej szkole w 1934 r. Aby zachować przepisy, Iwanow pyta mnie:

— Czy poznajesz swego ucznia Kuncewicza?

— Nie, nie przypominam go sobie.

— A ty, znasz jego? pyta Kuncewicza.

— Znam. W 1934 roku był dyrektorem naszej szkoły przy katolickiej misji w Harbinie.

— Co o nim wiesz i czego was uczył?

— Pamiętam, jak w czasie kazania mówił, że Watykan nawołuje wszystkie kraje na świecie do krzyżowej wojny ze Związkiem Sowieckim.

— Co możesz na to odpowiedzieć? zwraca się do mnie Iwanow.

— Nie pamiętam. To wiem, że nie mogłem tak mówić, nie mogłem nawoływać do zbrojnej walki.

Nagle Iwanowa wywołano na chwilę, a on wbrew wszelkim przepisom zostawił nas samych w swoim gabinecie. Kuncewicz skorzystał z nieobecności majora i mówi mi dobrodusznie:

— Ksiądz mnie naprawdę nie pamięta? Pewnego razu uciekłem późnym wieczorem z internatu i ksiądz mnie za to wygnał...

Nie dokończyliśmy jeszcze rozmowy, gdy wrócił Iwanow i zaczyna dalej mnie badać.

— Czy masz co przeciw świadkowi?

— Mam, odpowiedziałem. W roku 1934 usunąłem go z internatu i ze szkoły za nocną ucieczkę do kina. Teraz nie może on być bezstronnym świadkiem.

Iwanow aż podskoczył na krześle, jakby usiadł na igle. Zrozumiał, że Kuncewicz wygadał się przede mną. Skrzywił się, rozwrzeszczał, zaczął tupać nogami i wypędził świadka. Wygrałem więc zupełnie, bo taki ważny świadek stracił nieoględnie całą wartość.

Drugim świadkiem był Ormianin (zapomniałem jego nazwiska). Był naszym uczniem w roku 1939, i został usunięty za złe zachowanie i lenistwo. Dwa lata zimował w tej samej klasie i pozostał w niej na trzeci rok. Ormianin zaczął mnie oskarżać, a jego oczy pałały taką nienawiścią, że aż się przeraziłem. Ten słowo w słowo powtórzył to samo, co mówił Kuncewicz, chociaż pomiędzy ich pobytem w szkole była przerwa pięciu lat, a opuścili ją tak dawno — jeden 15, a drugi 10 lat temu. Jakże oni mogliby dokładnie pamiętać moje słowa, choćbym je naprawdę powiedział? Jasne było, że to Iwanow nauczył ich co mają mówić.

— Czy masz co przeciw świadkowi?

— Tak, mam. Został on przyjęty do liceum przed moim powtórnym przyjazdem do Harbina, a kiedy był w szkole, ja nie byłem dyrektorem. Wtedy zaś

nauki wygłaszali albo dyrektor, albo inspektor. A więc świadek nie mówi prawdy.

— Zadawaj mu pytania, nakazuje Iwanow.

— Nie chcę.

— Będziesz tego żałował.

— Nie, nie będę żałował, mówię kategorycznie. To on będzie płakać na mojej rozprawie, kiedy tam postawię mu pytania.

Więcej już z tymi donosicielami nie spotkałem się. Później dowiedziałem się, że przeciwko mnie występowali już jako więźniowie, i też każdy dostał „25", chociaż spodziewali się łagodniejszych wyroków przez obciążanie mnie.

Minęło już kilka tygodni śledztwa, a Iwanow nie powiedział mi dotąd jasno, czego się ode mnie domaga i o jakie przestępstwa oskarża. Jasne było dla mnie tylko jedno, że śledczy chce z nas wszystkich z Harbinu zrobić wrogów Sojuzu.

Iwanow rzadko wzywał mnie na badania w nocy. Najczęściej chodziłem do niego około godziny 10 rano. Trzymał mnie u siebie do sześciu godzin. Około godziny 13 szedł na obiad, a mnie prowadził do kancelarii, gdzie pozostawiał pod opieką sekretarza. Ten nie odzywał się do mnie wcale. Naprzeciw mnie wisiały olbrzymie mapy i patrząc na nie, mogłem choć myślą przenosić się do wolnego świata. Często zatrzymywałem wzrok na Wilnie, gdzie spędziłem najszczęśliwsze lata mego życia.

Około godziny 15 wracał Iwanow do dalszego „rozpracowywania" mojej osoby. W swoim przekonaniu uważał się za obrońcę proletariatu, a mnie za stronnika burżuazji, dlatego też uważał, że ma prawo będąc młodym i zdrowym, zjeść obfity obiad, zroszony niezgorszą porcją alkoholu, a mnie głodnego trzymać bez jedzenia do godziny 17 lub 18. Wracając do celi zastawałem wystygły obiad i zaraz przynoszono mi kolację. Zmęczony i zdenerwowany ledwo co brałem do ust i niecierpliwie czekałem na sygnał do spania. Ale i sen nie chciał przychodzić, a gdy przyszedł, był dalszą męką.

W czasie śledztwa zdarzył mi się wypadek, o którym długo nie zapomnę. Badanie dotyczyło naszego

Francuza, księdza Pawła. Iwanow pyta, jaki był stosunek księdza Chaley do ZSRR. Jest godzina 21, a ja odczuwam silny ból głowy. Początkowo odpowiadam na pytania ogólnie, aby zbyć, ale Iwanow domaga się ścisłości. Pilnuję się więc, żeby nie „wsypać" kolegi, bo wiem, że księdza Pawła strasznie nie lubią za jego stały opór. Nie mają nadziei wymusić na nim bezpodstawnych zeznań, więc chcą za moim pośrednictwem dobrać się do niego. Między mną a Iwanowem wybuchają od czasu do czasu sprzeczki i Iwanow musi po trochu wycofywać się i zapisywać moje, a nie swoje słowa. W ten sposób przeciągamy redagowanie protokołu aż do północy. Wreszcie major mówi:

— Najpierw ci przeczytam zeznanie, a potem je podpiszesz.

— Nie, ja sam muszę przeczytać, odpowiadam stanowczo.

Czytam i oczom swym nie wierzę. W protokole napisane albo nie to, co mówiłem, albo nie tak, jak mówiłem. Protestuję. Najbardziej oburzyło mnie jedno zdanie, że „ksiądz Paweł był zaciętym wrogiem Związku Sowieckiego".

— Ja tego nie mówiłem.

— Jak to nie mówiłeś?

— Kategorycznie stwierdzam, że tego nie mówiłem, to kłamstwo.

— Podpisz! krzyczy Iwanow.

— Za nic na świecie!

Wybucha kłótnia i nie kończące się wymyślanie. Major wmawia mi w żywe oczy to, czego nie mówiłem, a ja uparłem się na zabój. Wreszcie Iwanow ustępuje. Robimy poprawki w protokole, walczymy aż do wyczerpania. Teraz choć z ciężkim sercem, zgadzam się podpisać, ale lękam się, czy mu za dużo nie ustąpiłem. Iwanow daje mi protokoł do podpisu przy końcu, na ostatniej stronie, ale ja mówię:

— Według prawa podpiszę osobno każdą stronę.

— Nie, podpisz tylko na końcu!

— Nie podpiszę! Teraz już wcale nie podpsizę, bo tu pachnie oszustwem.

— Jak to? Nie podpiszesz?

— Tak! Nie podpiszę ani na początku, ani na

końcu. Rzucam na stół pióro, zdecydowany na wszystko. Przyszła mi bowiem nagła myśl: jeślibym podpisał na końcu, wtedy Iwanow może dołączyć coś oskarżającego księdza Chaley, za co go skażą na rozstrzelanie. Prawda, że kara śmierci była czasowo zniesiona, ale ja wówczas o tym nie wiedziałem.

Iwanow zrozumiał, że się nie poddam, zamilkł więc i zaczyna przeglądać jakieś kartoteki. Nagle ni stąd ni zowąd zapytuje:

— Czy znasz Japończyka NN.?

— Może i znam, ale nie słyszałem takiego nazwiska.

Wtedy dzwoni przy mnie do nadzoru.

— Proszę przyprowadzić Japończyka NN.

Natychmiast zjawia się konwojent z nadzoru i mówi:

— Przyprowadziłem Japończyka.

— Niech poczeka na korytarzu.

Wytwarza się nowa sytuacja. Japończyk czeka za drzwiami, ale ja go nie widzę. Męczy mnie myśl, kto to taki, i co się w tym wszystkim kryje? Iwanow nie wzywa go, tylko dalej krzyczy i przymusza do podpisania fatalnego protokołu, a ja stale się opieram. Myślę o Japończyku i podwójnie się męczę, a głowa boli niesamowicie. Iwanow doprowadza naprężenie do ostatnich granic, byle uzyskać podpis. Były to zapasy nierówne, podobne do walki bezbronnego człowieka z potężnym niedźwiedziem. On przedstawiciel Sowieckiego Sojuzu, a ja. . .

KOSZMAR

Kiepsko, panie Grzegorzu, a czym dalej, tym gorzej!

Jednak i Iwanow, człowiek o żelaznym zdrowiu, zmęczył się i rozwścieczony wrzasnął:

— Do karceru!

Serce mi zadrżało, a Iwanow mówi przez telefon:

— Zabrać aresztowanego!

Wszedł dozorca i woła mnie:

— Chodźmy!

Ale ja stoję jak osłupiały. Nerwy reagują, ale są jakby splątane. Wszystko, co się wokół mnie dzieje, widzę i słyszę, tylko do świadomości nie dociera to, co mnie samego dotyczy. Podobnie jak po burzy splączą się druty telefoniczne. Interesant dzwoni do lekarza, a łączą go z rzeźnią.

— Czego stoisz? krzyczy niecierpliwie dozorca.

Wychodzę na korytarz i stoję zdumiony. Nie mogłem pojąć, gdzie zniknął Japończyk? Jeszcze nie rozumiem, że jego wogóle nie było.

— Znów stoisz? Chodźmy!

Idę przed dozorcą, z rękami w tyle i na korytarzu przed karcerem zatrzymuję się. Dozorca się złości:

— Czemu stajesz?

Dochodzimy do mojej celi. Otwiera drzwi, wpuszcza mnie, zamyka na klucz według zwykłego ceremoniału, a ja siadłem na łóżku i straciłem orientację. Wszystko mi się w głowie pomieszało, bo miałem dziś za dużo jak na jeden raz. Tylko mi się pamięć zaostrzyła. Przypominam sobie teraz wszystko z tej mojej „ciemnej nocy". Zdawało mi się, że zaraz przyjdą po mnie z łańcuchami. Co wtedy robić — myślę — gdzie się skryć? Nagle stuka do mnie dozorca:

— Dlaczego się nie kładziesz?

— Rozstrzelajcie mnie! Po co mnie męczycie, krzyczę na całe gardło.

Krzyk wyrwał się bez świadomości z mojej chorej duszy pod wpływem rozpaczy. Nie kładłem się spać tej nocy, a dozorca widocznie przeraził się, bo już mnie więcej nie zaczepiał. Pamiętam, że długo rysowałem na podłodze jakieś figury rozlaną wodą. Była już chyba trzecia w nocy. „Skąd się wzięła woda?" myślę. Pewnie to herbata z kolacji, której nie jadłem. Potem pochłonęły mnie dziwne obrazy, które płynęły przed oczami.

Zdawało mi się, że siedzę na grzbiecie łańcucha wzgórz. Jest ciepły, letni dzień. U moich nóg wzgórza zniżają się przechodząc w długą i wąską dolinę, a za nią nowe wzniesienia i nowy łańcuch pagórków. Schodzą z nich rzędami mężczyźni po 20 lub 30 ludzi. Idą w szeregach najpierw w dolinę, po tym podchodzą do góry, do mnie i przy moich nogach nikną.

Dziwi mnie, że oni tak znikają, a nadchodzą coraz to nowi i nowi — tysiące ludzi!

Nagle obraz pierzcha, ale natychmiast jawi się nowy. Teraz podchodzą do mnie w tym samym porządku kobiety. Idą w szeregach, podchodzą całkiem blisko i gdzieś giną. Widzę je tak wyraźnie, że mogę rozróżnić rysy twarzy. Na głowach zawiązane chusteczki i ubrane jak w naszych wioskach. Ale same nieznajome. Idzie ich cała masa... Są bardzo poważne, zamyślone. Patrzą mi w oczy i milczą. Po nich przeciągnęły korowodem dziewczęta, chłopcy, dzieci i znów mężczyźni. I tak trwał ten pochód...

Czy ja śpię? Nie. Przyglądam się obrazom, a jednocześnie wiem, że siedzę jak zwykle na łóżku, z nogami spuszczonymi na podłogę, zdaję sobie sprawę ze swoich czynności. Patrzę na drzwi, słyszę jak dozorca chodzi po korytarzu, dziwię się widowisku, które tak wyraźnie oglądam, i które ciągle trwa.

A oto nowe widziadło. Na białej ścianie z rysów na tynku tworzą się teraz zupełnie inne obrazy. Tak jak w kinie, tylko że tu żywi ludzie. Jest zima. Śnieg pokrywa grubą warstwą ziemię. To białoruska wioska. Z wioski idzie szeroka, gładka, zimowa droga. Chaty

i zabudowania gospodarskie pokryte grubo śniegiem. Na końcu wioski plac, na nim szubienica. Zadrżałem z przerażenia. Widzę zupełnie wyraźnie, choć w zmniejszonych rozmiarach, jak Niemcy wieszają naszych. Teraz nastąpiło w mojej duszy rozdwojenie osobowości. Z jednej strony zdaję sobie sprawę, że oglądam rozwijającą się żywą akcję, a z drugiej — nie wierzę prawdziwości zjaw. Widzę bowiem samego siebie siedzącego w celi i nasłuchującego, co się dzieje na korytarzu. Zjawy ciekawią mnie i męczą zarazem.

Nareszcie położyłem się. Żarówka pali się wysoko i jej jaskrawe światło męczy mnie. Boli mnie strasznie głowa i nie mogę zasnąć. To chyba 5 godzina. Nagle czuję, że ciągną mnie po korytarzu i biją. Nie mogę wytrzymać bólu i krzyczę. To było znów pełne rozdwojenie. Słyszę bowiem mój głos z korytarza, a jednocześnie widzę siebie wyraźnie w celi na łóżku; leżę tu cicho. Zaczynam się modlić z całego serca, stale powtarzając: „Boże, ratuj, bo ginę". I oto anioł wyprowadza mnie z więzienia, jak ongiś Piotra w Jerozolimie, potem wiezie mnie szybkim jak błyskawica samolotem. I zaraz mam wrażenie, że lecimy powoli. Leżę w samolocie i bujam się jak w kołysce, a krajobrazy stale nowe. Teraz w mgnieniu oka przebywamy 10 tysięcy kilometrów. Wyłania się mój rodzinny kraj i całkowita wolność...

Drżę. Z jakiego powodu? To strach. Taki przerażający, że nie daje ani spać, ani myśleć, czy modlić się. Już nic nie wiem o sobie. Drżałem pod wpływem odprysków myśli, które jakby wpadały na chwilkę do duszy i zaraz znikały. Halucynacje i zwidy już się skończyły. Nie mogę powiedzieć, żebym się bał czegoś określonego. To jest raczej jakiś niepoznawalny, zwierzęcy strach. Chyba w taki sposób boi się bydło czując krew w rzeźni. Pamiętam tylko początek tego koszmaru, bo następne trzy dni zniknęły z mojej pamięci, jak kamień w wodzie.

Na szczęście po trzech dniach strach minął sam. Czułem się bardzo osłabiony, ale zupełnie normalny.

I wtedy uświadomiłem sobie jak bezcennym darem bożym jest rozum.

Dopiero szóstego dnia wezwał mnie do siebie Iwanow. Napewno dowiedział się od dozorcy, jaka była u mnie reakcja po poprzednim protokole. Teraz już z tego panicznego strachu nie pozostało ani śladu. Patrzę wrogowi prosto w oczy, jestem gotów podjąć nową walkę.

— Podpisz! ryknął na nowo śledczy.

— Nie podpiszę.

Myślał, że łamiąc mi zdrowie, złamie i ducha we mnie. Nie złamał. Ale wymyślał teraz, jakby go szatan opętał, lżył i klął. Jednak już dobrze znaliśmy jeden drugiego. Zrozumiałem, że mimo wszystko nie spodziewa się zwycięstwa nade mną. Milczałem napuszony, nie odpowiadając na jego bluźnierstwa. Nagle Iwanow chwycił przeklęty dokument i przy mnie porwał na strzępy.

— Dobrze — pomyślałem — teraz to i tego nie powiem, co było w tym piśmie.

Rozpoczyna się redagowanie nowego protokołu. Znów dochodzi do kłótni, poprawek, krzyku — aż w końcu podpisałem. Ale to był już mój protokół, a nie jego! Teraz nie mógł szkodzić księdzu Chaley. Zmieniły się też moje warunki; lekarka przepisała mi dietę, a i sam Iwanow zmiękł i skrócił posiedzenia.

Jedna z rozmów między nami była bardzo charakterystyczna. Iwanow z całego bolszewickiego serca przelewał „krokodyle łzy" mniej więcej w tych słowach:

— Żebyś mnie słuchał wtedy, dostałbyś najwyżej trzy lata, ale teraz z własnej winy dostaniesz dwadzieścia pięć.

I Iwanow gotów był publicznie umyć ręce, że nie jest winien mojego wyroku. Winę ponoszę sam. Nie poruszyłem się nawet, żeby mu podziękować czy prosić. Znałem go dobrze i z wierzchu i od podszewki.

KUSZENIE

Tak to czart człowieka kusi, że bez krzyża przepaść by musiał.
(Fr. Bohuszewicz).

Nawet nie przeczuwałem, że szykują na mnie nową i gorszą nagonkę — ażeby zmusić mnie do odstępstwa od wiary. Atak rozpoczęto z dwóch stron — od naczelnika więzienia i od Iwanowa.

Naczelnik był człowiekiem o miłej powierzchowności, zewnętrznie uprzejmym, podstępnie szczerym, przymilającym się i podejrzanie dobrym. Widać, jak trafnym był jego wybór na to ważne stanowisko naczelnika więzienia wojskowego. Oprócz spraw syberyjsko-zabajkalskich, więzienie „obsługiwało" potrzeby Chin i zagrażającej Japonii. Iwanow i naczelnik słusznie chwalili się takimi „pensjonariuszami", jak mandżurski imperator Pu-I i harbiński metropolita Nestor. I nas uważają oni za jakichś ważnych „ptaszków".

Naczelnik daje mi do czytania różne książki, podsuwając nieznacznie antyreligijne. Spragniony drukowanego słowa — na ile pozwalają mi oczy — czytam wszystko. Nie mam zresztą wyboru, czytam co dają. Po jakimś czasie naczelnik uważając, że już dojrzałem do rozmowy, pyta otwarcie:

— Co myślicie o naszym naukowym światopoglądzie?

— Im bardziej zapoznaję się z waszą literaturą, tym mocniejszego nabieram przekonania, że nasza wiara ma mocniejsze podstawy od waszego ateizmu.

— Jakim sposobem? dziwi się naczelnik.

— Ano, tak. Szukałem u waszych autorów wy-

jaśnienia zagadki początku świata, powstania życia, porządku we wszechświecie, praw natury. I co znalazłem? Natura jest przyczyną swego powstania i istnienia. Nie jest tylko wyjaśnione, jak może jakaś rzecz sama siebie stworzyć, rozwijać, i utrzymywać w istnieniu? Jak może ktoś sam siebie zrodzić, a potem nosić siebie na własnych rękach, obejmować i całować? Według waszej teorii natura nie ma rozumu, jednak wprowadza we wszechświecie najwspanialszy porządek. I jeszcze jedno. Przyroda, choć sama martwa, z nie ożywionej materii wydała na ziemi tak różnorodne i bujne życie. Wygląda na to, że w waszym naukowym poglądzie na świat czegoś braknie... tu... To mówiąc, stuknąłem się palcem w czoło.

Naczelnik odprawił mnie z miejsca i nie dał już nowej książki. Tak skończyła się nasza przyjaźń. Jestem nastawiony na dłuższą dyskusję, ale on i tego nie chce słuchać.

Iwanow atakuje moją wiarę w inny sposób. To kpinkami, to znów poważnymi zarzutami przeciwko Pismu Świętemu; a umie mocno atakować. Nie zaprzeczałem mu wówczas i nie odpowiadałem, bo nie wierzę w jego szczerość. Iwanow i cieszy się z tego, i nie. Cieszy się z mocnej swojej argumentacji, a jest zły, że milczę. Taka taktyka bardzo mi odpowiadała, bo wtedy nie naprzykrzał się i przechodził do protokółu, ale za to jest bardziej zawzięty. Podobnie złości się kot, gdy mysz nie ma chęci do zabawy.

Pod koniec piątego miesiąca, tj. w maju 1949 r., gdy jestem już zupełnie wyczerpany, Iwanow dobywa najmocniejszych argumentów, aby mnie zmiażdżyć. Pewnego dnia mówi mi z tryumfem, że nasz kolega, rosyjski duchowny P. wyrzekł się publicznie wiary w Boga. Jakby mnie oblał wrzątkiem! Wiedziałem, że tym razem śledczy mówi prawdę. Przypomniałem sobie, jak w Harbinie ksiądz P. poniżał innych wynosząc siebie.

— Cóż, myślę, wielki jest jego grzech, a nam wstyd.

P. nie należał do bojaźliwych, aby ze strachu zaprzeć się wiary, a nie mógł tego zrobić z przekonania. Połaszczył się więc na łagodniejszy wyrok. Jasne,

że go bezbożnicy oszukali. Dostał i tak pełną „szpulę" (25 lat). Jednocześnie skorzystali z jego zaparcia się, aby nas tym mocniej zaatakować. Uważali bowiem, że zdobyli jedną ważną pozycję.

Mało tego. Innym razem Iwanow daje mi do przeczytania kartkę papieru. Poznaję pismo naszego kolegi, ojca N. Osłupiałem

— Co to takiego? pytam.

— Czytaj, czytaj! mówi Iwanow.

Czytam więc dalej i oczom nie wierzę. Księdza N. znałem ponad dwadzieścia lat jako dobrego, rozumnego i pobożnego człowieka, jako duchownego i kaznodzieję, a także głębokiego filozofa, dobrego przyrodnika i socjologa, jednym słowem — jako zacnego kapłana, i oto mam w ręku jego pismo, w którym mówi, że materialiści mają rację w naukowych twierdzeniach, że nie ma Boga.

— Żebym tak skonał, myślę, przecież ten człowiek oszalał!

— Przecież oni nie mogli go wziąć strachem, nie lękał się bowiem niczego. Niemożliwe też, żeby poszedł na lep obietnic albo spodziewał się przez to uniknąć więzienia. Cały Harbin znał N., jako szczerego, prawdomównego i ofiarnego księdza, „w którym nie ma zdrady".

Iwanow patrzy na mnie i aż podskakuje z radości, jaka przelewa się z jego bezbożnego serca:

— No, i co na to powiesz?

— Co? Mogę tylko jedno powiedzieć — on nieszczęsny zwariował.

Iwanow odbiera mi kartkę, i nie mówiąc więcej, przechodzi od razu do protokółu. Dopiero gdy wróciłem do celi, zdaję sobie sprawę, że ta fatalna kartka była nie dokończona, bez daty i bez podpisu. Dlaczego? Nikt na to pytanie nie mógłby odpowiedzieć. Zaczynają prześladować mnie ciężkie wątpliwości i trudno mi pogodzić się z tym niezrozumiałem upadkiem bliskiego przyjaciela. Na szczęście nie jestem już w pojedynce, gdzie mogłoby dojść do poprzedniego kryzysu.

Dopiero znacznie później udało mi się rozwiązać węzeł dotyczący osoby ojca N. Kiedy pierwszy raz po tym wypadku zobaczyłem go u śledczego, aż mnie

zatkało! Był żółty jak trup, a chudy jak szczapa, że „lepszych do trumny kładą”. Psychicznie był zupełnie załamany, jakiś dziwnie nienormalny (zaćmienie duchowe). Wykombinował sobie, że uczeni wynaleźli możliwości łowienia fal słuchowych przez radio, a fal świetlnych przez telewizję; a idąc myślą jeszcze dalej — uroił sobie, że uczeni ateistyczni wynaleźli aparat, który łowi nawet najskrytsze myśli człowieka. Począł się więc męczyć i załamywać. Śledczy doprowadził go do stanu, w którym napisał to zwariowane oświadczenie, że nie ma Boga. W ten sposób, pod wpływem głodu, odosobnienia i prowokacji wywnioskował:

— Jeśli oni odgadują moje myśli, to co będę przed nimi ukrywał? Muszę już wszystko mówić. I zaczął „sypać”. Mówił, co mu tylko przyszło do głowy. Ponieważ jednak w Harbinie nie należał do naszej administracji, wielu spraw z życia liceum nie znał. W swoim załamaniu psychicznym opowiadał niestworzone rzeczy, mieszając fakty z fantazją. Początkowo śledczy byli z tego zadowoleni, sądząc, że teraz łatwo im będzie doprowadzić do zamierzonego celu. Wkrótce jednak stanęli skonsternowani, bo okazało się, że im idzie za dobrze! Ilość wszystkich fantastycznych i sprzecznych wiadomości spowodowała niestrawny bigos. Musieli więc albo odrzucić wszystko, albo coś wykorzystać. Wybrali to drugie stawiając nam zarzuty w myśl swego planu, a wbrew wszelkiej prawdzie:

1. Zorganizowanie grupy terrorystycznej w Liceum św. Mikołaja.
2. Współpracę z zagraniczną burżuazją.
3. Szpiegostwo na rzecz Watykanu.
4. Agitację przeciw Związkowi Sowieckiemu.

Dostaliśmy za to bez sądu po 25 lat. Biednemu ojcu N., który dał im w rękę tyle materiału, podali w oskarżeniu najsłabszy punkt paragrafu 58, jednak i on dostał 25 lat.

Powoli choroba ojca N. ustępowała. Pewnego razu, przy spotkaniu na śledztwie z dyrektorem liceum, ojciec N. zaczyna bredzić o „aparacie” do wykrywania ludzkich myśli i wyprowadza stąd wniosek, że

nie ma Boga. Archimandryta Andrzej powiedział tylko:

— Człowieku, co ty mówisz? Opamiętaj się!

Ojciec N. zadrżał, zastanowił się, a zaraz potem wstał i mocnym głosem zaczął uroczyście recytować:

— Wierzę w Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi...

W ten sposób człowiek złamany przez sowieckich sędziów przekreślił i zmył obłędne niedowiarstwo. Później już nawet bezbożni śledczy nie śmieli nam o tym przypominać. W jakieś trzy miesiące po zakończeniu śledztwa ojciec N. czuł się zdrowym i przestał opowiadać o fantastycznym „aparacie".

Iwanow czeka odpowiedniego momentu do generalnego ataku na moją wiarę. Uznaje wreszcie, że wszystkie poprzedzające wypadki podcięły moje opory i postanawia zapalić lont do ostatniej miny. Pewnego razu, gdy byłem bardzo zdenerwowany długim i ciężkim badaniem, Iwanow wzywa na śledztwo „siedmiu gorszych od siebie". Przychodzą: prokurator, podpułkownik i jacyś nieznani oficerowie i wszyscy zaczynają zasypywać mnie zarzutami przeciw wierze. Siedzę jak ogłuszony. Nie tylko, że głowa mnie boli nie do wytrzymania, ale jeszcze w duszy panuje zupełne odrętwienie. Próbuję coś odpowiadać, ale choć mi wstyd, że nie potrafię się zdobyć na obronę mojej wiary, słowa więzną mi w gardle i milczę haniebnie. Chyba Bóg zesłał na mnie to poniżenie i pewnie ktoś bardzo się za mnie modlił, że wtedy nie wpadłem w przepaść. W końcu tylko wyrwały mi się zupełnie nie przemyślane słowa:

— Choćby Boga zaparł się cały świat, całe duchowieństwo, a nawet sam papież, to by i tak nie miało dla mnie żadnego znaczenia, bo ja jedynie przed Bogiem odpowiadam.

— Zostawcie go! rzekł ostro podpułkownik. Wyszli wszyscy i już nie wrócili. Tak się zakończyły zabiegi o wydarcie mi wiary.

ZAKOŃCZENIE ŚLEDZTWA

Artykuł 206

Prawda nie tonie
i nie płonie.

Przy samym końcu śledztwa zupełnie niespodziewanie dla mnie wypływa niebezpieczny zarzut, że ja w Harbinie zawiązałem pomiędzy uczniami wojskową organizację pod nazwą „Drużyny św. Mikołaja". Bronię się, że ta drużyna była czymś w rodzaju harcerstwa i nie miała zupełnie wojskowego charakteru. Chciano przy tym sztucznie związać tę grupę młodzieży z japońską, młodzieżową organizacją Kio-Wa-Kai, którą Japończycy przymusowo wprowadzali do wszystkich szkół w Mandżurii, lecz myśmy jej u siebie nie wprowadzili.

— Mieliście przecież wojskowy sztandar — twierdzi ze złością Iwanow.

— Żadnego sztandaru nie mieliśmy — odpowiadam zdecydowanie.

— A ja ci mówię, że mieliście sztandar.

— A ja mówię, że nie mieliśmy sztandaru.

— Zaraz zobaczymy. Iwanow każe wezwać ojca N. na konfrontację ze mną (o jego załamaniu była mowa w poprzednim rozdziale).

— Powiedz nam — pyta Iwanow, czy był w liceum sztandar drużyny?

— Tak, był sztandar.

— I co teraz powiesz? zwraca się Iwanow do mnie.

— Twierdzę stanowczo, że sztandaru drużyny nie

było. Był sztandar liceum z obrazem św. Mikołaja. Osobnego sztandaru drużyny nie było.

Ojciec N. siedzi na przeciw mnie jak posąg z kamienia i trzyma się twardo jak stal. Jemu się zdawało, że sztandar był, a ja dokładnie wiedziałem, że żadnego sztandaru nie było. Sprawa jest nie tylko nieprzyjemna, ale dla mnie bardzo też niebezpieczna, bo sztandar mógł być dowodem wojskowej organizacji, za którą grozi rozstrzelanie. Natężam więc całą pamięć, i raptem przychodzi mi na myśl pytanie:

— Jakich rozmiarów był ten sztandar?

— O takich... — i ojciec N. rysuje ręką na stole wymiary ćwierć na ćwierć metra. Choć jestem w ponurym nastroju i przestraszony, wybucham niepohamowanym śmiechem:

— Bzdury! Przecież to biały proporczyk, z jakim zwykle harcerze chodzą na wycieczki.

Zawstydził się sam Iwanow swej gafy i nawet nie wciągnął jej do protokółu, a ojca N. kazał odprowadzić do celi. Tak przeszła ostatnia próba.

*

Wreszcie nadchodzi kres całego śledztwa.

Nasza grupa składa się już tylko z sześciu osób. Piotra Marczyszyna odłączono i odtąd nigdy go nie spotkaliśmy. Iwanow mówił, że Piotr dostał 10 lat za ukraińską politykę. Marczyszyn umarł w łagrze po nieudanej operacji guza na głowie.

Śledztwo trwa pięć miesięcy, są przerwy, utyka, i mimo wszystko nie daje żadnych konkretnych dowodów naszej winy, prócz bezpodstawnych i nie udowodnionych insynuacji. Teraz zebrano nas wszystkich w długiej, więziennej sali dla podpisania artykułu 206.

Zaledwie możemy się wzajemnie poznać. Zadręczeni, wychudli, nosimy wszyscy znaną „pieczęć" więzienia — kolor twarzy, jak trafnie powiedział Bohuszewicz: „Bo w więzieniu jak w tym grobie, wszystkich w jedną twarz przerobią."

Major Iwanow jest przewodniczącym śledztwa całej naszej grupy. Osobiście prowadzi badania dyrektora, ojca Andrzeja, i mnie jako wicedyrektora.

Na zakończenie występuje bardzo uroczyście. Zasiedliśmy wokół wielkiego stołu, na którym leżą nasze protokoły. O każdym z nas jest napisana grupa księga. Mamy prawo zapoznać się z sowieckim kodeksem karnym i dano nam go do rąk. Możemy też przeglądać nasze protokoły i swobodnie rozmawiać z sobą. Dlatego też zostawiono nas na sali samych.

Wszyscy gotowi są podpisać końcowy akt śledztwa stosownie do artykułu 206, tylko ja się waham.

Przeglądamy więc kodeks. Nas jest sześciu, a egzemplarz praw jeden, każdy więc może potrzymać go dwie do trzech minut i zaraz musi oddawać następnemu. Ale zarówno my, jak i śledczy, wykonujemy tylko formalny nakaz praw sowieckiego, że „mieliśmy kodeks w ręku". W tej chwili nawet nie domyślaliśmy się, o co nas będą oskarżać i za co karać, bo od początku śledztwa aż dotąd nie dano nam aktu oskarżenia. Ani na sławetny paragraf 58, ani na fatalny w nim punkt 6 (szpiegostwo).

Udostępniono nam też protokoły, ale jakie było śledztwo, takie i one, nie mieliśmy więc chęci do ich przeglądania. Patrzymy jeden na drugiego jak dzieci, kiedy zobaczą połamane swoje zabawki. Zniszczono i nas samych i wszystko, co było naszą własnością.

Koledzy moi podpisują artykuł 206. Major Iwanow nie krzyczy teraz na mnie, ani nie wymyśla. To wychodzi z sali, to wraca, drepcze koło naszego stołu, ale cierpliwie czeka na moje ostatnie „wolne" słowo. Wszyscy też w milczeniu czekają. A ja łamię się wewnętrznie i męczę aż do granic wytrzymałości. Wiem przecież, co znaczy podpisanie zakończenia „katorżnego" śledztwa. Wyglądałoby to na to, że się zgadzam na wszystko, co było nieprawdziwe. Ale jeżeli ja nie podpiszę, wtedy zatrzymają moich towarzyszy, bo sprawa była grupowa. I dla siebie bałem się też przewlekania śledztwa, gdyż groziło ono śmiercią. Nikt na mnie nie nalega, żebym podpisał, ale każdy niecierpliwie na to czeka. Co robić? Boże, mój Boże! Wreszcie decyduję się podpisać, składając swój los i swoją przyszłość w ręce Wszechmocnego.

— Niech nas Sam Bóg broni! Poddaję się Jego świętej woli. Amen.

Współczesny świat jest tak spaczony, że ludzie swobodnie czynią zło i krzywdzą bezbronnych. A ci, sami podpisują...

U w a g a: Artykuł 206 Kodeksu Karnego mówi, że wstępne śledztwo zostało zakończone, a sprawa będzie przekazana do sądu.

GDZIEŻ SĄD?

Nadeszła zima,
a butów nie ma.

Wkraczamy przez wysoki próg w nowy okres życia, faktycznie przeskakujemy go, zamknąwszy oczy, i nie wiemy, gdzie się znajdziemy. Z deszczu pod rynnę!

Ja z miejsca rezygnuję z adwokata, ale ku memu zdziwieniu Iwanow nic na to nie powiedział. I podczas podpisywania 206 paragrafu nic nam nie mówią ani o sądzie, ani o adwokatach. Aż wreszcie zaczynamy wątpić, czy wogóle dojdzie do rozprawy sądowej. Ja powracam do swojej celi i wiodę dotychczasowy tryb życia. Zazwyczaj po podpisaniu dokumentu więźniów przenoszą do innej celi, ale o mnie widocznie nie pamiętają. Dostaję dotychczasową porcję jedzenia, a dozorcy dalej pilnie mnie strzegą, tylko Iwanow już mnie więcej nie wzywał. Jednak niepewność, groźba sądu i kary, lub kary bez sądu, tak mnie niepokoją, że stan moich nerwów wcale się nie poprawia. Nie możemy mieć pretensji do naszych śledczych, że nam nie powiedzieli, że sądu nie będzie, bo oni też nie mogli wiedzieć, co postanową wyższe władze. Te znów zależały od najwyższych władz i tak aż... do Józefa Stalina. Nie możemy też twierdzić, że sowieccy urzędnicy kłamią, bo u nich prawda taka niepewna, jak angielska pogoda.

Dwieście milionów ludzi powinno było trzymać ręce na pulsie Stalina, przykładać uszy do jego serca, pilnie patrzeć w oczy i... strzec się jego pazurów. On jeden tylko był absolutnie nieomylny. Ale gdy mu się coś nie udało, to nie on był winien, lecz tysiące

innych ludzi. I o tych pisali, ośmieszali i karali, a Stalin wychodził zawsze cało aż do samej śmierci. Nie było na świecie ani jednego samowładnego cara, sułtana lub mikado, który miałby władzę równą Stalinowi. On jeden tylko wszystko wiedział, a inni troszkę lub zgoła nic...

Czekamy sześć miesięcy, i sądu nie doczekaliśmy się; aż wreszcie zawiadomiono nas, że sąd odbył się bez nas w Moskwie, i że otrzymaliśmy po 25 lat! Początkowo mieli nas sądzić w Czycie — miał się odbyć tak zwany sąd ludowy czy pokazowy — ale śledztwo nie mogło dostarczyć dostatecznego materiału, żeby nas publicznie oskarżyć o szpiegostwo lub jakieś inne przestępstwa, a więc Moskwa ukarała nas swoim samosądem, oficjalnie za politykę, a naprawdę za wiarę. Nie dano nam też prawa do apelacji.

*

We wspólnej celi, do której przeniesiono mnie z pojedynki, jest mi lżej. Mamy tu jasne okno, a żarówka nie świeci się w ciągu dnia. Można też spać nie tylko na plecach, ale i na lewym boku, byleby twarzą do drzwi. Prawda, że trzeba się przyzwyczaić do ludzi i do nocnego chrapania.

W celi jest czterech Japończyków, syberyjski kołchoźnik i oficer sowiecki. Przyjmują mnie przychylnie, tym bardziej, że przyniosłem zapas chleba. W pojedynce chleb mi zostawał, a tu Japończycy rzucili się na niego, jak — nie przymierzając — zgłodniałe psy. Mieli taki szalony apetyt, że napewno i po zjedzeniu trzech porcji byliby głodni. Byli to jeszcze młodzi ludzie. Wzięci do niewoli w Mandżurii pracowali już w łagrach, ale teraz sprowadzono ich na ponowne dochodzenia. Jeden z nich, Harada-san, dobrze mówi po rosyjsku, bo przed wojną ukończył instytut języków obcych i chętnie pośredniczy w rozmowie z innymi Japończykami.

Z rozmów wiedziałem, że Harada-san mocno krytykuje swój rodzinny kraj za nierozważną politykę wojenną.

— Myśmy myśleli, że można wygrać wojnę tylko

gorącym patriotyzmem, a okazało się, że ważniejsza jest technika. Do nowoczesnej wojny Japonia zupełnie nie była przygotowana, zwłaszcza z takimi potężnymi państwami, jak Ameryka i Anglia. Dlatego bez żadnej potrzeby Amerykanie rzucili na Japonię bomby atomowe. Japonia i bez tego była wykończona. Podmorskie zbiorniki nafty wyczerpane, flota morska rozgromiona, a powietrzna przetrzebiona, „żywe torpedy", które z samolotami czy minami rzucały się na wroga, wybite, a nowych ochotników niewielu. Próba porozumienia się z Chinami spełzła na niczym, bo Chińczycy domagali się Mandżurii i Korei. Zresztą znikła zupełnie nadzieja na zwycięstwo, a nawet nie mieliśmy już siły do obrony. Zapasy broni kończyły się i nie było jej gdzie kupić, gdyż Japonia leży daleko od centrów przemysłowych, a patrolujące konwoje amerykańskie odcięły ją od reszty świata.

Harada-san miał wiele racji, ale zdawało się mi, że sam skłania się „na lewo". Nasze sprzeczki są nieraz bardzo gorące. Nie przewidywałem, że mogę go dotknąć do żywego, ale doszło raz do tego, żeśmy się pokłócili i przestaliśmy z sobą rozmawiać. A ponieważ wtedy, oprócz Japończyków nie było nikogo więcej w celi, nie miałem z kim rozmawiać w ogóle. Trzeba wiedzieć, że Japończycy są bardzo honorowi, koniecznie należy na końcu nazwiska dodawać im „san", czyli pan. A ja na to nie zwracałem uwagi.

Na szczęście nieporozumienie z Japończykami nie trwało długo. Ja im pomagam; będąc na diecie coś mi zawsze z posiłków zostawało, a oni starają się za to wywdzięczyć po samurajsku (po rycersku). Jeden z nich robi mi masaże przez dziesięć dni. Później dodano nam jeszcze jednego Japończyka, znanego masażystę z Tokio; robi mi drugą turę masaży, które poważnie wzmacniają moje zdrowie. Tego Japończyka zmuszano do podpisania fałszywego protokołu. On się nie zgodził i dostał za to osiem dni karceru, ale mimo to nie podpisał. Wlepili mu więc nowych osiem dni. Po kilku dniach odezwał się w nim mocno instynkt życia.

— Chcą mnie zamorzyć głodem... (a Japończyk miał szalony apetyt). Gdy podpiszę — myślał — będę

żył, a może coś się zmieni. I zdecydował się podpisać. Teraz czeka nowego sądu.

Nasi Japończycy odznaczają się wielką pracowitością. Dostali się do niewoli w Mandżurii i pracowali już w łagrach cztery lata. Nie mieli żadnych wiadomości z domu. Byli ustawicznie głodni, marzli z zimna, gdyż nie mogli się do niego przyzwyczaić. Nie mieli nadziei na polepszenie swej doli. Aż podziw brał, że nie znając języka rosyjskiego, bez żadnej pociechy religijnej, bez żadnej pomocy i obrony tak długo potrafią wytrzymać.

Dużo rodzin jeńców wojennych pozostało w Mandżurii. Nie wiedzą co się z nimi stało. Ja jednak wiedziałem o losie mandżurskich Japończyków. Wiele kobiet rozproszonych początkowo po różnych osiedlach z dziećmi i starymi rodzicami, szło pieszo do Harbinu, dźwigając na plecach swoje węzełki. W czasie zimy 1945/46 r. większość z nich wyginęła w Harbinie z głodu, chłodu, czerwonki i tyfusu, gdy oczekiwały na ewakuację. Nie zorganizowano nad nimi żadnej opieki. Wojska sowieckie opływały we wszystko. Ale cóż znaczy dla bezbożnika głodujący człowiek?...

Oprócz Japończyków w naszej celi siedzą przejściowo i inni ludzie.

Jeden z nich, porucznik, jest bardzo wesołym kompanem. Nie przejmuje się tym, jak wypadnie jego śledztwo. I mnie pociesza mówiąc, że w więzieniu najgorsze pierwsze trzy dni, ciężkawe jeszcze pierwsze trzy miesiące i nudne pierwsze trzy lata, a później to już zupełnie dobrze, bo do wszystkiego można się przyzwyczaić. Siedzi za to, że puścił „na godzinkę" aresztowanego żołnierza, a ten podpiwszy zrobił burdę. Sąd skazał porucznika na 7 lat (u nich to żaden wyrok), ale znając prawa sowieckie porucznik zażądał rewizji procesu.

Cela huczy jego opowiadaniami, dzwoni jego śmiechem i kurzy jego papierosy, które palą wszyscy prócz mnie. I jak palą! Nie było ratunku! Gdy zabrano porucznika, wszyscy go żałujemy, a kołchoźnik omal nie płacze. Porucznik zostawia nam wszystkie swoje zapasy — papierosy i zapałki. Więźniowie rzucają się na wyścigi do palenia. Palą jednego papierosa

za drugim. Aż skończyli. Wtedy ze wszystkich kątów wyciągają niedopałki, ale i te się skończyły. Wspominają więc swego dobrodzieja i znoszą męki cierpliwie — skończyła się jednak cierpliwość. Wtedy zaczynają narzekać i ciągną więzienną nudę, której już skończyć nie mogą...

Znajduje się też wśród nas kołchoźnik Zachar Kozłow z dorzecza Szyłki. To zdolny, obrotny i zapobiegliwy gospodarz. Chwalił porządek kołchoźny, a w obronie dobra kołchoźnego występował mocniej niż własnego. Kozłow aż się palił do gospodarskiej roboty.

— Za co cię posadzili, kiedyś ty taki „patriota" kołchoźny?

— Winę za wszystko ponosi „predsiedatiel [1])" — wyjaśnia Kozłow — wiedział on, że znam jego matactwa, i że dłużej ich nie ścierpię, więc mnie uprzedził i postarał się wsadzić. Podstawił w śledztwie dwie baby, które ze strachu przed nim (bo także miały nieczyste ręce) przysięgły, że je namawiałem do wypisania się z kołchozu. Dostałem siedem lat. Widzicie sami, że za nic! Kozłow jest tak zapamiętały w swojej krzywdzie, że nie może spokojnie mówić. W kołchozie los każdego kołchoźnika zależy od przewodniczącego (starszyny). Łatwo może on złapać każdego na „przestępstwie", bo w kołchozie inaczej nie można wyżyć. Ale przewodniczącego przyłapać na czymś jest niebezpiecznie. Kozłow ma już drugie śledztwo. Jest tak nerwowo rozstrojony, że gorączkuje się na rozprawie i plącze w zeznaniach. Nie może spokojnie mówić o łapownictwie i krętactwach swojego zwierzchnika, gorąco pragnie zemsty, lecz sąd łatwo uznaje winę Kozłowa i już po raz drugi skazuje go na siedem lat. Nie pomogły dawniejsze zasługi, pochwały i nagrody. Staramy się uspokoić zawziętego kołchoźnika, ale co zrobić, aby pokrzywa nie parzyła? Na sąd idzie podniecony i drżący. Życzymy mu wszystkiego najlepszego, a przewidujemy, że dostanie mu się najgorsze. Po sprawie już go nie zobaczyliśmy, i nie dowiedzieliśmy się, co się z nim stało.

---

[1]) Przewodniczący kołchozu.

Trafia się nam też starszy szeregowy czerwonej armii, który podczas wojny dostał się do niewoli. Śledztwo ma już ukończone i zatrzymuje się u nas tylko na tydzień. Boi się strasznie sądu. Aby go uspokoić, cała nasza cela urządziła mu swój sąd. Choć sąd nasz, z udziałem sowieckiego porucznika, przyczepiał się do wszystkiego, jednak musiał „bajca" uniewinnić. Po sprawie stuka nam z sąsiedniej celi, że go zasądzono na 25 lat i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich! Później dowiedziałem się, że nie tylko jeńców, ale nawet i rannych zasądzono na ciężkie kary.

Na jego miejsce dano nam Chińczyka. Chudy on i wysoki, jak często bywają Chińczycy z północy. Stary już, ale mocny i wytrzymały jak wszyscy Chinczycy. Nie ma żadnego wykształcenia, ale jest energicznym i obrotnym handlarzem jak typowy Chińczyk. Mówi po rosyjsku jak to oni mówią. „Moja", „twoja", za to klnie po rusku z wielką wprawą — bezbłędnie i soczyście. Zawstydzam go i zabraniam, ale nic z tego; myśli, że to należy do całości języka. Jest nad podziw wesoły, śmieje się do zapamiętania. Najbardziej się cieszy, że go zawieźli do „dużej dierewni" (wioski) Moskwy. Ale wracając od śledczego ma już minę żałosną, a w oczach łzy. Pokazuje na palcach „10". Tyle dostał za przekroczenie granicy. Chińczyk całe swoje życie spędził na kontrabandzie i naturalnie stale musiał przekraczać granicę rosyjską. Nagle schwytano go i posadzono za... szpiegostwo. Po co go wozili do Moskwy? Nikita go wie! (diabli wiedzą!). Zresztą w Sojuzie lubią wozić „ważnych" więźniów według powiedzenia pewnego kupca: „Im towar więcej wozisz, tym bardziej rośnie w cenie".

CZEKAMY

Trochę poczekawszy,
będzie Bóg łaskawszy...

Po zakończeniu naszego śledztwa wszystkich moich harbińskich towarzyszy posadzili w jednej celi, tylko ja zostałem na starym miejscu. Nie wiedziałem nawet, że oni są razem. Nasz dyrektor, ojciec Andrzej, ostro zaprotestował przeciw temu wyłączeniu, ale bez żadnego skutku. Dopiero po upływie półtora miesiąca dozorca woła mnie:

— Sabirajsia z wieszczami [1])! — i prowadzi do naszej gromady.

Tu cela jest obszerna i jasna, ale żeby nam nie było za dobrze, dopychają nam pięciu Japończyków i znów nie można się swobodnie poruszać. Jednak po wszystkich przeżyciach w nowej celi czuję się o wiele lepiej. Dawano nam teraz nawet książki do czytania, choć czytać można tylko w dzień, bo żarówka taka słaba, że przy jej świetle było ciemnawo. Za to można się nagadać z towarzyszami. Razem przebywamy około czterech miesięcy.

Jedzenie początkowo dobre, bo wszyscy ze względu na ogólne osłabienie byliśmy na diecie; wkrótce jednak pogorszyło się, wreszcie dochodzi do tego, że znów głodujemy. Latem na ogół posiłki więzienne „kurczą się". Składa się na to wiele przyczyn: albo zapasy wyczerpane, albo zepsują się produkty, albo nasze przydziały przykleją się nie do naszych rąk...

Na szczęście po miesiącu zabrano od nas Japończyków, a na miejsce ich pięciu dano nam jednego

---

[1]) Wynoś się z rzeczami!

dwudziestoletniego Ukraińca. Cieszymy się z niego, a on z nas. Ja sam zaprzyjaźniłem się z nim najbardziej. Jego matka, będąc w Czycie na zsyłce, żyje w jakim takim dostatku. Przynosi synowi niemało dobrych rzeczy, najwięcej zaś papierosów. Wasil jest jej kochanym synkiem, ale i on bardzo ją kocha.

Śledztwo Wasila jest bardzo ciężkie, to też wraca z niego mocno podenerwowany. Jednego razu w czasie badania śledczy podstępnie wydobył od chłopca oświadczenie, które może zaszkodzić i jemu i matce.

Wasil nie umie wyjaśnić nam swoich kłopotów i tak się nimi gryzie, że powstaje obawa o jego zdrowie. Nie daje się uspokoić. Chodzi po celi przerażony i dręczy się myślami. Nagle zaczyna niesamowicie dużo palić, od rana do wieczora. Po trzech dniach całkiem zaprzestaje palenia! Mówi coś do siebie, i jakby coś sobie tłumaczy po cichu i w tajemnicy. Choroba jego przechodzi w ciężkie stadium.

Od razu zwracamy uwagę dozorców, ale nam odpowiadają, że Wasil udaje. Domagamy się więc lekarza, ale bez skutku. Prosimy, żeby chorego zabrali, lecz nawet o tym słuchać nie chcą. Wartownicy już nie zwracają na nas uwagi, bo po zakończeniu śledztwa nasza wartość wybitnie spadła. Z Wasilem z dnia na dzień coraz gorzej.

Życie w celi staje się nie do wytrzymania. Lato w całej pełni. W celi duszno i parno, a wody brak. Po śledztwie mamy nerwy rozstrojone, a więc choroba Wasila jest dla nas nie tylko ciężka, ale i zaraźliwa. Matka nadal przysyła paczki z żywnością, ale on nic nie je, a produkty psują się od gorąca. My nie śmiemy ich ruszyć, choć jesteśmy głodni jak wilki. Na dobitek wszystkiego w sąsiedniej celi zaczyna wariować drugi więzień. Ten z pewnością udaje wariata. Wydziera się dzień i noc, bije nogami w drzwi, a potem wali deską ze swojego łóżka i często nas budzi ze snu.

A poranki są prześliczne... Ciągną człowieka na swobodę, a zamknięta cela przygniata duszę swymi murami. Co prawda pędzą nas na spacer, ale tylko na piętnaście minut i to w ciasnej zagrodzie.

Matka Wasila nic nie wie o chorobie syna i stale donosi świeże produkty — masło, kiełbasę, ser. Wasil

posiorbie trochę więziennego jedzenia, a do paczki nawet nie zajrzy. W swym szale i sam nie je i nam nie da. Marnuje się wszystko, a w żaden sposób nie możemy zawiadomić jego matki. Nieraz nad tym debatujemy, czy będąc w głodzie jest sens pozwolić gnić pierwszorzędnym pokarmom. Każdy zgadza się z tym, że nie, a mimo to nikt nie poważa się ich dotknąć. Codziennie sprzeczamy się ze strażnikami o chłopaka, ale oni go nie zabierają, ani nie leczą. Wariata z innej celi zabrali szybko, a Wasila dopiero wtedy, gdy podnieśliśmy prawdziwy bunt.

Nasza niedola z jego powodu była przejściowa, ale kto potrafi opisać boleść jego matki? Tak po całym Sowieckim Sojuzie harują matki na swoje nieszczęsne dzieci, które bezbożna przemoc odrywa od rodzin, ciągnie do łagrów, na dziewicze ziemie i niedolę.

Później przysyłano do naszej celi pojedyńczych więźniów na krótki czas, tak że ich i spamiętać trudno. Przypominam sobie tylko dobrze Japończyka Midzumi-san. Pewnego razu ze zgrzytem otwierają się drzwi i wepchnięto go do celi. Jak pijany wali się ze swoim tłumokiem na podłogę i strasznie szlocha, aż się zanosi. Jak żyję nigdy nie widziałem, żeby mężczyzna tak płakał! Nieszczęsny długo jeszcze nie może się opanować, a my jesteśmy bezradni, bo nie możemy się z nim dogadać. Ledwie dowiedzieliśmy się, że dostał 25 lat! Za morzem pozostała jego rodzina i drobne dzieci. Był człowiekiem prostym, ale dokładnym, schludnym, grzecznym, jakimi zazwyczaj są Japończycy. Przy tym dobry i szczery, co im nie często się zdarza. I za co dostał „25"? Był jeńcem wojennym i prawdopodobnie „przyfastrygowali" mu jakieś szpiegostwo.

"25" I W DROGĘ...

Na zakręcie nic nie widać...

Całe pół roku „pociła się" Moskwa w swym zaocznym sądzie, ażeby odpowiednio sfabrykować nam punkty do „58 paragrafu". Teraz wzywają nas po jednemu do kancelarii, gdzie za stołem usadowiła się cała więzienna władza. Przedstawieniem kieruje Iwanow. Odczytuje każdemu z nas moskiewski zaoczny wyrok. Motywacja wyroku jest za długa, żeby ją zapamiętać, a nawet same punkty zamazały mi się w pamięci. Jedno było dla mnie jasne jak słońce w Sowietach, że dostałem dwadzieścia pięć lat łagru, i że ten łagier ma mnie „wychować na nowego sowieckiego obywatela". Iwanow po przeczytaniu mówi:

— No, a teraz podpisz!

Jestem jak rażony gromem. Nie mogę wymówić słowa. Oni siedzą i czekają, a ja siedzę i myślę. Zaczynam się wahać. Podpisać, czy nie podpisać? Jeśli nie podpiszę, zagłodzą mnie w Czycie. Więc podpisałem...

Gdyśmy spotkali się w celi, nie śmiemy sobie spojrzeć w oczy, gdyż podpisali wszyscy, z wyjątkiem Francuza. Gdy ten odmówił podpisu, prokurator powiedział:

— Podpiszemy za ciebie sami — i rzecz oczywista, podpisali i, tak samo jak nas, posadzili go na „25". Ciekawe, że nikt z nas nie dostał mniej niż 25 lat, bez względu na to, czy byli przełożonymi, czy podwładnymi w klasztorze i liceum.

Teraz przechodzimy spod władzy śledczego w ręce naczelnika więzienia. Winniśmy się cieszyć z nowego życia i starać się poprawić w wychowawczych

łagrach, aby po upływie 25 lat przyłączyć się do szczęśliwych kołchoźników, bo jak nam kazano wierzyć, wtedy już cały świat się „skołchozuje"...

Władze więzienne były święcie przekonane, że dobrze spełniły swój obowiązek, że pracowały dla dobra ludu i nie darmo się męczyły, bo nam wszystkim dano pełną „szpulę", czyli „katuszkę".

*

Na korytarzu wielki ruch i krzyk:

— Zbierajcie się do drogi, wychodzić z rzeczami!

Co mamy robić, wychodzimy. Rzeczy nie mamy żadnych — demokraci na sto procent.

— Stój!

Stajemy. Konwojenci zaganiają nas do jakiegoś pustego pokoju.

— Rozbierać się!

Tu w obecności najwyższych władz więziennych dokonują generalnej, pożegnalnej rewizji. Tyle razy już nas „przetrząsali", żeśmy już do tego przywykli. Ale tu spotkaliśmy się z czymś nowym. Zaglądali nam pilnie w oczy, uszy, zęby, nos, choć nie ze względów lekarskich; na końcu kazali się nam nachylić i tam też zaglądali... Cóż tam cennego, czy ukrytego mogli znaleźć? Komedię tę wykonywali z takim namaszczeniem, jakby od niej zależało istnienie Związku Socjalistycznego Republik Rad. Teraz wydano nam żywność, suchy prowiant na dwa dni: chleb, 18 gramów cukru i śledzia. Byliśmy jeszcze niedoświadczonymi więźniami, żeśmy brali tę słoną rybę na własną biedę.

W pociągu harbińska grupa trafia do wielkiej gromady. Dostajemy się do pasażerskiego wagonu, zwanego „stołypinką". Mamy w tym szczęście, bo transport odbywa się w listopadzie (1949 r.), najzimniejszym miesiącu syberyjskim, a „stołypinkę" ogrzewano. Wagon podzielono wzdłuż grubymi kratami. Z lewej strony ciągnął się korytarz, a w nim były zwykłe okna; z prawej — pasażerskie przedziały dla więźniów z zabitymi szczelnie oknami. Przedziały miały dwa poziomy. Konwojenci pchają do nich ludzi, ilu daje się upchać. Pomagają sobie przy tym rękami,

kolanami i nogami. To też mamy w przedziałach taką swobodę, jak śledzie w beczce. Do całości należało wypełnić jeszcze jeden punkt programu: zwrócić się twarzą do korytarza, żeby dozorca świecąc lampką mógł spojrzeć każdemu w oczy i przeliczyć. Liczenie w drodze odbywa się co parę godzin, a nawet częściej. Niech tylko ktoś inaczej się zwróci, zaraz wrzask. Wcale nie dadzą się człowiekowi zdrzemnąć.

Do pełni opieki należało wydzielanie nam wrzątku trzy do czterech razy dziennie. Jednak to tylko teoria, bo konwojenci dają nam chłodną wodę i to dwa razy na dzień. Za własną potrzebą wypuszczają dwa razy na dobę, po kolei cały wagon, i to z rytualnym krzykiem „skariej, skariej" — szybciej, szybciej!

Większą część wagonu stanowią inwalidzi, przeważnie starzy, a mimo to stosowano do nich ten sam regulamin. W drugim końcu wagonu jadą skazane kobiety. Stamtąd dochodzą straszne wrzaski, pisk, wymysły i prośby o pozwolenie wyjścia, ale i one są trzymane tak, jak wszyscy. Wydaje mi się, że lepszego porządku i w piekle by nie wymyślili. Z górnych nar przeciekało na tych, co spali na dolnych. Zalani odpowiadali na to przekleństwami.

Ale ja stale mówię o innych, a co było ze mną? Nie mogłem w żaden sposób wytrzymać tych dwunastu godzin, choć i śledzia nie jadłem. Zaczynam więc w nocy dobijać się, żeby mnie jednego wypuścili, ale nawet o tym nie chcą słyszeć.

— Czekaj!

Podnoszę głos, jak tylko mogę, i żądam komendanta konwoju. Rozpoczynam z nim targi.

— Puście mnie za moją potrzebą — mówię mu.

— Czekaj ty... — zahuczał na mnie gruboskórnie swym basem i już chce odejść.

— Jestem chory, musicie mnie puścić!

Ale komendant wygarnął cały zapas ze słownika „wyrazów niecodziennych". Wtedy zamilkł cały wagon, czekając co będzie dalej.

Zaczynam grozić.

— Jak mnie nie puścicie, będziecie mieć zaraz strumień na swoim korytarzu.

— Spróbuj tylko! — wrzasnął komendant i aż podskoczył ze złości.

— Zrobię to od razu, bez prośby — mówię zdecydowanie i mocno — jestem chory i wy macie obowiązek mnie wypuścić. Daję wam pięć minut czasu, a potem...

Moi towarzysze i sąsiedzi z przedziału sykają na mnie, żebym milczał, ale mnie już poniosło. Nie ustąpiłbym, choćby i sam „baćka" Stalin tu sterczał. Wszyscy w wagonie przyciskają się do krat, czekając ciekawie zakończenia. Nikt jednak nie wierzy w moje zwycięstwo.

I oto stała się rzecz bardzo dziwna. Komendant przynosi klucz i mnie jednego wypuszcza „ponad program", i musieli pomarudzić przy mnie, gdyż z powodu nerwowego szoku coś moje „posiedzenie" się przedłużało. Konwojent popędzał: „Prędzej, prędzej!", ale się jego nie obawiałem.

Fakt ten sam w sobie mało ważny, bo co by znaczyło, gdyby zginął jeden stary inwalida? Ale ja się tu przekonałem i pokazałem innym, że odwaga, stanowczość i wytrwałość mogą bez broni przełamać najgorszą tyranię. I gdyby za moim przykładem wszyscy tak sprawę stawiali, konwój nie męczył by ludzi przez dwanaście godzin.

Ale nie! Zajęczy strach, tępota barania, owcze serca i kurzy rozum doprowadziły do tego, że miliony i miliony bezpartyjnych, którzy narzekają i klną na ucisk, głosują za tysiącami partyjnych. Sprawdza się, co mówi przysłowie: „Najgorzej się bać: Licho cię i tak nie minie, a przedtem strachu się najesz".

IRKUCK

Byłem ja na takim balu,
gdzie wariaci tańcowali.

Nasza grupa (sześciu) jeszcze nie rozdzielona. Prawda, że w gąszczu ludzkim traciliśmy się z oczu, ale staraliśmy się na nowo odnaleźć.

Z Czyty jedziemy przez pasmo Gór Jabłonkowych. Dalej ciągnie się bardzo ciekawa i piękna droga nadbajkalska. Pociąg objeżdża tam jezioro Bajkał z południa. Przez okno przez wiele godzin można oglądać całe piękno słynnego, jak tu mówią „świętego Bajkału". Wyłania się jakby z przepaści. Aż strach patrzeć. Do zmroku naliczyłem 53 tunele. Czasem droga wije się i zwisa nad przepaścią, albo nagle jezioro niknie na dziesięć, piętnaście minut, a my, jak zabłąkani przedzieramy się przez las, a potem znów wynurzamy się z ogromnej pieczary i miękko suniemy po równej przestrzeni w zasięgu jasnego Bajkału, widocznego na dziesiątki kilometrów. Cudne krajobrazy bajkalskie można porównać do Riwiery nad Morzem Śródziemnym. A samo jezioro — jakież ono śliczne i olbrzymie! Nazywają je morzem. [1]) Jest też niezwykle głębokie. Ma więcej wody niż morze Kaspijskie. Jezioro obfituje w ryby i to gatunki nigdzie nie spotykane, jak omole i inne. Bajkał ma około 336 dopływów, a jeden tylko odpływ — rzekę Angarę, ale za to potężną i szeroką na kilometr. Bajkał otaczają szarobłękitne góry z wiecznym śniegiem na szczytach. W oddali zasnuwają się chmurami. Nie mogę oderwać oczu od ogromu i pełnej majestatu wspaniałości przy-

[1]) Bajkał, jez. w Syberii Wschodniej. Długość 670 km; szerokość — 73,5 km; głębokość 1.741 m.

rody. Siedzę w oknie jak zaczarowany do samego zmroku i żałuję, że słońce tak się spieszy do snu. Pod wrażeniem takiego dnia w nocy śnię o jeszcze cudowniejszych krainach.

Piszą, że Bajkał powstał przed wiekami pod wpływem jakiejś straszliwej katastrofy geologicznej. Gdy patrzymy na to potężne jezioro, przychodzi myśl, że jest ono miniaturą całej przyrody. I zaraz narasta pytanie, czy to wszystko, co istnieje, od atomu i elektronu aż do słońca i wszechświata z ich bezmiarem i pięknem, czy to wszystko powstało bez rozumu i planu? Czy krąży swoim własnym rozpędem? I czy nie każe dojrzeć nam ręki wspaniałego Gospodarza i Jego nieskończonego rozumu?

Może ktoś z mojego opisu niebacznie zrozumieć, że my więźniowie Sojuzu, mieliśmy taką przyjemną podróż? Jeśli tak, to się bardzo myli. Toż to byłaby kontrrewolucja! Wszystko, co opisywałem, niestety nie było mi dostępne w czasie tej podróży. Mogłem sobie tylko odtwarzać to, co widziałem i przeżyłem w roku 1932, kiedy po raz pierwszy jechałem do Mandżurii przez Syberię. Byłem wtedy wolnym, zagranicznym obywatelem i jechałem przez Sowiety mając w kieszeni wizę tranzytową. Teraz, prawdę mówiąc, ja nie jechałem — mnie wieźli — tą samą drogą bajkalską. Tylko, że nikt z nas nie mógł ani na chwilę ujrzeć jeziora, bo nam je bolszewicy schowali. Okna w pociągu z prawej strony są szczelnie zabite deskami. Możemy poprzez korytarz zobaczyć przez okna góry Sajańskie. Ale co tam było ciekawego? Tyle, że przed nami migała wycięta w skałach ściana. W ten sposób wielgachna „Matuszka Rosija" wypięła się na nas swym ogromniastym zadem. A my patrzeć nań nie mieliśmy ani chęci, ani przyjemności...

Dojeżdżamy do Irkucka. Ale to jeszcze nie łagier. W Irkucku czeka na nas przesyłkowe więzienie.

— Wychodzić „Mużyki"! — krzyczą konwojenci.

Wychodzimy, a raczej skaczemy z wagonu, który stoi daleko od stacji. Prostujemy kości po ciasnocie w pociągu, gdzie przez dwie doby siedzieliśmy skurczeni w zaduchu i oparach. Dobrze by pocieszyć się świeżym powietrzem i słońcem, ale ostry mróz i wiatr

nie dają. Trzeba tupać nogami i zabijać rękami, abyśmy spotniali i słabo ubrani nie zamarźli.

Ustawiają nas w piątki i liczą, i to liczą po dwa razy. Bo konwój kolejowy przekazuje nas więziennemu i każdy z nich liczy według listy i bez listy. A mróz przelicza nas jeszcze dokładniej, bo dobiera się do każdej kosteczki z osobna. Teraz już tylko nowi konwojenci popalą i padnie komenda:

— Marsz!

Podchodzimy do „gawronów". Wtłaczają tu tylu ludzi, ilu tylko się da upchnąć kolanem. W samochodzie ani ławek, ani okien. W suficie kominek dla dostępu świeżego powietrza, w drzwiach „judasz", zasłonięty plecami konwojenta. A więc wszystko premyślane jak najdokładniej, aby było całkiem bezpiecznie i najbardziej niewygodnie.

Zresztą tak jest ze wszystkim w Sojuzie...

Przyjechaliśmy. Więzienie otworzyło nam radośnie swe bramy i przyjęło w „gościnne progi". Zaskrzypiały czarne, oślizgłe drzwi, zazgrzytał potężny klucz w zamku. Weszliśmy i drzwi się za nami zatrzasnęły: „I świat tu się nam zamknął, jakby nas w trumnie schowali!" (Bohuszewicz).

Z sali, do której nas zapędzono, uderza duszne, kwaśne, zatęchłe powietrze. Aż dech zapiera! Ze wszystkich zapachów dominuje wprost nie do zniesienia smród z paraszy — olbrzymiej, grubej beczki, do której wciąż podchodzili klienci. Można oszaleć! Powietrze tak ciężkie, że siekiera zawiśnie. Ale i w takim zaduchu nie można tracić ducha. Nie minęło i dziesięć minut, gdy już zapomniałem o zepsutym powietrzu. Dłużej muszę się przyzwyczajać do ludzkiego hałasu, bo każdy z tych 150 ludzi w gęstym tłoku mówi tak, żeby go inni słyszeli, choć sam siebie ledwo słyszy. Na narach siedzą i leżą na obu poziomach i przekrzykują się bez końca i miary, bez potrzeby i sensu, a tylko dlatego, że nie było tu nic innego do roboty.

Na szczęście, w niegościnnym ludzkim gąszczu znajduje się i dla nas miejsce, prawda, że na gołych deskach, ale i za to trzeba Bogu dziękować. Przekonałem się, że jeśli Bóg zechce, to i w przepaści dno

się znajdzie. Szybko trafiłem na opiekunów, co mnie przygarnęli i otulili, tak że mogłem — po zmęczeniu podróżą — spać snem sprawiedliwego skazańca. Nic mi nie przeszkadza — ani szum, ani krętanina sąsiadów, ani dym z przeklętego tytoniu, ani ciężkie powietrze. Wstaję bez bólu głowy, wypoczęty i gotów do dalszych zmagań.

Zawiązują się nowe znajomości; są wieści z kraju, znad Niemna i Dźwiny. Ale są to bardzo złe nowiny. Życie pełne niedoli w kołchozach, wywóz rodziców rozłączanych z dziećmi. Były to wiadomości z listów, jakie mi pokazywano, i to najświeższe.

Dowiedziałem się też, co przez cały rok, gdy byłem w więzieniu izolowany od życia, działo się na szerokim świecie.

W więzieniu irkuckim widzę ludzi z różnych krajów i narodów, jakich dotąd nie spotykałem. Sprawdza tu się powiedzenie Marksa, lepiej nawet niż to przewidywał. Komuna zebrała ludzi ze wszystkich krajów świata. Proletariat z burżujami, biedotę z bogaczami i kułaków z bosiakami. Wszystkich pojednały wspólne kraty. Spotykam tu miłego człowieka, prawosławnego duchownego z Mandżurii, Piatielina. Był to stary, mądry i zacny człowiek. Niedolę znosił pogodnie, jakby był w swym domu; jego szlachetny uśmiech pasuje do poważnej postawy i siwej patriarchalnej brody.

— Jak tu ojciec trafił?

— Jakoś tak mi się szczęśliwie udało, choć się tu zupełnie nie wybierałem. Metropolita Nestor wezwał mnie na zjazd duchowieństwa do Harbina. Z niewielkim węzełkiem przyszedłem na stację, a mieszkałem w klasztorze koło Port-Arturu; wtedy podszedł do mnie oficer sowiecki i kazał iść za sobą. Zamiast do Harbina, przywieźli mnie do Władywostoku, gdzie przesiedziałem w więzieniu dziesięć miesięcy. A teraz już od czterech lat włóczą mnie po łagrach i więzieniach. Dobrze! Nie trzeba się troszczyć ani o bilet, ani o trasę podróży. Wożą mnie jak jakiegoś wielmoża na cudzy rachunek.

Mówi bez złośliwości, a słowa płyną mu jak woda w rzece. Rozmowa z tym Bożym człowiekiem jest

balsamem dla mojej obolałej duszy. Jaka szkoda, że już się z nim nigdzie nie spotkałem!

W Irkucku kończy się już piąty dzień przesyłkowy. Przeczuwamy też, że jutro pojedziemy dalej. Byliśmy poza prawem, jak owieczki, które nie wiedzą czy je właściciel wiezie na ich wesele, czy na pochowek, ale jadą cicho nie wydając głosu.

I GDZIEŻ DALEJ?

Nim biedny zajdzie,
to bogaty zajedzie.

Chcemy odgadnąć, dokąd dalej pojedziemy? Przed wyjazdem przychodzi dozorca z długim papierem i czyta, kto się ma zbierać do drogi. Jestem i ja, i wszyscy nasi. Dobrze się stało, że domyślając się czasu wyjazdu nie piłem herbaty, a tylko jadłem chleb, aby nie mieć kłopotów jak w podróży do Irkucka. Znów nam wydają prowiant na dwa dni. Chleb, cukier i soloną rybę. Nie ma głupich! Ryby nie biorę, choć lubię śledzie; a teraz — niech je wilk pochłonie. Widzę jednak, jak ludzie nie potrafią się opanować, nie mogą zdać egzaminu głodowego. Biorą śledzie za siebie i innych.

Dzień jest mroźny, ale pogodny i piękny. Słońce tak świeci, że trzeba mrużyć nie przyzwyczajone oczy. Po ciężkim zaduchu w ciemnicy irkuckiej płuca pracują gwałtownie jak miechy kowalskie.

— Ustawiać się — wołają konwojenci.

A łagiernicy dodają: „Stać, nie kiwać się”.

Straż krzyczy według zwyczaju, a straszy według ustaw.

— Za wyjście z szeregu strzelamy bez ostrzeżenia!

Teraz wszystko idzie szybko. Przeliczanie sakralne, upychanie w „woran”, wywózka na dworzec. Tu wyciągają nas z „gawronów”, jeszcze liczą po dwa razy, i wtłaczają do wagonu. Ja przez swoją powolność dostałem się do ostatniego i nie znalazłem ani jednego wolnego miejsca, ledwo mnie tam upchnęli.

Załadowali nas do wagonu towarowego, specjalnie przystosowanego do przewozu skazańców. Przy drzwiach, wzdłuż całego wagonu, ciągnie się krata. Oddziela ona wąski korytarz od reszty wagonu. Tył wozu podzielony na dwie zagrody. Obie dla więźniów. W pierwszej są urządzone nary. Tu ludzie siedzą i na pryczach, i pod nimi. Wszędzie jest tak ciasno, że spóźnieni nie mogą usiąść nawet na podłodze i muszą stać cały czas. Ja trafiłem do drugiej przegrody i naturalnie stałem. W ciasnocie i ciemnościach ludzie się tak chwieją, że jedni drugich zbijają z nóg. Po przestaniu godziny już więcej nie mogę wytrzymać. Przestępuję z nogi na nogę, tracę równowagę i resztę sił. Myślę:

— Szczęśliwi ci, co zdobyli miejsce na narach — dochodzi bowiem stamtąd przyciszony dźwięk złagodniałych przed snem głosów.

Ale trzeba raz jeszcze przeliczyć więzienny tłum. Niełatwa to sprawa w takim ścisku, jednak na wszystko znajdzie się sposób. Dozorca ma mocną lampkę elektryczną. Teraz wszyscy muszą się uspokoić i zwrócić twarzą do konwojenta. A on świeci i liczy z korytarza przez kraty. Liczy uważnie i wytrwale. Najgorzej mu było z pierwszą zagrodą, gdzie ludzie cisnęli się na narach, pod narami i na wolnej przestrzeni. Z wielką trudnością, ale dobija do końca.

Dobrze! Już podszedł do nas. Uciszamy się, aby szybciej zbyć kłopotu. I gdy przeliczeni w pierwszej zagrodzie zaczęli się swobodniej wiercić, nagle daje się słyszeć trzask i dziki krzyk. To prycze załamały się i całym ciężarem przydusiły tych, co się ulokowali pod nimi. Boże, co się tam działo! Była to niesamowita jakaś katastrofa, spotęgowana ciemnościami. Ani ci z wierzchu nie mieli gdzie zleźć z nar, ani przyduszeni nie mogli się wydostać. Trudno spokojnie słuchać krzyku ludzi, a nie możemy im w niczym pomóc, aż serce ustaje z trwogi!

A nasz dozorca ani drgnie, ani się obejrzy. Dalej spokojnie oświeca lampką nasz przedział i pilnie liczy do końca. Tamci go zupełnie nie interesują. Przeliczył ich i zanotował... Nawet im nie poświeci. Do ludzkiego nieszczęścia odwrócił się tyłem.

Nie mając innego wyjścia — gdyż ani komendant, ani nikt z konwoju nawet nie wyjrzał ze swego kojca — pierwsza zagroda musi sama sobie radzić. Część więc wlazła na kratę, żeby zrobić trochę wolnego miejsca. Wtedy ludzie z nar zeszli na wolne miejsce i wyciągali przygniecionych spod pomostu, a potem i ich tłumoki, aby położyć równo na podłodze połamane prycze. Teraz dopiero zaczynają się szykować do spania.

Nieszczęśliwi ludzie! — pomyślałem — i wstyd mi było, że im przed chwilą zazdrościłem, bo gdy dozorca świecił u nas, sąsiedzi ścisnęli się, zrobili między sobą małą szparę, a ja w nią wśliznąłem się, klapnąłem na podłogę, rozsiadłem się uszczęśliwiony, i zasnąłem jak rak pod karpiem olchy. Spałem, choć koła skrzypiały i dudniły, nasz wagon trząsł się jak w febrze, a myśmy trykali głowami jeden drugiego. I choć stale budziliśmy się, przespaliśmy całą noc, kiwając się jak żydzi w bożnicy.

Przyjeżdżamy na miejsce. Dowiadujemy się, że nas przywieźli do Tajszetu, do centralnego przesyłkowego łagra nr 215025 (w skrócie 0,25), na trasie kolei transsyberyjskiej. Od Tajszetu prowadzono nową linię Brack — Zajarsk, którą stąd miano budować dalej, okrążając Bajkał z północy, i doprowadzić do Leny. Łagry Tajszet, Brack, Zajarsk, których było więcej niż pół setki, stanowiły grupę OZER-łag. Później tę grupę łagrów rozciągnięto dalej na wschód, za rzekę Angarę, i zamieniono ich nazwę na ANGAR-łag.

A więc tutaj rozpoczynamy odsiadywać swoje „25", które miały skończyć się w roku 1974!

Niech nas Bóg ma w Swej opiece! Matko Boska, Józefie święty, ratujcie nas!...

CZĘŚĆ DRUGA

WĘDRÓWKA PO ŁAGRACH

TAJSZET

Obcy kraj — macocha.

Łagier w Tajszecie przerobiono z jakiegoś gospodarstwa. Nic więc dziwnego, że baraki nie nadawały się absolutnie do zamieszkania. Stajnie i chlewy pośpiesznie zamieniono na mieszkania dla ludzi — niewolników. Dawniejsi właściciele ponadto pozostawili w spadku masy pluskiew i mysz. Ściany zawilgocone, dymiące piece, podłoga zwichrowana jak fale na jeziorze.

Budynki są w takim stanie, że nawet władze obozowe uznają konieczność remontu, ale ze względu na wielkie mrozy stale odkładają jego termin.

Do remontu nie wyznaczono jeszcze roboczych brygad ani nie przygotowano materiałów. Prawdopodobnie zamierzają przebudować cały łagier. A w barakach ciasnota nie do opisania.

Gdy nas tu przygnano, już pomieszczenia były przepełnione. Zlatujemy na nie jak zbłąkane pszczoły w zadeszczony dzień. Wpędzono nas w różnojęzyczny, zbity tłum i trzeba było zaiste dużo sprytu, aby się w nim nie zagubić. W tak wielkiej ludzkiej masie porządek o wiele gorszy niż w Czycie. Jest to mieszanina różnych kolorów skóry, rozmaitych narodowości, zawodów, charakterów, ludzi różnego wieku, zdrowia, kultury. Wszystkich ich, skazanych na długoterminowe wyroki, przepełnia niepokój bez żadnej nadziei na lepsze jutro.

Rzucają się w oczy w tym tłumie skrajności. Są tu bowiem albo postarzali inwalidzi, albo narzucający się, dokuczliwi, natrętni, wciskający się wszędzie „błatnyje". A co człowiek — to inna narodowość.

Większe grupy tworzą: Ukraińcy z Wołynia, Kozacy z Kubania, Niemcy i Japończycy wzięci do niewoli. Sporo też jest Ormian, Estończyków, Tatarów. A wszyscy starają się jakoś przetrwać niewolę, pilnują swego legowiska i dziennej porcji (pajki); kłócą się i godzą, denerwują i cierpią, klną i modlą się. A palą prawie wszyscy, gdy tylko mogą zdobyć trochę tytoniowego śmiecia i kawałek gazety. Palenie bardziej łączy tych obcych sobie, a często i wrogich ludzi, niż jakiekolwiek idee czy wspólnota zainteresowań. Za to tytoniowi abstynenci cierpią od piekielnego dymu. Kiedy kończy się tytoń palacze przeżywają męki, i żeby zdobyć choć „pudełeczko" tego ziela „puszczają z dymem" porcje swego chleba czy cukru. Pudełeczko od zapałek jest wymierną jednostką „tabaki" i obiegową monetą. Wśród palaczy można podziwiać ich oszczędność, usłużność wzajemną, delikatność i ofiarność. Czyż nie jest to prawdziwa miłość bliźniego, gdy Japończyk daje „popalić" Rosjaninowi, Niemiec oddaje ostatnią zapałkę Żydowi, Ukrainiec dzieli się z Polakiem skrawkiem papierosa, a Słowak Węgrowi wysypuje resztę tytoniu do nadstawionego oddzierka gazety? I gdy światowa wojna dzieli narody, to „tiurma" sowiecka brata ludzi i wyrównuje podziały społeczne.

I my obaj z Tomaszem rozumiemy, że musimy trzymać się razem, aby w pojedynkę nie zginąć; we dwóch łatwiej wyjdziemy obronną ręką. Trzeba jednak mocno zabiegać o wszystko, pilnie węszyć za wspólnymi sprawami, ostrzegać się wzajemnie o niebezpieczeństwach i zdobywać potrzebne rzeczy. A bywało, że kubek wody lub herbaty przechodził przez wiele rąk. Tak więc, złączeni przyjaźnią i wspólną narodowością, zabiegaliśmy o najpotrzebniejsze przedmioty, czy to kubek, czy ołówek, igłę, nitkę, lub guzik; zdobywaliśmy je i pilnowaliśmy, by pożyczone współwięźniom nie przepadły. Za pożyczone rzeczy nie domagamy się — jak każe zwyczaj łagierny — zapłaty, chcemy choć w drobnostkach ulżyć ogólnym brakom i wytworzyć atmosferę przyjaźni, co się nam zresztą udaje. Na ogół liczono się z nami, darzono współczuciem, a nawet pomocą. W ten sposób, choć tylko dwóch,

stanowimy pewną siłę. Wokół nas tworzy się gromadka przyjaznych ludzi, tym bardziej, że nie stronimy od nikogo, nikim nie pogardzamy, nikim się nie brzydzimy. A mój przyjaciel Tomasz, będąc filozofem i człowiekiem o szerokim zasięgu wiedzy, dzieli się swymi wiadomościami za „dziękuję" i zazwyczaj otaca go grono słuchaczy.

W Tajszecie odczuwano wielki brak ciepłej odzieży. I to był powód, że nas, starych inwalidów, zatrzymano tu do wiosny. Jednak najdokuczliwsza była dla mnie codzienna „pawierka". Zbierano nas na nią przymusowo dwa razy na dzień, na dworze, na syberyjskim mrozie i przeliczano. Pamiętam, jak jednego razu dochodziło do –56° Celsjusza. Gromadę liczącą półtora tysiąca ludzi ustawiano piątkami. Ale często „pawierka" przeciąga się, bo nie ma posłuchu ani dyscypliny, ani kary — kończy się tylko na łajaniu i wrzasku.

Rozbałamuceni „błatni", zabezpieczeni przed mrozem ciepłym przyodziewkiem, robią w czasie „sprawdzanki" taki harmider i zamęt, że „naczalstwo" nie może ich okiełznać. Cały ciężar wystawania na mrozie spada na źle ubranych inwalidów. Kierownictwo obozu, ludzie małopiśmienni, często mylą się w przeliczaniu, a swoje braki w rachunkach wyrównują rynsztokowym słownictwem. Znają je wyśmienicie. Gdy przypadkiem zdarza się wśród nich człowiek rozsądny, wtedy i zachowanie gromady łagiernej poprawia się.

W tych warunkach widziałem jasno, że muszę się ratować, bo zginę z mrozu. Ale jak to zrobić? Muszę zdobyć jakieś ciepłe ubranie. Można je było nabyć u spekulantów, ale na to trzeba pieniędzy, a ani ja, ani moi przyjaciele nie mamy nic do zbycia. Pozostaje ostateczny sposób — przehandlować „na chleb". Nie mogę jednak zdobyć się na to, ażeby okrywać siebie „gołego", okradając „zagłodzonego". Tylko zatwardziali palacze potrafią cierpieć głód, i wymienić chleb na „czarcie ziele", jak sami klnąc nazywają tytoń.

Był jednak jeszcze jeden sposób na zdobycie ubrania — ludzkie miłosierdzie.

W tym czasie przebywa w obozie mój znajomy ksiądz — ojciec Bronisław. Miał on czarne palto. Sam był wielkim mężczyzną, więc i jego palto było wielkie. Pstrzyły je malowniczo szare łaty. Wyglądał może trochę dziwacznie, ale poważnie. Z ojcem Bronisławem nie można było się nie liczyć, tym bardziej, że wielu porozumiewało się z nim w swym rodzinnym języku — po rosyjsku, łotewsku, niemiecku, białorusku, litewsku, po polsku i w jeszcze innych, już nie wiem jakich językach. Z zaciekawieniem przyglądałem się jego paltu, i z żalem wspominałem swoje harbińskie, którego mnie pozbawili Chińczycy. Nie domyślałem się, że ojciec Bronisław też mi się pilnie przygląda, a on w swym dobrym łotewskim sercu współczuł mi i litował się. Wreszcie, gdy się zupełnie ściemniło podchodzi do mnie w milczeniu i podrzuca wielki serdak na ciepłym kożuchu. Niech mu Bóg da zdrowie!

W tym czasie dowiaduję się, że my wszyscy z grupy harbińskiej należymy do kategorii „długoterminowych", a to oznaczało surowszy nadzór nad nami. Nie będzie można dawać nam pracy poza gromadą, nie możemy też sprawować jakiejkolwiek funkcji łagiernej, tzw. „pridurków" — przygłupków.

Pewnego razu nasz przyjaciel „wkręcił" nas do nocnej pracy w kuchni, do obierania kartofli. Jest to praca brudna. Nerwowy kucharz popędza ordynarnie. Dostarczone kartofle są drobne i zmarznięte. Najpierw należało je „odmrozić" kładąc do wody, a potem dopiero obierać. I woda, i kartofle są lodowato zimne, że palce od nich grabieją. Moje „pańskie" ręce dawno odwykły od pracy fizycznej. Jednak wszystkie przykrości wynagradza z nadmiarem nocny posiłek. I oto nasza harbińska grupa osiągnęła szczyt łagiernego szczęścia. Za duże ono było, aby mogło trwać długo, i już po czterech dniach nagle się skończyło. Jakiś ważny naczelnik wpada raptem do kuchni i srogo na nas charczy:

— Jaki macie wyrok?

— Po 25 lat, odpowiadamy pokornie.

— Po 25 lat? To jakim prawem przyszliście na

pracę nocną? Nie mamy żadnego usprawiedliwienia, wylewa nas więc z kuchni „z wielkim trzaskiem”.

Niejednokrotnie przyjaciele chcą mnie wywindować do góry łagiernego porządku, ale zawsze na przeszkodzie staje moje „25” i ściąga w dół, a błatni sprzątają sprzed nosa każdy pożądany kąsek.

Ale co mówić o mnie! W naszym łagrze był o wiele ciekawszy i bardziej charakterystyczny wypadek z terminami odsiadki. Jakiś typ z Małopolski — jak opowiadał jego znajomy — wyprawił z tego świata 60 żydów i stanął przed sądem ASRR gdy zniesiono karę śmierci. Wyrok śmierci, który otrzymał zamieniono mu na 10 lat. W ten sposób należy do krótkoterminowych i przez pewien czas był wyznaczony na brygadiera w łagrze. Natomiast jego znajomy za to, że dał jeść partyzantom, dostał 15 lat i musiał podlegać temu — jak go nazywa — bandycie.

Pewnego razu obiegła nasz obóz radosna wiadomość, że będzie wolno pisać listy. Podano nam przepisy pisania: można pisać tylko w obrębie Sojuzu, tylko po rosyjsku i tylko dwa listy na rok. Trzeba pisać krótko, bez zbędnych wiadomości. My, nowicjusze, nie wiemy jak się do tego zabrać, gdyż od razu wyłaniają się trudności, które w normalnych warunkach są śmieszne: skąd wziąć atrament, papier, pióro, kopertę, znaczek, a nawet gdzie znaleźć miejsce do pisania, bo w takiej ciasnocie, to i siebie można zgubić.

— Słuchaj — przestrzega mnie przyjaciel — pisz szybko, bo jutro już w brygadach będziemy oddawać listy. Jak nie zdążysz i stracisz okazję, poczekasz pół roku na następną.

Och, jakżeśmy gonili! Ani jeden nie rezygnuje ze swego prawa do pisania — przecież to prawdziwe szczęście. Handel się bardzo ożywia. Przyszło znów wyzbyć się chleba i cukru na przybory piśmienne, ale zdobywamy wszystko. Spekulacja szła normalnym trybem, a ceny? Nie można narzekać — przystępne. Za to przysługa ogromna. Czy można więc było zważać na takie drobiazgi, że papier okazał się nędzny,

stalówka już całkiem zdarta, a atrament rzetelnie ochrzczony wodą? Jednak list udało się napisać. Oddajemy naturalnie nie zaklejony do cenzury, zupełnie jak w zakonnym nowicjacie.

Ja napisałem do mojej siostry — Ludwini, z którą rozstałem się w Wilnie w 1938 r. Pisałem do niej, bo wtedy nie wiedziałem jeszcze, że nie żyje. Zginęła w Wilnie w naszym domu zakonnym, zabita przez granat. Czekałem całe pół roku na odpowiedź, ale jej nie dostałem ani z tego, ani z tamtego świata. W podobnej sytuacji było wiele osób, które pisały listy napróżno.

Pisałem też wiele listów Białorusinom, którzy nie znali języka rosyjskiego. Układanie listów było bardzo trudne; trzeba tak je pisać, aby były zrozumiane przez odbiorców w kraju, a w łagrze „lekkostrawne" dla kontrolerów, i aby piszący nie wkopał ani siebie, ani dyktującego list. A tu i klient nie umie dyktować. I nowy kłopot. Po kilku nieudanych próbach mówi mi:

— Sam pisz, Ojczeńka, będziesz wiedział jak lepiej... I choć to już niemłody mężczyzna, ociera rękawem łzy, które przemocą wymykają się i sypią jak groch. W kołchozie pozostała żona z dziećmi. Dostają ze starszą córką pół kilo pośladu zboża za „pracodzień". Ot i żyj! Jeszcze z tego chcą mi pomagać, bo ja stałem się inwalidą. To i choćby było mi najgorzej nie mogę się odważyć, żeby od nich przyjmować pomoc. Och, Boże! Boże! A nie mogę przesyłki im zwrócić, bo przepadnie.

Przeczytałem najpierw list sprzed roku, który otrzymał ten biedula od córki, będąc jeszcze w Kazachstanie. „Piszę do ciebie twoja córka Aniutka. Skończyłam już 10 lat, jestem pierwszą w klasie. Mama dyktuje, a ja piszę. Nie martw się o nas, Tatusiu, jakoś przeżyjemy, bo mamy prosiaka i trzy kurki. Tatuśku, kiedy do nas wrócisz? Prosimy za ciebie Boga, ale ciebie mało pamiętam. Gdy ciebie zabierali, to bardzo krzyczeli. Pamiętasz? Myśmy wtedy płakali długo, długo, ale ciebie już nie było, a ciotka Karusia, to mówiła, że... ją też tak samo..." Resztę cenzura skreśliła, ale można się było domyśleć, że i ciotkę

Karusię wywieźli. Gdy czytałem ten list, biedula płakał, a obecni nie mogli powstrzymać ciężkich westchnień, bo choć każdy ma dosyć własnej biedy, to jednak i cudza ściska serce.

Pisaliśmy, pisaliśmy te listy, a teraz każdy na nowo przeżywa swoją niedolę. Ludzie głośno rozprawiają: „jak oni tam żyją, a jak ja tu? Ile to lat jeszcze będę siedział?

Każdy z nas przypomina ptaka, co zaplątał się w sidła; skrzydła ma wolne i mógłby pofrunąć, ale nogi zakute w potrzasku. Jednak po tym pisaniu listów ludzie jakoś więcej i szczerzej się modlą. Mahometanie rozkładają dywaniki lub chusteczki i biją pokłony w kierunku Mekki, prawosławni żegnają się szerokim ruchem i głośno odmawiają modlitwy, katolicy szepcą pacierze na różańcach zrobionych z chleba, i biją się w piersi, niektórzy z nich spowiadają się u swoich księży. Ludzie różnych wyznań rozmawiają z Bogiem stojąc w milczeniu, albo padają na kolana wznosząc ręce ku niebu; ale chyba najlepsza była modlitwa tych, co prosili Boga za swych krzywdzicieli i wrogów. Mało kto z więźniów nie brał udziału w modlitwie.

Żołnierze z konwojów, którzy stali na „ambonach" (strażnicach) z karabinami, patrzyli ze zdziwieniem, jak co rano więźniowie wychodzą za baraki i klękają do pacierza. Nie rozumieli oni co to znaczy, ale na pewno i im przychodziły myśli o Bogu i duszy. Zresztą władze obozowe zdawały sobie sprawę z tego, że wiara w łagrach wzrasta. Próbowano wychować nas na niedowiarków, ale wszelkie wysiłki kończyły się fiaskiem. Więźniowie odpowiadali na każdą próbę żywszą wiarą i szczerszą modlitwą.

„BŁAT" I „BŁATNYJE"

Gdy dom twój zgorzeje,
ja chętnie ręce rozgrzeję.
(przysłowie chuligańskie)

Często spotykałem się z błatnymi, narażałem się na ich zaczepki i pogróżki, muszę więc wyjaśnić, co to byli za ludzie. „Błat" — chuligańskie słowo — oznacza w ich pojęciu „prawo do bezprawia", czyli prawo do czynienia tego, co zabronione, a przede wszystkim „prawo" do cudzej własności. W Sowieckim Sojuzie ta chuliganeria zdobywa sobie w długim, wytrwałym, a nie rzadko i krwawym zmaganiu „złodziejskie" prawa. Korzystają z nich głównie w stosunku do więźniów politycznych, a zwłaszcza do inwalidów. I teraz, gdy „frajer", co w ich żargonie oznacza nie-błatnego, nie chce sam im oddać czegoś cenniejszego ze swych rzeczy, to błatny uważa siebie za pokrzywdzonego, a „frajera" za uzurpatora.

Z błatnymi muszą się liczyć nawet władze obozowe, które im często ustępują, a nieraz i boją się ich. Od roku 1947 błatnym mocno przytarto rogów. Do tej bowiem daty ich terror w obozach nie znał miary. Błatni uważają się za specjalną kastę, jakby tajne bractwo. Mają oni swoje nie pisane prawa i swych prowodyrów. Zazwyczaj w każdym więzieniu czy łagrze jest jeden herszt „błatu". Wyłamanie się lub bunt błatnych przeciw woli herszta grozi nawet śmiercią. Mają oni swoją ukrytą obozową pocztę. Mają też sposoby wysyłania listów za zonę. W więzieniach potrafią porozumieć się pukaniem w ściany; drogą napisów we wspólnych lokalach, karteczek itp. przesyłają wiadomości międzywięzienne, pozdrowie-

nia, podarunki itd. Mają swoje przezwiska, powiedzonka, po których się poznają i doręczają co trzeba. Palą wszyscy. Przesyłają sobie wzajemnie papierosy, tytoń, zapałki, żywność i inne rzeczy. Czasami nawet konwojenci i naczelnicy biorą nieoficjalnie udział w doręczaniu przesyłek do innego oddziału, brygady lub pomieszczenia.

Zdarza się, że cały zespół błatnych nie chce wykonywać jakichś robót, wtedy trzeba posługiwać się inwalidami.

Okazuje się, że zarządom łagrów było wygodnie na kierownicze funkcje wyznaczać znaczniejszych błatnych. Są oni jakby stworzeni do takich czynności, gdyż od dzieciństwa wychowani w sowieckim ustroju, doskonale orientują się w powikłanych warunkach życia obozowego. Bo w sowieckim systemie pracy najważniejszą rzeczą jest wyrobić normy, wyciągając procenty ponad normę. Wszystko ma iść gładko i według planu... dla kontroli. Błatni są tu idealnymi wykonawcami. Na przykład trzeba zmienić podłogę. Nikt nie potrafi tak szybko i sprawnie zrobić nowej, którą przyjmie najbardziej surowa komisja. To nic, że zgnije za rok, gdyż jest wykonana ze świeżego materiału i położona na stary grzyb. Komisja o tym się nie dowie i nie sprawdzi. A za rok przyjdą inni ludzie — niech znów robią to samo. I tak będzie się wlec bez końca. Podłoga w baraku musi być starannie wymyta i wyskrobana często nawet szkłem. Musi pięknie błyszczeć dla władz obozowych i komisji. I znów błatni kierownicy nie dbają o to, że cała woda spływa pod deski podłogi. „Niczewo"! Nie przejmuj się, komisja jej nie dojrzy. Tak wszystko idzie w łagrach i w Sojuzie... dla komisji i procentów.

Rozmaite funkcje, na które wybierano więźniów, są przedmiotem zabiegów błatnych. Za najważniejszą uważano „nariadczyka"; on wyznacza więźniów na roboty poza obozem, może od roboty zwolnić, sam zaś do roboty nie chodzi. Po nim idzie „komendant". Ten rozdziela pracę w samym obozie, dokonuje remontów, dba o czystość i porządek. Dalej następują funkcje brygadierów, dyżurnych dla każdego baraku — dziennych i nocnych, wreszcie cała plejada kierow-

ników: stołowych, do krajania chleba (chleborezki), kierowników pralni, łaźni, fryzjerni, magazynu nadsyłanych paczek (tzw. „kapciorki"), ambulatorium, biblioteki, stolarni, elektrowni, piekarni, kuchni, składu narzędzi, starszych ogrodników i wielu innych. Wszystkie te ponętne urzędy zajmują przeważnie błatni. Gdy wśród nich znajdzie się „frajer", musi bardzo uważać, żeby się nie narazić na ich złość i zemstę.

Jaką mają korzyść ze swych „urzędów"? Naczelnik, komendant, brygadier mają pewien, choć nie wiem jaki, procent od wykonanych prac przez brygady. Gdzie indziej korzyści wypływają z samej natury funkcji, jak np. w kuchni, piekarni, ogrodzie, krajaniu chleba; albo też ciągną zyski bezpośrednio od więźniów, jak: u fryzjera, w pralni, a szczególnie w kapciorce. Ponadto cały ten „aparat" dostaje dodatki żywnościowe, naturalnie za wiedzą władz obozowych. Ale powiększanie ich porcji odbywa się kosztem zmniejszania naszych i dlatego inwalidzi nazywają ich „prydurkami". Ponadto prydurki wyłudzają żywność ze wspólnego przydziału dla zaspokojenia łakomstwa lub na „bankiety". A przecież dzienna porcja inwalidy i bez tych kradzieży była porcją głodową.

Błatni, zwłaszcza kierownicy, stanowią jakby arystokrację obozową: są czysto ubrani, wygoleni, syci i do inwalidów odnoszą się z pogardą. Choć i wśród nich znajdują się czasem dobrzy i pełni współczucia ludzie.

Błatnych można poznać po tatuażu. Tatuują się zwłaszcza na rękach, plecach lub piersiach. Rysunki przeważnie o tematyce lubieżnej, niemoralnej lub politycznej, choć wyjątkowo można spotkać i tematy religijne, często wykonane bardzo artystycznie. Widziałem na nich portrety Lenina, Stalina, widoki przyrody i inne. Jeden z błatnych miał na plecach wielki obraz zmartwychwstania Chrystusa — ogród, odwalony kamień grobowy i Pan Jezus w pełni chwały.

Błatni wolni od pracy spędzają czas na grze w domino, szachy, a nawet w karty zrobione z gazet, choć gra w karty była w obozie surowo zabroniona. Grają też w ukryciu na pieniądze, choć znów pieniędzy nie można było mieć przy sobie. Do roku 1947 bywało,

że grali o cudzą odzież. Ten kto przegrał, musiał tę odzież zdobyć od „frajera" i oddać wygrywającemu. W czasie gry zdarzają się między nimi sprzeczki, dochodzi nawet do krwawych rozpraw, ale nie psują one długo wzajemnych stosunków koleżeńskich. Pewnego razu w roku 1950 w Bracku zdarzył się przy mnie następujący wypadek. Podczas gry w domino dwóch partnerów pokłóciło się między sobą. Niewiele myśląc jeden z nich chwyta za polano i wali przez łeb towarzysza. Poszkodowany pada na łóżko, chwyta się za głowę i wrzeszczy. Jednak ból rozjusza go, skacze więc w kąt baraku, łapie wyschły drąg i wyrównuje nim swój rachunek na głowie wroga. Teraz i ten z wrzaskiem zaczyna się tarzać na łóżku. Po wyrównaniu krzywd obaj tak dziko wyją, że aż cały barak się trzęsie.

Jestem przerażony, że będę zamieszany jako świadek, gdy dojdzie do śledztwa i sprawy sądowej. Jakież było moje zdziwienie, gdy nazajutrz po śniadaniu widzę całą wczorajszą kompanię grającą w domino! Obaj poszkodowani mają głowy obwiązane chustkami. Siedzą naprzeciw siebie i grają spokojnie, jakby nic między nimi nie zaszło. Ani żadnego śledztwa, ani sądu nie było. Czyż to nie przykład dla chrześcijan wzajemnego przebaczenia uraz, prawdziwej miłości bliźniego?

Błatni nie zajmują się polityką i nie interesują się komunizmem; oni chcą wygodnie żyć, dobrze zjeść, pograć w karty, urządzać kawały, hulać. Ale mają też swój nie pisany kodeks praw, honoru, dotrzymania słowa, swoistego rycerstwa, konspiracji i przyjaźni, spłaty długów itd. Obrazić i rozdrażnić błatnego to wielkie ryzyko. Dreszcz chwyta na ich okropną pogróżkę: „wyrżnę ci oczy"! Nożownictwo pomiędzy poszczególnymi bandami było rzeczą rzadką, ale gdy doszło do takiej rozprawy, była ona straszna. Zdrajców i donosicieli nazywali szpiclami, stukaczami lub sukami, i karali okrutnie. Po ukończeniu kary niektórzy z błatnych pozostawali w łagrach na stanowiskach dozorców, konwojentów lub na jeszcze wyższych szczeblach. Właśnie tacy to chuligani — spece są naszymi „wychowawcami"! Więźniowie, spotykając się często

w obozach z błatnymi, musieli poznać ich jako ciekawych i niebezpiecznych ludzi, którzy mogą uprzykrzyć i tak już koszmarne życie łagiernika.

Przypuszczam, że wyszli oni z szeregów dawnych „bosiaków" i „niepomniaszczych [1] ".

Po rewolucji październikowej ich szeregi wypełnili „bezpryzornyje" i inne społeczne odpadki lub „niedouczki".

O ilości błatnych trudno coś konkretnego powiedzieć. Wielu jest wśród nich takich, których omal całe życie wlekło się od tiurmy do łagru. Zresztą, jeśli kto z nich wyjdzie na wolność, złapią go wkrótce na nowej kradzieży, i tak z powrotem staje się pensjonariuszem obozu lub więzienia.

Błatni to twór sowieckiego ustroju i nowego bezbożnego życia. Bo i cóż? Jeśli ateiści uczą, że tak, jak nie ma Boga, nie ma i duszy, to na czym mogą oprzeć sumienie? Pozostaje tylko przymus.

Patrząc na błatnych nasuwa się myśl, że cały ustrój sowiecki, partia, rząd, państwo i cały ich sojuz, to czysty „błat", to zdobyte przemocą i zaplanowane prawo do wszelkiego zakłamania, gwałtu, samowoli, bezprawia i samochwalstwa.

Mimo wszystko nie obawiałem się błatnych, choć mnie przed nimi przestrzegali doświadczeni ludzie. Miałem nawet wśród nich w swoim rodzaju przyjaciół. Zdarzają się między nimi ludzie z natury dobrzy, co jednak nigdy nie słyszeli o Bogu, bo od dzieciństwa wiedli bezdomne życie. Tacy chętnie i z zaciekawieniem słuchają słowa Bożego. I na ogół nie było wypadku, ażeby ktoś z błatnych przeszkadzał innym w modlitwie albo wyśmiewał wiarę. Patrzyli tylko ze zdziwieniem na modlących się. Napewno i między nimi ma Chrystus swoich ludzi.

---

[1]) „Niepomniaszczy" — to porzucani często przez rodziców, wychowani po przytułkach, bezdomni, którzy nie wiedzieli o swoim pochodzeniu, dacie urodzenia, rodzicach. Gdy ich pytano o dane personalne — odpowiadali: „Nie pomnu" (nie pamiętam).

CZAS JUŻ JEŚĆ

Bieda nasza — jęczmienna kasza,
zjadłbym i takiej,
ale nie ma nijakiej...

„Czas jeść" — tak ponoć miał mówić gospodarz na Olimpie, stary Zeus. Pewnie od czasu, gdy w chałupie baba opóźni obiad, ludzi ogarnia rozdrażnienie. A w łagrach, trzeba przyznać, wszystko jest na czas. W odpowiedniej porze rozlega się dzwon, syrena lub jakaś muzyka, a na ten sygnał — jak powiedział uczony Pawłow — „kiszki rozpoczynają grać marsza" i łagierna brać pospiesza do jadalni. I co za wygoda! Nie trzeba się martwić o wybór menu, bo będziesz dostawał według z góry ułożonego spisu potraw, kaszę jęczmienną czy coś innego, dopóki nie skończy się cały jej przydział.

Pewnego razu dają nam drobną rybkę, bardzo słoną, i powtarzają to menu dzień w dzień przez kilka tygodni. Strasznie po niej chciało się pić. I dziwna rzecz — im więcej pije się wody, tym większe męczy pragnienie. Jedni piją od razu tyle, ile tylko mogą; inni zatruwają się nią przez cały dzień, stękają, klną i znów piją; woda była surowa, nie przegotowana. Nazajutrz jedzą od nowa, ile wlezie, tę samą rybkę i rozpoczyna się od nowa ta sama męczarnia. Męki kończą się tylko dla tych, których wyznaczono na etap; inni, nie mogąc się opanować, dostają żółtaczki i idą do szpitala. Ja sam, choć dotąd nie dałem się różnym chorobom, choć nie wzięła mnie w Chinach dżuma ani cholera, nie przemógł mnie gorszy od dżumy i azjatyckiej cholery sędzia Iwanow — tu nie mogę pokonać maleńkiej, solonej rybki!... A wszystko, zda się

sprzysięgło się przeciwko nam, bo i rybka była niezła i głód nienajgorszy, a apetyt po więzieniu dużo większy — mamy tu bowiem więcej powietrza i ruchu. Do tego dostajemy jeszcze darmo porcje od tych, co nie doszli do całkowitego zaniku woli. A my poszaleliśmy z nędzy — gotowi jesteśmy rzucić się na każdy ochłap. Stajemy się podobni do pewnego zagłodzonego psa, co najadł się śledzi, a potem dopadł do wody; szczeka na nią i pije, wyje a pije — aż biedny i pękł...

Możliwe, że od tego paskudstwa załamały się nerwy gromady z naszego baraku. Bez jakiejś widocznej przyczyny wynika kłótnia na tle narodowościowym. Dotąd nie było z tego powodu żadnych sprzeczek. Była to szara masa ludzka, tłum zjednoczony wspólną złą dolą. Czasami ta czy inna grupa miała lepsze lub gorsze samopoczucie, w zależności od przypadkowego nastroju, ale tym razem, gdy nerwy były naprężone jak struny, ludzie zaczynają instynktownie szukać wokół siebie winowajców. Aż i znaleźli — Niemców.

— Przez nich musimy cierpieć — krzyczą jeden przez drugiego — bo oni rozpoczęli wojnę. Gdyby nie oni...

Trzeba trafu, że w naszym baraku Niemcy mają najwygodniej, bo zajmują górne nary. No, i rzucono się na „winowajców". Rozpoczyna się od pogróżek, przepychania aż doszło do bójki. Moskale wołają:

— Lejcie ich, bratki!

— Wal tego szwaba!

— Ja nie Niemiec, ja Estończyk, — krzyczy napadnięty.

— To nic, Bij go. Oni podobni kubek w kubek do ciebie!

W samym środku kłębowiska, które atakują Rosjanie, a Niemcy bronią, siedzi najspokojniej nasz białoruski filozof, ojciec T., neutralny jak Szwajcaria w czasie ostatniej wojny. Przerażeni wołamy:

— Uciekaj szybko, bo...

Ale on, pogrążony w myślach, napewno rozwiązuje jakiś zawiły problem, a w rękach trzyma stare portki, które łata. I żeby choć na moment zwrócił uwagę na to, co się dzieje! Gdzie tam — ani drgnie... I proszę pomyśleć — oszczędzają go obie strony walczące. Kto

wie, czy nie on był powodem, że cała ta burza nie skończyła się piorunami? Jeszcze grzmiała, huczałą, ale powoli zaczęła cichnąć, zanikać — aż wreszcie groźne chmury rozpierzchły się całkowicie. Już tylko poszczególne jednostki przez jakiś czas wściekały się na Niemców, odpędzały ich od pieców i od wody, ale my staramy się ich uspokoić. Odtąd do końca mej niewoli nie przypominam sobie żadnych zatargów na tle narodowościowym.

W łagrach w okolicy Tajszet-Brack było nieproporcjonalnie dużo Estończyków. Pytam ich:

— Skąd was tutaj tak dużo?

— Z Estonii na ogół wywieziono na Sybir wszystkich mężczyzn. Z inteligencji nie pozostał nikt poza komunistami. Na nasze miejsce nawieziono „rusków".

— Ale dlaczego?

Milczą wszyscy jak ściana i w żaden sposób nie mogę się dowiedzieć powodów.

Estończycy odznaczali się dużym wzrostem i siłą. Podziwiać trzeba było ich jednomyślność i zgodę wzajemną. W naszej brygadzie jest ich dziesięciu. Do stołu siadają zawsze razem. Gdy przypadkiem ktoś z nich nie przyszedł, jego miejsce zajmował Turek. Przezwaliśmy go z tego powodu „estońskim prezydentem".

Przez dłuższy czas pracuję z estońskim profesorem gimnazjalnym. Jest to roztropny i skromny człowiek, w pracy koleżeński. Chętnie mi opowiada o swym rodzinnym kraju, bez nieprzyjemnego samochwalstwa. Szkoda mi się z nim rozstawać. Z grupy estońskiej najbardziej rzuca się w oczy imponującym wyglądem August Pel. Waży on 140 kg, ale podobno na wolności ważył 225. Nie wierzyłem temu, dopóki nie zobaczyłem go w łaźni. Zwisają na nim cztery worki po utraconym tłuszczu, dwa na piersiach i dwa na brzuchu. Przypominają one puste torby. Ale choć to był, — mimo swej wielkiej postawy — człowiek obrotny, to jednak „herra" (pan) August był większym od nas męczennikiem. Nie można dla niego dopasować ani łagierskiej odzieży, ani obuwia, za wąskie też i za krótkie są nasze wyrka do spania. Cóż, w Sowieckim

Sojuzie wszystko jest robione według szablonu, i kto wyrasta ponad przeciętność jest przecież sam sobie winien. Czyż dla takich okazów ZSRR ma budować osobne fabryki? To też i nasz olbrzym Pel długo chodził jak oberwany dziadyga, dopóki w drodze wyjątku nie uszyli mu specjalnej odzieży. Ten burżuj był w Estonii zwykłym rzemieślnikiem — rymarzem.

Wracając do naszych posiłków, wspomnę o „nakryciu" do stołu. Współczesny człowiek odwykł od posługiwania się przy stole pięcioma palcami, ale w łagrach za używanie noża i widelca groziła kara pięciu dni karceru. Do wszystkiego musi wystarczyć łyżka. Jest ona albo drewniana, albo metalowa, albo żadna. Gdy nie masz żadnej, jedz jak chcesz, masz pełną swobodę. Każdy więzień musiał się starać o jej zdobycie; choć w obozie łyżek nie dawali, ale przy wyjściu na etap je odbierali. Noże robimy z blachy i starannie chowamy, bo gdyby stukacz doniósł o tym, można zarobić za blaszkę taki sam karcer, jak i za nóż.

Na inwalidę wyznaczano 14 gramów cukru na dzień, ale na rękę dostawało się tylko 12, bo 2 gramy odliczano na kwas. Kwas był dla wszystkich, a więc i dla robotników zaliczanych do wyższej kategorii. Ich dzienna porcja cukru wynosiła 27 g i od tej porcji nie potrącano żadnego procentu. Oficjalnie wydawano po kubku kwasu, ale nie oficjalnie bez ograniczenia pije go cała władza obozowa i przygłupki.

Najczęściej wysypywano inwalidom cukier na dłoń, a oni jakby jakieś lekarstwo wsypywali go sobie od razu do ust. Zupy dostają inwalidzi po 300 gramów, a chleba nominalnie 600 gramów, ale i z tego zabierają po 25 g na kwas. Robotnikom zaś dawano po 650 g chleba i po 500 g zupy. Zdarzały się wypadki, że ze względu na małe dzienne porcje inwalidzi prosili, żeby ich przepisać do grup roboczych. Lecz w pracy ponad siły szybko odpadali lub umierali.

Oficjalnie inwalidzi byli zwolnieni od ciężkich prac, jednak wysyłano ich na roboty, tylko nazywano je „dobrowolnymi". Niechby inwalida upierał się przy

swym prawie, znalazłby się odrazu na pięć dni w karcerze. Tak wytworzyła się paradoksalna sytuacja:

1) inwalidzi, to przeważnie starzy i schorowani ludzie,

2) do dobrowolnej pracy pędzono ich pod przymusem,

3) dawano im często taką samą pracę jak zdrowym,

4) choć byli zwolnieni od norm, to jednak brygadierzy zmuszali do ich wyciągnięcia,

5) wyżywienie inwalidów było bardziej skąpe, a zapłata za pracę niższa,

6) najdotkliwiej dawało się we znaki inwalidom to, że lekarz nie mógł ich zwolnić od pracy, gdyż oficjalnie nie występują jako robotnicy,

7) odzież inwalidów była gorsza (wybrakowane odzienie normalnie pracujących), a w zimie zupełnie niewystarczająca.

Oto siedem grzechów głównych na krzywdę demokracji inwalidzkiej w łagrach.

Jako przykład stosunku do inwalidów niech posłuży były pułkownik carskiej armii, Rosjanin, emigrant na Łotwie, Winogradow, z którym pracowałem we dwójkę przy piłowaniu drzewa. Był to człowiek kulawy, wskutek czego wymawiał się od pracy, do której trzeba było iść około pięciu kilometrów za rzekę Czunę. Pracowaliśmy w tartaku. W swojej ciężkiej niedoli często narzekał na żonę i córkę, że nie zgodziły się na wyjazd do Argentyny, dokąd jako specjalista miał zaproszenie od rządu na profesora w szkole wojskowej i nominację na generała. Ten przesiedział 21 dni w karcerze, prawda, z przerwami.

Wzamian za swe wszystkie przykrości mieli inwalidzi jeden wielki przywilej... mogą szybciej umrzeć. Wtedy udaje im się doskonale wykręcić od pracy, od mrozu i wszystkich dwudziestopięciolatek. To też umierali — jak się zwykło mówić — „na zdrowie im".

Był jeszcze inny sposób ratowania się — pisać do rodziny:

— Na miłość Boską, pomóżcie! Przyślijcie czosnku, cebuli, słoniny i cukru!

Ja — po przejściu przez Mandżurię i więzienie — straciłem wszelki kontakt ze swoimi. Nie wiedziałem, kto z mojej rodziny i znajomych żyje, gdzie mieszka i jak mu się powodzi. To też w krytycznym czasie, od roku 1949 do 1951, nie otrzymałem znikąd żadnej pomocy. Dopiero w końcu roku 1951 dobrzy ludzie przysłali mi pierwszą paczkę. I później ratowali mnie od śmierci.

BRACK

Wybierasz się w drogę,
poleć się Bogu.

Od samego wyjazdu z Harbina zawsze panicznie obawiałem się syberyjskich podróży międzyobozowych. Jednak tym razem odgadłem dobrze dwa dni naprzód, że będzie etap, w którym i ja się znajdę.

Wiedząc z gorzkiego doświadczenia, co to znaczy etap, zaczynam się solidnie przygotowywać. Wyrzekam się przez dwa dni wody, herbaty, zupy i wszelkich „mokrych" potraw. Ledwo, ledwo moczę usta i na tym koniec.

Droga koleją trwała piętnaście godzin, ale przez cały ten czas nie wypuszczono nas ani na chwilę z zamknięcia. Po zwyczajowo przyjętym okresie 12 godzin, konwojenci mówią nam:

— Jeszcze tylko trzy godziny do Bracka. Wytrzymacie.

Co było robić? Milczymy pokornie. A mnie moja „abstynencja" od wody bardzo się teraz przydaje. Z trudem wielkim, ale wytrzymałem.

Łagier w Bracku znajduje się na zboczu góry, na gruncie lekko opadającym w kierunku rzeki Angary. Wprawdzie obóz nie dochodzi do rzeki, ale za to można objąć okiem szeroką przestrzeń. Widzimy więc most, który właśnie wtedy budowano, las z drugiej strony rzeki i dziwacznie zwisające urwiska na wysokim brzegu.

Wielka i obfita w wodę Angara jest w tym miejscu ściśnięta górami, ale pomimo to dochodzi do kilometra szerokości. Okolica naszego obozu jest po prostu cudowna. Przeżywam w Bracku jakieś dziwne wy-

zwolenie ducha, mimo że jesteśmy odgrodzeni parkanem ze słupów wyższych od telegraficznych. Przeciągnięto na nich wiele rzędów drutu kolczastego. Po rogach łagru cztery strażnice z uzbrojonymi w karabiny dozorcami. Wzdłuż całego ogrodzenia umieszczono gęsto lampy elektryczne, a strażnice wyposażone w reflektory. Zewnątrz obozu krążą patrole z psami, a przy bramie, na wartowni ustawiczny dyżur i karabin maszynowy. I to wszystko na biednych inwalidów! Jednak, gdy się zapomina o znakach niewoli, odsłania się wzdłuż wspaniałej rzeki czarowny widok. Od pobliskich lasów z za wody idzie takie uciszenie i spokój duszy, że stojąc w zadumie człowiek zapomina, kim jest i gdzie się znajduje . . . Na wiosnę, gdy wieczorem wysoko w górze słychać tajemniczy szum „ptasich ciągów", powracających do rodzinnych gniazd, myślisz, że i ty jesteś wolny jak ptak. I jak one wrócisz pod ojcowską strzechę. ale szybko rzeczywistość ściąga cię z krainy marzeń na ziemię. Odczuwasz surowość klimatu, opóźniającą się wiosnę. Dokuczliwe wiatry na rzece przenikają przez nędzę ubrania. Miły, ojczysty kraj daleko, ty zaś z utraconą na 25 lat wolnością. . . Lecz skończyło się dla mnie przecież więzienie w Czycie, toć i skończy się łagier. Będę mógł wtedy nie tylko z daleka spoglądać na rzekę, na lasy i góry, ale złączyć się z tętniącą życiem przyrodą, wykąpać się w słońcu i chłodnych falach wody, przytulić się do jedwabistej trawy i ucałować rodzinną ziemię.

Wielką mają zasługę planiści, którzy wybrali to wspaniałe miejsce na łagier. Prócz obozu w Bracku, widziałem jeszcze kilka podobnie pięknych miejsc, jak np. Centralny Szpital nr 1, a także obozy nr 0,13 i nr 0,20. Ale komisja planująca zespół łagrów OZERłag, podobno za ten plan sama została osadzona w obozie. Myślę, że można wierzyć tej pogłosce, bo w Sowietach bardziej niebezpieczną rzeczą jest czynić ludziom dobrze niż źle. Nasz znajomy filozof Tomasz mówi, że w Sojuzie nie ma ani jednej wybitnej cnoty, któraby nie była ukarana.

W sympatycznym Bracku w krótkim czasie przeżyłem wiele ciekawych i przyjemnych chwil, choć też

spotkało mnie i wiele przykrości, a nawet śmierć zaglądała mi w oczy . . . W obozie zastaję dużo katolików, którzy mnie bardzo serdecznie przyjmują. Z grup narodowościowych dosyć liczną stanowią Polacy, ale dzielą się oni na dwa skłócone obozy. Jedni i drudzy pomagają mi w walce z głodem. Pragnę ich pogodzić, bo niepotrzebne były ich swary, a powód mało ważny. I choć każda grupa składała się z miłych ludzi, to przy spotkaniu ze sobą stawali się rozdrażnieni jak szerszenie. W żaden sposób nie mogę doprowadzić do zgody. Z harbińskiego zespołu jest ze mną tylko ojciec Tomasz, bo w Tajszecie resztę naszych porozsyłali po różnych obozach.

W swojej naiwności wpadłem w Bracku w ręce bardzo przebiegłego „szpicla" Jurnika. Wydał mi się człowiekiem poważnym i godnym zaufania, ponadto przedstawił mi się jako katolik i Polak. Przy spotkaniu kłaniał się nisko ze słowami: „Pochwalo...oony"... Przeciągał tak pozdrowienie, że nie można było zrozumieć, kto ma być „pochwalony". I choć wyczuwałem, że coś tu nie było w porządku, odrzucałem od siebie podejrzenia i pewnego razu zwierzyłem się przed nim ze swymi kapłańskimi kłopotami. Słuchał wszystkiego z powagą, ale zaraz o wszystkim doniósł władzom obozowym. Natychmiast zarządzono lotną rewizję, jednak znaleziono i zabrano tylko jedną książkę do nabożeństwa. Ostrzeżono mnie wtedy, że Jurnik jest „stukaczem".

— Bodaj was — mówię — a gdzieście przedtem byli?

Przy okazji wychodzi na jaw, że Jurnik nie jest katolikiem, ani Polakiem, lecz Ukraińcem. Ukraińcy jednak ani słyszeć o tym nie chcą.

— Jaki on Ukrainiec? — mówią — to przecież czysty moskal.

Gdy się wszyscy w baraku zebrali i zaczęli się od niego odrzekać, podrzucając grupie rosyjskiej, a ci także nie chcieli się do niego przyznać, wziąwszy na odwagę, on sam wystąpił i oświadczył gwałtownie:

— Ja Żyd, nu-uu?

Tu jednak nie chodziło o narodowość, ale o proceder, który uprawiał. Żydzi w obozach byli trakto-

wani na równi z innymi. Od tego czasu Jurnik omijał mnie z daleka. Wkrótce znikł zupełnie z naszego horyzontu, bo ujawniony szpieg nie ma już wartości dla władz, przenoszą go więc w inne miejsce.

W obozie w Bracku poszczęściło mi się. Spotkałem tu bowiem katolickiego księdza, ojca W.J., od którego dostaję opłatki, wino i liturgiczne książki. Mogę więc odprawiać mszę św. Jasne, że w ukryciu, aby nie dostrzegły wrogie oczy. Książki te, z wyjątkiem jednej, szczęśliwie nie uległy konfiskacie, ale na wszelki wypadek przepisałem z nich starannie dużo tekstów, aby móc się nimi posługiwać w przyszłości.

W łagrze często zapadam na zdrowiu, przechodzę różne niedomagania i w końcu wszelkie moje dolegliwości koncentrują się w jedną ciężką formę hemoroidów. Lekarzem ordynatorem w obozie w Bracku jest bardzo mi życzliwy Węgier, doktór E.P. Leczy mnie jak może, ale konieczna jest i to szybka operacja. Jednak doktór E.P. boi się mnie wysłać do Centralnego Szpitala. Sądzi, że tam mogą nie uznać jego zalecenia do natychmiastowej operacji. Ale, jak mówią, nie brak na świecie dobrych ludzi, bo oto znalazł się opiekun w osobie pielęgniarza ambulatorium, ten bierze mnie w obronę, strasząc lekarza:

— Niech pan doktór jak najszybciej wysyła chorego do szpitala. Czy pan nie widzi, jak z niego krew uchodzi? W tym stanie szybko umrze.

Wreszcie doktór daje się przekonać i kieruje mnie na operację.

Jadę z grupą ciężko chorych, których wiozą specjalnym wagonem sanitarnym. Oprócz chorych znajduje się w wagonie trumna. Dla kogoś z nas, czy była już „zajęta"?

Choć mnie męczy choroba i droga jest daleka, choć leżę na gołych deskach, podróży nie uważam za ciężką, gdyż wagon był ogrzany, a nas traktowano jak ludzi. Można powiedzieć, że mamy idealne warunki, jak na więźniów z obozu sowieckiego. Nie ma hałasu i tłoku, co dla chorych jest wielką wygodą. Co prawda wagon trzęsie, ale obsługa jest uprzejma. Nikt

na nas nie krzyczy, nikt nie popycha. Takeśmy odwykli od normalnego traktowania, że nas brał podziw dla sanitariuszy. Szczególną dobrocią odznacza się siostra szpitalna.

Zazwyczaj podróżowaliśmy w zaryglowanych wagonach, a teraz nie. Możemy ponad miarę cieszyć się mijanymi widokami. Pociąg biegnie wzdłuż rzeczki, a był to maj roku 1950, i chociaż syberyjska przyroda jeszcze nie ożyła, to jednak czuło się w powietrzu nadchodzącą wiosnę. Okolice zmieniają się przed moimi oczami jak w kinie, las obraca się jak żywy, i oto jak tylko można okiem sięgnąć rozwiera się przede mną rozległy widnokrąg, gdyż moje okienko w wagonie nie jest zabite deskami . . .

Czy możecie sobie wyobrazić jakie to szczęście?

SZPITAL CENTRALNY

Chory chwali zdrowie.

Szpital na linii kolejowej Tajszet-Brack-Zajarsk, podobnie jak wszystkie obozy, nie był jeszcze wykończony. Umieszczono mnie w starym, niewygodnym baraku operacyjnym. Mam być przygotowany według planu. A więc najpierw prześwietlenie, potem analizy, głodówka, przeczyszczenie przewodu. Ale nim się zorientowałem, zabrano mnie na stół operacyjny, skracając wykonanie wszelkich zabiegów, bo za dużo krwi uszło ze mnie.

Choć współczesna medycyna wyklucza ból w czasie operacji, to jednak nieprzyjemnie patrzeć, gdy do człowieka podchodzą z ostrymi nożami. A lekarze, tak samo, jak ja więźniowie, nic na mnie nie zarobią. Praca ich pełna nerwowego napięcia. Nie wiem nawet z jakiego kraju jest mój chirurg. Jednak chodzi koło mnie tak, jakby miał na stole rodzonego ojca. Nie mam mu czym zapłacić — jestem biedny jak mysz kościelna. Chociaż nie! Jestem bogatszy od amerykańskich miliarderów, bo moim ojcem sam Bóg, a więc mogę się modlić za swego dobrodzieja. I modlę się: „Dobry Boże, daj memu doktorowi wszystko co najlepsze, a przede wszystkim daj mu zdrowie i wolność. Niech najszybciej zobaczy swą czarowną ojczyznę." Później dowiedziałem się, że pochodzi z Gruzji.

Lekarz to wysoki, przystojny i młody mężczyzna, ale jak na swój wiek jest zbyt zamyślony. Musiał już w życiu wiele przecierpieć. Dokonuje operacji starannie, choć ja nie mogę wytrzymać, stękam, kapryszę, zwłaszcza, że się operacja przeciąga i słabnie działanie narkozy. Asystenci się niecierpliwią i popędzają go,

— Szybciej, szybciej. Kończ!

— Zaraz, zaraz. Jeszcze jeden drobiazg...

Po operacji leżę na wspólnej sali, na dolnych narach. Nie było tam żadnych oddzielnych legowisk. Leżymy jeden obok drugiego, i to tak ciasno, że i śledzie w beczce podniosłyby lament. Muszę być jednak zadowolony, bo jest ciepło, ale... nic więcej nie można pochwalić. Obracam się, aby mi nie świeciła w oczy żarówka, ale z drugiej strony inna bieda — sąsiad kaszle mi w nos i charczy przez całą noc. I tak na prawym boku nie mogę leżeć ze względu na chorego, na lewym przeszkadza żarówka, a na plecach po takiej operacji leżeć nie można. Chciałbym zamienić się z kimś na miejsca, ale nie ma chętnego.

— Widzicie go — mówią — źle mu z sąsiadem, to chciałby, żeby kto inny się męczył. Ze starym co kaszle nie można się dogadać, bo zaraz się złości. Co robić? Muszę przyjąć, jak nakazuje ewangelia, „krzyż na każdy dzień".

Przy wejściu do szpitala ogołocono mnie ze wszystkiego; zabrano całą odzież i nowe buty. Szpital robi na tym dobry „geszeft"; zabierając ubrania, zatrzymuje co znajdzie dobrego, a wypuszczając — wydaje najgorsze łachy. Mało tego zabierają wszystkie drobiazgi. W ten sposób straciłem nie tylko igłę i łyżkę, ale najdroższe dla mnie rzeczy i pamiątki — różaniec i wszystkie teksty liturgiczne, opracowane i przepisane w Bracku. Wracając do zdrowia, nie mogę już odprawiać mszy św., bo zabrano mi opłatki i wino. Widocznie ta pokuta bardziej się Bogu podobała niż modlitwa.

Gdy tylko czułem się lepiej, zaczynam na nowo starać się o przybory potrzebne do mszy św. Przede wszystkim z pamięci zapisuję teksty mszalne i modlitwy. Wtedy przydała mi się bardzo lampa paląca się całą noc. Aż zaciekawieni sąsiedzi zwracają na mnie uwagę.

— Co ty takiego piszesz?

Nic nie odpowiadam. Boję się nie natrafić znów na „stukacza".

Warunki życia szpitalnego są tu bardzo ciężkie, wyżywienie niedostateczne i nawet brak lekarstw i opatrunków. Pewnego razu skaleczyłem się w palec, idę więc do lekarza, aby zrobił mi opatrunek, a on mi na to pokazuje swój palec obwiązany jakąś czarną szmatką.

I ZNÓW CHULIGANI

W szpitalu niespodziewana sprzeczka z błatnymi przypomniała mi mój pierwszy łagier, Tajszet.

Pewnego razu podniosłem głos na młodziaka, który przechodząc w pobliżu, rozpuścił swój plugawy język.

— Czy ty się Boga nie boisz? Nie wstydzisz się tak wstrętnie wyrażać?

W baraku wszyscy umilkli, zaciekawieni co będzie dalej. Okazało się bowiem, że zaczepiłem samego herszta błatnych. Nie znałem go. Nie wiedziałem też nic o życiu i zwyczajach błatnych. Ale ten ich przywódca, Jan Zakawyka, tak był zaskoczony moim protestem, że tylko zdołał powiedzieć:

— Widzicie go? To mi się zdarza pierwszy raz w życiu... I wobec wszystkich stwierdził, że nikt mu się dotąd nie ośmielił przeciwstawić. Im nieprzyzwoite wyrażenia przychodzą tak łatwo, jak powiew wiatru, jak płynący potok. I dlatego Jasio mówi zawsze, co mu ślina na język przyniesie — wymyśla, klnie, bluźni, opowiada brudne „kawały". Nie wstydzi się nigdy, i nikt go od tego nie powstrzymywał. Zakawyka dodał jeszcze:

— Patrzcie, ten stary inwalida będzie mnie publicznie upominał.

A potem śmiesznie poważnym tonem zapytał wszystkich:

— A czy wiecie, obywatele, jakim zawodem ja się trudnię?

Nikt z nas nie wiedział, milczeliśmy więc.

— Jestem kieszonkowcem — objaśnił. Ot, kim jestem! Rozumiecie?

Zrozumieliśmy to wszyscy. Zakawyka wyrósł, jako „bezpryzorny" bez żadnej opieki. Był zdolnym chłopcem, poduczonym trochę w jakimś przytułku. Ale uciekł stamtąd i odtąd tułał się po świecie. To tu, to tam znalazł schronienie, „pracując" na życie „swoimi rękami". No i wpadł przy jakiejś okazji.

Tylko to dziwne, że Jasio mnie nie zwymyślał, a jeszcze dziwniejsze, że od tego dnia stał się mym przyjacielem i opiekunem. Poleca błatnym, żeby na czas „pawierki" (przeliczania) dawali mi „buszłat" (wierzchni waciak, długi do kolan, który wciągało się na „fufajkę"). Sam mi przynosi śledzie i zachodzi do mnie na pogawędki. Na moje nieszczęście zabrano go w etap . . . To było w Tajszecie.

Ale teraz moja sprzeczka z błatnym w szpitalu omal nie zakończyła się tragicznie. Już od paru dni kilku błatnych, którzy są po operacji, zbierało się w końcu sali i prowadziło tak sprośne rozmowy, że przechodziły one wszelkie możliwe granice. Starałem się panować nad nerwami, ale wreszcie nie wytrzymałem. Wyjść na dwór nie mogłem, bo po operacji byłem osłabiony i nie miałem wierzchniego ubrania, a na dworze było chłodno. Trzy czy cztery chałaty szpitalne miały wystarczyć dla trzydziestu do czterdziestu ludzi. Nic dziwnego, że były zawsze zajęte. Tak więc, chcąc nie chcąc, musiałem słuchać obrzydliwych rozmów. Wreszcze wyrwały mi się na usta słowa tak samo odważne, jak nierozważne:

— Że też musicie mówić takie świństwa. Sprzykrzyło się już nam ich słuchać.

— A tobie co do tego? — odzywa się przywódca. I w jego oczach zapala się zły błysk. Był to prawdziwy bandzior — nożownik. Nie znałem go dotąd.

— Mnie to do tego, żeście już przekroczyli wszelką miarę. Czy wam nie wstyd? Nie macie już naprawdę lepszych tematów do rozmowy.

— Nie podoba ci się, to zatkaj uszy!

— Nie tylko mnie się nie podoba, ale nikomu, chyba i wam samym też się nie podoba, tylko żeście się przyzwyczaili.

— Gdy ty się modlisz, my tobie nie przeszkadzamy, to i ty..

— Ja się modlę po cichu, a wy...

Na to prowodyr podkreśla z naciskiem:

— Już dawno chciałem ci wyrżnąć jedno oko, a teraz to ja ci dwa!...

Tymczasem wszyscy na sali, około trzydziestu ludzi, siedząc na swoich pryczach, w milczeniu przysłuchują się sprzeczce, i czekają co będzie dalej. Gdy bandyta zagroził mi straszliwą zemstą, z piersi wszystkich wyrywa się westchnienie. A ja jestem oburzony nie tyle na błatnych, ile na wszystkich neutralnych towarzyszy, którzy nie potrafią mnie wesprzeć w tym niebezpiecznym momencie. Kręcą tylko swymi pustymi głowami i kiwają na mnie, żebym zamilkł. Podobni są do maku w ogrodzie, który na wietrze porusza główkami. Od ludzi jednak spodziewałem się więcej rozumu.

Gdy teraz wspominam to przerażające spotkanie z błatnymi, nie mogę dotąd uzmysłowić sobie, dlaczego się wtedy nie przestraszyłem. Bo trzeba wiedzieć, że taki bańdzior nie mówi na wiatr.

O, Tajszetu nie zapomnę nigdy! Sam widziałem, jak zimą na początku 1950 r. wyskoczył z baraku mój znajomy spod Mińska S., z twarzą przerżniętą od oka. Był mroźny poranek o samym wschodzie słońca. Mróz taki, że ledwo można na dworze wytrzymać. Ale wstaje jakby w złocie promieni dzień jasny, cichy i tak cudowny, że zapatrzony nie mogłem się oderwać od tego widoku. Nagle widzę, że S. biegnie krzycząc:

— Ludzie, ratujcie, ratujcie!...

Krew z niego bucha. Rana od oka przez całą twarz. Wołam więc:

— Prędzej do ambulatorium, prędzej, prędzej!

Ambulatorium było tuż obok. Ranny więc wbiegł do niego. Nie widziałem go już więcej. Później się dowiedziałem, że stracił oko. Czy zarządzono śledztwo i sąd, nie wiem. Wydaje mi się, że nie, bo któżby ośmielił się świadczyć przeciw wodzowi błatnych? Przyczyna zajścia była bardzo drobna. S. posprzeczał się z bandytą i ten zagroził mu zemstą — rano przejechał śpiącego nożem po twarzy. Widać więc, że błatni po-

trafią wykonać swoje pogróżki. Zastanawiałem się później, czy mój zawzięty wróg ze szpitala nie był tym samym, co okaleczył S. w Tajszecie? Jakoś dziwnie pasowało jedno do drugiego... Za wielką łaskę Bożą uważam, że udało mi się wyjść cało z tej przygody.

Za moich czasów nie zdarzało się, żeby błatni grali w karty o cudze życie. Opowiadano mi jednak o takich wypadkach, że przegrywający partner musiał pobić, a nawet zabić człowieka, którego życie było stawką gry... Ale gdy ja byłem w obozie, dochodziło z zemsty do zwierzęcych rozpraw. W łagrze 0,20 kierownik jadalni, „frajer", odmówił wydania błatnemu dodatkowej porcji. Za to wieczorem dostał w głowę czymś ciężkim. Leżał potem długo w szpitalu i tam zmarł.

Podobnie było z litewskim księdzem Butwiłło. Ten otrzymał paczkę z Litwy i przy rozdziale nie dogodził błatnym, bo według ich mniemania dał im za mało. I jego zblili po głowie... W szpitalu był na dziale dla nerwowo chorych. Udało mi się z wielkim trudem uzyskać pozwolenie na odwiedzenie go. Miałem tylko pięć minut czasu na wizytę. Choroba księdza Butwiłło była poważna i przewlekła. Co się z nim stało, nie mogłem się dowiedzieć potem.

Odtąd, mając już doświadczenie, obchodziłem z daleka błatnych, ustępowałem im, byle nie sprowokować nieszczęścia. Mimo to czasem wpadałem im w ręce i kilka razy o mało mnie nie pobili. Zawsze jednak w krytycznym momencie znalazł się ktoś, co mnie obronił. Jednego razu skoczył na pomoc mało mi znany Turek. Ale za to poturbowali go potem, wyładowując na nim swą złość.

Innym razem w mojej obronie wystąpił mój brygadzista, Ormianin, choć mnie strasznie nie lubił. Zdarzało się tak i w innych wypadkach. Byłem gotów, jak fatalista uwierzyć, że się urodziłem pod szczęśliwą gwiazdą. Już na wolności zrozumiałem dobrze, że Bóg strzegł mnie „jak źrenicy oka" i chował mnie „w cieniu Swych skrzydeł" według poetycznego powiedzenia psalmisty. Jakżeż powinienem być wdzięczny

Miłosiedziu Bożemu i widocznej opiece Najświętszej, Niepokalanej Patronki mego zgromadzenia marianów, oraz memu patronowi św. Józefowi!

Pewnego razu przestrzega mnie przyjaciel:

— Nosisz jeszcze zagraniczne spodnie?

— Noszę, to są moje, mandżurskie. Czy kogo o to głowa boli?

— Tak. Patrzą na nie zazdrośnie prydurki. Nie sprzeczaj się z nimi, gdy ich zażądają.

— Przecież mi ich nie ściągną...

— Jak chcesz, ale pamiętaj, żeby to się źle nie skończyło.

— Ale moje spodnie są już znoszone i prześwitują.

— To nie ma znaczenia. Błatni chcą z twoich spodni porobić sobie czapki.

Ogarnęło mnie zdziwienie, złość i śmiech.

I naprawdę, za dwa czy trzy dni jeden z błatnych podchodzi do mnie i ni to prosząc, ni to grożąc, zażądał ode mnie moich ważnych portek. Dał mi za to dużo lepsze, ale sowieckie i na dodatek kilo chleba. Dostał w zamian moje, choć gorsze, ale zagraniczne. A potem paradowali w nowych czapkach, co sobie poszyli z moich starych portek. Nie wiem, coby na to powiedział Stalin? Jakiby urządził sąd nad tymi „salomonowymi" portkami?

I JESZCZE W SZPITALU

Choćby i siedmiu było doktorów,
śmierć przyjdzie jedna...

Na moim oddziale szpitalnym znajduje się Litwin, którego możnaby określić mianem „złote serce". Tak się szczęśliwie składa, że śpimy obok siebie. Zapomniałem jego nazwiska, będę go więc nazywał „Żmogus" (człowiek). Takiego trzeba szukać ze świecą i wart więcej niż stu byle jakich. Jego wiara jest prosta jak u dziecka, nie tylko modli się codziennie, ale żyje Bogiem. Nie wychwala się, ale czyny odbijają dokładnie jego duszę, nie było żadnej sprzeczności między nimi a wartością wewnętrzną. W przykrym życiu obozowym być dobrym dla innych i przychodzić im z pomocą jest dlań czymś zupełnie naturalnym. Pracowitość i cierpliwość „Żmogusa" jest niesłychana. Na Litwie był dekoratorem w teatrze. W łagrze został fryzjerem. Tylko do niego miałem zaufanie, gdy ostrą brzytwą ciągnął po gardle. A do innych? ...Któż to zgadnie? Fryzjerami w obozach bywali błatni, prydurki, którzy już nieraz maczali ręce w ludzkiej krwi. Żałuję, że tak mało czasu mieliśmy na pogawędki ze Żmogusem. Wraca z pracy bardzo późno, przemęczony, i zasypia od razu. A spał jak zabity. Moja choroba dobiegała już do końca i miałem dużo wolnego czasu.

Będąc rekonwalescentem dowiedziałem się od Żmogusa, że na dziale dla gruźlików przebywa chory Litwin, ksiądz Stacewicz (Stacevicius). Gdy nastała ciepła pogoda, pozwolono mi wychodzić z baraku. Wtedy odnalazłem księdza Stacewicza. Rozmawiałem z nim przez okno, a jednocześnie wyspowiadałem go

po łacinie. Udało mi się też zdobyć wino i opłatki. Mogłem więc nieraz odprawić mszę św. Wtedy przez Żmogusa przesyłałem choremu Komunię świętą.

W Tajszecie łatwiej mi było prowadzić pracę duszpasterską. Pomagało mi bowiem sąsiedztwo żeńskiego obozu przesyłkowego, w którym przebywało wtedy kilka sióstr zakonnych. Kobiety przychodziły na teren naszego obozu do ambulatorium, i w szwalni mogłem — choć z pewnym ryzykiem — spełniać religijne posługi. Jednak i tam wyśledziły mnie „złośliwe oczy". Ktoś złożył na mnie donos, że uprawiam religijną propagandę i naczelnik zagroził, że odeśle mnie do karnego obozu. Zacząłem się więc strzec i, dzięki Bogu, nie wpadłem. A mój przyjaciel ojciec Tomasz został skazany na obóz karny.

Zdrowie mojego znajomego księdza Stacewicza poprawia się. Może już wychodzić przed barak. Mój Boże! Jak wzruszające było nasze spotkanie. Jak serdecznie wyrażał swą wdzięczność za kapłańskie posługi. Co za miły towarzysz do pogwarki. Z miejsca zaprzyjaźniliśmy się i trudno nam było się rozłączyć. Był to wysoki i wychudły mężczyzna. Długotrwała i ciężka choroba zniszczyła go całkowicie. Poważny i powolny, jak to często bywa u Litwinów, a taki prosty, bezpośredni i szczery, jak tylko mogą być Boże dzieci. Zażył ponad miarę gorzkiej doli i ponurej beznadziejności wśród obcych, ale w tym nie zgorzkniał, owszem cierpiał spokojnie poddając się Opatrzności Bożej, jak przystało na prawdziwego męczennika Chrystusowego.

— Dobranoc! Jutro się znów spotkamy.

W Szpitalu nr 1 katolików było mało, a ja sam chorowałem, byłem jakby odrętwiały. Czy na taki stan wpływa zaawansowana anemia, czy obawa, nie wiem. Myślę, że przyczyniał się do tego brak duchowej podpory, której bardzo wtedy potrzebowałem.

W początkach czerwca jest coraz cieplej, a krótka i przykra wiosna ustępuje syberyjskiemu latu. Chorzy zaczynają ciągnąć na słońce, wygrzewają się na progach baraków lecząc się powietrzem i ciepłem, tym bardziej, że brak im odpowiedniego wyżywienia. Lato na Syberii jest bardzo przyjemne, nie za gorące, ale rozsłonecznione. Przyroda, zda się, chce

wykorzystać dni i noce. Wszystko kwitnie na potęgę, gdyż już w końcu sierpnia nastają chłody i nie będzie czasu ani na kwitnienie, ani na dojrzewanie. Syberia, podobnie jak Mandżuria, ma bardzo dużo słonecznych dni; całymi tygodniami niebo jest bez chmur. Od czasu do czasu przejdzie pożądany deszcz, zerwie się burza, zahuczy grzmotami, załomoce piorunami, zaleje świat potokami wody, odświeży zieleń, obmyje ziemię, oczyści powietrze, ożywi ludzi. Przyroda staje się jakby odrodzona, a potem znów nastają całe tygodnie bezchmurnej pogody.

I ludzka przyjaźń bywa podobna do pogody — jest albo trwała i słoneczna, albo jakaś mglista i przelotna. Moja przyjaźń z księdzem Stacewiczem wyłoniła się niespodziewanie i rozwijała się poprostu cudownie, bo i charakterami odpowiadaliśmy sobie. Podobnie jak ludze odpowiadają sobie przy transfuzji grupą krwi, gdy krew mocnego ratuje od śmierci słabego. Niestety, myśmy obaj byli słabi i raczej należało nas porównywać do dwóch kalek, wzajemnie się wspomagających.

Ale los chciał, że nasza przyjaźń tak się nagle skończyła, jak nagle się zaczęła. Zdawało się, że nic nas nie rozdzieli, a jednak trzeba było rozstać się na zawsze. A potem doszła mnie wiadomość że mój kunigas (ksiądz) zmarł. Nie dowiedziałem się kiedy i gdzie został pochowany. Co za bolesna strata! Rozłączyła nas zła, sowiecka dola.

Nie od nas zależał wybór miejsca lub osób według upodobania czy potrzeby; musieliśmy pracować i żyć z ludźmi niemiłymi, z wrogami, bo taka była wola naszej nieludzkiej władzy, która z upodobaniem łączyła kota z psem i wilka z bezbronną owieczką. Kiedyś w Mandżurii widziałem, jak Chińczyk zaprzągł do pługa konia, osła i krowę, a tu w łagrach spotykałem jeszcze bardziej złośliwe i przemyślne kombinacje, dokonywane na ludziach . . .

Nawet w rozmowach obozowych wyziera na każdym kroku nasza niewola. Więźniowie nie mówią:

— Kiedy pójdziemy do pracy? Ale — kiedy nas pogonią do pracy?

Czy słyszeliście, aby ludzie życzyli sobie czegoś złego? Żeby modlili się o chorobę? Zwykle życzą: „Niech ci Bóg da zdrowie", albo klną „Niech cię cholera..." Ale w łagrze nie było rzadkością, że ludzie życzyli sobie czegoś najgorszego i martwili się, że są zdrowi: „Dlaczego to innym udaje się zachorować? A ja jak na złość zawsze zdrowy i nigdy nie mogę uczciwie powalić się do łóżka..."

Nie z nadmiaru powodzenia chyba więźniowie odcinali sobie na robotach palce („samoruby") lub w inny sposób okaleczali się czy wpędzali w chorobę? Albo też odmrażali sobie ręce, nogi, byle tylko być zwolnionym od pracy. Początkowo dziwiłem się temu, widząc tak duży procent okaleczonych. Myślałem, że to inwalidzi wojenni.Gdy mi opowiedziano o „samorubach", oburzyłem się:

— Jak można tak robić? Toć to i grzech ciężki kaleczyć się na całe życie, i nie ma sensu...

Aby jednak wydać sąd o człowieku, trzeba poznać warunki niewolniczej pracy:

Człowiek zmordowany życiem, zostaje niesprawiedliwie skazany na 25 lat! I jak może wytrzymać całą katorżniczą poniewierkę nad siły, gdy całymi dniami pracuje w lesie przy wyrębie, spuszczaniu ogromnych sosen, modrzewi syberyjskich lub dębów, w ustawicznym niebezpieczeństwie, zagrażającym życiu przy tej pracy, lub ze strony głupawego sąsiedniego zespołu?

Gdy brak mu odpowiednich narzędzi — nie umie lub nie ma czym ich naostrzyć, naprawić i dostosować do wykonywanego zadania (dotąd zwala się tam ręcznymi piłami)?

Gdy źle ubrany i zagłodzony dostaje nadmierną, nie do wykonania normę, albo stoi mu nad karkiem zwariowany brygadier i stale wymyśla i pogania „Dawaj, dawaj!", a potem oszukuje w obliczeniach?

Gdy zasłabnie, a tchórzliwy lekarz (boć i on jest więźniem) nie daje zwolnienia w chorobie (trzeba mieć temperaturę 37,4 C, a skąd ją wziąć przy zaawansowanej anemii)?

Gdy za niewykonanie nadmiernych norm zmniejszają głodowy „pajok"?

Gdy zimą trwają syberyjskie mrozy, a latem zagryza do krwi przeklęta drobna muszka?

Któż posiada tak żelazne zdrowie i nerwy, żeby całą tę gehennę przetrwać? A dalej, jak silny i pełen mądrości Bożej musiałby być duch człowieka, ażeby nie popaść w rozpacz i nie zdecydować się na samookaleczenie lub samobójstwo?

Do jakiego stanu potrafili doprowadzić długotrwałą męką, że ludzie zdobywali się na dobrowolne kalectwo, tym bardziej że za to groziła „dobawka" więzienia czy łagru na trzy do pięciu, a nawet więcej lat. Lecz rozpacz nie zna ani strachu, ani wstydu i pozbawia człowieka rozumu, stając się powodem jeszcze większego niż dotychczasowe nieszczęścia.

Trzeba tylko porozmawiać z robotnikami zatrudnionymi w kamieniołomach, przy tłuczeniu kamieni na szosy, wydobywaniu węgla, miedzi lub innych rud, w kopalniach soli, sody, wapna — zamęczanych przy brudnych, pełnych pyłu lub niebezpieczeństwa pracach...

W Sowieckim Sojuzie nawet robotnicy pracujący na wolności nie znajdą obrony swych praw. W Sojuzie wszystko państwowe. Nie ma przedsiębiorstw prywatnych czy spółdzielczych, nie ma też niezależnych związków zawodowych; Istniejąca Ogólnozwiązkowa Centralna Rada Związków Zawodowych ściśle współdziała z Partią Komunistyczną, stąd też państwo — to zarówno kapitalista, jak i jedyny obrońca(?) klasy robotniczej. Każdy strajk uważany tu za bunt przeciw państwu. W robotników wmawia się, że:

— „Wszystko jest wasze" — ale „wasze" w łapach komuny.

Tym bardziej robotnicy-więźniowie nie mają ani woli, ani praw. Władze troszczą się tylko o to, ażeby ich gnać do roboty, poganiać w robocie, i zganiać z roboty. Nic dziwnego, że samowola różnych miejscowych kacyków nie ma granic. I choć w Sowieckim Sojuzie dokonują częstych i ostrych rewizji i kontroli, przeprowadzają sprawozdania, statystyki, współzawodnictwa itd. ale to wszystko ma na celu samokrytykę, a nie obronę człowieka.

Na początku kwietnia 1950 r. na terenie szpitala przystąpiono do budowy nowego oddziału. Do kopania fundamentów zabieramy się całą gromadą — lekarze, felczerzy, naczelnicy, no i my rekonwalescenci. Ale cóż, jestem jeszcze bardzo słaby i nie przyzwyczajony do fizycznej pracy, więc nie mogę wykonać naznaczonej mi normy, choć w swej naiwności bardzo się o to staram. Grunt jest gliniasty i twardy — nie na moje siły. Przy pracy przygląda mi się pilnie starszy sanitariusz (tak nazywano opiekunów poszczególnych sal), a potem woła do siebie i pyta kim jestem, czym się zajmowałem? Na zakończenie rozmowy mówi:

— Jutro przyjdź wcześniej na robotę, będziesz zapisywał, kto tu pracował, ile czasu, ile zrobił itd.? Przygotuj co do tego potrzeba.

— Dobrze.

Tak się tym cieszę, jakbym znalazł skarb. Nie będę już potrzebował więcej kopać. To nic, że na jutro zorganizowano orkiestrę, która z wesołą muzyką miała wieść inwalidów do społecznych zapasów.

Ale świat tak marnie jest urządzony, że małe i wielkie szczęście nie przychodzi bez kłopotu. Od razu stanęły przede mną przeszkody — jak zdobyć ołówek i zeszyt? Bo w łagrze często tak bywa (zresztą jak i w całym państwie sowieckim), że dadzą ci terminową pracę, a nie dadzą potrzebnych do wykonania narzędzi, albo dadzą narzędzia nieodpowiednie. I wtedy mówią zachęcająco:

— To mało ważne, sam się postaraj o wszystko. Poszukaj, poproś . . .

Pozostaje znów jedyny sposób — ukradnij, tylko uważaj, żeby cię nie złapali. Można też pożyczyć i nie zwrócić lub wyprosić i nie oddać. Ale w tym bieda, że tu wszystkim wszystko potrzebne — wszyscy wszystko przed wszystkimi chowają, strzegą i domagają się zwrotu. Kradzież przeto staje się koniecznością, a więc doskonalą się jej sposoby, a dla przeciwwagi udoskonala się system kontroli i doskonalą się kary sądowe — za drobne przestępstwa 10 lat.

Popadłem więc w niesamowite opały; żadną miarą nie mogłem w ciągu dwóch do trzech godzin zdobyć zeszytu i ołówka. Nic w tym zresztą nie było dziwnego,

przecież sami naczelnicy na codziennych kontrolach ludzi pisali na deseczkach, które potem trzeba było zeskrobywać szkłem. Był już późny wieczór, a ja wciąż nie miałem „monety" obiegowej, czy „waluty". A sprawa przedstawiała się śmiesznie prosta. Trzeba znaleźć bogacza, co posiadał w zapasie „to i owo" i powiedzieć:

— Weź za mnie za trzy lub cztery dni cukier, a daj mi ołówek i papier.

Tak w łagrze musiał kupować wszystko każdy proletariusz. Wtedy ów „kapitalista" czy spekulant przy wydawaniu posiłku pobierał podwójną porcję, a biedak podwójnie wzdychał i obaj byli zadowoleni.

Za cebulę można było kupić wszystko, z wyjątkiem chyba ptasiego mleka. Czosnek? Ten miał większą cenę niż na wolności czekolada. Bywało, zasiądzie do stołu „bogacz" i szczodrą ręką rozdaje sąsiadom po ząbku czosnku, a nie znajdzie się nikt, co by odmówił przyjęcia daru. Niektórzy smakosze rozgniatają czosnek na chlebie, a potem jedzą go z taką powagą, jak Anglicy i Amerykanie jedzą na Boże Narodzenie indyka.

PRZEWODNIK NIEWIDOMYCH

Lepsze jest jedno oko swoje,
niż cudzych dwoje.

Zdaje się, że nikt nie rzucił na mnie przekleństwa: „Bodajbyś ślepych wodził”. A oto doczekałem się. Z daleka wydaje się, że to próżniacza robota, a w rzeczywistości jest bardzo ciężka i wyczerpująca nerwowo. Gdybym mógł się jej spodziewać, zawczasu bym się do niej przygotował, a tak muszę praktykować na żywych ludziach.

Cały wieczór dreptałem szukając ołówka i papieru i już dobijałem targów, aż tu nagle, jak grom z jasnego nieba, zwaliła się na mnie nowa bieda: „przenieś się rzeczami na oddział nr 11”.

Przenoszę się i udaje mi się znaleźć nowe legowisko. Ale wpadam w zupełnie inne życie. Nowi ludzie i porządki. W dodatku sanitariusz, gospodarz sali, mój obecny zwierzchnik, był człowiekiem stanowczym. Wkrótce miałem się o tym przekonać. Zawiadamiam go:

— Mam na jutro wyznaczoną przez poprzedniego sanitariusza specjalną pracę przy budowie.

A on na to:

— Ja cię do żadnej pracy nie puszczę.

— Żeby tylko nie wynikła stąd jakaś awantura.

— To już moja sprawa.

Biegnę więc do dawnego sanitariusza:

— Mój nowy zwierzchnik nie puszcza mnie do wyznaczonej przy budowie pracy.

A ten mówi:

— Jednak ty na budowę przyjdziesz.

Nowy powtarza:

— Do tamtej pracy nie pójdziesz i więcej na ten temat nie będziemy gadać.

Posprzeczali się o mnie jak o zabawkę, a ja przegrałem na całej linii, bo straciłem obiecujące zajęcie i rozzłościłem nowego pana; ale musiałem go słuchać jak niewolnik, którego nabył nowy gospodarz. A on posłał mnie do swojej roboty — pleć kwiaty w swym oddziale.

— No — myślę — nie przepracuję się przy tej robocie, przynajmniej nie potrzeba tu ani ołówka, ani papieru. A będę sam.

Idę więc pogwizdując. Pogoda po rannym deszczu jest łagodna i ciepła. Zaczyna się druga połowa czerwca. Jest to granica pomiędzy wiosną i latem syberyjskim. Tu wszystkie kwiatki ustawicznie zwracają główki ku słońcu; niektóre z nich zamykają szczelnie swe płatki na noc, rozchylając je w rannych promieniach. Pszczoły i trzmiele latają od wczesnego przedświtu do późnego wieczora po zachodzie. Nic dziwnego, że pszczoła po kilku tygodniach staje się inwalidą, a czasem pod wieczór nie ma siły wzbić się w górę i kończy swe robocze życie przy warsztacie pracy. Zapatrzyłem się na jaskółki, jak przecinały z piskiem powietrze; to z zawrotną szybkością spadały w dół, to jak błyskawica wzbijały się w górę. Pliszki, których tak mało u nas w kraju, tu drobiły nóżkami po wszystkich ścieżynach, kiwając długimi ogonkami.

Praca moja wydawała się od zewnątrz bardzo poetycka. Przebywałem dosłownie na łonie natury, jak pokrzywa pomiędzy cudownymi kwiatami, sam stary i wyniszczony, ale w świeżej zieleni; wykwitałem jak znachor, co zbiera zioła do leczenia i „zamawiania". Inwalidzi przechodząc spoglądają na mnie zazdrośnie, a znajomi kiwają głowami:

— Jak ci leci? Ciężką masz pracę? Ha, ha, ha...

Nikt się nie domyslał nawet, jak strasznie zatruwał mi życie maleńki rozbójnik. Było to utrapienie, które trudno warazić słowami. W początku czerwca przylatuje i szybko się pleni straszliwa plaga — roje much. Muszki podobne do naszych, ale drobniutkie, jak łebek szpilki. Na Syberii nazywają je „maszka"

Unosi się ich całe miliardy, krążą jak chmury. Aż wstyd się na nie użalać! Są jednak niesamowicie dokuczliwe i „szkudne", jak mówią Kurpie. Wlezie to w każdą szczelinę i nie gryzie, a tnie boleśnie ostrym żądłem, z jadem jak u pszczół. A wciśnie się wszędzie w oko, ucho, nos, za kołnierz... przy tym ukąszenie wywołuje okropne swędzenie. Żądła mają jak cieniutkie igiełki. Tworzą orkiestrę, jednostajnie nastrojoną na ton jękliwego, żałosnego zawodzenia. Rozdrażnia ona i tak już rozbite nerwy. Najgorzej, gdy się pochylić lub poruszyć trawą, wtedy „maszkara" napada jak rój rozłoszczonych szerszeni. W lato trzeba zakładać siatkę na twarz — „nakomarnik". Mała to jednak obrona — muszki przełażą przez otwory siatki. Złość człowieka bierze, że napastnik malutki, a nie można mu dać rady. Niektórzy ludzie nie boją się „maszkary". Sam widziałem takich, do których się ona nie przyczepiała. Nie wiem dlaczego, bo innych potrafi wprost wpędzić w chorobę; chodzą pokrwawieni i opuchnięci, dostają gorączki i wstrząsu nerwowego. Od ukąszenia całe ciało swędzi i jątrzy się. Żadna maść na to nie pomoże. Jednak organizm może się po trochu przyzwyczaić i już się wtedy nie puchnie.

Widziałem pewnego Niemca, gdy przyszedł wieczorem z pracy. Tak był pogryziony, że jego ręce, twarz i szyja wydawały się jedną krwawiącą raną, jakby go odarto ze skóry.

W wietrze i słońcu maszkara mniej atakuje. Najgorzej jest tym którzy pracują pochyleni i mają zajęte ręce.

W taką to cudną pogodę przypada mi pleć nieszczęsne kwiatki. Muszki poczuwszy świeżą krew nalatują na mnie nieprzejrzanymi rojami. Przypominam chłopca, którego matka chciała zbić rózgami, a on nago, uciekłszy do ogrodu, skrył się w pokrzywach... I ja nie mam ratunku, myślę, że oszaleję. Poradzono mi, żebym twarz okrywał trawą, bo nie miałem siatki. Ale nic to nie pomaga. Muchy dalej lezą w oczy. Postanawiam wytrzymać, przecierpieć, ale gdzież tam! Wieczorem wyglądam jak napompowana piłka, mam zapuchłe oczy i twarz, gdyż pracowałem właśnie po

ciepłym deszczu w wysokiej trawie, a one przeklęte rzucały się na mnie jednego. Nerwy mam roztrzęsione tak, że jestem nieomal na progu załamania. Nastały właśnie tak parne dni, że ludzie ściągali z siebie wszystko, a ja szczelnie zapinam ubranie, twarz okrywam chustką i jestem zlany gorącym potem. Na kwiatach rosa mieni się w słońcu jak brylanty, a ja wolałbym pleć czarcie ziele, a nie te cudowne kwiaty. Przechodzący mimo przyjaciele pozdrawiają mnie przyjaźnie, a ja żałuję, żem się na świat narodził. Jak to jednak nawet dobrzy i mądrzy ludzie nie mogą zrozumieć cudzej niedoli i zazdroszczą temu, któremu raczej współczuć trzeba.

Oto dlaczego Bóg w nieskończonej mądrości tak mnie w życiu doświadczał sieroctwem, biedą, chorobami, pracą nad miarę, zsyłał mi wrogów, krzywdy, pożary, niesprawiedliwe sądy, tiurmy, łagier na „25", a teraz jeszcze tę plagę, abym sam zakosztowawszy niedoli, mógł zrozumieć cudze cierpienie.

Trzeciego wieczoru, kiedy już zupełnie zwątpiłem w możliwość polepszenia swej doli, niespodziewanie starszy sanitariusz zawiadamia mnie:

— Zajmiesz się ślepymi.

— Co takiego? Jakimi ślepymi?

— Jest u nas trzech niewidomych ludzi, będziesz ich przewodnikiem.

— Co przy nich robić? Nigdy jeszcze nie zajmowałem się niewidomymi.

— To nic. Dasz sobie radę. Musisz ich nakarmić, dać pić, wykąpać w łaźni, spać z nimi, dawać lekarstwa, i robić wszystko, co będzie trzeba.

Jestem zdumiony, cieszę się, żem uciekł od muszek (niech je piorun spali!), ale obawiam się, abym nie wpadł w coś gorszego, bo mam zawsze takie szczęście, że trafiam z deszczu pod rynnę. Jednak więzień nie ma wyboru — robi, co mu każą, przecież jesteśmy niewolnikami.

Prawdę mówiąc, powinienem się wstydzić, żem tak duchowo upadł. Inni ludzie znosili przez dziesiątki lat tę samą mękę, co roku aż do śniegu, bo wtedy dopiero maszkara ginie. I nie mieli w pracy żadnej odmiany ani pomocy, ani żadnego współczucia. O cier-

pliwy, biedny więźniu łagierny! Tylko Bóg jeden zna wszystko, przez co przechodzisz.

*

Idę więc „pokazać się" niewidomym. Jest ich trzech: Białorusin z Polesia, Rosjanin z Nowogrodu i Łotysz z Libawy. Białorusin to rolnik, Rosjanin — stolarz, obydwaj mają po pięćdziesiąt lat, Łotysz jest inżynierem i ma sześćdziesiątkę .Zaniewidzieli w łagrze na skutek nadmiernej pracy. Wszyscy trzej mogą spoglądać na słońce, choć na zewnątrz ich oczy wyglądają normalnie. Inżynier jest człowiekiem rozmownym, ale nerwowym, dwaj pozostali — prości i potulni jak owieczki.

Przyjęli mnie z zaciekawieniem, ale i z niedowierzaniem, pewnie dlatego, że byłem katolickim księdzem, bo Łotysz był luteraninem, a dwaj pozostali — prawosławnymi. Wkrótce przyzwyczajają się do mnie, i bez żadnej ceremonii wołają, gdy czegoś potrzebują. W niedługim czasie Rosjanin i Białorusin bardzo się do mnie przywiązali, Łotysz zaś pozostaje nadal ostrożny i swym zachowaniem sprawia mi dużo kłopotu. Uważany był tu za „bogacza", bo dostawał regularnie paczki od rodziny z Łotwy, a my trzej nie otrzymaliśmy znikąd żadnej przesyłki.

Po operacji organizm mój był do tego stopnia osłabiony, że omdlewałem; potrzebowałem pomocy w żywności i lekarstwach, a szpital sam był biedny i skąpy. Można zrozumieć, jakim umartwieniem jest dla mnie wyjmowanie z worków Łotysza jego zapasów: słoniny, kiełbasy, masła, sera, cukru, cebuli i czosnku — rzeczy niedostępnych, a najbardziej pożądanych dla głodnego więźnia. Kto sam nie był głodny jak wilk wczesną wiosną, nie zrozumie tego. Podobnie i murzyn nie może zrozumieć, co to jest śnieg, choć o nim czyta i widzi na obrazkach w książce, bo śniegu trzeba się dotknąć. Inżynier przyzwyczajony w życiu wszystko mierzyć, i teraz doskonale się orientował w mierze i wadze swoich prowiantów — ile wszystkiego było, ile wczoraj zjadł i ile musiało pozostać. Zawsze więc ściśle mnie egzaminuje. Znienacka brał

zapasy i wszystkie obmacywał, czy czego nie braknie. A niech się zdarzyło, że zapomniałem, co on jeszcze ma i gdzie to leży, lub ile było wczoraj, wtedy się miałem... Złość mnie brała i na inżyniera i na siebie, że nie mogę go przekonać, że nic mu nie zabieram. Myślę, że opiekunowie go okradali, dlatego teraz nikomu nie wierzy.

Do tego doszła i inna bieda. Ślepy Łotysz nie lubi Białorusina i strasznie się ze sobą kłócą. W nocy, gdy kładą się obok siebie, hałasują i rwą się do bójki. Nie mogłem ich pogodzić, dopóki sam nie położyłem się między nimi; wtedy dopiero się uspokoili. Podobnie swoją taktyką zdobywam zaufanie Łotysza co do worków z żywnością. Wreszcie przemówił jakimś ludzkim głosem, a nawet odstąpił mi w drodze wielkiej łaski część swojej porcji obozowej. Ta mizerna wdzięczność ma jednak dla mnie pewne znaczenie, choć i tym podarunkiem podzieliłem się z dwoma ślepymi.

Choć jestem przewodnikiem ślepych bez praktyki, postanowiłem jednak nauczyć ich pewnej samodzielności.

— Inaczej — myślę — na śmierć mnie zamęczą, ciągnąc każdy w swoją stronę.

Przede wszystkim uczę ich chodzić o lasce; chwalę, poprawiam, i wkrótce Białorusin i Rosjanin nabrali śmiałości i okazali się pojętnymi uczniami. Stawiam ich na ścieżce, a oni chodzą sami, zawracają, przysiadają na ławce i sami przychodzą na salę; cieszą się ze swej samodzielności, a „publiczność" chwali mój system.

Za to uczony inżynier nie chce podjąć próby, upiera się „jak ślepy przy płocie" i nie chce nawet słyszeć o samodzielnym chodzeniu. Zawsze męczy przewodnika. Potrafi on narzekać jak baba, wymyślać jak „wielki pan" i po chamsku skakać do oczu. Nie mogę jednak ulegać głupim zachciankom takiego samoluba. Chociaż obok dziwactw ma on i dobre cechy. Nie narzeka na ślepotę. Kategorycznie nie zgodził się na operację, mimo że poważni lekarze obiecywali uratować mu jedno oko. A on i słuchać o tym nie chciał.

— Nie wytrzymam jej... umrę... Gdy wyjdę na wolność, wrócę na Łotwę i tam zrobią mi operację...

Opowiada mi dużo o wolnej Łotwie. Do 1940 r. małe to państwo dorobiło się swoją pracą pełnego dostatku. On sam pracował wtedy w nowej cukrowni; wraz z córkami dokonywał w laboratorium różnych prób i doświadczeń. Wydobywali nowe gatunki cukru z młodego żyta, pszenicy i innych roślin, a ich cukier z gruszek był dobrze znany na rynkach zagranicznych zarówno bliskich, jak i dalszych.

— I do czego doszło! Łotwa straciła wolność i dobrobyt, a mnie skazano na długoterminowy obóz i tu oślepłem od ciężkiej pracy.

Z rozmów mogłem poznać, że był to człowiek praktyczny. W państwie swoim miał duże znaczenie jako inżynier chemik. Wkładał wiele pracy i wysiłku dla dobra swej ojczyzny.

— Miałem — opowiadał — w Mitawie dom na dwadzieścia rodzin, a przy domu wielki sad. Specjalnie zbudowałem go przy stacji kolejowej, żeby mieć jako lokatorów pracowników kolei. Mogli oni przebywać w ogrodzie i zbierać „spady" z drzew, nie wolno im było jednak zrywać owoców. W ogrodzie i domu panował idealny porządek i czystość. Gdy owoce dojrzewały, rozdzielałem je równo dla każdej rodziny. Mieli więc wygodę i przyjemności, nic więc dziwnego, że lokale były zawsze zajęte.

Przez takie rozmowy poznajemy się nawzajem i gdyby tak jeszcze przez jakiś czas razem przebywać, doszłoby zapewne między nami do dużego zbliżenia i przyjaźni. Ale po obozie niespodziewanie zabrzmiało magiczne hasło:

— Etap, etap!

KRZYŻOWA DROGA

W ciężkiej niedoli i słonko grzeje,
i wietrzyk wieje,
i słowik śpiewa . .

4 lipca 1950 r. w Szpitalu nr 1 ogłoszono wielki etap. Wchodzi do niego 70 osób, głównie inwalidów. Zarząd Centralnego Szpitala chce wykorzystać ciepłą pogodę, aby nam dać byle jakie ubrania; dają nam więc lekką odzież, naturalnie ostatniej kategorii, zupełne łachmany, gdzie łata goniła łatę, byle się tylko nas pozbyć. Tym bardziej odpowiada im wysyłka, bo mogą nas popędzić pieszo około 5 km do pobliskiego łagru.

Przygotowanie do drogi nie jest takie proste. Wyłaniają się kłopoty, dreptanie w kółko, sprzeczki. Najpierw trzeba zdać pościel i szpitalne rzeczy: po tym odzyskać swoje, zdobyć bieliznę na etap, ubranie i buty, a wiadomo, w gromadzie kto pierwszy, ten lepszy. Ileż trzeba mieć sprytu, energii i siły, ażeby z ogólnej kupy przyodziewku i obuwia dobrać na swoją miarę i najlepsze z ciuchów. Ja musiałem też pomyśleć o niewidomych; nie mogą oni poznać swojej dawnej odzieży, lecz oceniają jej wartość bardzo wysoko, a choć nie widzą, potrafią momentalnie odróżnić dobre od złego. Nic dziwnego, że powstał taki kiermasz jak w Smorgoniach, a harmider jak w synagodze. Wszyscy się spieszą, denerwują i wrzeszczą. Oj, jak wrzeszczą!... Ledwo zdążyłem przyodziać moich podopiecznych, gdy rozlega się komenda:

— Stanawiś! — do szeregów!

Dobrze, że ja nie potrzebuję wybierać, bo została tylko jedna para butów. Szczęściem rozmiar w sam

raz mi odpowiada. Przypominam im w składzie, że zdałem nowe buty, jakie zdobyłem głodówką w Czycie, ale tu taki porządek i... och! — gwóźdź wlazł mi w prawą piętę... Co tu robić? Nic, bo już nowa komenda:

— Do szeregów, równać!

A tu nie ma „poczekaj". Doganiaj, bo inaczej wpadniesz.

Zawczasu zdobyłem przewodników dla Białorusina i Rosjanina, a sobie zatrzymuję Łotysza (najcięższe jarzmo). Tak się rozpoczyna moja „mała", ale pamiętna „krzyżowa droga". Dostaję się z moim pacjentem do pierwszej piątki. Zarzuciłem na plecy lekki swój worek z drobiazgami i drugi łotewski o poważnej wadze. Prawą ręką trzymam obydwa worki, na lewej uwiesił się mój niewidomy. Prawą nogę stawiam delikatnie, opierając się na paluszkach, bo w bucie pod piętą sterczał bezwstydnie gwóźdź. Kilka razy nas przeliczają według list i bez list, oglądają ze wszystkich stron i — stosownie do sowieckiego prawa — pada sakramentalne:

— Krok w lewo, krok w prawo strzela się bez ostrzeżenia... i w „pachod"!

Wiemy, że to nie są czcze pogróżki. Strzelali, zabijali i dostawali za to nagrody, a przecież na drogach pełnych wyboi i dołów, o „krok w bok" tak nie trudno. Nikt jednak nie zwraca uwagi na ostrzeżenia, boć tu śmierć nie straszna.

— Gotów... Marsz!

Idziemy. Za bramą rozglądamy się wokoło. Słychać szepty...

— Dokąd nas pognają?

— Albo do 0,20, albo do 0,21.

— 0,21 byłby lepszy.

— Och, Boże, błogosław!

Idziemy. Cóż za droga! Od dawna już takiej nie mieliśmy — ciepło i przyjemnie; poranne powietrze świeże i delikatne, żadnego wiaterku, żadnej chmurki. Początek syberyjskiego lata. Nad nami rozpościera się błękit, a powietrze tak przeźroczyste, jak we Włoszech lub Mandżurii. Z wyżyny rozciąga się przed nami nie dająca się objąć przestrzeń i cią-

gnie się dziesiątki kilometrów w dal. Słońce zlewa na ziemię bezmierne bogactwa światła i ciepła. Cała przyroda garnie się ku słońcu. Chce się nim nasycić i nacieszyć, chce odetchnąć po syberyjskiej zimie. Wszystko tu kwitnie jednocześnie; nie ma kwiatów wiosennych, czy jesiennych — wszystkie one, to letnie kwiaty. Gdy nadciągnie jesień, po jednym porannym mrozie zwarzy nie tylko kwiecie, ale każdy żywy liść. A więc, komu życie miłe niech się spieszy kwitnąć, żyć i radować się! Narzekać i umierać będzie czas później...

Wchodzimy na tor kolejowy; okolice wokół nas przecięte bystrą rzeczką. Wije się przez łęgi i doliny, jak wąż wybłyska i skrzy się z pomiędzy krzaków, kęp drzew i zarośli. Wśród tych cudów wpadają w uszy dźwięki słowiczych pieśni. Rozdzwoniły się, rozkląskały, aż żywiej bije serce. Bo oto człowiek zagnany do szpitala, odgrodzony od całego świata wysokim parkanem, nagle w przepiękny dzień letni spojrzał bezpośrednio na Boży świat. I choć byliśmy okrążeni uzbrojonymi żołnierzami i złymi psami, jednak możemy jakby dotknąć się nie ujarzmionej, wolnej przyrody, swobodnej woli, czego pozbawiła nas bezprawnie Moskwa na „25"... Oddychaliśmy głęboko, jak ludzie będący na swobodzie, jak wszelkie żywe stworzenie. Ale... coś tu nie pasuje...

Idziemy piątkami torem kolejowym. Podkłady źle ułożone sterczą z ziemi, szyny przeszkadzają w pochodzie, inwalidzi potykają się. Dwóch konwojentów krzyczy na nas z przodu, dwóch z lewej i dwóch z prawej pogania z boku, a dwaj z tyłu depczą po piętach. Strasznie się niecierpliwią, że pochód marudzi.

— Dłuższy kro - o - o - k, dołą - ą - ą - cz!

Przecież my wszyscy wracamy ze szpitala po ciężkich chorobach lub operacjach. Mamy też trzech ślepców, jak więc możemy pospieszyć? Ale znaleźli się między nami i silniejsi, którzy wysforowali się do pierwszych szeregów, i pędzą. Burczę więc na nich:

— Nie lećcie, słabsi nie mogą za wami nadążyć!

Porywa mnie złość. Czego oni tak gnają, aż trzęsą się? Czy tak się lękają krzyku konwojentów? Bo

żołnierze jak wilki bez litości nas pędzą, a inwalidzi jak stado owieczek — lecą bez pamięci.

Pomiędzy mną a Łotysem szyna, a pod nogami podkłady. Ślepy trzyma się mocno mojej lewej ręki, już jej poprostu nie czuję. Worki na plecach się rozłażą i nie mogę ich poprawić, bo stale idziemy i nie pozwalają się zatrzymać, a trzeciej ręki nie mam, więc i prawa ręka omdlewa. Słońce wytoczyło się wysoko i mocno dogrzewa, worki parzą na plecach. Wszyscy się spieszą, tylne szeregi wpadają na nas, pot zalewa oczy. Nie mogę już dać rady ani ze ślepym, ani z workami, ani sam z sobą; czuję, że wkrótce upadnę i zemdleję... Mój Boże, ratuj!... Nie wiem skąd mi przychodzi nowa fala siły. Odczuwam przypływ energii. Nie, już nie zemdleję.

Teraz przypada największy „urodzaj" na muchy. Owadów, much i tej najmniejszej — całe chmary. Bzyczą i prosto w oczy celują. A ja właśnie nie mam trzeciej ręki, nie mogę ich odpędzać. A przy tym i główny konwojent oszalał (czy go jakieś licho opętało?), bo krzyczy od przodu:

— Nie trzymaj się za ręce!

Nie mogę odpowiedzieć krzykaczowi, że prowadzę ślepego, a niewidomego nie mogę wypuścić z rąk na podkładach i w pośpiesznym marszu. Głośno krzyczeć do niego to, prawdę mówiąc, boję się, bo on przecież z karabinem, a ja ich groźby dobrze pamiętam.

Ale czy mało było mojej biedy?

Tak, tak, mało, bo gwóźdź już dobrze wwiercił się w piętę; czuję, że krwawię, a ból przeszywa ciało do samego serca. Zdawałoby się, że pięta ma małą wartość, ale i ona jest mi droga, i pięta jest ostatnią instancją; do niej to jak wiemy, w wielkim strachu „pomyka dusza". Co będzie z duszą, jeśli gwóźdź wywierci w pięcie dziurę?

Przez piętę zginął największy w historii bohater — Achilles. Oj, doloż moja nieszczęsna!

Ale nie na tym koniec: w kolumnie szedł mój przyjaciel Sosnowski, stary inwalida chory na serce. Wskutek upału i szybkiego marszu zaczął mdleć. Wtedy dopiero zajadły kierownik konwoju kazał się zatrzymać. Przyjaciele prowadzili chorego podtrzy-

mując, ale i to nie pomagało; czerniał na twarzy, serce mu mocno waliło, zdawało się, że zaraz skona. Chciałem podbiec do niego, ale nie można wyjść z szeregu i opuścić ślepego. Koledzy posadzili Sosnowskiego na lasce, a on trzymał się ich rękami. Męczyło to ich, choć chory był wyschły i lekki. Konwój się zatrzymał, ludzie denerwowali, i nie wiadomo było co robić. I ja się „rozkleiłem", bo żal mi było Sosnowskiego, a nie mogę z nim zamienić nawet kilku słów.

Na koniec i to się przyplątało. Mój Łotysz miał ciepły serdak. Na przystanku zdjął go i dał mi do niesienia. Przechodziliśmy właśnie wysokim brzegiem rzeczki, zarośniętym krzakami. Nieszczęście chciało, że rozśpiewał się wtedy słowik, zachłystywał się po prostu swymi trelami. Toć przecież i kamień by się wzruszył. Czy mogłem myśleć o czymś innym? Zasłuchałem się tak, że sprzed oczu znikło mi wszystko wraz z serdakiem ślepego, a tu nagle Łotysz nasiadł na mnie:

— Gdzieście podzieli mój serdak?

— Co, co? O co chodzi?...

Jednak inżynier nie zrezygnował, a ja byłem jak pijany od słowiczego śpiewu. Wreszcie odparłem na odczepnego:

— Na pewno jest w worku.

I choćby do mnie strzelali, nie zgadłbym, gdzie się zawieruszył. A ten mi wymyśla i zawstydza. Ach, bezmyślny, ślepy los.

— O Boże, Boże! Znów nasiadły na mnie wszystkie nieszczęścia, a słowiki... zostały w dali.

Wreszcie schodzimy z toru kolejowego na polny trakt i zatrzymujemy się na kilka minut. Skorzystałem z okazji i narwałem trawy, wypychając nią obcas. Ulżyło mi trochę, póki trawa nie zjechała z gwoździa, a ten piekielnik przystąpił na nowo do krwawego dzieła.

— Szukaj serdaka, brzęczy do ucha Łotysz. Milczę cierpliwie, utykając na zranionej nodze; kręcę głową, odpędzając owady i wpatruję się w zbocze za rzeczką, gdzie pasie się bydło... A rzeka bawi się z nami w chowanego. To zaszywa się w zarośla, to błyszczy jak lustro w słońcu, to znów przechadza się

po łęgach i zaprasza do odpoczynku i kąpieli. Ale my nie należymy do siebie, gnano nas coraz szybciej, bo czekała na nas nowa zagroda.

Na zawsze zostanie mi w pamięci ta „mała droga krzyżowa", bo wielką przeszedł za mnie mój Mistrz, Jezus Chrystus. *„A gdy naigrawali się z Niego... wyprowadzili Go, aby Go ukrzyżować"* (Mk, 15, 20). Przebili Jego ręce i nogi wielkimi gwoździami. *„A skłoniwszy głowę, oddał ducha"* (J. 10, 30.).

Wreszcie weszliśmy do 0,20 i tam dźwigałem swój łagierny krzyż przez półtora roku. Stąd trafiłem do szpitala i jakoś przy pomocy Bożej wszystko przetrwałem.

ARCHIMANDRYTA FABIAN ABRANTOWICZ

Ojciec od proga,
dzieci do pieroga...

Muszę w tym miejscu wspomnieć o dwóch głównych działaczach naszej harbińskiej misji, których „zlikwidowano" w sowieckim Sojuzie — ojcu Fabianie Abrantowiczu i Andrzeju Cikocie.

Gdy w bolszewii giną ludzie, nie można się niczego o nich dowiedzieć, po prostu znikają bez śladu jak rzucony na głębinę kamień. Z historii wiemy, że każdy reżym miał swoje sposoby niszczenia przeciwników. Rzymscy cesarze krzyżowali, ale oddawali ciała skazańców; Rewolucja Francuska gilotynowała, ale choć tak „skrócone" zwłoki zwracała; Hitler strzelał, truł, palił, ale choć popiół pozostał. Sojuz Sowiecki przewyższa wszystko — on poprostu „likwiduje". I już ani po żywym, ani po zmarłym nie pozostanie ni wieści, ani śladu. Ale do tego nasz „wolny" i „kulturalny" świat się przyzwyczaił. Zginął człowiek jak mucha i żaden Czerwony Krzyż go nie odnajdzie.

Tak przepadła masa najlepszych, najbardziej cennych kapłanów, naukowców, pisarzy, działaczy i całe gromady szarych ludzi. Ale my wierzymy, że są oni zapisani w księgach Bożej Opatrzności i nie zaginą w pamięci potomnych.

29 kwietnia 1939 r., jadąc powtórnie do Mandżurii, spotkałem się w Szanghaju z archimandrytą Abrantowiczem. Spieszył do Rzymu, aby dać Ojcu św. Piusowi XII sprawozdanie ze swej pracy w Harbinie, gdzie pełnił urząd Administratora Apostolskiego (ordynariusza). Pracowałem już pod zwierzchnic-

twem ojca Fabiana w Harbinie w latach 1932—1936, na stanowisku kierownika Liceum św. Mikołaja i zastępcy ordynariusza. Ojciec Abrantowicz miał powrócić po 3-4 miesiącach, chciał bowiem odwiedzić jeszcze przyjaciół w Warszawie, Wilnie i Lwowie, a również swych krewnych w Nowogródku.

Wyczuwałem niebezpieczeństwo i obawiałem się, że ojciec Abrantowicz wyjeżdża na tak długi czas. W Szanghaju przywitaliśmy się i pożegnali, nie wiedząc, że się więcej nie zobaczymy. Ojciec Fabian wiózł na studia do Rzymu dwóch kleryków z zakonu marianów G. Branczianinowa i Andrzeja Katkowa. Po dwudziestu latach spotkałem A. Katkowa w Rzymie; był już wtedy młodym biskupem. Lecz ojca Abrantowicza nie doczekałem się; w Harbinie go nie znalazłem ani na Syberii, ani w Polsce, ani nigdzie, bo był już w Sowietach „zlikwidowany".

Po przeprowadzeniu licznych poszukiwań tylko tyle mogłem się dowiedzieć. Pod jesień 1939 r. ojciec Fabian Abrantowicz dojechał z Rzymu przez Warszawę i Wilno do Nowogródka, gdzie zastała go wojna polsko-niemiecka. Ojciec Fabian zdążył jeszcze w powrotnej drodze dojechać do Lwowa i tu dostał się w ręce NKWD. W śledczym punkcie nr 83 był okrutnie męczony w październiku 1939 r. Dalsze wiadomości o nim są ani pewne, ani zgodne z sobą. Opowiadano, że zamęczony umarł we Lwowie.

Mówił mi w łagrze 0,20 (zespół HANGAR — łag) kapitan wojsk polskich Ł., który w 1939 r. we Lwowie siedział z ojcem Abrantowiczem w więzieniu, że bolszewicy używali w stosunku do niego najwyższej kategorii tortur, aż do wbijania igieł za paznokcie i wlewaniu wody do płuc, aby się przyznał do stawianych mu zarzutów, ale ojciec Abrantowicz nie poddał się; złamali go fizycznie, a potem zlikwidowali jako prawdziwego męczennika za wiarę i ojczyznę. Kapitan Ł. podawał nawet datę śmierci ojca Fabiana w dniu 17.X.1939. Według innych wiadomości, wkrótce po śledztwie miał zostać rozstrzelany lub zmarł w pociągu, gdy go wieźli na Sybir.

Gdy już byliśmy przekonani, że ojciec Fabian Abrantowicz zginął w 1939 r. i od tego czasu nie było

o nim „ani widu, ani słychu", oto znalazł się nagle w 1959 r. nowy świadek, salezjanin ksiądz Jan Kapusta, superior domu zakonnego w Łodzi. Opowiedział mi co następuje:

— W 1943 r. siedziałem w celi w pokazowym więzieniu na Łubiance w Moskwie z ojcem Fabianem Abrantowiczem. Razem z nami siedziało dwóch księży jezuitów — Wiktor Nowikow i drugi z Ameryki. Ojciec Abrantowicz czuł się niezgorzej, bowiem warunki „pokazowego" więzienia w porównaniu ze zwykłymi sowieckimi więzieniami, były kulturalne i wygodne. Nie zagrzałem tam jednak długo miejsca. We wrześniu 1943 r. wywieziono mnie stamtąd. Potem już nic nie słyszałem o ojcu Fabianie i innych księżach.

I już więcej nie było wiadomości ani o życiu, ani o śmierci ojca Abrantowcza.

Na badaniu w Czycie dziwiłem się bardzo, że mój śledczy, major Iwanow, omijał osobę i nazwisko ojca Fabiana i w moim protokole jego nie wpisywał. Nie mogłem i nie powinienem był wplątywać go w sprawę, chociaż nasze harbińskie zajęcia stale się zazębiały... A dobrze wiem, że sądy sowieckie w procesach zbiorowych zwoziły na przesłuchanie wszystkich uczestników i świadków, czy byli potrzebni czy nie, podobnie ekspertów, aby wyciągnąć najmniejszy drobiazg i móc wydać tym surowszy wyrok na grupę. Gdyby ojciec Abrantowicz żył, byłby główną osobą procesu, jako założyciel harbińskiej misji i szkoły. A tymczasem ani Iwanow, główny sędzia śledczy, ani nikt inny nie powiedział o nim ani słowa. Jasne więc, że w roku 1949 ojciec Fabian już nie żył.

Również przy przesłuchiwaniu archimandryty Andrzeja Cikoty i sekretarza gimnazjum Wiktora Własowa nie wspomniano ojca Fabiana, choć łączyła ich wspólna praca, a ojciec Cikoto był dwukrotnie przełożonym ojca Abrantowicza. Wynika stąd, że ojciec Fabian Abrantowicz zginął w Sowieckim Sojuzie jakimś zagadkowym, tragicznym sposobem, czyli został „zlikwidowany" po roku 1943. Gdyby bowiem zmarł śmiercią naturalną na zsyłce czy łagrze, pozostałyby jakieś listy od niego u rodziny lub znajomych, możnaby trafić też na innych świadków. Jak dotąd

wszelkie poszukiwania, przedsięwzięte przez przyjaciół i uczniów, nie dały żadnych rezultatów.

Gdyby ktoś wiedział albo słyszał cokolwiek o dalszych losach, miejscu pobytu lub śmierci ojca Fabiana Abrantowicza, proszony jest o powiadomienie pod adresem: ITALIA. ROMA. VIA CORSICA 1. SUPERIORE GENERALE.

ARCHIMANDRYTA ANDRZEJ CIKOTO

Archimandryta Andrzej Cikoto urodził się w 1892 r. zmarł w 1952 r. Po ojcu Abrantowiczu był on administratorem apostolskim w Harbinie, kierownikiem misji wschodniego obrządku i dyrektorem Liceum św. Mikołaja (1939-1948). Mandżurię okupowała Japonia i utrzymać w takim czasie liceum, internat dla chłopców i dwa dla dziewcząt było bardzo ciężko, zwłaszcza w okresie wojny z Ameryką. Sytuacja stała się jeszcze trudniejsza od roku 1945, gdy władzę objęli komuniści rosyjscy, a potem (1945-1948) — komuniści chińscy. Tylko Opatrzności Bożej oraz mądrości, ofiarności i pracowitości ojca Andrzeja należy przypisać fakt, że misja i nasze szkoły istniały, przezwyciężając wszelkie trudności. 22 grudnia 1948 r. ojciec Andrzej i wszyscy księża z naszej misji zostali aresztowani przez chińskich komunistów i wysłani na Sybir.

Ojciec Andrzej Cikoto ciężko znosił więzienie w Czycie. Gdy go zobaczyłem przy końcu śledztwa, po pięciu miesiącach rozstania, byłem przerażony, widząc jak ten mocny człowiek wychudł i osłabł. Nawet jego głos, zwykle dźwięczny i przyjemny, stał się jakiś cichy i zmatowiały jak pęknięty dzwon. Do czasu więzienia ojciec Andrzej odznaczał się jasnością umysłu, szybką orientacją, władczą wolą, rozmachem i rzutkością w pracy. Miał usposobienie i uzdolnienia wodzowskie, nie poddawał się nigdy komendzie innych, przeciwnie w życiu zbiorowym zawsze innym przewodził. Więzienie go złamało — można było zauważyć jakąś niemoc i starczą ociężałość, a przecież miał dopiero 57 lat, co przy żelaznym zdrowiu i niezwykłej sile można uważać za młody jeszcze wiek.

Ojciec Andrzej zachwiał się jak potężny dąb, który przez dziesiątki lat panował na wysokiej górze, walcząc zwycięsko z burzami, aż nagle uderzenie pioruna roztrzaskało go na połowę: jedna część runęła na ziemię, a druga, osmalona sterczała smutno ku niebu. Co za niepowetowana strata i żal!...

Opieka w naszym więzieniu w Czycie była dosyć dobra i niezgorszy lekarz — kobieta. Odwiedzała nas i dokładnie badała, okazując wiele zainteresowania. Brakło jednak i leków i specjalistów; jedzenie, zwłaszcza latem podłe. Chociaż więc doktór odnosiła się życzliwie do ojca Cikoto, nie mogła go jednak leczyć solidnie, dawała więc nieszkodliwe lekarstwa i dobre rady.

W łagrach było jeszcze gorzej; dopiero po śmierci Stalina położenie nasze zaczęło się powoli poprawiać. W ambulatorium sanitariusze sypali proszki do ust lub wlewali krople, a na rany kładli plastry, co się zaraz odlepiały... Chory musiał się do lekarza dobijać, a ten starał się go pozbyć, gdyż najczęściej sam był więzionym inwalidą. Za pracę dostawał trochę lepsze jedzenie i przyodziewek, ale żadnej zapłaty.

W takich warunkach wielu chorych ukrywało swoje dolegliwości do ostatniego momentu. I ojciec Cikoto, który tak odważnie i energicznie występował w obronie innych ludzi, tu zaniedbał swoją chorobę. Najbardziej zżarło go więzienie i śledztwo. Po śledztwie trzymano nas jeszcze przez sześć miesięcy, nie dbając już o nas wcale i marnie karmiąc. Ojciec Andrzej, który przewyższał nas znacznie wzrostem, wagą i siłą, był na tej samej głodowej racji dziennej, co i my, a więc procentowo tracił od nas dużo więcej.

Od roku 1950 ojciec Andrzej zaczął otrzymywać przesyłki z kraju, jednak pomoc ta przybyła już za późno, dobrzy ludzie wywalczyli mu tylko parę lat życia.

Na początku 1950 r. w Tajszecie rozdzielili nas i porozsyłali do różnych obozów. Po czterech miesiącach udało mi się spotkać znów z ojcem Cikoto w Centralnym Szpitalu. Jednak moja radość zamieniła się w wielką trwogę, gdyż zobaczyłem tylko cień czło-

wieka, był to pełny inwalida i kandydat na tamten świat. Nie mogłem z nim dużo rozmawiać, bo zostałem przed operacją izolowany, a księdza Cikoto po czterech dniach odesłano do łagru. Nie mogę zrozumieć, jak mogli lekarze tak zamorzonego człowieka wypisywać i dlaczego ojciec Andrzej się nie bronił?...

W takim stanie zdrowia ojciec Cikoto poddany zostaje nowej próbie i narażony na ciężką pokusę. Moskwa postanowiła wykorzystać go do swej prowokacyjnej polityki religijnej — zaproponowano mu stolicę biskupią w Mińsku. Miał zostać pierwszym metropolitą białoruskim, naturalnie pod zwierzchnictwem władz bolszewickich. Ojciec Cikoto uważany był za jakiegoś ważnego „generała watykańskiego", co wynikało z urzędu generała, jaki piastował w latach 1933—1939. Przysłano z Moskwy pułkownika z propozycją wyjazdu do Mińska, ale ojciec Andrzej nie chciał o tym nie tylko mówić, ale i słuchać. Myśląc, że wysłannik jest za niski rangą, bolszewicy przysyłają generała. Temu na propozycję ojciec odpowiedział:

— Dajcie mi już spokojnie umrzeć!

Mam z dwóch źródeł wiadomości o ostatnich chwilach i śmierci ojca Andrzeja. Po nieudanych próbach z biskupstwem, wyznaczono mu pracę ponad siły i celowo nie leczono do ostatka, choć już nie mógł się utrzymać na nogach. Wreszcie sąsiedzi z baraku podnieśli krzyk i zwrócili się do władz z protestem:

— Dlaczego nie leczycie chorego? Cikocie gniją rany z zadawnionych wrzodów i czyraków, nie możemy przy nim wytrzymać.

Inni przestrzegali:

— Cikoto, to jakaś ważna osoba. Będziecie się mocno tłumaczyć, jak umrze nie leczony.

Dopiero wtedy wysłano go z łagru do szpitala. Jednak puchlina od nóg posuwała się coraz dalej i ojciec Andrzej zmarł 11 lutego 1952 r. w Szpitalu Nr 38 na linii Tajszet — Brack — Zajarsk. Data i miejsce śmierci były długi czas niepewne. W końcu uznaliśmy za najbardziej prawdopodobną wiadomość naszego współpracownika z Harbina, księdza Pawła Chaley.

Oto, co pisze ksiądz Chaley:

... Wspominałem Ojcu, że spotkałem się z N. przed samym wysłaniem go w etap. Opowiadał, mi, że był najpierw agitatorem bezbożnictwa, był prowokatorem, a potem sam wpadł. W łagrze poznał Ojca Andrzeja, który go nawrócił i sam ochrzcił. Pokazywał mi krzyżyk, jaki po chrzcie podarował mu Ojciec Andrzej. Dziwne to było, ale po moim wystąpieniu podczas moskiewskiej komisji do 0,33, naczelnik zemścił się na mnie i wysłał do 0,37, gdy wszyscy inwalidzi czekali na zwolnienie. Powiedziałem wtedy: „i to dobre. Niedługo wrócimy do domu, trzeba powłóczyć się i zobaczyć innych ludzi".

I prawda, gdy tylko przyjechałem do 0,37, natknąłem się znienacka na „laskonogiego" dryblasa, co wychodził z imbrykiem ze stołowego. Zrobił na mnie wrażenie nihilisty, wychylającego się z kart powieści Dostojewskiego. Odrazu zwróciłem się do niego. I on mi powiedział, że tego jeszcze wieczoru idzie w etap, ażeby nam zrobić miejsce, i że władyka Andrzej polecił mu, żeby mnie odszukał w jakiś sposób i powiedział o sobie, bo „Francuz ma szanse powrócić do domu". Miałem tylko możność dowiedzenia się w szczegółach o śmierci władyki Andrzeja i o tym, że MGB (NKWD) długo go męczyło, żeby im wydał swoje „sekrety". Myśleli, że jest wojskowym. Ponieważ Ojciec Andrzej nie chciał im odpowiadać na pytania, myśleli, że jako „generał" nie chce rozmawiać ze zwykłym oficerem. Przysłali wtedy prawdziwego czy „podrabianego" generała sowieckiej armii. Proponowali władyce wolność pod warunkiem, żeby na Białorusi został przywódcą kościoła unickiego i żeby przyłączył go do moskiewskiego patriarchatu, chcąc w ten sposób zwieść chrześcijan. Władyka odpowiedział im, że jego działalność już się skończyła, a on pragnie tylko jednego — „spokojnie w katordze umrzeć za swoje grzechy i pomyślność kościoła katolickiego".

Wtedy go porzucili na pastwę losu, odmawiając nawet lekarskiej pomocy. I tak czuł się coraz gorzej. Rany, które miał, gniły, tak że nie można było razem z nim mieszkać. Wtedy dopiero musieli go wysłać do szpitala, gdzie zmarł 11 lutego 1952 r. Więcej już N. nie widziałem po tym krótkim i przypadkowym spotkaniu.

Nikt z naszej grupy harbińskiej nie był obecny przy śmierci ojca Andrzeja. Wkrótce po jego śmierci dowiedziałem się od przybyłych inwalidów o ostatnich chwilach ojca. Największe wrażenie na nich wywierały jego spokój, cierpliwość, pogoda ducha i pobożność. Bardzo sobie cenili jego powagę i cnoty.

Został pochowany na szpitalnym, wspólnym cmentarzu. Na grobie wbito kołek z tabliczką z numerem więźnia. Należy bardzo wątpić, że ten znak mógł dłużej przetrwać, abyśmy kiedyś mogli odnaleźć mogiłę naszego drogiego męczennika.

DUCHOWIEŃSTWO

Nie ma święta bez męczennika.

W łagrach spotykałem wielu różnego rodzaju duchownych, zarówno z Sojuzu Sowieckiego, jak i innych krajów. Najwięcej było Litwinów, Ukraińców i Węgrów. Choć bolszewizm jest wrogiem wszelkiej religii, najbardziej uciska katolików. Nic więc dziwnego, że w łagrach księży katolickich było więcej niż duchownych wszystkich innych wyznań razem. Siedział ze mną jeden rabin (Lew z Charkowa), jeden pastor protestancki, duchowny starowierów z trzema monachami, dwóch prawosławnych biskupów (jednym z nich był Spierański) i pięciu do sześciu księży prawosławnych. A z duchowieństwa katolickiego — Niemiec, Francuz, Rumun, Rosjanin, trzech Łotyszów, trzech Białorusinów, trzech Polaków, pięciu Węgrów, ośmiu Ukraińców i jedenastu Litwinów — razem około czterdziestu ludzi. Do tego należy doliczyć dwóch kleryków, jednego zakonnika i trzy siostry zakonne. Przesuwali się przez nasze obozy, przerzucani z łagru do łagru, i inni księża, których nie zdołałem zarejestrować w pamięci. Wśród Ukraińców byli albo oporni — „niezłomni", tj. tacy co oparli się przymusowi włączenia ich do „stalinowskiego prawosławia", i „złamani", którzy na nie przystali. Kto się nie włączył, dostawał z miejsca dziesięć lat za jakikolwiek spreparowany szpionaż. Kto przyjmował stalinowskie prawosławie był uważany przez bolszewików za lojalnego obywatela i zostawał na miejscu. Ale tylko do czasu, bo później i ich także wysłano na Sybir, i już na „25", taka bowiem była stawka dla więźniów politycznych po roku 1947. Tragedia „złamanych" okazała się

gorsza niż „niezłomnych", bo przecież wiadomo, że ukaz stalinowski podpisywali pod przymusem lub ze strachu, wbrew swemu sumieniu, aby ratować rodziny. Pomimo to i oni trafili do obozów, i to pod jeszcze gorszy reżym. Jak była przyczyna ich aresztowań nie mogłem się dowiedzieć.

Stosunki między różnymi grupami duchowieństwa układały się w łagrach dobrze, jedni drugim współczuli i pomagali, nie było sprzeczek ani narodowościowych, ani religijnych. Nawet zacięci adwentyści-babtyści zachowywali się cicho i wzorowo. Zasądzono ich za „nielegalne zebrania" i „organizację", bo tak nazywali bolszewicy ich wspólne nabożeństwa, i dawali za to z reguły po dziesięć lat. Należeli do nich ludzie małopiśmienni, ale prostego serca, którzy odsiadywali więzienia i łagry za swą wiarę w Boga, i za to, że chcieli służyć Bogu według swego sumienia. Innych zbrodni nie można im było zarzucić, bo do żadnej polityki się nie mieszali. Zaciekawiali mnie bardzo ci ludzie i miałem wśród nich przyjaciół.

Nie mogę nie wspomnieć najserdeczniej prawosławnego protojereja katedralnego soboru w Harbinie, Włodzimierza Swietłowa. Cichy, pogodny, dobry towarzysz, człowiek o wielkich cnotach. Razem z nim odsiadywałem wyrok w jednej brygadzie w łagrze 0,7. Nie miał on biedak uzdolnień do prac gospodarskich. Przy kopaniu kartofli, buraków, marchwi, bydlęcej brukwi syberyjskiej, i przy zbieraniu kapusty spod śniegu, zarobił za jeden miesiąc pięć rubli, a za drugi trzy. Kilogram cukru kosztował wtedy dziesięć rubli. Nawet ja go zakasowałem, bo zarobiłem dziesięć i jedenaście rubli. Swietłow naprawdę „świetlana" dusza — pokorny w obejściu, prosty w rozmowie, współczujący w biedzie. Życie zakończył tragicznie. Wiosną przy zwożeniu śniegu nagle zasłabł i upadł, a nazajutrz zmarł. Mnie wtedy popędzili do innej pracy i nie mogłem się z nim pożegnać. Cześć jego pamięci.

Wspomnę jeszcze o prawosławnym biskupie, Spierańskim. Choć między nami nie doszło do przy-

jaźni, jednak on mnie nie omijał i nie unikał. U ludzi miał dobrą opinię, był pokorny w życiu, a nie tylko z urzędowych dokumentów (w podpisie biskupi prawosławni używają tytułu „pokorny"). Od 1950 r. zaczęła się w łagrze nagonka na brodatych. Pod przymusem strzyżono po kolei prawosławnych, starowierów, żydów. Biskup Spierański nie poddał się nakazowi. Wtedy w Bracku zbierali nas na pawierkę, a fryzjerzy czatowali z maszynkami i bez żadnego pardonu strzygli brody. Złapano nawet i starego żyda, którego broda była ozdobą całego obozu, ostrzyżono, szpecąc strasznie. Jednak Spierański okazał się bohaterem, nie znalazł się żaden fryzjer ateusz ani błatny, co by poważył się na przymus w stosunku do cerkiewnego dostojnika. Nawet i duchowny starowierów, który brodę bardziej cenił niż głowę, jakimś podstępem został ogolony. Drugiego biskupa prawosławnego, który na pół sparaliżowany leżał w baraku, ostrzyżono bez żadnej przeszkody. A Spierański nie poddał się. Wtedy naczelnik łagru 0,7 zawziął się na Spierańskiego za bunt i sabotaż.

Cały łagier czeka z wielkim zainteresowaniem, co z tej sprzeczki wyniknie. Doszło wreszcie do ostrej wymiany zdań między biskupem i naczelnikiem, i Spierański dostał trzy dni karceru. Potem zebrał on wszystkie argumenty w obronie brody i wystosował skargę na wielkim arkuszu papieru. Ciekawe było, że prawosławni i starowiery uważają mnie za swojego człowieka. Zapytują mnie o radę, a biskup daje do przeczytania swoje dziesięć punktów obrony brody. Naturalnie łagier stoi po stronie naszych brodatych braci. Daję im po namyśle taką radę:

— Powiedzcie im, że broda jest waszą oficjalną oznaką jako więźniów, a w protokołach śledztwa złożono wasze urzędowe fotografie z brodami i dołączono do akt, podobnie jak odciski palców. Do końca wyroku nikt nie ma prawa samowolnie, bez nakazu sądowego, dobierać się do waszych bród.

Możliwe, że mój dowód okazał się najmocniejszy, bo biskupa nie ruszono, a po śmierci Stalina znów pozapuszczano brody. Wtedy bezbożnicy całkiem skapitulowali na „brodatym" froncie.

W Centralnym Szpitalu spotkałem księdza Łotysza, Konstantego Pudnieksa. W średnim wieku, wychudły, chorowity, lecz o prostej, dziecięcej duszy. Nie narzekał ani na chorobę, ani na wyrok — cichy, pokorny boży sługa. Martwi się tylko bardzo o swych starych rodziców.

— Boże, Boże, jak tam oni mogą beze mnie żyć?

— Jak się martwią o mnie.

— Czy staruszkowie doczekają się mnie? Tak mi ich żal.

Zgadywał, co o nim mówią, jak się smucą itd. Męczy go myśl, czy przetrwa niewolę. Słucham cierpliwie jego żalów, staram się skierować myśl na inne sprawy, rozweselam i podtrzymuję nadzieję. Ksiądz Pudnieks lubi moje towarzystwo. Minęło kilka lat i dowiedziałem się, że jednak umarł. A więc trafnie odgadł, że nieszczęśliwi rodzice nie doczekają powrotu swego drogiego syna.

Poznałem też księdza Antoniego Juszkę, Litwina, z którym zaprzyjaźniłem się od razu. Obydwaj jesteśmy na wyleczeniu, a jako chorzy wiele czasu spędzamy na pogawędkach. Bywało, że chore bractwo leży pokotem w salach szpitalnych, a my możemy swobodnie przechadzać się ścieżkami wśród kwiatów. Przed szpitalem rozciąga się wielka wolna przestrzeń, konwojenci na wieżach daleko, ogrodzenie nie zasłania widoku, „naczalstwo" jakby zapadło w ziemię, ma się więc złudzenie wolności. Położenie szpitala było celowo tak wybrane, żeby chory mógł wypocząć i fizycznie i duchowo. Widnokrąg za niedaleką rzeczką rozciąga się na wschód i na zachód, jak tylko okiem sięgnąć. Miejsce na zboczu góry, gdzie znajduje się szpital, jest skierowane na południe, to też słońce wygrzewa i przypieka zziębniętych i na pół głodnych inwalidów. Północny wiatr nie może się do nas dobrać. Maszkara jeszcze nie dokucza — słowem dni najpiękniejsze w ciągu syberyjskiego roku. Jaskółki śmigają jak błyskawice, wróble wiecznie głodne, ustawicznie się swarzące, jednakowo szare na całym świecie, kłopoczą się swymi codziennymi sprawami, a pliszki, których na Syberii w bród, i które stale cisną się do

ludzi, teraz nie wiadomo czemu nalatują na nas z piskiem, ilekroć podchodziliśmy do baraków.

— O co te ptaszki mają do nas pretensje? — pytam księdza Juszkę.

— Odganiają nas od swych gniazd, mają je chyba pod dachem.

W dolinie rzeczki widać trzy wiejskie chaty. Inne budynki oraz reszta wioski gdzieś znikły. Pozostały tylko po nich ślady. Przeniesiono je napewno do kołchozu. Za wioską przechodzą tory kolejowe i nieraz widać przejeżdżający pociąg. Gęsty, czarny dym ściele się kłębami i ciągnie za parowozem jak cielsko węża, goni go nie mogąc dopędzić, potem zamienia się w wstążkę, zalega tumanem, rzednieje w mgłę i ginie bez śladu w powietrzu... Koła wybijają takt, który cichnie wraz z oddalaniem się pociągu. Gwizd parowozu przeszywa powietrze ostrym sykiem, a echo wałęsające się po wzgórzach rozlega się wokoło dziwacznymi odgłosami. Stajemy zapatrzeni i zasłuchani w głębokim zamyśleniu, a przed oczy napływają obrazy, gdzie rzeka Niemen „coś tam duma, coś tam śni, gdy w łzach biednego chłopa na swych falach w słońcu lśni".

Dopiero wieczorny dzwon sprowadza nas z krainy marzeń i zaprasza na poczęstunek. Uzbrojeni w żelazne łyżki, w uroczystym nastroju zasiadamy do wspaniałej wieczerzy, na którą oprócz krupniku, postnego cienkisza, dostajemy jeszcze porcję kwaśnego mleka. Prawda, że porcja nie przekracza szklanki i że większą część zawartości stanowi serwatka. Nigdy nie mogliśmy dojść, czy to było mleko prawdziwe od sztucznej krowy, czy sztuczne mleko od prawdziwej krowy? Jednak dla mnie było to coś nowego, gdyż już od półtora roku nie miałem w ustach kropli mleka. Jednym słowem — pańska uczta, tylko coś nie przeciągała się ponad pięć minut.

Na koniec wspomnę jeszcze jednego księdza, kanonika S-nas. Jest to człowiek starszy, pogodny, poważny, nie skory do rozmów, można powiedzieć — skryty. Początkowo nie śmiem się do niego zbliżyć, czego potem żałowałem, bo już nie starczyło nam cza-

su, aby się na dobre rozgadać, bowiem zabrano mnie stąd. Przypominam sobie jedno charakterystyczne zdarzenie z jego śledztwa na Litwie.

— Przyszedł raz do nas — opowiada — w czasie badań śledczych jakiś ważny urzędnik bolszewicki i sam zaczął mnie wypytywać. Spostrzegłem odrazu, że jest Litwinem, choć należał do partii. Był to młody człowiek i mocny jak bawół. Odpowiadałem jak zwykle, ale coś mu się nie podobało, bo nagle się wściekł, skoczył do mnie i trzasnął kułakiem w kark. Zaparło mi poprostu dech. Przeszło już dużo czasu od tego zdarzenia, a ja stale odczuwam uporczywy ból głowy, mam rozstrojone nerwy i tracę pamięć. Takie to nasze życie.

Myślę, że nie tylko ten spokojny człowiek, ale cały naród litewski został w roku 1940 uderzony po głowie i rozstrojony nerwowo. Oby tylko nie zatracił prawdziwej wiary i umiłowania wolności! A tak łatwo zaplątać się w obecnych czasach na zagubionych ścieżkach historii.

W sybirskich łagrach duchowieństwo ukraińskie rekrutowało się przeważnie z szeregów księży bazylianów, którzy nie przystali do stalinowskiej cerkwi w Małopolsce. Szybko się z nimi poznałem, ale zaprzyjaźnić się nie miałem czasu. Nie wiem dlaczego, zaraz ich przenoszono gdzie indziej, to też i ich nazwiska zatarły mi się w pamięci. Pamiętam tylko trzech z nich, ale nie mogę wyjawić nazwisk, bo oni jeszcze „tam”. Muszę powiedzieć, że księża ukraińscy mężnie znosili swój krzyż, nie wyłączając i tych, którzy ze słabości załamali się, podpisując stalinowski cyrograf. U Ukraińców powaga przeplatała się z żywością, pewnością siebie, a nawet wesołością. Szybko wokół siebie skupiali ziomków, zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Wtedy pobożnymi śpiewami oczarowywali cały obóz, a władze udawały, że nic nie słyszą i nie widzą. Księża mieli pokończone przeważnie wyższe studia, to też przyjemnie było z nimi porozmawiać.

MSZE ŚWIĘTE W OBOZIE

— Boże, dopomóż mi!
— Ale i ty nie leż!

Często mnie zapytywano:
— Czy można w obozie odprawiać mszę świętą?

Trzeba na to odpowiedzieć:

— W więzieniu jest to zupełnie niemożliwe.

— A w łagrach?

Od razu widać, że kto tak pyta zna więzienie z daleka, z opowiadania. W sowieckim więzieniu więźnia tak pilnują, podpatrują, tak dokładnie i tak często przeprowadzają rewizję, że nie zostawią na nim suchej nitki. W Czycie w takich właśnie warunkach spędziliśmy jedenaście miesięcy. Nie mieliśmy tam nikogo znajomego, nie dostawaliśmy ani listów, ani paczek, bo do więzienia śledczego listów nie dopuszczają. Nie mieliśmy pojęcia, co się na Bożym świecie dzieje.

Co innego w łagrach, tu jest większa swoboda. Możnaby użyć porównania: w więzieniu skazańcy żyją jak owieczki w zamkniętym kojcu, a w łagrze — jak w zamkniętej zagrodzie.

Pewnego razu spędzono nas na podwórze i każdego dokładnie zrewidowano; w tym samym czasie inna grupa dokonywała rewizji w barakach. Znaleźli wtedy u mnie dwie małe książeczki do nabożeństwa. Starszy naczelnik nie tylko że się na mnie rozjuszył, ale wszem wobec ogłasza o mojej zbrodni, a książeczki naturalnie konfiskuje.

Jak w tych trudnych warunkach odprawiać mszę świętą? Baraki tak są budowane, że nie można znaleźć

żadnego zakątka, gdzie by nie dotarło czujne oko wartowników. W samych barakach ciasnota; tu wszyscy wszystkich widzą, pójdziesz do umywalki, to i tam się ludzie kręcą, a dyżurny przepędza.

Czytałem kiedyś, że w łagrach na wyspach Sołowieckich księża katoliccy odprawiali msze święte w lesie na pniach lub na strychach baraków. Nieraz im zazdrościłem, bo my nie mieliśmy ani dostępu do strychu, ani możliwości swobodnego wyjścia do lasu; zawsze na robotach byliśmy obstawieni strażą, która strzelała za „krok w bok".

Mimo wszystko wiele razy odprawiałem Najświętszą Ofiarę w łagrach. Bywały okresy, że udawało mi się to bardzo rzadko, ale zdarzało się, że i częściej. W jaki sposób? Nie będę się chwalił, powiem jednak, że ze wszystkich spotykanych księży miałem najwięcej szczęścia. Tylko raz jeden nasłano na mnie naczelnika, który mi przerwał mszę świętą i to przed konsekracją; udało mi się wtedy odebrać resztę wina. Zaraz więc, na złość całemu piekłu, rozpocząłem na nowo mszę i udało mi się ją dokończyć. Zwykle Bóg mnie strzegł, a i ja pilnowałem się, żeby nie wpaść.

A zaczęło się wszystko w oryginalnych okolicznościach w Tajszecie, w roku 1949. W końcu listopada przywieźli nas tutaj do przesyłkowego obozu. Na krótko zagubiliśmy się zupełnie w ludzkiej ciżbie; każdy z nas modlił się sam jak potrafił, ale o mszy świętej nie można nawet marzyć. Nie było ani wina, ani pszennego chleba, ani zwłaszcza jakiegokolwiek wolnego kąta. Nagle zbliża się do nas ukraiński ksiądz i obiecuje swą pomoc. Jesteśmy uszczęśliwieni. Pokazuje nam, jak robić wino z rodzynków. Ma już go trochę w zapasie. Nabożeństwo wyznaczamy na dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, który zbiegł się z rocznicą naszego aresztowania. Nie wyznaczyliśmy tego wielkiego dnia świadomie; on sam jakoś tak wypadł. Jest to jakby znak opieki Matki Bożej. Gdy już wszystko przygotowane, powstaje kłopotliwe pytanie, gdzie odprawić mszę? Wówczas ciżba, która jest zwykle przeszkodą, okazuje się okolicznością sprzyjającą. Skupiamy się w kącie przy naszych łóżkach, przy ścianie, i tu w swoim kręgu

przystępujemy do sprawowania Eucharystycznej Ofiary we wschodnim obrządku. Był to jakby mały „powszechny sobór".

Bliżsi więźniowie widzą, że się modlimy, ale nie zdają sobie sprawy, że dokonujemy świętej tajemnicy i nie przeszkadzają nam. Hałas panujący w baraku doskonale skrywa przed ludźmi nasze nabożeństwo. Po czasie można powiedzieć, że ten dziwny sposób składania Świętej Ofiary udał nam się nadzwyczajnie.

Może ktoś zapyta ze zdziwieniem, jak było z szatami liturgicznymi, jak ze świecami, kielichem, ołtarzem? Przyznaję, że nie mieliśmy nic z tych przyborów mszalnych, jednak msza święta jest ważna i bez nich, a taki sposób odprawiania jej jest dozwolony i przez prawo Boże i przez Kościół. Męczennicy w czasie pogańskich prześladowań odprawiali w podobny sposób msze święte. W czasach obecnych bezbożnicy nie różnią się od krwawych cesarzy rzymskich, którzy uciskali chrześcijan, męczyli za wiarę, mordowali apostołów. W składaniu świętej ofiary do jej ważności trzeba zachować wszystko, co jest istotne — pszenny chleb, wino, odmówić najważniejsze części mszy.

Trudno opisać naszą radość! Po całej krzyżowej drodze ta msza przyszła jak zmartwychwstanie. Pojęcie o tym mogą mieć tylko szczęśliwi, wybrani z wielu, uczestnicy i świadkowie; reszta barakowego ludzkiego zbiorowiska krążyła wokół nas jak rojne mrowisko, zatroskana tylko o codzienny chleb. W ten sposób w świąteczne dni odprawiamy msze sześć do siedmiu razy. Po mszach starałem się zachować Święte Postacie dla udzielenia Komunii świętej wiernym.

W pracy duszpasterskiej nabrałem rozmachu, a dusze pobożne korzystały z okazji. Doszło do tego, że mnie wzywali publicznie, nie zachowując należytej ostrożności. Dwa baraki dalej podobnie, a może i lepiej ode mnie działał inny ksiądz — ryzykant. Dzięki Bogu nic nam się nie stało. Zaprzestali też ostrzeżeń trwożliwi przyjaciele. Naszego ukraińskiego przywódcę, którego nazwiska nie pamiętam, zabrali jednak do innego łagru i nasz „sobór" się rozleciał, a naszą harbińską grupę porozpędzano po różnych

obozach. Wtedy przypomniałem sobie teksty mszalne według obrządku łacińskiego, i zacząłem, choć rzadko, odprawiać samotnie mszę świętą.

Najcięższą rzeczą jest zdobycie wina, które musi być koniecznie z winogron. Starałem się o rodzynki, zalewałem je ciepłą wodą i gdy się nią nasyciły, wodę zlewałem a winogrona wyciskałem do buteleczki i dawałem czas na fermentację — wtedy miałem już prawdziwe wino. Rozumie się, gdy w czasie rewizji znaleźli wino, to je zabierali, na szczęście nieczęsto to się zdarzało. To samo z chlebem. Musiał być pewny, pszeniczny, najlepiej opłatki. Przysyłano mi je w paczkach, które na ogół kontrola przepuszczała, choć bywały wypadki konfiskaty, a nieraz kazano mi je zjeść w swojej obecności.

Aż dziwne się wydaje, że przy tak żywej mojej działalności raz tylko spotkałem się z pogróżką zesłania do obozu karnego za religijną „agitację".

Duchowieństwo prawosławne nie zajmowało się na ogół pracą religijną. Według ustalonej linii prowadzili życie ciche, pokutne, modlili się sami, nie wciągając ani swoich, ani obcych. Im nawet do głowy nie przychodziło spowiadać w łagrach, a tym bardziej odprawiać msze święte; było to w ich pojęciu niedopuszczalne ani przez Boga, ani przez ludzi. Ja zaś czułem, że i w więzieniu, i w łagrze nie przestaję być kapłanem, że mam wszędzie spełniać misję nakazaną mi przez Chrystusa: *„Idźcie i nauczajcie wszystkie narody"* (Mat. 28, 19.). Toć apostołowie aż do męczeńskiej śmierci *„przepowiadali wszędzie"* (Mk. 16, 20.). Historia życia świętego Andrzeja Apostoła mówi, że wisząc już na krzyżu, dopóki miał siłę, pouczał wokół stojących ludzi. Tak samo i teraz kapłan z istoty swego posłannictwa — to apostoł i misjonarz.

Już na wolności stawiano mi zarzut, że odprawiając w takich warunkach msze święte narażałem na zniewagę Świętą Ofiarę. To prawda. Powinniśmy postępować ostrożnie, z należytą rozwagą. Ale przecież Sam Chrystus, gdy szło o zbawienie człowieka, wyzbył się wszelkiej ostrożności, wystawił się na zniewagi i poszedł na spotkanie krzyża i śmierci.

I my podobnie możemy, a nawet musimy się zgodzić na ryzyko, gdy chodzi o zbawienie bliźnich, zwłaszcza jeśli narażamy tylko własną osobę.

Przypominam sobie z pobytu na Sybirze pewne wydarzenia, których nie wypada pomijać we wspomnieniach. W Bracku natknąłem się na księdza, który miał wino, opłatki i książki konieczne do odprawiania mszy świętej. Odprawialiśmy razem Świętą Ofarę w nocy, w oddzielonym kącie sypialni, gdzie warunki były wyjątkowo dobre. Może i teraz ktoś nas skrytykuje za nieodpowiednie miejsce? Ale ono było dużo lepsze niż stajnia w Betlejem, a przecież Chrystus ją wolał od pałaców Heroda. Zdarzyło mi się w łagrze 0,20, gdy byłem nocnym dyżurnym, że mogłem odprawić przy stole o północy pasterkę. Barak był przestronny, a w nim wokół uśpieni inwalidzi. Pobudziłem po cichu swoich katolików, którzy, leżąc na narach, uczestniczyli w radosnej liturgii modląc się w duchu, a potem zaniosłem im Boga-Dziecię w osłonach Hostii. Gdy nastał dzień, zaniosłem Komunię księżom do innych baraków. W ten sposób mogłem kilka razy odprawić mszę. A ileż przy tym miałem przeszkód — i od złych ludzi, i od zastraszonych przyjaciół, a gdy odprawiałem mszę na dworze — od mrozu i wiatru. Ale moja misja rozwijała się pomyślnie z pomocą Pana.

Czy miałem kielich do mszy?

Czy można o to pytać? Zapytajcie też, kto podstawiał kielich, gdy Krew Najświętsza spływała z ran Zbawcy na grzeszną ziemię na Golgocie?

I w łagrach kielicha nie miałem. Brałem więc najzwyczajniej zwykły kubek, patrząc tylko, żeby nie był poszczerbiony. Na wolności mówili mi na to:

— Trzeba było używać szklanki.

— A no, pewnie trzeba było, tylko że szklanka w łagrze zakazana i nikt jej w obozie nie widział.

Miałem jeszcze jedną trudność, która stała się powodem wielu niepokojów, obaw i wątpliwości, mianowicie, jak przechować Eucharystyczne Postacie? Zdarzali się przecież chorzy katolicy, którym trzeba przyjść ze świętą posługą, a i ja sam pragnąłem w swych słabościach ducha, choć przez kilka dni na-

stępnych przyjmować Najświętszy Sakrament. W tym wypadku nie pytałem nikogo i sam rozwiązałem trudność. Uszyłem sobie specjalny woreczek — bursę i zawiesiłem go na sznureczku na piersiach, bo myślałem, że pewnie w całym Sybirze nie ma więcej takiego przytułku — świątyni i drugiego kapłana, który by się na to poważył. Występowałem tu w imieniu milionów nieszczęsnych ofiar, łącznie z ofiarą Chrystusową, do Niebieskiego Ojca i w modlitwach błagałem za wszystkich wiernych i niewiernych, za męczenników i prześladowców, nie wyłączając najgorszego z nich — dyktatora. Na szczęście ani razu się nie zdarzyło, choć dokonywano często nagłych rewizji, ażeby mnie przyłapano na przechowywaniu hostii. Bóg mnie strzegł przed nieszczęściem. W czasie niespodziewanych rewizji spożywałem wszystkie komunikanty.

W łagrze 0,7 zebrała się gromadka wiernych. Trzymamy się razem, zbierając się w wolnym czasie, zwłaszcza gdy na to pozwala pogoda, na dworze, i tu modlimy się wspólnie, odprawiamy nowenny, odmawiamy różaniec i prowadzimy pobożne rozważania. Moim wiernym zakrystianem i zastępcą jest były kleryk seminarium petersburskiego L.K. Ma on duży talent organizacyjny, a i czasy były łatwiejsze po śmierci Wielkiego Szkodnika, którego zwłoki wyrzucili z grobu jego własni przyjaciele.

Gdy latem roku 1955, będąc już na wolności, odprawiałem mszę świętą w jasnym, pięknym kościele w Bydgoszczy, po nabożeństwie podeszli do mnie dwaj koledzy z łagrów sowieckich.

— No, powiedzcie — pytam ich — teraz już chyba wierzycie, że jestem księdzem — katolikiem?

— Pewnie, nie może być żadnej wątpliwości — odpowiedzieli.

— A czy tam wierzyliście?

— My byliśmy pewni, a i inni księdzu wierzyli.

Jeden z nich — to właśnie mój dawny zakrystian. Teraz gorąco dziękuję Bogu za to, że dozwolił mi na stare lata odprawiać mszę bez żadnych przeszkód w wolnym świecie. Oby jeszcze i to sprawił, abym dożył chwili, kiedy odprawię nabożeństwo w wolnej ojczyźnie. Modlę się i wierzę, że to przyjdzie.

ŁAGIER 0,20

Pozamykano świątynie,
aby ludzie w więzieniach się modlili.

W lipcu 1950 r. rozpocząłem nowe życie. Nowi ludzie, nowa brygada robocza, nowe obowiązki, wszystko nowe. Nawet i pluskwy nowe — nieprzeliczona masa. Łagier walczy z nimi na całym froncie; posyłano ludzi do łaźni, a ubrania i pościel do dezynfektora (mały budynek przy łaźni, gdzie parą dokonywano dezynfekcji). Wtedy goli ludzie siedzieli w baraku, marznąc wiele godzin w oczekiwaniu na odzież. W barakach skrobano ściany, zlewano wrzątkiem, wypalano pluskwie gniazda, i na nowo bielono wapnem, rozbierano nary, moczono ukropem. A gdy potem znów je składano, wynikały gwałtowne kłótnie, bo lepsze deski, mimo że wszystkie były numerowane, plątały się i trafiały nie wiadomo dlaczego do rąk zręczniejszych. Wreszcie z westchnieniem ulgi stwierdziliśmy:

— Nie ma pluskiew!

I tak było całe dwa, trzy dni, a potem zjawiały się... najpierw nieliczni goście, później gromady, a po paru tygodniach jest już wszystko według starej normy. Skąd to tałatajstwo się brało, licho wie? Bo wszelkie paskudztwo mnoży się szybko jak zaraza.

Niemały nasz łagier leży na łagodnym zboczu góry. Wysokie ogrodzenie nie dozwala nam spoglądać swobodnie na zewnętrzny świat. Owszem widzimy przez nie jedną sąsiednią górę, porosłą lasem — trzech sosen, ale i to sprawia nam radość. Na każdej pawierce, gdy dowództwo wytrwale a ze złością przeliczało nas, każdy z tysiąca trzystu więźniów wita nasze

sosny i przelicza je... do trzech. Sosny rosną przecież na wolności, a my o niej bezustannie roimy. Polubiliśmy je bardzo, a one nas z daleka pozdrawiały, kiwając przyjaźnie długimi gałęźmi.

Choroba moja skończyła się, a w łagrze darmo chleba nie dają, trzeba nań zarobić. Odebrano mi od razu niewidomych, uwalniając ich od mojej opieki. Nie myślę, żeby im teraz było łatwiej. Moi niewidomi nie mogli się cieszyć, że władze obozowe zrobiły ich „niezależnymi", gdyż odtąd nikt się o nich nie troszczył. Jak mogli sobie poradzić w takiej wielkiej gromadzie, nie miałem pojęcia, bo mieszkałem daleko od nich, w drugim końcu łagra. Przy spotkaniu z paru słów zamienionych z nimi zrozumiałem, jak im brak mojej opieki. Prawda, i tam znalazły się lepsze jednostki, które z dobrego serca, a nie z obowiązku pomagały nieszczęsnym kalekom, jednak była to tylko pomoc dorywcza.

Po dwóch tygodniach dowiedziałem się, że cała trójka idzie gdzieś w etap. Otrzymali nowy wyrok na podstawie zaocznej rozprawy sądowej, skazujący ich na dwadzieścia lat katorgi. Musieli więc natychmiast się przenieść do katorżniczego łagru. Zdumiałem się, zacząłem biegać, wypytywać i martwić się, bo nadal uważałem ich za swoich, jakby za członków rodziny. Za co dostali taką straszną karę? Dlaczego jednakowa wszyscy trzej? I do tego ślepi? Gdzież ich wyślą? Nic się nie dowiedziałem, pomimo biegania. Byłem przekonany, że żaden z nich, nawet przed utratą wzroku, nie zabiłby muchy, nawet zawzięty Białorusin, czy dokuczliwy Łotysz, a Rosjanin miał usposobienie potulnej owieczki. Łagier katorżniczy ma surowsze przepisy, straż ostrzejszą, ciężkie roboty, choć i w naszym zwykłym obozie nie brakło warunków, żeby inwalida mógł szybciej dokonać żywota. Dotąd nie wiem co się z nimi stało.

W łagrze 0,20 spotykam wielu inteligentnych ludzi, którzy mnie życzliwie przyjmują. Na nieszczęście mogą się ze mną podzielić tylko swoim niedostatkiem. A ja po operacji potrzebowałem nie tyle dobrego słowa, ile dobrego kawałka słoniny. Tego jednak nie może mi ofiarować żaden z nowych „Łazarzy". Ów

ewangeliczny Łazarz mógł przynajmniej czekać na okruszyny ze stołu bogacza, a u nas nie ma bogaczy ani uczt, ani okruszyn; nie ma tu nawet komu zazdrościć.

Pracę dostaję od razu. Włączono mnie do grupy woziwodów. Beczka nowa, wielka, obydwa koła i całe urządzenie beczkowozu również nowe, tylko my inwalidzi — starzy. Spełniamy jednocześnie funkcje i furmanów, i koni. Obok nas pracuje druga beczka, okuta dobrze i mocna jak nasza, z ludźmi wynędzniałymi jak my. W takim „kahale" możemy śpiewająco zaopatrzyć cały łagier w wodę... gdyby nie przeszkody. Praca idzie po sowiecku, według praw automatyzacji, a więc chodzimy „samo-chodem", pchamy beczkę „samo-pchajem", wodę nabieramy dwoma wiadrami „samo-ciągiem", a gdy droga była bardziej ciężka do przebycia pomagamy sobie „samo-krzykiem".

Strefa robocza, gdzie braliśmy wodę, była pomyślana wcale mądrze, ale miejsce wybrane całkiem bez sensu, kilkaset metrów od obozu. Między strefą i obozem przechodzi droga publiczna. W roboczej strefie mieszczą się wszystkie instytucje potrzebne dla łagru — studnia, szwalnia, piekarnia, stolarnia, składy, kuźnia, elektrownia, skład narzędzi, tartak i inne.

Do strefy roboczej trzeba było wyjść przez bramę obozową a po tym przejść przez bramę roboczą. Łatwo to jednak powiedzieć „przejść". Bo przy każdej bramie jest wartownia, gdzie dyżuruje stale strażnik z kluczami, ma telefon i jest mocno uzbrojony. Każdemu musi otwierać wielką bramę wielkim kluczem (furtki nie było). Zrozumiałe, że nie chce mu się bez przerwy biegać tam i z powrotem, czeka więc, aż zbierze się większa gromada; a i ludzie czekają, marzną, mokną, pocą się, stosownie do pogody. Wszyscy muszą mieć konwój, a stąd wynika podwójne przeliczanie i nerwy. My, woziwody, musimy wystawać przy bramie, a w kuchni wrzeszczą na nas: „dawaj, dawaj"! Od wczesnego rana do późnego wieczoru trwa „wielka wędrówka narodów", a gdy przy robocie zdarza się „coś pilnego" wstrzymuje to całą grupę i ro-

botę, bo potrzebujący nie może się tak łatwo prześlizgnąć przez bramy.

Dopóki słońce przypiekało, drogę mieliśmy gładką, ale w sierpniu przeszły wielkie deszcze, gliniasty grunt rozmiękł i w bramach porobiły się doły. Nie mamy po prostu ratunku; przychodzi wtedy do kłótni, bo nikt nie chce spełniać obowiązków konia i zaprzęgać się do dyszli, każdy chwyta się beczki z boku, aby móc przeskoczyć przez kałużę. Buty nasze, stare i marne, piją wodę, oblepiają się błotem; trzeba je po pracy mozolnie czyścić, żeby nie zabrudzić podłogi w baraku i jadalni, a tu i czasu na czyszczenie brak. Wszędzie nas popędzają, a spóźnisz się do „stołowego", to ci może coś przepaść z należnej porcji. Tym gorzej, że woziwody nie otrzymują nic za pracę... oprócz samej wody. Inni śmieją się z nas:

— Wypij pięć litrów wody, to ci starczy za kilogram chleba.

Kto był odpowiedzialny za zły stan drogi, nie wiem. „Łagier" na nas wrzeszczy, że rozlewamy wodę i robimy błoto. Chcieliśmy sami naprawić nawierzchnię, to nam nie pozwalają. Same władze też na tym cierpią, bo naczalstwo musi skakać po kamieniach i deskach, ślizgać się i wpadać w błoto w swych wyglansowanych butach.

*

Kto w obozie otrzymuje paczki, jest uważany za szczęśliwego, ale ma jednak przy tym wiele kłopotu, bo nie wie, jak skryć się przed ludzkim okiem. Trzeba pamiętać, że są bliźni, a tych jest trzynaście setek. Kto wpadnie do morza, nie może myśleć o ratowaniu nawet rodzonego ojca, ażeby razem nie utonąć. A w obozie wszyscy wokoło, to wygłodniali ludzie. Jednak trzeba podkreślić fakt, że rzadko kto patrzył zazdrośnie na szczęśliwych, nie ma też na ogół „dziadowania", nie słyszy się docinków, i — oprócz błatnych — inwalidzi, choćby najbiedniejsi, nie poważają się okradać innych.

Władze obozowe oddają paczki rzetelnie. Przy wydawaniu przesyłki kontroluje lekarz i dozorca.

Zdarza się czasami, że przeglądają wyjątkowo złośliwie; szukając ukrytych listów kroją i psują produkty. Przy częstych etapach paczka goniła więźnia, a podczas lata gorącego żywność się psuła.

W łagrach mniej się interesowano, na ile lat człowieka skazano niż tym, czy często otrzymuje paczki i czy dostaje tytoń? Dalej pytano, czy ma cebulę, słoninę, czosnek lub cukier? W największym jednak poważaniu był tytoń, bo nie mniej niż 90% łagierników paliło. Za tytoń można było wszystko dostać. Ach, jak mi zbrzydł dym tytoniu!

Na temat paczek opiszę dwa wydarzenia.

W 0,20 pewien stary ksiądz węgierski otrzymywał systematycznie z domu przesyłki. Za każdym razem wyszukiwał mnie i dawał „gościńca" — dwa lub trzy sucharki i kawałek cukru — wszystkiego na jeden ząb. Przy okazji wygłaszał stosowną naukę, jak my duchowni winniśmy sobie wzajemnie pomagać. Wreszcie moja cierpliwość się wyczerpała i zamiast mu podziękować, napisałem do niego po łacinie, inaczej bowiem nie mogłem się z nim porozumieć. Mój list zawierał dwa punkty:

1. Ksiądz nie ma obowiązku mi pomagać, a ja się księdzu nie narzucam i nie wpraszam do poczęstunku.

2. Jeśli jednak ksiądz chce mi naprawdę pomóc, to niech się nie wystawia na kpiny, dając człowiekowi stojącemu na krawędzi przepaści śmiesznie mało i prawiąc przy tym długie kazanie.

Okazało się, żem rozpalił iskrę w przygasłym ognisku. Stary długo na mnie polował, żeby się spotkać, a ja wyślizgiwałem się jak piskorz, żeby nie wpaść mu w ręce. W końcu mnie złowił, chwycił za rękę i powiedział:

— Otrzymuję pomoc od starej siostry, ale właściwie jej samej należałoby pomagać. Prócz tego pomagam jeszcze w obozie swoim rodakom Węgrom. Zupełnie nie chciałem z księdza żartować i nie wiedziałem o jego wielkiej biedzie. Milczałem, a ze wstydu płonęły mi uszy. Chciałbym w tej chwili zapaść się pod ziemię.

— Po cóż ja się wyrwałem z pisaniem? Ale

staruszek wstydził się bardzo, i myślał jak naprawić swoją niezręczność. Kiedyś dopadł mnie znów i wetknął przemocą dwadzieścia pięć rubli.

— Absolutnie ich nie wezmę! — wołam.

— Musisz wziąć. Nie waż się odmawiać.

Krzyknął na mnie z taką mocą, że wziąłem pieniądze. Potem byłem zadowolony, bo pomoc w tych warunkach bardzo mi się przydała, a ja przekonałem się, że łatwiej jest dawać ofiarę niż brać.

I inne wydarzenie.

Wtedy nie byłem w tak opłakanych warunkach, bo otrzymywałem już listy i przesyłki, chociaż nieregularnie. Właśnie była Wielkanoc 1953 r. Pogoda wlokła się zawilgła i mroźnawa. Inwalidzi nie lubią jakoś takiej pogody, a starzy i chudzi wtedy częściej się kłócą. W łagrze dróżki były zabłocone, ale zachowując ostrożność można było ominąć kałuże. Wspólnego święconego nikt nie zorganizował. Goście na pewno by się zjawili, gdyby ktoś miał ich czym poczęstować. Choć „nasz ukochany baćka" Stalin już na szczęście umarł, ale jego reżym mocno się trzyma, a my obawiamy się gorszych... czasów. Nie odczuwamy świątecznego nastroju. Przez cały rok pościliśmy jak pustelnicy i dobrze przygotowaliśmy się do wielkanocnej uczty, a gdy nadszedł Wielki Dzień musimy się zadowolić tym samym krupnikiem — cienkuszem. W minorowym nastroju składaliśmy sobie życzenia „Wesołych Świąt", a nasze „alleluja" było tak zatęchłe, jak jesienna kapusta na wiosnę. I wtedy, gdy samiutki łażę po ścieżce, smutny i ponury, spotyka mnie, bo specjalnie wyszedł, żeby się ze mną przywitać, pewien Litwin N., ksiądz wileński. Składa życzenia, mówi „alleluja" i od razu przestawia się na świąteczny ton. Mówi mi:

— Wie ksiądz, co mi się zdarzyło?

— Co takiego?

— Dostałem dużą, wielkanocną przesyłkę z Wilna.

— No, ma ksiądz szczęście.

— ... a ja chciałem księdza poczęstować. Chodźmy.

— Dziękuję bardzo, już idę.

W naszym łagrze był wtedy taki dobry zwyczaj, że się nikt nie wymawiał od poczestunku. Idę. Wyobraźnia podsuwa mi obrazy wielkanocnych przysmaków: jajka, kiełbasy, ciasta. Cały organizm zareagował według słów Pawłowa „na zewnętrzne pobudki", aż mi ślina cieknie! I duch i ciało ochocze, całkiem przygotowane. Wchodzimy do baraku. Dobrze się składa, bo mieszkańcy prawie wszyscy śpią.

— Oj, zacznie się poczęstunek!

I we dwóch zasiadamy do świątecznego stołu. Mój dobrodziej kunigas (ksiądz) wesoło gwarzy. Opowiada coś ciekawego, i choć na zewnątrz uważnie słucham, to jednak w rzeczywistości nic nie rozumiem, bo moja cała uwaga jest „wielkanocna". Wtedy on dyskretnie pochyla się w swym zakątku, aby wyciągnąć poczęstunek, a ja słyszę jak mi serce łomocze. Wreszcie wydostał z worka i położył na stole. Co? Jabłuszko wielkości małej mandarynki. Zdziwiony myślę, że to dla apetytu na początek, ale zaraz z jego słów zrozumiałem, że to początek i koniec. Siedzę i patrzę, jestem skonsternowany, nie wiem co robić, ale dobry gospodarz wybawia mnie z kłopotu — przekroił jabłko na dwie części, jedną bierze sam, drugą podsuwa mnie. Zjadłem ją nie spiesząc się, podziękowałem tak pięknie, jak tylko umiałem, i wychodzę taki zadowolony, jak niedźwiedź z bajki, co pędził siedem mil za komarem, a gdy go złapał wreszcie i zjadł, rzekł: „Wszakżeż miałem posiłek."

No cóż, wszystko może się człowiekowi przytrafić, życie — to sama bajka. A mój dobrodziej ze szczerego serca chciał mnie ugościć.

„A KTÓŻ JEST MOIM BLIŹNIM?"
(Łk. 10, 29.)

Na cudzą biedę mam tysiące rad,
swej nie zaradzę za setkę lat.

My, łagiernicy, żyjemy pomiędzy sobą na ogół zgodnie, nieraz dochodzi do serdecznych i szczerych przyjaźni, a zdarza się nawet, że przyjaźnią się ludzie z narodów odwiecznie sobie wrogich. Możliwe, że z tego powodu władze rozdzielały i rozsyłały do różnych łagrów więźniów zaprzyjaźnionych lub spokrewnionych. Wieczne etapy pochłaniały mnóstwo czasu i pieniędzy, a w kancelariach plątały się spisy, inwalidzi słabli, robotnicy tracili nabytą w pracy wprawę, a władze ponosiły więcej szkody niż korzyści, bowiem „przesiedleńcy", jak „szkodliwy" zaczyn, wnosili ferment w nowe środowisko, roznosili po całym Sowieckim Sojuzie mikroby niepokoju — wiadomości i plotki.

Podam teraz przykłady łagiernej ofiarności i wielkiej miłości bliźniego. Należy uważać za akt miłości bliźniego i fakt, gdy człowiek sam pogrążony w ciężkiej niedoli podejdzie do drugiego biedaka ze słowem pociechy i współczucia. Nierzadko zdarzały się wypadki świadczące o wysokiej duchowej kulturze nawet u prostych ludzi i twardych z natury mężczyzn.

Było to w roku 1950; w połowie zimy stoimy na powierce, a mróz przekracza 40 stopni. Jestem lekko ubrany, nie mam rękawic, i nie mogę w żaden sposób się rozgrzać. Wiaterek lodowaty przeciąga, i aż parzy mrozem; ja nie chcę się poddać, przytupuję, podskakuję, zabijam rękami po bokach, ale to nic nie pomaga. Nagle czuję, że mnie ktoś pociąga z tyłu za ubranie.

Oglądam się i widzę, że jakiś nieznajomy podaje mi rękawiczki na kożuchu. Krępuję się wziąć, ale mi mówi:

— Weź. Ja mam drugą parę.

— Niech ci Bóg da zdrowie!

Ofiara była całkowita, bo mój dobrodziej nie chciał ich z powrotem przyjąć. Dowiedziałem się później, że pochodzi spod Moskwy. I on musiał wiedzieć, że jestem księdzem katolickim, bo mnie wszyscy w obozie znali. A rękawiczki ofiarował mi takie ciepłe i w samą porę! Myślę, że mój towarzysz niedoli kierował się słowami Chrystusa:

„Byłem nagi, a przyodzialiście mnie” (Mt.25, 34-36).

A oto inne zdarzenie. Późnym wieczorem, gdy odmawiałem na górnych narach pacierze, słyszę, że ktoś się do mnie wspina, i widzę nieznajomego, który nic nie mówiąc, podaje blaszaną puszkę. Był w niej krupnik z grochem, gotowany na mięsie. Nadchodziła właśnie wczesna wiosna w Tajszecie. Karmili nas czystą polewką, a ja czułem się głodny jak wilk, a wychudłem jak szczapa. Nasze kolacje trwały dosłownie kilka minut. Wychodziliśmy ze stołówki rozdrażnieni i bardziej jeszcze głodni. I nagle mam w ręku królewski poczęstunek. Dziękowałem Bogu, jak ta dusza, co raptem wyrwała się z najgłębszych czeluści czyśćca. A kto mnie poczęstował?

Dowiem się, gdy przyjdzie po blaszankę.

Przyszedł dopiero na czwarty dzień o szarym zmroku. Już mam mu podziękować, a on mi znikł z oczu. Wypatruję go na drugi dzień, szukam, ale nie mogę poznać w kotłowisku ludzkim. Za to tym obu — i za krupnik, i za rękawice, a także wszystkim mym dobrodziejom dziękuję z całego serca za ratunek, jaki mi okazali w mękach piekielnych głodu i chłodu. Niech im wszystkim okaże swe miłosierdzie dobry Bóg!

Wspomnę jeszcze o jednym, jakby cudownym wydarzeniu. My więźniowie pamiętamy o wszystkich drobnostkach, co nas ratowały. Raz pewien łotewski ksiądz podarował mi kawałek słoniny. Można ją było zjeść na dwie raty z chlebem, ale czy głodny będzie

myślał o dzieleniu? Szybko więc kieruję się do swego łóżka, aby rozpocząć wspaniałą ucztę. Wtem wzrok mój pada na leżącego naprzeciw mnie Japończyka, z którym się zaprzyjaźniłem. Był to Midzumi-san. Wrócił on rano ze szpitala, gdzie przebył długą chorobę. Sumienie szepcze, że Midzumi słabszy ode mnie, i że na niego czeka w Japonii czworo dzieci, do których powinien wrócić. Chcę odpędzić natrętną myśl, ale nie mogę. Przede mną leżał dodatkowy kawałek chleba; doskonale pasował do słoniny. Poczułem, że słabnę w walce i w obawie, abym się nie rozmyślił, chwytam otrzymany kawałek słoniny, biegnę do Japończyka i wciskam mu w rękę. Midzumi aż podskoczył ze zdziwienia; jest jednocześnie przestraszony i uradowany. A świadków nie było. Wracam do łóżka bardzo zadowolony, ale i smutny. Spać nie mogę, bo serce kołacze mi niespokojnie. Przy mnie pościel na kilku narach była pusta, tylko dalej leżą dwaj nieznajomi, zdaje się staroobrzędowcy. Rozmawiają cichutko ze sobą i chyba coś jedzą. Odwracam się na drugi bok, żeby cudze szczęście nie stało się powodem nierealnych marzeń. Myśli i żołądek mam wyciśnięte jak cytryna, sen odleciał daleko, że go nie mogłem w żaden sposób przywołać. Nagle czuję, że mnie ktoś trąca; to starowier podpełza do mnie i podaje kawałek słoniny tej samej wielkości, wagi i kształtu, jak darowany przeze mnie Japończykowi. A drugi sypie mi białe suchary w nadstawione obie garście. Podarunek przyszedł tak nagle i taki wspaniały, a przy tym czułem, że jest zapłatą i to z procentem za Midzumi, że pomimo woli łzy spływały mi po twarzy. Nie potrafiłem im podziękować, nie powiedziałem ani słowa, zaniemówiłem jak człowiek wyratowany z bezdennej topieli, który nie może wykrztusić słowa podzięki swemu wybawcy.

Oni napewno nie wiedzieli o ofierze danej Midzumi, bo nic nie mogli widzieć. Gdyby nawet wiedzieli, to i takby nie stracili zasługi u Boga.

I tak trzykrotnie ratowali mnie dobrzy obcy ludzie w ciężkiej potrzebie. Niech im Bóg wypłaci według swej wielkiej szczodrobliwości za wszystkie, choćby najmniejsze uczynki miłosierdzia. Były one jak grosz biednej wdowy, dany z niedostatku do skarbony

świątyni. Wielką miał wartość w oczach Bożych, co dobitnie podkreślił Pan Jezus.

W naszym ogólnym niedostatku nie wszyscy jednakowo cierpieli. Niektórym z samej natury potrzeba było więcej jedzenia, ubrania, a mianowicie ludziom tęższym, wyższym i o większej wadze. Tymczasem dzienna porcja była jednakowa dla wszystkich. Ale kiedyś łagierna władza przejawiła chęć spełnienia nakazu Marksa-Lenina, aby każdy otrzymał „według potrzeby". I zaczęto mierzyć wzrost więźniów. A my, niestety, nie mogliśmy początkowo zmiarkować co znaczą te pomiary. Czy lepiej kurczyć się, przykucać, czy też podnosić się na paluszkach? Zdania były podzielone i na tę, i na tę stronę — aż wreszcie ktoś się wygadał, że „olbrzymi" ponad 180 cm, będą mieli podwyższoną normę żywnościową. Wtedy zapanowała w obozie radość wśród naszych wielkoludów, a my, karzełki, bardzośmy posmutnieli. Oni zadzierali do góry nosa, a myśmy patrzyli na nich ponuro. Jednak co można poradzić przeciw naturze? Najbardziej oburzali się ci, którym do wyznaczonej miary brakowało tylko ciut-ciut, paru centymetrów. Mówili oni:

— Miałem 180 cm, to mi przycięli na 179.

— A mnie skradli całe dwa centymetry.

— Ja mam taki sam wzrost, jak ten, a doktorzy urwali miary. Żeby ich . . .

Tymczasem lekarze i sanitariusze wyjaśnili:

— Nikt wam nie urywa miary. Człowiek stary i wychudły kurczy się, a na to nic się nie poradzi.

Wynikły sprzeczki, żale, narzekania i złości, aż krzywda wżerała się do serc i żółci.

Nastąpiło oczekiwanie tej postępowej reformy, ale projekt zabłąkał się widocznie w jakichś komisjach albo doszedł do tak wysokiej instancji, że aż dotąd nie wrócił. A „wielcy" więźniowie czekają dalej, cierpliwie, po sowiecku.

Jednym z takich „długich" był Jonas Dydelis, Litwin. Najbardziej odczuwał głód z całego łagru, — wiecznie żebrał o kawałek „kleba", bo Litwini nie potrafią wymówić „ch". Dydelis był kościsty i

mocny, wysoki i barczysty. Wychudł tak strasznie, że wydawało się, że mu skóra szeleści, a kości skrzypią. Kiedy pewnego razu zdarzyła się w baraku kradzież, wtedy bez większego ryzyka złożono winę na Jonasa i odrazu postanowiono według panującego zwyczaju zbić go. Nikt nie staje w jego obronie. A w łagrze istniała niby taka tradycja, że kto ściągnie pajkę chleba, może stracić głowę. Pajka to podstawa życia więźnia, jeśli złodziej ją kradnie, to naraża na śmierć poszkodowanego, można więc zabić go za to. Nie będzie w tym ani grzechu, ani sądu.

Takie pomylone prawo w opinii łagierników wydaje się rozumne i sprawiedliwe. Od słowa do słowa zakipiała gniewem cała brygada.

— Bić Jonasa, bić!

Walą go na ziemię i kopią, ale robią to bardziej dla samej zasady i dla nauki niż ze złości. A on, ogromny jak dzwonnica, silny jak niedźwiedź, o rękach atlety, z pięściami jak młoty kowalskie, leży cicho jak owieczka, i bezbronny jak cielę; toczy się po ziemi jak zmurszałe drewno, rzuca jak ryba wyjęta z wody i lamentuje żałośnie:

— Asz (ja) nie brał.

Tłum sądził, że spełnił swój ciężki obowiązek, a w gołębim sercu Jonasa nie zrodził się do nikogo żal ani złość. Jednak szybko, bo już następnej nocy, prawda wyszła na jaw — jasna jak słońce po przejściu nawałnicy. Nad ranem rozlega się krzyk, który podrywa wszystkich na nogi:

— Złodziej, złodziej!

— Kto? gdzie?

Złapałem złodzieja za rękę, jak wyciągał mi worek z pod głowy.

— Kto ci wyciągał?

— O ten, Karl Wołczuk.

Karl był mieszańcem; ojca miał Ukraińca, a matkę Niemkę. Wszyscy nazywali go Niemcem. Nikt go nie podejrzewał o kradzież. Dobre imię Jonasa i całej Litwy zostało uratowane. Jonasa należało przeprosić publicznie, ale już wszyscy o nim zapomnieli. Za to Karla należało zbić i to wymierzyć podwójną miarę, i mocniej niż wczoraj Jonasa, bo go schwytano

na gorącym uczynku — a kradł zaraz po wczorajszym wymiarze kary i sam kopał Litwina. Ale w baraku osłabła wola i opadły ręce. Nie było już siły na gniew.

I oto w tym samym dniu Karl stał się bohaterem całego łagru. Dostał paczkę i taką paczkę, że wyrwał ze wszystkich piersi westchnienie podziwu... ach! Gdy otworzył skrzynkę, rozszedł się z niej najmilszy zapach — tytoniu — całe pięć kilo. A że wtedy wszyscy byli jego spragnieni, to i sprawa kradzieży chleba rozpłynęła się w dymie. I nie tylko nasz barak stał się sławny i szczęśliwy, ale cały łagier cieszył się i śmiał. A „dobrego" Niemca — Karla wszyscy polubili. Miał teraz tylu przyjaciół, ilu było palaczy, to znaczy prawie wszystkich. A biedny Jonas Dydelis nadal chodzi głodny i prosi „kleba"...

KRADZIEŻE

Kto chce życie stracić snadnie,
niechaj więźniom w łagrze kradnie.

Pierwsza kradzież, z którą zetknęliśmy się, zdarzyła się w pociągu w drodze z Czyty do Irkucka. Byliśmy nią zaskoczeni i przerażeni. Gotowi byliśmy uważać wszystkich błatnych, ba, nawet wszystkich Rosjan za złodziei. Ale potem, gdy doświadczyliśmy rzeczy o wiele gorszych, zamieniliśmy „gniew na miłość". Bo błatni — to ludzie nieszczęśliwi. Wzrastali od wczesnej młodości w głodzie i chłodzie, ustawicznie gorszeni złymi przykładami. Doznawali krzywd, spotkali się wszędzie z ordynarnym słownictwem, żyli w wiecznym zakłamaniu, jak więc mogli wyrosnąć na uczciwych ludzi? Nawet nie otarli się o kulturę chrześcijańską.

Wzniosłe hasła bezbożników rodzą sprytnych błatnych, gorszych częstokroć od dzikich zwierząt, a państwo, gdy zburzyło świątynie, musi ratować się więzieniami. W tych warunkach i szkoła nie stworzy uczciwego obywatela, gdy uczy, że nie ma Boga ani duszy, ani grzechu, ni sumienia. Pozostaje więc tylko okrutny przymus, terror i agitacja. Do błatu z samej jego natury należą kradzieże. Im tu mocniej zaciśniesz sprężynę, tym mocniej odskoczy i zerwie się. W Sowieckim Sojuzie tak się rozpanoszyła przebiegłość, wykręty, oszustwa, faryzaizm, że ani przepisy ich nie przewidzą, ani milicja i sądy wyśledzą.

A więc skradziono w pociągu ojcu archimandrycie Andrzejowi sutannę. Ledwie ją położył koło siebie, a za chwileczkę już znikła. Na pewno, gdyby od razu podniósł alarm, konwojenci musieliby ją znaleźć, nie

mogła bowiem zginąć w zamkniętym przedziale, ale ileżby było złości, przekleństw, łgarstw, a może i zemsty ze strony błatnych. Wystąpiliby solidarnie w obronie swego kamrata i honoru bandy. Bardzo mądrze więc zrobił ojciec Andrzej, że na swą stratę pożalił się jedynie Bogu, a nas ostrzegł przed kradzieżą. W Tajszecie ja się stałem pierwszą ofiarą złodziejstwa. Byłem bogaczem, co zdobył sobie torbę. Żebrak raduje się z nowego wora, to też i ja przeglądałem swój dobytek codziennie. Chowałem do niego chleb i cukier, i ręcznik, i harbińskie pantofle, i okulary, i... i nic więcej. Ale któryż rozumny więzień pozostawia na łóżku worek z takim bogactwem? Takim gapą jest ten, co to pisze. Porzucił skarb i zrozumiałe, że go już nie znalazł. Potem naturalnie usłużni sąsiedzi nie skąpili mi swych rad.

— Jakiś ty głupi. Toć worek trzeba zawsze nosić z sobą, a na noc kłaść pod głowę.

— Będę już odtąd pamiętał, tylko że worka nie mam.

Stratę swoją tak przeżywałem, jak ludzie na wolności przeżywają pożar. Inni pocieszając przestrzegali:

— Nawet nie myśl o szukaniu czy skarżeniu. W Sowieckim Sojuzie łatwiej znajdziesz igłę na dziurawym moście niż skradzione rzeczy.

Gdy jednak przyjaciele złożyli się po kawałku chleba, ulżyło mi trochę na sercu. Statę cukru jakoś przecierpiałem do następnego dnia (12 gramów!). Ale utratę okularów uważałem za katastrofę. Po więzieniu w Czycie nie mogłem już zupełnie czytać bez szkieł. Mówię więc do jednego sąsiada:

— Po co złodziejowi moje okulary? Szkła są dobierane do oczu, a moje lewe mocniejsze.

— A ty jeszcze nie wiesz, że w łagrze najłatwiej upłynnić okulary? Nawet cena na nie ustalona. Za dobre okulary trzy dni chleba, a za zagraniczne dużo więcej.

— Jakie one tam dobre. Pasują dla jednego człowieka.

— U nas się nie patrzy, że troszkę nie pasują. Tu nie zagranica.

Idę do ambulatorium, do naczelnika oddziału zdrowia. Okazał się ludzkim człowiekiem i miał szkła plus trzy i pół dioptrii. Przymierzam — prawie dobre. Zresztą nie ma wyboru. Dostałem osobno szkła, osobno oprawę. Ale jak je wstawić, bo szkła za duże do oprawy. Doradzono mi, żebym je opiłował na cegle. Usłuchałem rady i mało brakowało, żebym nie potłukł szkieł. Jestem bliski płaczu. Na szczęście znajduję zręcznego technika, co za dwie paczki tytoniu pogodził szkła z oprawą. Tytoń przehandlowałem na chleb, choć byłem głodny, ale mam za to okulary. Są nawet lepsze od skradzionych, które już były za słabe na moje oczy, zniszczone ową przeklętą żarówką, która w mojej celi w Czycie paliła się dzień i noc. Teraz więc powinienem się modlić nie tylko za zdrowie naczelnika, który mi dał nowe okulary, ale i za zdrowie złodzieja, co skradł złe. Ale na tym się nie kończy. Gdy chcę z radości wykonać taniec, woła mnie naczelnik:

— Teraz zapłać mi za szkła dwanaście rubli i za oprawę rubla.

— Panie naczelniku, bardzo chętnie, tylko skąd mam wziąć tyle pieniędzy? Chyba mi pan pozwoli przehandlować chleb?

Popatrzył na mnie, i widząc że wyglądam gorzej niż źle, odpowiedział:

— No, nie. Nie można się pozbawiać chleba. Postarajcie się jakkolwiek o pieniądze u swoich znajomych.

— Jak mogę od nich dostać, kiedy oni mają tyle, co ja?

— No, jakkolwiek, wy...

Pomyślałem sobie tak:

— Ten naczelnik to zupełnie niezły człowiek i sprzyja mi. Żyje w całkowitej wygodzie, gdy ja przeciwnie w zupełnym niedostatku. Napewno potrafi te pieniądze nadrobić, jeśli zechce. A ja gdzie je wycyganię? Paczek żadnych nie dostaję, kraść nie potrafię, żebrać nie ma gdzie, na zarobek iść nie można. A zresztą, pomyślałem, więźniowie sowieccy okradli mnie, a i Sojuz mnie samego wykradł z Chin, więc... Takimi sofizmatami uspokoiłem łagierne sumienie i

zatrzymałem sowieckie okulary „kantem" (po błatu). Jeszcze kilka razy naczelnik mocno mnie nagabywał; słuchałem uważnie co mówi, wzdychałem ciężko, i na tym się kończyło, bo cóż on biedny mógł ze mną zrobić?

Po przybyciu do łagru 0,20, podszedł do mnie Litwin Jurgis (Jerzy) Szelmukas. Jest bardzo układny, miły i pełen współczucia — „jakby do rany przyłóż"; zaufałem mu, jak rodzonemu bratu. Chce mi koniecznie w czymkolwiek pomóc, bo widzi moje trudne położenie. A miałem jeszcze moją harbińską sutannę, to nic, że już mocno znoszoną, ale zawsze zagraniczny materiał. Litwin uparł się, że sprzedą ją za zoną, bo tam można wyśrubować wyższą cenę. Wiadoma rzecz, cała ta tranzakcja jest mocno nieoficjalna. Już zawczasu cieszę się jak dziecko, a wszystko w myśli szło jak po maśle... Jurgisowi ma dopomóc brat, który razem z nim jest w łagrze. Brat Jurgisa, Piotr, przy spotkaniach milczy, a ten mówi za dwóch. Obydwaj witają się ze mną grzecznie, udzielają awansem pomocy, co prawda w drobiazgach, i obiecują wkrótce dobić targu i to jak najkorzystniej. Czekam początkowo długo i cierpliwie, potem długo i niecierpliwie, aż wreszcie zaczynam coś podejrzewać. A obydwaj Litwini zręcznie teraz mnie unikają, poprostu giną mi z oczu. Wreszcie udaje mi się upolować Jurgisa i przycisnąć do muru:

— Co to wszystko znaczy? Oddaj mi sutannę.

— Już jej nie mam.

— To dawaj pieniądze!

— Pieniędzy też nie mam.

— Ach to wyście mnie oszukali. Czekaj, pójdę do naczelnika.

— Idź. Szczęśliwej drogi. Dostaniesz pięć dni karceru za przymuszanie do sprzedaży za zoną.

— Co robić i co odpowiedzieć złodziejowi? Aż machinalnie zawołałem:

— No dobrze, dokończymy rachunku na sądzie Bożym.

— Głupstwo — odpalił Jurgis. Wyczułem jednak w jego głosie delikatną nitkę niepewności.

W ten sposób nasza przyjaźń się urwała, a z nią i moja nadzieja ratunku. A na drugi dzień usłużni więźniowie przychodzą z ostrzeżeniem:

— Unikaj braci Szelmukas. Oni wszystkich nowych księży nabierają i obdzierają.

— Dziękuję za dobrą radę. I myślę w duchu:

— Mam zawsze takie szczęście, że mnie ostrzegają wtedy, gdy już wpadnę i oskubią mnie.

Z naszej trójki tylko filozof potrafił ukrywać w bezpiecznym miejscu sutannę. Składał ją codziennie dokładnie i wsuwał pod pościel w głowach i zdarzyło mu się, że tylko jeden raz jej tam nie znalazł, bo ją znalazł kto inny... Między nami mówiąc — przytrafiło się to w Bracku.

Muszę dodać, że wtedy, gdy w łagrach nie było błatnych, kradzieży dokonywano bardzo rzadko. W każdym baraku był dyżurny, który nie chodził do pracy, a tylko czuwał nad piecem, wodą i wszelkim dobrem więźniów. Byli też i nocni dyżurni.

I JA TEŻ WPADŁEM

Wpadniesz w ręce jurysty,
wyjdziesz czysty.

Opisywać dzieje innych, to nic trudnego, ale pisać o swoich przeżyciach, to trochę jak rwanie sobie samemu zębów. Ażeby jednak stało się zadość sprawiedliwości, muszę się śmiało przyznać, że i mnie przyłapali.

Pamiętam z tych dni każdy swój krok. Koniec lata roku 1950 był prześliczny, a po tym nadeszła w całej swej krasie jesień. Łagierne ogrody wskazywały, że była ona bardzo szczodrą gospodynią.

Inwalidzi nie tylko spoglądają pożądliwym okiem na ogrody, ale rzucają się na wszelką zieleninę. Po operacji mój organizm domaga się pokrzepienia. Nasze pożywienie wystarcza tylko na to, aby nie umrzeć, ale nie daje siły, aby żyć. To nie było życie, lecz wegetacja.

Łagier 0,20 leży na południowym zboczu góry. Można by z niego ogarniać wzrokiem rozległe, piękne przestrzenie, gdyby nie wysokie, przeklęte ogrodzenie, jakie nas odcina od Bożego świata. W obozie są szerokie, wydeptane ścieżki, po których kręcimy się wkoło, jak ślepe konie w kieracie. Miłą ozdobą łagru są działki ogrodowe, znajdujące się na skraju obozu i między barakami. Rosną tam kartofle, warzywa, troszkę kwiatów, a najbardziej pieści oczy cudo i nadzieja palaczy, tytoń. Ogrody należą do kierownictwa, choć malutkie zagony są w posiadaniu pewnych grupek więźniów, przeważnie błatnych. My, frajerzy, mało cenimy te prywatne ogródki, bo rzadko kto może z nich korzystać z racji częstych etapów. Jedynie błatni

umieją w jakiś tajemniczy sposób zapewnić sobie opłatę od spadkobierców. Przy etapach jedni drugim sprzedają swoje zasiewy. Sporządzają między sobą ustne kontrakty i rozrachunki. Pomaga im w tym niepisana tradycja, którejśmy nie znali.

Ogrody obozowe tego lata dają wielkie nadzieje, a najlepiej obrodziły ogórki. Ogrodnik jest specem. Starszy ogrodnik i jego pomocnicy stali się jesienią prawdziwymi „kułakami". Nawet władze ich szanują. Teraz w ogrodzie pracują wyłącznie przyjaciele ogrodnika albo zaufani jego słudzy. Inni frajerzy mogą się dostać do ogrodu tylko w gorącym czasie „żniwa". Obcemu wcisnąć się do stałej pracy, to to samo, co wpaść w kłębowisko żmij albo włożyć palec między drzwi. I oto takie szczęście spada na mnie. Naturalnie, że dawni robotnicy przyjmują mnie jak intruza i nie włączają do swej szajki, nie wskazują pracy, nawet się nie odzywają. O wszystko muszę pytać samego ogrodnika; odpowiada mi życzliwie, a banda zgrzyta zębami. Chcę ich pokonać cierpliwością. Starzy robotnicy pracują szybko i zręcznie, a przy tym zjadają po kryjomu młodą marchew, ogórki itd. Śledzą każdy krok ogrodnika i niech tylko oddali się, wpychają do ust co popadło w ręce. Ledwie zjawi się w zasięgu wzroku, znów pracują jak święci.

Nadchodzi czas pilnej roboty w ogrodzie — zbieranie ogórków. Przy dobrej pogodzie, harmonii słońca i deszczu, zdaje się, że można widzieć i słyszeć jak one rosną. A co za wspaniała ziemia w okręgu irkuckim i jak sprzyja pogoda! Gdy rosną zboża, przechodzą obfite deszcze, gdy pora żniw — czyste słońce, jasne niebo i łagodny wietrzyk. Nie ma tu takiej suszy, jak na stepach nadwołżańskich, ani tropikalnych deszczy jak w Mandżurii. Tu nie ma mgieł angielskich, amerykańskich burz, nie ma nadbałtyckiej niepogody. Żeby tylko nie było syberyjskiej zimy! I żeby nie było syberyjskiej maszkary. A my, gdybyśmy mogli pracować, jako wolni ludzie... „Żeby, a gdyby... to..."

Moi praktyczni towarzysze pospiesznie zagryzają pracę nieoficjalnymi ogórkami, albo zręcznie je chowają za pazuchę. Nie mam tej zręczności w robocie; jestem tylko bardziej od nich zagłodzony i słaby, więc

i ja biorę się do zagryzania swojej niedoli malutkim ogórkiem. Aż tu podchodzi do mnie nieznacznie ogrodnik i wrzeszczy:

— Rozwiąż pas.

Co było robić? Rozwiązuję posłusznie i... nieszczęsna połowa ogórka wypadła na ziemię. Szczęście, że ogrodnik mnie nie pobił, a jeszcze większe, że nie wydał w ręce naczelnika. Tupiąc nogami wypędził z ogrodu. A przecież Pismo Święte Mówi: *„Nie zawiążesz gęby wołu młócącemu"*. Jednak oni Pisma Świętego nie znają.

No, cóż? Dawniej, za pańszczyzny, gdy dziewczynka zbierając jagody połakomiła się na nie, skazywano ją na dwadzieścia pięć rózeg. A teraz za główkę kapusty wydobytą spod śniegu, za garść kłosów zabranych z kołchozu, za parę gwoździ wziętych z fabryki (Rozporządzenie z 7. 8. 1932) można dostać rozstrzelanie, a gdy znajdą okoliczności łagodzące — dziesięć lat łagru z utratą majątku. Dzieci od dwunastu lat sprawiedliwość sowiecka zrównała w wymiarze wychowawczej kary z dorosłymi (7. 7. 1941.). Obywatel sowiecki podlega tej samej karze za wyrządzoną szkodę, choćby była nie dobrowolna. Niech uważa! Gdy humanitarnie zniesiono karę śmierci (2. 5. 1947.), podniesiono automatycznie odsiadkę w łagrach z dziesięciu do dwudziestu pięciu lat. A gdy ze względów wychowawczych przywrócono karę śmierci, to już kara zesłania do łagrów pozostała ta sama — dwadzieścia pięć lat. My, „25-latki", mieliśmy już zabezpieczoną nędzę w całej pełni; dalej była już tylko śmierć. Ale i na nas mają jeszcze dość sposobów. Za nie przemyślane odruchy stosuje się następujące kary:

1. Łagierny karcer; norma pięć dni, ale po wytchnieniu, można normę powtarzać.

2. Można nam nie doręczyć paczki na okres dwóch do trzech miesięcy albo na dłużej.

3. To samo z listami. Mamy prawo do dwóch na rok. Za karę mogą nam skreślić z tej liczby jeden list, a od listów zależały przesyłki. Inwalida mógł więc stracić zupełnie kontakt z domem.

4. BUR — Barak Wzmocnionego Reżymu — to odgrodzone więzienie w łagrze, z którego jednak pędzono na roboty. BUR-em karali na okres dwóch do sześciu miesięcy.

5. Zsyłka do karnego obozu.

6. Więzienie katorżnicze lub łagier katorżniczy.

7. Nowe śledztwo i wyrok.

Oto siedmiogłowa hydra sowiecka, która jeszcze i nam inwalidom skazanym na 25 lat, potrafiła grozić.

Mogę stwierdzić, że jestem wypieszczonym wybrańcem łagiernego losu. Wiele razy „narywałem się", a w karcerze siedziałem tylko trzy godziny.

Ostatnia moja wsypa jest wynikiem donosu. Dopomogli do niej moi koledzy z ogórkowego zajęcia.

Późną jesienią, kiedy nędza nasiliła się jeszcze bardziej — a wtedy paczek nie otrzymywałem i już zaglądałem śmierci w oczy — korzystam z dobrych usług jednego towarzysza, który częstował mnie surową kapustą. Smakuje mi ona bardzo i podtrzymuje nadwątlone siły, ale cóż, nie mamy do niej prawa. Jestem nawet w rozterce, czy mogę z takich poczęstunków korzystać. Na szczęście to bałamuctwo nie trwało długo. Wzięto mnie do pracy przy ogrodowiznie. Tu już jakikolwiek zakaz nie ma żadnego sensu. Wszyscy jedzą wszystko, co im wpada w ręce. I nikt nie ogląda się na żadną władzę, a i samo naczalstwo zapomina na moment o sowieckich, wariackich przepisach. Swoboda dochodzi do tego, że dozorcy, a nawet oficerowie publicznie podchodzą do wozów, wybierają co czerwieńszą marchew i chrupią ją razem z więźniami. Gdy skończyła się marchew, rzucamy się na bydlęcą brukiew, po tym na ogórki, zielone pomidory (bo one nie dojrzewają na Syberii), na buraki, cebulę i kapustę. O kapustę zaczynają się z nami kłócić, ale mało o to dbamy, nie boimy się. Przy cebuli doszły i groźby, wtedy już trzeba się bać. Bo cebula to najbardziej smakowity cukierek, jest bowiem najlepszą obroną przed cyngą. Ale cebuli w naszym łagrze więźniom nie pokazywano, a w kuchni strzeżono przed napaścią. Czosnek byłby jeszcze bardziej potrzebny, ale w naszym obozie, nie wiadomo czemu, czosnku

nie uprawiano. Kiedy wreszcie ukończono zbiórkę ogrodowizny i przystąpiono do szatkowania i kwaszenia kapusty, wszyscy rzucają się do niej, tak że władze obozowe grożą karami; wtedy „żarłoczni" więźniowie zaczynają gryźć surowe kartofle. Władze nie wiedzą jak na to zareagować, zabronić czy milczeć.

Przy naszym nieposkromionym apetycie wiedzieliśmy, że w ogrodach i składach trzeba ciężko pracować. Stale nas popędzano „dawaj, dawaj!" — „prędzej, prędzej!". Ale i bez tego staramy się, na ile tylko starczyło inwalidzkich sił, żeby nas nie przepędzono z tak intratnego zajęcia do rąbania drzewa, noszenia wody, remontu budynków czy innych prac, gdzie się człowiek nie mógł obłowić. Praca więc poprostu paliła się nam w rękach. Zakwasiliśmy dwie olbrzymie kadzie na 2750 i na 3500 kg kapusty, kilka kadzi ogórków i zielonych pomidorów.

Czegoż to inwalidzi nie „zżarli"? Ja sam słyszałem od starych ludzi, że w czasie głodu ratowali się jedząc lebiodę. Teraz więc korzystam ze zdobytych wiadomości, wyszukuję ją, i mogę wszystkich zapewnić, że całkiem zastąpi sałatę. Ani razu mi nie zaszkodziła. Inwalidzi jedli trawę jak konie, mimo wymyślań lekarzy i zakazu władz.

Chociaż Syberia to zielone królestwo, skąpane w trawie, kwiatach i zbożach, i choć łagry miały ile chciały ogrodów, nawozu i rąk roboczych, to jednak zawsze nam brakowało zielenizny i panoszyła się wśród więźniów cynga, anemia, dystrofia (zupełny zanik sił), a także i choroby skórne, egzema, rany, czyraki, wrzody i inne dolegliwości. Syberyjskie lasy to najbogatsze królestwo jagód — czarne jagody, poziomki, maliny, żórawiny, jeżyny i wiele innych, a już poprostu bezkresne morze borówek. Nie znamy nazw różnych rodzajów jagód. Nie wierzymy oczom patrząc na ich masy, a widząc je tu po raz pierwszy boimy się próbować nawet jadalnych. Jednego razu, gdy szliśmy na robotę przez las, zerwałem kilka krzaczków jagodowych, bardzo smacznych, oglądam się za dalszymi, gdy czuję cios w plecy. Dozorca z daleka świetnie wycelował porządnym polanem i przypomniał mi odrazu, kim tu jestem i co on może... Skończyło

się tylko na tym, a przecież według sowieckiego prawa „za krok w bok" mógł mnie poczęstować nie polanem, lecz kulą. Tak samo moc tu orzechów cedrowych, leszczynowych i grzybów, nie mówiąc już o zwierzynie i rybach.

Ale przy całym niezmiernym bogactwie natury i przymusie pracy, bezbożnictwo zamiast wprowadzić ludzi do obiecywanego raju, nie potrafiło ich wyprowadzić z sowieckiego piekła.

W 1952 r., gdy na wiosnę rozkwitło kwiecie, a sady zapowiadały się wspaniale, wyszedł nagle nakaz, aby je zniszczyć. Nie myślę, że nakaz odnosił się do wszystkich łagrów, ale w naszym i sąsiednich zaczęto wyrywać i wdeptywać w ziemię ogrodowizny, a nawet niszczyć drzewa. Co było przyczyną wandalizmu? Nie wiadomo. Nam przekazywano rozkaz, o przyczynach wiedziały władze. Możliwe, że w obozach zdarzały się ucieczki. Jednak ogrody przynosiły wiele korzyści; kwiaty łagodziły surową dyscyplinę, a tytoń swym dymem czynił lżejszą gorzką dolę więźnia.

Dziwaczny ten zakaz, czy wymysł lub kaprys zarządu naszego łagru skończył się ze śmiercią Stalina (jak on dobrze zrobił, że wreszcie umarł!). Od razu posadzono drzewa, założono ogrody pełne kwiatów i warzyw. Palacze ożyli na nowo, tym bardziej, że w tym czasie bardzo dużo tytoniu przychodziło w paczkach, a w łagiernych kramach można go było nabyć. Produktów spożywczych w kramie było bardzo mało, ale za to nie brakło już papierosów, zapałek, mundsztuków (fifek), a wreszcie i fajek.

Niektórzy opowiadali, że ogrody skasowano dlatego, bo podobno miało się zdarzyć, że... „gdzieś niedaleko, w jakimś łagrze, ktoś, kiedyś uciekł..."

Inni mówili, że „może to i prawda"?...

A jeszcze inni tłumaczyli, że „uciekinierzy w pewnym czasie chowali się w kartoflach, tytoniu..."

Dobry mój znajomy dodał, że „jakoby ich tam złapali..."

Ale nieznajomy powątpiewał:

„...Hm, a może ich nie złapali?..."

CZY JUŻ CZAS MI UMIERAĆ?

Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje...

Zima z 1951/52 r. dała mi się mocno we znaki. Ostre mrozy, przejmujący wiatr przy nędznym ubraniu. A nas inwalidów pędzą bez litości na roboty. Nie kończące się pluskwy, marne jedzenie, zgryźliwi sąsiedzi, beznadziejna przyszłość... Do tego wszystkiego przyplątały mi się czyraki, wrzody, jakieś guzy i flegmona. Biegnę do ambulatorium, tam pobieżnie mnie oglądają, szybko smarują, kleją.

— Dziękuję.

Ale nim dojdę do baraku plastry już zlazły, a czyraki głębokie. Co robić? Rozerwałem ręcznik, uszyłem z niego bandaż i sam zacząłem się leczyć kompresami. Całe szczęście, że czyraki wyskakiwały kolejno. Znów idę do lekarza. Teraz stosują przestrzykiwanie mojej własnej krwi z jednego miejsca w drugie. Pomogło mi i ulżyło na dwa do trzech tygodni. Myślałem, że się dorobię zimnej mogiły, bo lekarz już nie potrafił nic pomóc.

Aż nadchodzi nieoczekiwany ratunek — pierwsza paczka. Wzywa mnie dozorca:

— Od kogo oczekujesz paczki?

— Od całego świata, od wszystkich krewnych i znajomych.

— Powiedz nazwisko i miejscowość, skąd masz paczkę, bo inaczej nie wydam.

Mówiąc to naczelnik zasłania mi skrzynkę, żebym nie mógł dojrzeć adresu. Jak tu zgadywać? Przez cały czas pobytu w Mandżurii, przez okres wojny, pobytu w więzieniu i łagrach straciłem całkowicie kontakt z rodziną, znajomymi i przyjaciółmi. Nie

wiedziałem, kto z nich żyje i gdzie mieszka. Zacząłem więc na chybił trafił wymieniać adresy i jakoś na jeden trafiłem.

— A kto wysyła? Nie mogę odgadnąć w żaden sposób. Ale nadzorca, człowiek przyzwoity, zgadza się oddać mi przesyłkę. Aż tu nowa przeszkoda, pomyłka w imieniu ojca.

— Widzisz sam, że nie mogę oddać.

— Rozumiem — odpowiadam — ale pomyślcie tylko, przecież w obozie nie ma nikogo o tym nazwisku, a imię i nazwisko zgadza się. Nie macie więc powodu do obaw. A ja przecież... Jednak, jeśli nie chcecie dać, to cóż na to poradzę. Do widzenia.

Odchodzę z wielkim żalem, ale spokojnie. Co za dola! Pierwsza paczka, ratunek od śmierci, i zwrócą ją nadawcy, a co za tym idzie, nie dostanę już stamtąd nic. Ale i w nich drgnęło sumienie; widzą do jakiego stanu doprowadził mnie łagier — kazali się wrócić i przesyłkę oddali. Wszyscy znajomi ogromnie się dziwili na wiadomość, że nadzorca okazał się tak niesłychanie ludzkim i mądrym. Możliwe, że lekarz coś szepnął w mojej sprawie, bo on lepiej znał stan mego zdrowia niż władze. Ale decyzja należała do dyżurnego naczelnika.

Dotąd nie wiem, kto wysłał mój adres do znajomych, myląc przy tym imię ojca. A w przesyłce same skarby — cukier, słonina, kiełbasa, cebula. Prawda, że produkty są już trochę postarzałe, bo paczka szła w ślad za mną na Brack, potem Centralny Szpital i wreszcie do łagru 0,20. Więźniowie jednak nie zwracają uwagi na jakość, byleby tylko lekarz przepuścił. Były tam nawet słodkie suchary, którymi odrazu poczęstowałem dozorców, a ci uprzejmie nie odmówili się od poczęstunku.

Muszę zaznaczyć, że w łagrach nasze paczki nie ginęły. Przy wydawaniu nieraz dozorcy rewidowali je bardzo skrupulatnie i surowo, zabierali przedmioty kultu, jak opłatki, książeczki, różańce, albo kroili i kruszyli produkty bez sensu i potrzeby. Nieraz też, zwłaszcza latem, żywność psuła się przy etapach z obozu do obozu. A trudno było donosić na czas o zmianie adresu, mając tylko prawo do dwóch listów w

ciągu roku. Wprawdzie wydano przepis, że na potwierdzenie odbioru przesyłki można było wysłać list poza normą, byle nie przekroczyć 15 słów, jednak tego przepisu do naszych łagrów nie dopuszczono. A moi dobrodzieje dziwili się i pisali:

— Czemu nie zawiadomiasz o odbiorze paczki? Inni w takich wypadkach piszą 15 słów, a dlaczego ty milczysz?

A ja nie mogłem im nic wytłumaczyć, bo bałem się, żeby mi za „oszczerstwo" nie skonfiskowano jednego z dwóch listów rocznej normy za napisanie prawdy. Tak cenna przesyłka podziałała na mnie jak życiodajny deszcz na zwiędłą roślinę. Czyraki jakby kto odjął, rany zaczęły się zasklepiać i więcej się nie otwierają. Pozostały tylko ślady, świadczące o ówczesnym mym zdrowiu.

Ale i moja radość miała swoje cienie. Nie mając dotąd znikąd pomocy, popadałem w wielkie długi. Wspomagali mnie moi towarzysze, trzeba im teraz się wypłacić, przecież mnie ratowali, gościli. Muszę też poczęstować brygadiera, dyżurnych baraku, dobrych i złych sąsiadów — dobrych z przyjaźni, złych aby zamknąć im usta. Gdym to wszystko rozważył, mocno się zaniepokoiłem:

— Mój Boże, co ja mam robić?

Bo i dziesięcioma takimi paczkami nie obdzielę wszystkich. A ja sam też byłem stuprocentowym „łazarzem", marniejącym na oczach ludzi. Lecz powiem tu lojalnie, że bliźni mnie zrozumieli; nie są napastliwi, zachowują należną dyskrecję, nie pchają się natrętnie na poczęstunek, są cierpliwi i wyrozumiali. Inni nawet specjalnie unikają spotkania, abym nierozważnie nie roztrwonił niezbędnych produktów. Z wdzięcznością wspominam moich przyjaciół, tak delikatnych i rozumnych.

Od tego czasu otrzymywałem pomoc w mojej niedoli, abym przedwcześnie nie zwalił się z nóg. Paczki dostawałem już do końca pobytu w łagrach, tj. do 27 kwietnia 1955 r. Prawda, że rzadko i niewielkie, gdyż pomagali mi ludzie biedni, a ja nie mogłem się z nimi porozumieć, pokwitować odbioru, podziękować lub o co poprosić. Nie mogłem też naturalnie wy-

wdzięczyć się im czymkolwiek, oprócz modlitwy. Z zagranicy nie mogłem dostać żadnej przesyłki ani też tam pisać, a krewni moi poginęli lub powyjeżdżali; ratowali mnie więc obcy, często nieznajomi ludzie.

Teraz muszę zaświadczyć wobec Boga i całego świata, że gdybym nie miał pomocy, nie przeżyłbym nędzy i prześladowania w łagrach Sowieckiego Sojazu.

Gdy tylko ogólnie zdrowie mi się poprawiło, odnowiły się hemoroidy, tylko w bardziej ostrej formie. Śmierć zdradliwie skrada się do serca, pytając o moją duszę. Krew uchodzi obficie i biedne serce nie może wykarmić zabiedzonego organizmu. Nagabuję więc lekarzy, prosząc o powtórne wysłanie mnie do Centralnego Szpitala. Dr Kohan, bardzo tu poważany lekarz, nie mógł nie uznać ciężkiego stanu mej choroby i konieczności natychmiastowego ratunku. Wezwał na konsylium swych pomocników dra Tarnowskiego i dra Korola. Stwierdzili jednomyślnie ciężki stan zdrowia i skierowali do szpitala. Analizy wykazały, że mam krew dobrą, ale jest jej bardzo mało. Konieczna jest natychmiastowa operacja. Wyszedłem z konsylium pełen nadziei na ratunek i wdzięczny lekarzom. Ich bowiem zgodna opinia i nacisk przepchnęły mnie do szpitala, a wtedy przeszkód było wiele. Na operacje wysyłano wyłącznie potrzebnych robotników pierwszej i drugiej kategorii, a inwalidów jedynie w wypadku zakaźnych chorób, jak gruźlica lub choroby skórne, albo obłąkanie. A więc miałem wielkie szczęście, że otrzymałem natychmiastową pomoc i przez to uniknąłem śmierci.

Kochan i Tarnowski byli żydami, Karol był „tutejszy". Wszyscy oni mieli dobrą opinię w łagrze, ale cóż, kiedy apteka świeciła pustkami i lekarze byli bezradni, jak ten śpiewak niemowa na scenie. Inwalidzi cenili Kohana, poważali Tarnowskiego, a Korola lubili.

Sprzyjało mi i dalej szczęście, bo zaraz po konsylium zarząd łagru zebrał kandydatów do szpitala, wyszukał obszerne sanie, tzw. „rozwalinki" i dobre konisko. Zawiozło nas ono truchtem do szpitala, w

którym byłem już na poprzedniej operacji. Trzeba mi było powtarzać za prorokiem Dawidem:

— *Zgorzkniało serce moje, a ja stałem się bezmyślny i głupi... Choć się rozpadnie ciało moje, a serce moje ustanie, siłą duszy mojej jest Bóg na wieki... Szczęściem moim trwać przy Bogu, w Panu pokładać swą nadzieję...* (Ps. 72.)

Wielu przyjaciół przy pożegnaniu życzyło mi pomyślności. Pogoda nastała słoneczna i piękna, ale moja przyszłość zasnuła się gęstą mgłą. Czy otrzymam pomoc, o którą tak zabiegałem? Jednak złożyłem los swój w ręce Boga i poczułem się weselszy.

ZNÓW W SZPITALU

Choroba nikogo nie zdobi.

Nadchodzi wiosna 1952 r., ale i zima nie chce odejść. Na Syberii środek zimy jest najłagodniejszy; o ile na początku i końcu mrozy dochodzą do —50 stopni, to w środku temperatura wynosi ledwo —20 i —15, a ludzie mówią:

— Ach jaka przyjemna pogoda. Mamy zupełną odwilż!

W kwietniu nie ma jeszcze ani jednego kwiatka, ale ziemia zaczyna już pstrokacieć; mróz w dzień ucieka przed słońcem, ale od wieczora do rana aż trzeszczy. Gospodarze korzystają ze słonecznych dni, kiedy śnieg na strzechach nagrzewa się i zaczyna topnieć, i spychają go na ziemię.

Tego roku śniegu nawaliło bardzo dużo. Nasza droga do szpitala świeci w słońcu jak lustro, jest gładka, wyślizgana i błyszcząca. Sanie przechylają się na boki, obijają o śnieżne koleiny grożąc wywróceniem, ale jakoś bez przygód przebywamy te pięć kilometrów. Gdy mróz zaczyna porządnie dobierać się do uszu i dotkliwie szczypać, słyszymy:

— Prrr, kobyłka, jesteśmy na miejscu.

Stanęliśmy przed mocną, szczelną bramą szpitala, jak przed dawną fortecą. Uzbrojony dozorca przepuścił nas z tak obojętną miną jak sanie drzewa. Jesteśmy zziębnięci, nie mamy bowiem dobrego ubrania, a byliśmy wychudli i schorowani.

W oddziale chirurgicznym lekarze (Zazulina — lekarka przebywająca na wolności i Panikow — więzień) obejrzeli mnie i powiedzieli starszemu sanitariuszowi:

— Z nim zupełnie źle, nie wytrzyma operacji. Trzeba go najpierw dobrze odkarmić. Dopilnujcie tego.

Wyznaczono mi lepszą dietę. Jednak nie mogę sypiać i brak mi apetytu, a krew uchodzi tak, że śmierć już podchodzi za plecy. Przystąpiono do wstępnych analiz, a ja czuję, że krew mi zupełnie ucieka, a z nią i życie. Doktor aż się zatrwożył. Co robić? Nie można odkładać operacji i nie można słabego operować. Wtedy dali mi trzysta gramów krwi drugiej grupy. Poczułem od razu, jak się serce uspokaja i wzmacnia. Teraz już bez zwłoki kładą mnie na znajomy stół operacyjny. Operuje Zazulina, ale słyszałem, jak dyrygował Panikow. Wszyscy w szpitalu uważają go za najlepszego chirurga. Przed samą operacją powiedział:

— Nie bójcie się, całkiem was odremontujemy.

Po operacji otrzymałem jeszcze dwieście gramów krwi i poczułem, jak mi przybywają nowe siły. Dali mi krew konserwowaną, którą pobierano od więźniów z nadciśnieniem. Później, gdy pracowałem jako szpitalny kancelista, miałem w ręku „historię" mojej choroby. Dowiedziałem się, że krew pochodziła od Nikoforowa i od Szewczenki. Zrobili więc z Białorusina pełny sowiecki sojuz, białorusko-moskiewsko-ukraiński. Ale moja dusza pewnie nie zmieniła się pod wpływem transfuzji.

Doktor Zazulina, to pracowita, cicha, bez dziwactw, sympatyczna, młoda kobieta. Współczuje chorym. Nikt jej nie uważa za komunistkę. Mówiono, że gdy „kroi", nie zadrży.

Muszę tu dodać, że gdyby w każdym szpitalu byli tak dokładni, ofiarni lekarze, jak tych dwoje, to śmierć musiałaby pójść z torbami. Sam szpital od roku 1950 był nad podziw rozbudowany, zaopatrzony nowocześnie, i obsadzony siłami fachowymi.

Ale jak wszystko w Sojuzie jedno psuje drugie, tak i tu — według bajki „Kaftan Tryszkina", w której majster podciął kaftan, żeby nadsztukować rękawy — wyżywienie chorych pozostało bez zmian. Prawda, wprowadzono wiele rodzajów diety i kategorii odżywienia, obciążając kuchnię różnymi przepisami, ale

były to tylko puste nazwy, bo tak jak dawniej niedostatecznie dostarczali tłuszczu, zielenizny, produktów mącznych, i w rezultacie wygłodzonych chorych leczono głodem.

W szpitalu były dwa oddziały dla gruźlików, dwa dla nerwowo i psychicznie chorych, jeden oftalmiczny, jeden dla chorób skórnych, dwa chirurgiczne, dwa wewnętrzne, dwa dla rekonwalescentów. Była też łaźnia, różne składy, olbrzymia kuchnia, specjalna zona robocza itd. I — żebym nie zapomniał, — był szpitalny karcer, „półziemianka", ogrodzony podwójnym drutem kolczastem, z dwoma bramami opatrzonymi w zamki.

Na naszym dziale leżeli obok siebie dwaj chłopcy. Każdy z nich miał nogę na wyciągu. I jeden i drugi mieli złamane kości w dwóch miejscach, przed kolanem i za kolanem. Przed wypadkiem pracowali w lesie w jednej brygadzie. Leżeli już trzeci miesiąc i zaprzyjaźnili się jak bracia. Razem cierpieli, gwarzyli z sobą, żartowali; bali się tylko, żeby ich nie rozdzielono. Nogi im się goiły, gdy ich odwiedzałem. Jeden z nich, Białorusin, wyzdrowiał pierwszy, dostał kule i poszedł w etap. Przy pożegnaniu rozpłakali się jak dzieci. Zdziwiliśmy się, gdy Białorusina po paru tygodniach przysłano znów do szpitala.

— Tak się pokłóciłem z kierownictwem obozu, że mnie odesłali z powrotem.

Na nic się to jednak nie zdało, bo go do przyjaciela nie dopuszczono. Podleczyli go trochę i wysłali do innego łagru. Bo w obozach nie lubią przyjaźni wśród więźniów. Ukrainiec leżał teraz jak sierota, smutny i osamotniony.

W szpitalu było wielu chorych na nadciśnienie. Dawniej lekarze zabraniali przykładać pijawki i puszczać krew. W naszym Centralnym Szpitalu tylko tym sposobem leczono. Chwilowo przynosiło to ulgę chorym, ale nie na długo. Jeden poważny lekarz powiedział mi szczerze:

— Muszę przyznać, żeśmy tym sposobem nikogo nie wyleczyli z nadciśnienia. Przedłużamy tylko życie i chorobę.

Gdy później prowadziłem księgę chorych, zaznajomiłem się z „przebiegiem chorób", i byłem zdumiony, że tak dużo ludzi cierpi na tę dolegliwość, a ja nie mogę dobić i do połowy ich ciśnienia.

Z jednym z takich zaawansowanych w chorobie miałem bardzo ostre spięcie. Spał on pode mną na dolnych narach. Lat miał 50. Zewnętrznie wyglądał na mocnego mężczyznę — rosły, barczysty, czerwony i energiczny. Był to Bułgar — Macedończyk. Należał do grupy przedwojennych partyzantów macedońskich, walczących politycznym terrorem przeciw zaborcom Macedonii, zwłaszcza przeciw Serbii. Całą jego duszą owładnęła rewolucja, a przy tym i zezwierzęcenie; ręce jego były zbroczone krwią ludzką powyżej łokci.

Gdy spotkała go od więźniów jakakolwiek przykrość, Bułgar bluzgał najordynarniejszymi przekleństwami. Nie mogę tego ścierpieć i choć mnie nie zaczepia, odważam się go zawstydzić. Jakże ja „słabosilny" i wymizerowany odważam się porywać na groźnego rozbójnika, którego boi się stu dwudziestu mieszkańców podwójnej sali? Nikt mu nie poważy się przeciwstawić, ma bowiem wygląd tyrana, władczy ton, ostry głos, przeszywający wzrok, to też każdy schodzi mu z drogi jak dzikiemu tygrysowi. Jest zdumiony, że nie tylko nie boję się go, ale jeszcze śmiem atakować. Wszyscy przerażeni czekają na jakąś katastrofę. Ale ja tak jestem pewny swego prawa, taki spokojny i zdecydowany, że mój sąsiad-zwierzę milknie. Parska tylko nosem i uspakaja się. Tak nieraz czarna chmura, grzmiąca piorunami, krąży wokół, a potem zawróci nie wyrządziwszy szkody. Bułgar zaczyna po trochu do mnie zagadywać. Dzień po dniu gwarzymy coraz więcej. Opowiada mi swoje dzieje, przygody, mówi o okrutnych pogromach. Słuchałem go z zaciekawieniem. Nie przerywam opowiadania, aby go nie rozdrażnić i dać swobodę wypowiedzenia zwycięstw i klęsk, przynieść ulgę skołatanej duszy.

W ten sposób, ten gorący patriota i straszny terrorysta, człowiek absolutnie mi obcy i daleki, zbliżał się do mnie coraz bardziej. Mówi zupełnie swobodnie, jakby odbywał przyjacielską spowiedź, możliwe

że pierwszą w swoim burzliwym życiu, a może i ostatnią. Nie ukrywam przed nim, że jestem księdzem, ale go to nie skonsternowało. Budzi on we mnie jakiś sentyment — ten dziwny i okropny człowiek i brat. Z czasem przeszliśmy na tematy poważniejsze i głębsze. Mój Bułgar czasami jeszcze zrywał się z łóżka, wymyślał i krzyczał na współtowarzyszy, jednak były to już rzadsze wypadki. Wtedy milczałem, ale on sam wyczuwał, że sprawia mi tylko wielką przykrość.

Aż pewnego razu, gdy przyszedłem na salę, nie zastałem go więcej. Po cichu go zabrali i wysłali gdzieś do innego łagru. A ja odczułem w sercu jakiś żal i do siebie, i do niego, dlaczegośmy nie przewidzieli rozstania i nie dokończyli naszych zasadniczych tematów? Szkoda mi było rozumnego, ale i zapalczywego człowieka, co nierozważnie szedł na spotkanie z wiecznością i z samym Bogiem, mając na sumieniu tak straszliwy ciężar. Polecam jego duszę nieskończonemu miłosierdziu Bożemu. Niech go Bóg uspokoi w ciszy wieczności! Szukał on bowiem na tym świecie sprawiedliwości, prawdy i dobra, choć szedł do nich fałszywymi ścieżkami; a nie miał w życiu ani dobra, ani szczęścia. Wielki rozbójnik i słaby człowiek... i bardzo nieszczęśliwy.

„NIE UMRĘ, ALE ŻYW BĘDĘ"

W zdrowiu moim zachodzi widoczna i szybka poprawa. I warunki teraz mam lepsze, bo dostaję z Białorusi paczkę za paczką, i to na czas kryzysu, kiedy wstałem z łóżka i przeniesiono mnie na oddział rekonwalescentów. Baraki te stały w najwyższym punkcie obozu, z widokiem na swobodę, ku wolności. A Bóg, który jest wolny i niezależny, stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje. Gdyby nie pęd ku wolności, i nie kajdany niewoli, to dla ludzi co otrzymywali regularnie przesyłki, oddział ten byłby dobrym przytułkiem, o wiele lepszym niż kołchoz lub zsyłka, gdzie tak trudno o dobry zarobek i przeżycie. Ale gdy człowiek zostanie niesprawiedliwie pozbawiony wolności, wszędzie czuje okropną mękę i krzywdę. Wtedy nawet taki słabiutki błysk wolności, jak widok szerokiej swobodnej przestrzeni, staje się radością.

W południe powietrze się ociepla i cała brać inwalidzka wyłazi ze swoich barłogów na przyźbę, aby nagrzać wystygłe gnaty. Lecz początek lata bywa zmienny; zdarza się, że jak powieje północny wiatr „siwier" inwalidzi biorą nogi za pas i zmykają do baraku, tłocząc się w nim i marynując w ciasnocie i hałasie.

Wreszcie lato ustala się całkiem. Tak nam dobrze na dworze, że wynosimy stoły i będziemy jadać na wolnym powietrzu. W oddziale dla rekonwalescentów nie obowiązują surowe przepisy. Rozruszaliśmy się i jesteśmy weseli, to też nasze krzyki i śmiech niosą się po całym obozie. Żeby nam jednak nie było zanadto przyjemnie, miała przyroda i ludzie moc sposobów do

zatruwania życia. Syberyjska muszka tak się namnożyła, że sypała nam się do misek jak mak. Niemożliwe było jeść. A szkoda wylewać zupy, bo co wtedy jeść? Jedni więc starannie ją wybierają, bo brzydzą się jeść z muchami. Mało to pomagało, gdyż nowa fala zalewała posiłek. Ale inni jedzą bez ceremonii taką „trefną" zupę, jakby posypaną skwarkami.

Nasz starszy sanitariusz, którego boimy się bardziej niż lekarzy, był Sybirakiem i pochodził z rodziny mieszanej rosyjsko-buriackiej. Za Bajkałem jest takich wielu: z wyglądu bardziej podobni do mongołów niż do słowian. Rośli, o wydatnych kościach, okrągli na twarzy, skórę mają jasno-brązowo-miedzianą. Często byli potomkami dawnych katorżników, którzy po uwolnieniu żenili się na miejscu i „wżywali" w Sybir. Odznaczali się wyniosłością, uporem, powolnością, bo długi zimowy okres muszą chodzić w ciężkiej odzieży. Przy tym są skryci, nieufni i ciężcy w pożyciu.

Nasz starszy sanitariusz, mężczyzna w średnim wieku, chyba dawny kryminalista, odznacza się stanowczym charakterem, ostrym głosem i nadętą twarzą. W gardle ma po operacji wstawiony kawałek rurki, przez którą oddycha. Grzmi na nas swym sztucznym głosem jak Jowisz, a czasami ciska gromy jak Mars. Nikt nie ośmiela się przeciwstawić temu człowiekowi. Władze obozowe lubiły takich groźnych chuliganów wysuwać na stanowiska w łagrze, bo potrafili utrzymać wszystko w lśniącym porządku. I wtedy „było wszystkim dobrze" — oprócz inwalidów.

Zaraz w pierwszych dniach miałem zajście ze starszym (i strasznym) sanitariuszem. Któregoś rana robiąc porządki na sali, nasz Jowisz tak się rozsierdził, że począł sypać najwstrętniejszymi bluźnierstwami. Wszyscy naturalnie stulają uszy i milczą, a ja zaprotestowałem ostro:

— Nie macie prawa znieważać nas, wierzących!

— Czego się wtrącasz? Nie do ciebie mówię. To ciebie nie dotyczy.

— Jakto nie? Wymyślacie wszystkim bez wyjątku, a ja też należę do tej sali.

Obecni struchleli. A ja pomyślałem:

— Jak mogę się przeciwstawić takiemu wilkołakowi? Toć jakby trzasnął mną o ziemię, nie byłoby co i kości zbierać. Jednak stała się rzecz niebywała. Jowisz błysnął ślepiami, zachrypiał metalowym gardłem... i umilkł. A potem nie zaczepialiśmy się nawzajem. On mnie mijał milcząc, a ja go obchodziłem ostrożnie i z daleka...

Pomocnikiem sanitariusza jest główny dyżurny. Rozdziela on posiłki, bo w szpitalu każda sala jada u siebie. Naszym dyżurnym jest bardzo niesympatyczny typ, Iwan Mironowicz. Wyschły i fizycznie, i duchowo, nadęty i nieprzystępny. Dosyć obrotny, ale skryty, jakby miał za pazuchą sztylet. Chyba miał na sumieniu jakieś niewyjawione zbrodnie. Widocznie gryzą go nuda, ciężkie wspomnienia i wyrzuty sumienia. Ale ja się go nie boję, podchodzę do niego i choć niechętnie, ale swobodnie rozmawiam.

Kiedyś się zdarzyło, że naszego Jowisza, jako specjalistę, władze odwołały do pilnej roboty gospodarskiej. Wtedy Iwan Mironowicz dostał awans na starszego sanitariusza. Wakuje więc miejsce dyżurnego do rozdzielania posiłków. Ochotników nie brakło, ale Mironowicz wyznacza mnie. Nie myśląc wiele, powiedziałem:

— Dobrze, spróbuję.

Pracowałem jak prawdziwy artysta, bo już przedtem piastowałem ten urząd w brygadach. Tylko tu gospodarka miała większy zakres. Miałem też pomocników. Któregoś dnia przyszedł do nas Jowisz, zauważył mnie na stanowisku dyżurnego; jest mocno tym zdziwiony, choć nie dał poznać po sobie, że mu się moja kandydatura nie podoba. Ciężka to służba i odpowiedzialna. Nie daj Boże dzielić żywność w stanie półgłodówki!

Często nie mogłem dojść do ładu z kuchnią, bo tam nie umieli lub nie chcieli się doliczyć do wyznaczonej normy, ale za to wymagali, żeby im wierzyć bez kontroli, Jeśli jednak przy wydawaniu coś zabrakło, musiałem oddawać swoją rodzoną porcję, bo inaczej powiedzieliby, że ukradłem. Ale gdyby się coś zostało,

mógłbym odbić swoje straty, tylko niestety nigdy nic nie zbywało. Bo w kuchni szpitalnej wymierzają jak w aptece. W Sojuzie nie dadzą ci nic ponad normę; ale jeśli do normy brakuje, wtedy kuchnia dopełni wodą lub odetnie i tak już skąpą porcję, albo postara się nie domierzyć.

Musiałem więc stawać pierwszy w kolejce do kuchni, wyostrzyć oczy, uszy i nos, aby szybko od nich wszystko pobrać i w lot przeliczyć. Złość i śmiech bierze, bo w kuchni nie lubią, kiedy odrazu liczyć rybę, śledzie, bułeczki i inne produkty; później już reklamacji nie przyjmują, a szef kuchni powie krótko:

— Odszedłeś, koniec! Zażaleń nie przyjmuję.

Ten szef, czyli Iwan-Kłoda, jak go nazywali, miał tyle w sobie złości, co i wagi, a ważył 160 kg. Ale dla niego starczyło w kuchni jedzenia.

Mamy jeszcze na naszej sali magazyniera, który opiekował się odzieżą i bielizną. Wysokiego wzrostu, potężnej tuszy, stary już, ale jeszcze silny, trzyma się z fasonem jak dawny oficer. Jest mało towarzyski, za to z wielkimi pretensjami. Intonacja głosu jak u dowódcy, zdania krótkie, jakby cięte i twarde. Domyślamy się, że w wojsku musiał mieć dużo ludzi pod sobą. Początkowo pracowałem w jego magazynie przy naprawie bielizny. Na moje zapytania cedzi zdania przez zęby, uważając wszystkie nasze sprawy za drobiazgi bez znaczenia. Raz mi powiedział obcesowo:

— Nie znam się na takich głupstwach.

— Jak to nie znacie się. Przecież to należy do waszego działu.

— Nie znam i nie chcę znać.

— Ale dlaczego?

— A wy wiecie kim ja jestem?

— Skąd mogę wiedzieć? Nawet się nie domyślam.

— Jestem generał-pułkownikiem. Zrozumieliście?

Teraz zrozumiałem dlaczego się na tym nie znał. I więcej zrozumiałem, że był starym komunistą i w czasie klęsk wojennych i niebezpieczeństw doszedł do wysokiej rangi generał-pułkownika. Po wojnie nie zdążył się przestawić na nowy kurs i, jak wyszła z

obiegu moneta, został wycofany; zlikwidowano go do łagru, gdzie dostał rangę magazyniera; a to ranga niby tak samo wysoka i odpowiedzialna...

Do naszego oddziału była przydzielona opieka nad karcerem. W karcerze szpitalnym obowiązuje surowszy regulamin niż w łagrach. Żeby zanieść posiłek skazańcowi, trzeba otworzyć pięć zamków; dwa zamki przy podwójnym ogrodzeniu, jeden przy samym karcerze, jeden w drzwiach celi i jeden w „karmuszce" (okienko do podawania jedzenia). Nosiłem tu herbatę cukier, chleb, i co czwarty dzień, miskę zupy.

Zdarzył się przy mnie wypadek, że jakiegoś więźnia posadzono od razu z wagonu do karceru. Ogłosił więc głodówkę i przyjmował ode mnie tylko wodę, a chleba nie brał. Przynosiłem mu regularnie jedzenie, a on je uparcie zwracał. Na piąty dzień wzięli go znów w etap. Wtedy zażądał jedzenia i posilał się z apetytem. Pod sam koniec dowiedziałem się, że był on u błatnych jakąś ważną figurą, ponoć ich wodzem.

Był jeszcze ciekawszy typ, też błatny, chory na nogi. Miał lat 30; chudy jak szczapa, rozmowny i wesoły; miał takie śliczne wąsy, że mógłby na jakimś konkursie zdobyć za nie złoty medal. Sam też był przystojny. Ale jego nogi stanowiły jakąś niezrozumiałą zagadkę. Lekarze twierdzili, że chory powinien się poruszać i chodzić o kulach, a on leżał jak bela; palił, bajdurzył i nie dawał się ruszyć. Sprowadzili do niego wreszcie konsylium wybitnych specjalistów, którzy potwierdzili postanowioną już diagnozę, ale chory dalej się uparł przy swoim. Dostał za to pięć dni karceru. Dziwiłem się bardzo, jak mógł go znieść. Ale przez niego i ja się męczyłem. Ledwieśmy go mogli zaciągnąć do karceru. Od bramki sam go niosłem na barana. Nosiłem jeść do celi, potem zaniosłem go do łaźni, wyszorowałem i zaniosłem z powrotem na salę. Łaźnia stała dość daleko i trzeba było iść pod górę. Całe moje szczęście, że był chudy.

Na sali szpitalnej znów zwalił się na łóżko i nie chciał chodzić. No, więc znów karcer! A dla mnie nowy ciężar. Jednak najtrudniejszy egzamin i wielka bieda spotkała mnie, gdy jego koledzy błatni zmusili

mnie, żebym mu zaniósł papierosy i zapałki. Niebezpieczeństwo czyhało z dwóch stron. Nie mogłem odmówić błatnym, boby się zemścili, a zanieść papierosy... niechby kontrola znalazła, to ja sam znalazłbym się w karcerze lub zarobiłbym sąd, albo karny łagier. Poniosłem jednak i jakoś to przeszło. Nie dokończyłem z nim nowych pięciu dni karceru, bo mnie wzięli na etap. Ciekaw jestem, co się stało z moim pacjentem, z jego karcerem, nogami i zabójczymi wąsami?...

ŁAGIER 0,7

Piękne więzienie — niech czortu służy!

Był rok 1952. Piętnastego sierpnia. Rok dla więźniów bardzo ciężki i beznadziejny. Żadnego wytchnienia. Nawet w siedemdziesiątą rocznicę urodzin Stalina, choć wiele się po niej spodziewano, niczego się nie doczekaliśmy. A i później żadna sowiecka uroczystość ani komisje, które często zjeżdżały, nie przyniosły najmniejszego polepszenia. Jeśli zdarzały się jakieś reformy, to tylko na gorsze. Czasem komisja dawała pewne nadzieje, ale były to czcze obiecanki. Czasem huczała i na nas, i na kierownictwo łagru, ale i to przechodziło bez oddźwięku, jak chmura letnia co pogrzmi, ale przejdzie bokiem.

Nie tylko, że nie ogłoszono amnestii, ale i tych co kończyli karę, kierownictwo zatrzymało w łagrze. A innych więźniów przed ukończeniem wyroku wzywano na nowe przesłuchanie i za dawną sprawę dawano nową karę. Bywały też „dobawki" bez sądu, na podstawie zaocznego dekretu. I jeszcze jeden sposób. Dawano taką swobodę, że więzień się jej wyrzekał — to zsyłka („swobodne osiedlenie się"), gdzie swoboda ograniczona była do małego terenu. W praktyce wyglądało to tak: więźnia po ukończeniu kary zsyłano z naszego irkuckiego okręgu do rejonu krasnojarskiego, gdzie był surowszy klimat i cięższe warunki życiowe. Inwalida zaledwie mógł zapracować na najniższą stawkę, która nie wystarczała mu na życie, ubranie, mieszkanie, potrącenia i wydatki. Więc jak wyżyć? Chyba, żeby dało się kraść. Ale jak w Sowietach kraść, kiedy tam wszyscy porządni ludzie musieliby to robić. Nawet błatni, którzy podchodzą

do kradzieży zawodowo, i to wpadają, choć zjedli na złodziejstwie zęby, a więcej siedzą niż chodzą.

Zaiste, świat współczesny, świat bomby atomowej i satelitów, stał się całkiem nienormalny. W krajach zamożnych ludzie leniwi kradną wielkie sumy i wykręcają się od małych kar; w Sowietach jeśli kradną, to jakiś drobiazg, a dostają za to dziesięć albo i więcej lat. Tam działają gangsterzy i bandyci ze zbytku, a w Sowieckim Sojuzie kradną ludzie uczciwi, którzy za ciężką pracę nie mogą przeżyć.

Powstaje paradoksalna sytuacja. Inwalidzi otrzymywali wolność i woleli pozostawać w łagrze, więc trzeba było ich przemocą wyrzucać z obozu. W naszym łagrze jednego wyniesiono na noszach i wyrzucono za bramę — na pełną swobodę. Sam byłem świadkiem, jak pewnego miłośnika łagru wlekło dwóch pod ręce za wrota, trzeci ciągnął z przodu, czwarty pchał z tyłu, piąty nakładał mu czapkę (a inwalida strząsał ją z głowy), szósty szedł na przedzie z dokumentami. Tak się odbywał pochód ku wolności...

Pewien młody lekarz z sowieckiej szkoły, Białorusin, opowiadał mi, że dostał wyrok na dziesięć lat i został wysłany do ałtajskiego okręgu. Udało mu się tam pracować bez konwoju. Rano wychodził do chorych, wieczorem zaś musiał wrócić do łagru. Okręg ałtajski jest bogaty i ma najlepszy klimat, to też doktorowi powodziło się nieźle. Ale po czterech latach wezwano go na powtórne śledztwo w tej samej sprawie, na nową rozprawę sądową, na której dostał 25 lat.

W więzieniu i łagrach nasłuchałem się wielu podobnych, niezmiernie ciekawych opowiadań. Rok 1952 doprowadza nas do rozpaczy. Nie spełnia ani jednej sowieckiej obiecanki. Chciało się kląć go, jak Hiob ze Starego Testamentu po stracie wszystkiego co miał — majątku, zdrowia, rodziny — przeklinał dzień, w którym się począł. Myśmy też wszystko utracili. Nic dziwnego, że i my chcieliśmy złorzeczyć:

— Oby ten rok przeklęty wymazano ze wszystkich kalendarzy, żeby nikt go dobrze nie wspominał, a ci co byli przyczyną naszej krzywdy, żeby sami trafili na nasze miejsce!

Chociaż nie! Lepiej prosić słowami Nowego Testamentu:

— Niech oświeci Bóg narody wolnego świata, żeby poznały i wzięły głęboko do serca prawdę o bezbożnikach i ich przeklętym raju. Niech Bóg pokarze naszych oprawców, co nas bez powodu dręczyli, a to dla ich nawrócenia. Żeby mogli zrozumieć, że i oni są ludźmi obdarzonymi nieśmiertelną duszą.

W roku tym nacisk w obozie jeszcze bardziej się zaostrzył. Dawniej dawano w baraku gazetę (wiadomo sowiecką); każdy mógł ją czytać. Teraz jeden mógł głośno czytać wszystkim. Wszyscy mieli słuchać i milczeć. Dyskusji zabroniono, a brygadzista odpowiadał za porządek. Ale i w tym zwęszono niebezpieczeństwo i wkrótce wyszedł zakaz publicznego czytania. Okazało się bowiem, że niektórzy słuchacze śmiali się nie tam, gdzie trzeba i robili nieodpowiednie miny. Pozwolono węc na czytanie pojedyńczo, prywatnie, bez omawiania artykułów. Wkrótce gazety nie dostarczano zupełnie. Dopiero po śmierci Stalina gazetę mógł czytać kto chciał i jak chciał.

Ażeby nam póść na rękę, kierownictwo zezwoliło na pisanie podań, protestów, zapytań, próśb. Wolno było pisać do prokuratora powiatu, okręgu, prokuratora generalnego, ba, nawet do najwyższego sowietu!

Więźniowie więc piszą i piszą. O powtórne rozpatrzenie sprawy, o ponowny sąd, o amnestię itd. Ja też napisałem trzy oświadczenia do Moskwy. Korzyść z pisania była tylko ta, że ulżyło więźniom, a do serc wstąpiła nadzieja zmiany na lepsze. I człowiek czekał na odpowiedź, rozmawiał o swojej sprawie z innymi, mógł się wyżalić, opowiedzieć o krzywdzie, domyślał się wyniku podania, złościł się lub modlił, jednym słowem, żył. Trzeba doprawdy podziwiać łaskawość władz, bo przez dwa lata na siedmiuset ludzi z obozu 0,7 pięciu czy sześciu otrzymało odpowiedzi na swoje pisma. Widziałem je na własne oczy i czytałem:

— Pismo wasze wciągnięto do rejestru pod numerem ... dnia ... miesiąca ...i roku ...

A inna odpowiedź:

— Skargę odesłaliśmy do ponownego rozpatrzenia do prokuratora waszego okręgu dnia... miesiąca...

Ach! Jaki powstał wtedy ruch w łagrze. Bo szczęśliwy więzień pokazywał na prawo i na lewo swój ważny dokument. Wszyscy go czytali, omawiali, i pisali jeszcze, i jeszcze... Zdarzyły się też dwa, czy trzy wypadki ponownego śledztwa. Sam, co prawda, odpowiedzi nie dostałem, ale przez długi czas spodziewałem się jej. Myślę, że nasze pisma nie odbywały dalszej drogi niż do kancelaryjnego kosza, bo nie otrzymaliśmy żadnego na nie pokwitowania. A gdyby nawet i doszły do najwyższego sowietu, to kto byłby w stanie przeczytać skargi dziesiątków milionów skazańców, wniknąć w nie i roztrzygnąć? Stalin przecież drobiazgami się nie interesował. Szwernik nie mógł się wybić ze snu, a Woroszyłow na ogół nigdy nic o niczym nie wiedział, i niczego nie był ciekawy, podpisywał tylko to, co mu rozumniejsi podsuwali do podpisu, dopóki sam nie wpadł.

W naszym łagrze był człowiek, którego nie można pominąć w tych wspomnieniach. To Konstanty Kosacz spod Oszmiany. Typowy Białorus; cichy jak owieczka, pracowity jak wół i wierny jak pies. Miał opiekę nad łagiernym chlewem. Całymi dniami sam nosił świński pokarm z kuchni do roboczej zony. Stale coś sobie pomrukiwał pod nosem, modlił się lub śpiewał pobożne pieśni. Przyjaźnił się z trzodą serdecznie i — jak syn marnotrawny — korzystał z młóta wieprzów, choć było to zabronione jak biblijnemu pastuchowi. Pracował tak starannie, że powinien prędzej niż inni dostać odznakę „Bohatera Sowieckiego Chlewu", a tu wyśmiewano się z niego. Nikt się też nie domyślał, jak Kosacz przeżywał rozłąkę z rodziną i łagierne szyderstwa. Pisałem mu skargę do generalnego prokuratora, i ja jeden wiedziałem o jego krzywdzie. A było to tak:

W czasie wojny, przy Niemcach, sołtys wioskowy wysłał Kosacza na wartę i powiedział mu:

— Kostuś, idź, postój na warcie na końcu wsi! Jak tylko zobaczysz kogo z lasu, leć w te pędy do mnie

z zawiadomieneim. Pilnuj dobrze, patrz i niczego nie przegap.

— Tak ja i poszed, jak mi sołtys kazał. Postał tak ze dwie godziny; patrzył ja pilnie i nic nie zobaczył. Aż tu przyleciał do mnie synek sołtysa i mówi:

— Tata powiedział, żebyście dziadźka poszli sobie do chaty. Toż ja i poszed...

Gdy przyszli bolszewicy, aresztowali Kosacza wraz z innymi. I wtedy na rozprawie sądowej dowiedział się, że tamtej nocy stał na warcie przeciw partyzantom sowieckim. Dali mu lat dziesięć.

Kosacz był prostym człowiekiem niepiśmiennym, bojaźliwym, cierpliwym, posłusznym i pracowitym. W gołębiej prostocie nie wiedział, że trzeba być „przebiegłym jak wąż", i za to zarobił „dziesiątkę". Wszystko to dokładnie opisałem, ale prokurator widocznie nie czytał, bo nie odpisał ani słowa.

Drugi Białorusin — to Ignacy Podgórski spod Smorgoń. Długi czas pracowaliśmy w tej samej brygadzie i spaliśmy obok siebie; gryzły nas te same pluskwy i maszkary. Był on silniejszy ode mnie i był zaradnym gospodarzem, a ja byłem słabszy i niezaradny i nie gospodarz. Drażniło mnie do tego dokuczliwe pokrzykiwanie brygadiera „dawaj, dawaj,!" Na te wołanie Podgórski ani drgnął, ot jakby wrona krakała. Mój Ignac umiał się do mnie dopasować — albo pomagał mi w robocie, albo sprytnie zwalniał tempo i czekał na mnie, albo powstrzymywał w pośpiechu. Brygadzista nie krzyczał na Podgórskiego, bo w żaden sposób nie mógł go przyłapać na bumelowaniu, spoglądał więc tylko na nas kosym okiem. Ignacy był mocny i duchem i ciałem. Można go porównać do cierpliwego Hioba, bo stracił wszystko: trzech synów w łagrach, córkę i zięcia tak samo, czwarty syn zginął w partyzantce, a żona z najmłodszą córką pracowała w kołchozie. Zabudowania i cała solidna gospodarka zmarnowana. Sam Ignacy z powodu syna partyzanta aresztowany. Powiedzieli mu na śledztwie:

— Przyznaj się, żeś wiedział, gdzie twój młodszy syn.

— Nic nie wiedziałem.

— Przecież przychodził do ciebie z lasu od partyzantów, od tych „krajowych".
— Wcale nie przychodził.
— Mamy świadków, co widzieli.
— Nie możecie ich mieć, bo on nie przychodził.
Śledczy przywołał sąsiada — stukacza, który oskarżał Podgórskiego i zapytuje:
— Znasz Podgórskiego?
— Znam.
— Co wiesz o jego synu?
— Wiem, że należał do krajowej partyzantki, przychodził z lasu do ojca. Sam to widziałem.
Wtedy sędzia do Podgórskiego:
— A ty znasz świadka?
— Nie znam go.
— Jak to nie znasz? Dlaczego on ciebie zna?
— Ja jestem takim gospodarzem, że mnie zna cały powiat, ale ja całego powiatu nie mogę znać. A ten łże o mnie, bo syn do mnie nie przychodził.
— Do karceru!
Dali Ignacemu osiem dni chłodnego karceru. Był tylko w bieliźnie, a w karcerze jedynie parasza. Podgórski opowiadał:
— Cały czas chodziłem po celce tupiąc nogami. Przysiądę na paraszy, zdrzemnę się z dziesięć minut, ale dłużej nie da się siedzieć, bo sterczą z wierzchu dwa uszka i rączka. Przeszkadzają. Wtedy opieram się o ścianę, postoję, i znów chodzę, tupię i modlę się. I tak wytrwałem te osiem dni. Gdy mnie wypuścili do wspólnej celi, współwięźniowie radzili:
— Podpisz, bo inaczej zginiesz. Nikt nie wytrzymał drugiej tury karceru.
Ale Ignac uparł się — i wytrzymał drugie osiem dni. Wierzyć się nie chce, że mógł je przeżyć, bo miał do tego nie wyleczoną nogę, na którą kulał i silną przepuklinę, ale poza tym był mocny. Przekonałem się, że prosty człowiek potrafi przetrwać dużo więcej niż ludzie przywykli do wygody i ciepła, i którzy w życiu nie doświadczyli ani głodu, ani chłodu. Ale jego w większej mierze podtrzymywały silna wiara i modlitwa, która daje człowiekowi pomoc Bożą.

Na sądzie innych świadków nie było, więc Podgórskiemu winy nie udowodnili. Mimo to dostał dziesięć lat. A szpicel zarobił lat piętnaście.

Ignac mimo wszystkich przeżyć nie załamał się; nigdy nie narzekał, był pogodny i zrównoważony, modlił się całą duszą. Nie poddawał się i nie obawiał się prowokatorów. Żył pełnią wiary i nadziei. Moja z nim przyjaźń nie była gorąca, ale za to mocna i szczera. Nie krępował się krytykować i sprzeczać, ale nigdyśmy się nie kłócili. Mam nadzieję, że Podgórski odsiedział swoją dziesiątkę i wrócił do domu. Tylko gdzie? Trzej synowie siedzieli w łagrach. Pisała o tym Ignacemu żona, bo pomiędzy łagrami nie można było utrzymywać korespondencji. A z takim charakterem, jak u Podgórskiego, łatwiej było przetrwać więzienie i łagry niż pracę w kołchozie. Do kołchozu bardziej nadawał się Kostek Kosacz, dusza pańszczyźniana, niż Ignacy Podgórski. Kosacz dostosuje się i będzie hodował świnie w kołchozie, choć i nie dostanie oznaki „Podwójnego Gieroja". Tacy Kosacze pójdą wytartą ścieżką swoich przodków, co przetrwali pańszczyznę, panów i rózgi, doczekają się nowej epoki i wolności. Ale co się stanie z niezależnymi charakterami jak Podgórski? Prawda, że Podgórski umiał ukryć się ze swymi myślami, potrafił się zżyć ze mną i brygadzistą, bo nauczył się „chytrości wężowej". Samą „gołębią prostotą" nie da się przeżyć.

CZĘŚĆ TRZECIA

BLIŻEJ WOLNOŚCI

KOMISÓWKA

Każdy cierpi swym własnym cierpieniem . .

Czy kto wie, co to jest „komisówka"?

Jest to komisja kontroli pracy — kwartalny przegląd łagierników i klasyfikacja na grupy robocze: pierwszą i drugą kategorię oraz inwalidów.

Przez obóz 0,7 przechodzi okrzyk:

— Komisówka. Prędzej do ambulatorium!

— Jak idzie przegląd?

— Marnie. Lekarze wszystkich wpisują na robotę. Zbierają nas brygadami. Teraz prowadzą jeszcze starzy brygadziści, ale po komisji nastąpi przegrupowanie.

— Rozbierać się!

Lekarzami są i tu dwie kobiety. Trudno było przyzwyczaić się do tego, żeby przeglądu mężczyzn spędzonych całą gromadą, zawsze dokonywała tzw. płeć piękna, ale w łagrach taka już moda, a więzień nie ma nic do powiedzenia. Mnie wciągnięto na listę pracujących inwalidów. Przepisy sowieckie zabraniają wysyłać inwalidów na roboty poza obozem. No, cóż, chodzimy jako „ochotnicy", pędzeni na nie grozą karceru. Trudno. Taki już tu porządek (a może nieporządek?)

Trafiam pod rękę brygadzisty, bardzo sprytnego a wrzaskliwego Ormianina. Dziwny to człowiek. Na robotach jego wrzask „dawaj, dawaj!" rozlega się po całym polu. Wychodzi z siebie, żeby tylko jego brygada zajęła lepsze miejsce ale wszystko napróżno. Rozstraja nam nerwy, a brygada zamiast zajmować pierwsze miejsce, ciągnie się na końcu.

Rano, po cieniutkim śniadaniu, szybko krzątamy się w baraku do czasu zbiórki na pracę i zaraz spieszymy na odległe pole do kopania kartofli; a kartofle jak okiem sięgnąć. Obrodziły bardzo dobrze i my — niezdarne dziady — będziemy je zbierać. Brygadziści gonią zawzięcie, a i sami staramy się dobrze pracować, bo obiecali płacić. Mimo to naczalstwo krytykuje, że idzie nam powolnie i kopiemy niedokładnie. Oni prawdziwi demokraci w lśniących mundurach, odkarmieni i różowi, a my kapitaliści — umorusani błotem, czołgamy się na kolanach i w żaden sposób nie możemy dogodzić nowym panom.

Choć w Sojuzie Sowieckim mówi się o pełnej mechanizacji, to jednak zmechanizowano tylko nasze ręce i krótkie kopaczki. Musimy więc pełznąć zgięci do samej ziemi, a gdy przejdzie deszczyk, grzebiemy się w błocie jak, nie przymierzając, żaby. Jeden idzie przodem, podkopuje krzaki łopatą, inni kopaczkami wybierają kartofle do drewnianych skrzynek. Skrzynki nie mają uchwytów, to też gdy napełnię swoją ziemniakami, jest dla mnie stanowczo za ciężka. Aby wysypać kartofle, każdy niesie skrzynkę przed sobą, w bardzo niewygodnej pozycji, bo we dwóch nie da się jej uchwycić. Kartofle zsypujemy na kupy. Każda część brygady, na które nas podzielono, zapisuje ilość skrzynek. Z kupy inni ładują kartofle na wozy i zwożą końmi. Czyż nie tak kopano kartofle pięćdziesiąt i sto lat temu? Bardzo staram się nadążyć za innymi, nic więc dziwnego, że pod wieczór jestem zmordowany. Następnego dnia mówię brygadziście:

— Nie dam rady już tak kopać, na kolanach i zgięty we dwoje, a skrzynka nie na moje siły. Nie pociągnę przez cały dzień. Miałem isjasz, a niedawno przebyłem poważną operację na krwawiące hemoroidy. Wyznaczcie mi inną pracę.

— Idź kopać! Nie mam dla ciebie innej roboty.

— Nie. Nie mogę kopać, sami to widzicie.

— To se siądź!

— Dobrze. Siądę se.

I siadłem; założyłem ręce na kolanach. Uparłem się i myślę tak:

— Niech robi, co chce, nie mogę ustąpić, i nie ustąpię!

Ale i brygadzista się uparł. Milczy, jakby wziął wody do ust, i patrzy spode łba jak wilk. Brygada przygląda się nam z ciekawością, nie wiedząc, kto z nas rozumniejszy. Przetrzymujemy się wzajemnie do południa, wreszcie on kapituluje. Daje mi łopatę i każe iść na czele podkopywać kartofle. Była jak sam raz wolna, a więc nikomu nie odebrałem lepszej pracy. Przystępuję energicznie do roboty, a pamiętałem ją ze swoich dziecięcych lat, to też staram się tak, że do wieczora brygadzista rozchmurzył się. Nie przeszkodziło mu to wcale przy końcu miesiąca obciąć mój zarobek, ale:

— Do chrzanu z twoją zapłatą, bylebym mógł zaoszczędzić najmilsze zdrowie.

Kartofle obrodziły, bo tu głęboki czarnoziem. Nie na darmo mówią, że Syberia mogłaby wykarmić cały świat. Ale ich gospodarka, to marnowanie czasu i bożych darów, jak i ta „łagiernotwórcza" robota. Przeliczają nas, zbierają w grupy, pędzą piątkami po zabłoconych drogach trzy kilometry, przewożą promem przez Czunę, potem znów piechotą, znów sprawdzanie ilości, wytyczanie granic wybiegu z sakramentalnym ostrzeżeniem: „krok w bok..." A my niedołęgi i ciapy: profesorowie, pedagodzy, księża, inżynierowie, architekci, lekarze, prawnicy, artyści, urzędnicy, handlowcy itd. Jesteśmy z różnych krajów i narodów. Czyż od tej zawodowej pstrokacizny ludzkiej można wymagać, żeby ich praca była produktywna? Gdyby na nasze miejsce dać maszyny i postawić zdrowych robotników, choćby i tych młodych, odpasionych konwojentów, dozorców, kancelistów, wykonaliby pracę szybciej, bez wysiłku i z lepszym wynikiem. Ford płacił robotnikom w Ameryce po trzy i pół dolara za godzinę, a kołchoźnicy dostawali za dzień pracy kilogram marnego zboża, albo i mniej. To się nazywa „przegonimy Amerykę".

Wbrew teoriom Marksa — Lenina, żeby każdy pracował w swoim zawodzie — to wielcy uczeni ciapkają się na kolanach w błocie, kopiąc w niepogodę

kartofle, buraki, marchew, brukiew, choć większość z nich nie wie jak się to po sowiecku robi. Albo inżynier musi piłować drzewo z analfabetą tunguskim i ten pokrzykuje na niego, że nie umie piłować. Adwokat czeski obok dawnego parobka rumuńskiego kopie kartofle. Czech zarabia na miesiąc osiem rubli, Rumun trzydzieści pięć. Tatar technik kieruje budową, a architekt Niemiec miesi glinę z piaskiem. W Bracku, w 1950 r. pewien inżynier pokazywał mi:

— Niech ksiądz spojrzy, jak oni kryją dach. Zlekceważyli wszystkie plany i wykonali projekt, aby zbyć — byleby szybciej przekazać budynek. Za kilka lat rzeba będzie wszystko na nowo przerabiać.

Pewien Niemiec, który był administratorem wielkiego szpitala w Berlinie, gdyśmy wspólnie piłowali drzewo powiedział:

— W Niemczech za ten wspaniały kloc modrzewiu syberyjskiego można kupić cztery męskie garnitury, a my go piłujemy na opał. A więc, choć z żalem, rżnęliśmy doskonały materiał, bo byliśmy w kleszczach sowieckiego systemu.

W następnym miesiącu nastały zimna, przejmujące deszcze, a my kończymy kopanie kartofli, później paćkamy się w oślizgłej ziemi przy marchwi i burakach. Przed pracą, gdy rozstawiają kołki, wyznaczając teren roboczy, konwojent ciska komendę:

— Siadaj!

... w błocie... Całe szczęście, że potrafiłem siedzieć w kuczki, po chińsku. Pogoda jest zawilgła, potem ochładza się. Pole pokrywa szron; w słońcu wygląda jakby pokryte puszystym, lśniącym dywanem. Pod wpływem słońca szron taje i tylko srebrzyste krople lśnią w jasnych promieniach, ale we wklęśnięciach gruntu trawa pozostaje biała. Pracować w tych warunkach gołymi rękami — to koszmar. Wyrywamy wtedy brukiew. W rękawicach też nie lepiej, zaraz nasiąkną wodą. Brukiew siedzi mocno w ziemi, a całe zmechanizowanie pracy, to nasze gołe ręce, żadnych narzędzi, brak nawet najzwyklejszego kołka. Nie można ani na chwilę odejść za pas straży, żeby poszukać jakiegoś patyka, a mróz wżera się od razu

pod paznokcie, aż w serce kłuje, a oczy wypełniają łzy. A tu jeszcze:

— Dawaj, dawaj!

Na końcu zbiorów czeka nas kapusta, ale wtedy pada już śnieg. Co prawda, to mróz nie mocny i w południe śnieg taje. Musimy się spieszyć i porządnie nacierpieć. Słychać tylko:

— Ach ręce, ręce!...

Taki Jonas Dydelis, Litwin, który pracuje obok mnie, to nic nie odczuwa. Skórę ma na rękach zgrubiałą jak u słonia od ustawicznej pracy gospodarskiej, zimno je nie przeniknie, ale moje pisarskie ręce...

Za drugi miesiąc dostałem już jedenaście rubli (kilogram cukru w tym czasie — dziesięć rubli, ale jakoś go od dawna nie przysyłają). Na kolei płacili więcej, a w tartaku niewiele. W roboczej strefie za piłowanie, za przewózkę własną samopchajką, za wożenie wody, oczyszczanie ze śniegu, za zwózkę klocy (bardzo niebezpieczna praca!), za wywóz nieczystości, rozładowanie wagonów, wogóle za pracę w łagrach u kierowników, w zonie roboczej, w psiej zonie, w zonie konwojentów itd. — nie płacili wcale. Praca w ogrodzie, przebieranie kartofli i warzywa, remont baraków i inne — bezpłatne.

I to ustawiczne przepędzanie z roboty do roboty. Gdyśmy się trochę wprawili do jakiejś pracy, i już nam lepiej wychodziło, szybko goniono nas gdzie indziej, choć nie skończyliśmy pierwszej pracy. Jaka była tego przyczyna? Nikita to wie (diabli wiedzą)!

Za to wszyscy inwalidzi pozostający w domu zazdroszczą nam:

— Wy możecie zarobić w polu.

— Możecie się najeść kartofli, marchwi, a my tu marniejemy.

Ale nasz zarobek na polu był mniejszy od jakiejkolwiek normy. Ktoś musiał na nas niezgorzej zarabiać, bo nie jedliśmy wtedy obiadu w obozie, chociaż był on stale księgowany. Na obiad piekliśmy i gotowaliśmy kartofle w polu, ciesząc się z tego, choć i postnego przysmaku. Idąc do domu odważni inwalidzi pchali do kieszeni i za pazuchę kartofle, a dobrzy dozorcy w bramie odbierali je, nie szczędząc wymyślań. Zdarzało

się nieraz szczęśliwie przemycić ziemniaki do obozu, wtedy gotowano je w niedzielę na letniej kuchni.

Po śmierci Stalina konwojenci przestają faktycznie strzelać za „krok w bok", chociaż za każdym razem, przy bramie, z przyzwyczajenia ogłaszają jak dawniej: „strzelamy bez ostrzeżenia".

Teraz strzelają tylko dla postrachu w powietrze. Gdyby Stalin nie zechciał umrzeć, jabym musiał się rozstać z życiem i to dwukrotnie, bo dwa razy przez nieuwagę przekroczyłem linię śmierci. Zastrzelono u nas w ten sposób księdza Barauskasa, starego i głuchego człowieka, za jedyny nieostrożny krok.

Nasi konwojenci lubią rozpalać ognisko. Wywołują wtedy jednego z nas i wydają polecenie:

— Ej! Chłopie! Przynieś chrustu, rozpal ogień!

Gdy było zimniej, rozpalają dwa ogniska, z dwóch naszych stron, ale naturalnie ciepło do nas nie dochodzi, dając tylko jego złudzenie. Wyjątkowo i nam pozwolono ze swej łaskawości korzystać z ognia. Możemy w kolejce podejść, rozgrzać się. Cała brygada zbiega się tylko na wspólne „fajczenie". Pewnego razu po obiedzie mamy już wracać do pracy, a jesienne słońce przygrzewa. Zapatrzyliśmy się w las i strasznie nie chciało się na nowo giąć w pracy. Westchnąłem z całego serca:

— Ach, jak ja lubię las! Takbym chciał teraz pochodzić po nim.

Koledzy zaśmieli się.

— Czego mu się zachciewa?!

Pracujemy właśnie na skraju boru, a jesienny dzień jest wyjątkowo ładny. Drzewa stoją ciche, jakby podmalowane różnokolorowymi liśćmi. Takie same jak w latach dziecinnych, gdy biegałem do lasu na grzyby, jagody czy orzechy... Nad głowami słychać ciągi ptasie, opuszczające Sybir — to żórawie przelatywały swymi kluczami. Przeprowadzamy je oczami, wsłuchując się w ptasie nawoływania i wzdychamy głęboko. Nieraz dostrzegamy wielkie masy małych, nieznanych ptasząt. Wszystko co żyło uciekało od syberyjskich mrozów w cieplejsze kraje. I tylko my, ludzie obdarzemi rozumem, musimy tu pozostawać, mimo

że jest nam tak bardzo źle. Błękit nieba, szarzejąca dal pól, cała przyroda w uciszonej pogodzie, pełna zadumy rozkoszuje się ciepłym, jesiennym dniem. Duszę człowieka, zamęczoną nędzą życia, wypełnia jakby religijny Boży spokój i żywsze odczucie utraconej wolności. Las wyrywa się do słońca, nastawiony cały na jego ciepło. Żaden liść się nie porusza. Drzewa już teraz nie rosły, tylko żyły i chciały żyć, chciały przetrwać syberyjską zimę; leczyły swoje rany, mażąc i klejąc je sokiem i smołą; gromadziły zapasy na wiosenny przednówek; strąciły uschłe liście, zestarzałe kawałki kory, oddając wiatrom niepotrzebne liście. Rozpoczynały śpiewać jesienną pieśń i płakać nad zmarłymi, bo nadchodził listopad ze smutkiem Zaduszek.

Jeszcze raz koledzy przypominają moje westchnienia i drażnią się ze mną:

— Zachciało mu się do lasu. Ha, ha, ha! Poczekaj „25", a potem swobodnie pobiegniesz na lasy...

Milczę, ale serce mi wali jak złapanemu ptakowi. Aż tu słyszymy głos konwojenta:

— Chłopie, chodź tu!

Idę więc do niego, a ten mówi:

— Przynieś drzewa na ognisko.

Przecież on nie mógł słyszeć naszej poprzedniej rozmowy, bo stał daleko od nas. Tak bardzo się spieszę, że nawet zapomniałem odwrócić się do swoich towarzyszy i pokazać im język. Zbieram na skraju lasu chrust i drzewo, obłamuję uschłe sęki, ściągam opadłe gałęzie i znoszę po trochu do ognia, żeby mieć więcej okazji do pochodzenia. Powoli zapuszczałem się coraz głębiej; tak daleko, jak tylko chciałem, żeby nabrać w piersi powietrza, a w serce wolności. Mruczę pod nosem, śpiewam i gwiżdżę. Cóż to za rozkosz! Stało się coś niezwykłego. Konwojent jakby zapomniał o mnie. Dotąd nikogo samego do lasu nie puszczano, w ślad za nim szedł zawsze „striełek". A ja schodzę im z oczu, łażę po krzakach bez żadnej konieczności, błąkam się po lesie, przynosząc coś niecoś na ogień, bardziej dla oka niż z potrzeby. Już wślizguje się dokuczliwa myśl ucieczki aż muszę zawstydzić samego siebie. A las ciągnął jak magnes: potężny,

władczy dąb, strojna sosna, rozłożysty modrzew, biała brzoza z naszych pól i przygięta jarzębina, żyły tu obok siebie, pomieszane, zasłuchane w swoje tajemne marzenia. Czasem odzywa się nieznany ptak i milknie. Tylko dzięcioł, pracowity telegrafista, wystukuje miarowo Morsa, zdobywając w pocie czoła swój kawałek chleba. Trzeba jednak wracać, a tak się nie chce...

Koledzy kopią kartofle i tylko słychać wołanie:

— Dawaj, dawaj!

Wracając mówię do towarzyszy:

— Jeśli Bóg tak szybko i tak cudownie wysłuchał mojej modlitwy, jak prośby rozpieszczonego dziecka, i dozwolił mi — niewolnikowi — pójść do wolnego lasu, to dał mi jednocześnie widomy znak, że spełni moją serdeczną modlitwę i wyprowadzi mnie z łagru i pozwoli przebywać w lasach wolnych i w wolnym świecie.

Teraz już nikt mi nie zaprzecza, tylko każdy zamyśla się nad własną niedolą.

— Gdzieżeś się zapodziała, nasza zniewolona wolności... nasza dolo nieszczęsna?...

SNY I WRÓŻBY

Dotąd baba wróżyła,
dokąd łba nie nałożyła.

Gdy słońce długo się nie pokazuje, ludzie wyglądają przynajmniej księżyca lub gwiazd. I my też szukaliśmy wytchnienia, wypatrywaliśmy chociaż szpary do wolności. W naszym obozie rzadko kto nie modlił się. Nawet ateiści się zapominali i w swej bezsilności szeptali: „Ach Boże, uwolnij nas od tej niedoli!" I oni chcieli wierzyć, tylko nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Ale dobry Bóg słyszał ich nieudolne skargi i przyjmował modlitwy płynące z serc wypełnionych goryczą.

Prócz modlitwy pewną ulgę przynosiły więźniom sny i łagierne wróżby. Wróżbita specjalista, a nawet samouk lub spryciarz podający się za wróżbitę, byle tylko podchodził zręcznie do sprawy, mógł z tego źródła „wygadać" sobie kawałek chleba. Sam przekonałem się, że i bez wróżby, jedno dobre słowo przynosi ulgę jak oliwa ranie, bo narastająca tęsknota jątrzy i zżera nieszczęśliwego człowieka. I nie ma choroby gorszej jak tęsknota.

I oto wróżbita rozkłada zapałki, groch lub kamyki, papierki czy karty z gazet, patrzy na dłoń lub w oczy. Wiem przecież dobrze, że wszelkie wróżby to bzdury, ale i mnie bierze ciekawość, co mi powiedzą. I życzę sobie, aby wynik był pomyślny. A wróżbita potrafi mówić i wie, jak pocieszyć w strapieniu.

— Widzisz? Masz tu swoją drogę. Idzie ona prosto, ale tu spotyka na przeszkodę. Pocierpisz jeszcze roczek, a potem wyjdziesz na równy szlak. Patrz! Tu, tu jest. I bije palcem w dłoń.

Lżej mi się robi na sercu. Odchodzę uspokojony, a w nocy mam śliczny sen. A mojemu przyjacielowi wróżbita mówi to samo, tylko innymi słowami. I ten człowiek, co ma do odsiedzenia jeszcze dwadzieścia dwa lata i dotąd stale chodził skwaszony, osowiały, teraz poweselał i snuje plany lepszego życia.

Obecni przy wróżeniu biorą wszystko poważnie; nikt się nie ośmieli zaśmiać lub zaprzeczyć. A sam wróżbita zdaje się przeżywa te zjawy, jakie „widzi" w swym dziwnym transie. Wygląda jakby sprawował jakieś mistyczne obrządki. I wróżbita, i obecni byliby mocno obrażeni na tego, co by wyraził powątpiewanie, a już najbardziej ten, co chciał się dowiedzieć o losie swoim. Siedzi on przed chiromantą jak chory przed lekarzem, i czeka na wyrok życia lub śmierci. Ale wygląda ratunku.

Niektórzy boją się, że we wróżbach czart macza pazury, i że to grzech wróżyć; ale wróżbita gotów zaraz przysiąc, że nie ma nic wspólnego z diabłem, że go nie przywołuje i nigdy nie widział. Na potwierdzenie prawdy swoich słów może się przy was przeżegnać i ucałować krzyż. Po transie wraca do normalnego życia i o swoich przepowiedniach nie lubi mówić.

— Nic nie wiem teraz. Jestem zwyczajnym człowiekiem. Zdawało się, że w tamtym momencie miał kontakt z innym światem; teraz kontakt zerwany, a on sam przestał być przewodnikiem wiadomości o przyszłych losach.

Jeden z naszych księży „czyta" z dłoni. I choć nie mówi o przyszłości, zawsze ma pełno klientów. Z linii rąk mówi o charakterze, uzdolnieniach, o dobrej lub złej doli ludzi. Potem mówi, czego można się spodziewać przy takim usposobieniu, czego się trzymać, czego wystrzegać. Zdarzało się, że klient czerwieni się i chciałby uciec od tego „jasnowidza", tak jest skonsternowany lub zawstydzony; a on zarówno znajomym, jak i obcym, mówi pewnie i spokojnie, nie wypytuje, nie zagląda w oczy, nie gniewa się. Mówi jakby z książki czytał, a tak trafnie, że ze wszystkich stron wyciągają się do niego ręce... Nie było wypadku, żeby ktoś zaprzeczył słowom chiroman-

ty. Za seans „jasnowidz”, jak go nazywali, nic nie bierze. Ludzie odchodzą od niego ani zatrwożeni, ani rozradowani, ale zamyśleni. Zrozumieli, że życie to nie zabawka, nie przypadek, nie żaden geszeft, że życie jest bardzo poważną sprawą. Ksiądz ten jednak nie zadawał żadnych specjalnych pytań religijnych i nie pobudzał do zwierzeń. Ma też dziwne szczęście, a może wypływa to z jego charakteru, że dla niego wszyscy są równi jako bliźni, i nigdy nie miał wrogów. Każdy idzie do niego jak do brata.

Gdy „jasnowidz” patrzy na moją dłoń, kręci tylko łysą głową i nie może tak, jak innym, powiedzieć coś pewnego.

— U księdza linie rwą się, linia życia i losu bardzo niejasna. Dla mnie ręka księdza jest zagadką.

Miał ten psycholog głęboką intuicyjną wiedzę o ludzkiej duszy. Trafiał w sedno i rozwiązywał splątane węzły życiowe, gdy ktoś szukał u niego rady, a takich w łagrze było niemało. Urzekał swym magicznym słowem całe gromady, choć sam w życiu prywatnym był bardzo niezaradny, za to był cierpliwy, słuchając zwierzeń ludzkiej niedoli.

A jak ze snami?

— Słuchajcie koledzy, jaki miałem sen.

W ten sposób często inwalidzi rozpoczynają swój dzień. Trzeba wtedy uważnie słuchać opowiadania, choć w nim nie ma nic ciekawego, a dziad do tego plącze się, powtarza, zapomina. Ale nie można mu przeszkadzać lub, nie daj Boże, śmiać się, bo taki biedak może ci się rozpłakać. I trzeba mu tłumaczyć jego sen, naturalnie na dobre. Za to on na drugi raz posłucha ciebie i wytłumaczy twój sen. Wtedy zrozumiesz, ileś zyskał przez dobre słowo.

Bywają nieraz sny, jak to się mówi „wieszcze”, które w dziwnie krótkim czasie dokładnie się sprawdzają. Jednemu memu przyjacielowi z łagru cztery razy pod rząd zjawiała się we śnie jego młoda żona, która zginęła w katastrofie kolejowej. Powtarzała mu stale:

— Jestem do ciebie przysłana, żeby ci powiedzieć...

I przynosiła mu wiadomości bardzo dla niego ważne.

A teraz posłuchajcie mego snu i zechciejcie mi go wytłumaczyć.

Gdy w łagrze 0,7 przeżywaliśmy bardzo ciężki okres, śniło mi się, że na dziedzińcu stoi wysoki krzyż z figurą Chrystusa. Jestem pod krzyżem w grupie sześciu do siedmiu przyjaciół. Podnosimy głowy i modlimy się patrząc na krzyż. Nagle figura Chrystusa ożyła, a myśmy się przerazili. Wtedy ujrzałem między nami jakiegoś człowieka, w średnim wieku, wysokiego i chuderlawego. Ma na sobie elegancki kawowy garnitur. Stoi bez czapki. Twarz matowa, gładko wygolona, włosy czarne, kędzierzawe. Z włosów, ledwie widoczne, sterczą małe różki. Od razu zrozumiałem — to zły duch. Krzyknąłem więc na cały głos:

— Jak śmiesz wchodzić między ludzi, których Chrystus odkupił swoją krwią?

Szatan drgnął, ale milczy. Wtedy widzę, że w jego oczach czai się przeraźliwy smutek. Zaczynam na niego napierać, zaciskam pięści i zamierzam się na niego. Wtedy cofa się tyłem i pilnie mnie śledzi, żebym go nie uderzył. Koledzy machają na mnie rękami i wołają spod krzyża:

— Zostaw go, zostaw!

Jestem na nich oburzony, że nie pomagają, i że muszę sam walczyć. W ten sposób odegnałem tego potępie´ca do samego końca obozu. Tam diabeł złapał nową miotłę i położył ją w poprzek na ścieżce przede mną. „Ach, tak? — zrozumiałem — daje mi znak, że za tę linię więcej już nie przejdzie. Zatrzymuję się więc i... obudziłem. Jeszcze na jawie przeżywałem swój sen, powtarzałem go sobie, żeby nie zapomnieć i zaraz rano opowiadam kolegom. Snu słucha spora gromadka więźniów. Mówią:

— Dziwny sen.

— Ciekawy.

— Charakterystyczny...

Ale nikt nie usiłuje wytłumaczyć mi, co ten sen może znaczyć, choć na to czekam. Niektórzy tylko mówią:

— Sen jest sam przez się jasny. Nie ma co go tłumaczyć.

Człowiek w ważnych okolicznościach życia przeżywa i we śnie swoje sprawy, dlatego sen bywa naturalnym wynikiem przeżyć. Ale mogą być i sny niezwykłe, jakby prorocze. Posłuchajcie drugiego:

Było to w Wielkim Poście 1953 r. Śniło mi się, że odprawiałem mszę świętą w łacińskim obrządku w wielkim kościele. Kościół jest przepełniony. Ołtarz stoi wysoko, tak, że mogłem widzieć wszystkich obecnych. Prezbiterium wielkie, ale puste. Tylko po bokach siedzą w ławkach moi koledzy-księża. Jestem już na wolności. Po mszy świętej biorę z ołtarza, jak zwykle, kielich i kieruję się do zakrystii. Księża mówią do mnie, tak żebym tylko ja słyszał:

— Dlaczegoś odprawiał mszę wielkanocną, kiedy już dwa tygodnie po Wielkanocy?

Zatrzymałem się przed drzwiami zakrystii. Nagle poczułem w sercu przypływ takiej radości, że wracam do ołtarza, wchodzę na trzy stopnie, odwracam się do ludu i głośno intonuję na melodię wielkanocną:

— Ite Missa est. Alleluja, alleluja!

I wtedy z wielkiej radości obudziłem się. Koledzy tak mi wyjaśnili sen:

— Sprawa jasna. Wypuszczą cię dwa tygodnie po świętach wielkanocnych, to znaczy za cztery tygodnie. No, no!

Tak mówili, ale nikt nie mógł się spodziewać wolności. Choć już nie żył Stalin, ale jego reżym trzymał się mocno i szedł swym rozpędem. Przeszła więc Wielkanoc roku 1953, beznadziejna i ciężka, tak samo i Wielkanoc roku 1954 — trochę lepsza, ale bez błysku nadziei. Aż wreszcie na Wielkanoc w roku 1955 zostałem przeznaczony na wolność! Zaraz po świętach odchodził na wolność wielki etap, do którego powinienem należeć. Nie wiem, dlaczego pominięto mnie i nie trafiłem do swojej grupy. Byliśmy wtedy zebrani w obozie w Poćmie, w okręgu riazańskim. Zacząłem obawiać się jakiejś niespodzianki, aby mnie znów nie wysłali, jak czasami bywało, z powrotem na Sybir. Aż nareszcie pod koniec kwietnia wpisali mnie na

inną listę na etap i przez Moskwę powieźli ku wolności. Wyjeżdżaliśmy w niedzielę, właśnie w dwa tygodnie po Wielkanocy. Wyglądało na to, że mnie specjalnie przetrzymano, aby spełnił się mój dawny sen. Na pamiątkę owego snu, tej niedzieli rano, mając możność odprawienia mszy świętej w tajemnicy, z wielkiej radości zakończyłem ją słowami:

— Ite Missa est. Alleluja, alleluja!

I wtedy przez Moskwę, bez zatrzymania wywieziono nas za granicę.

Zupełnie nieważny, ale bardzo trafny sen miałem z 1 na 2 lipca 1954 r. Dzień 2 lipca — to święto Nawiedzenia Świętej Elżbiety przez Matkę Boską. Dla mnie to dzień bardzo ważny i pamiątkowy, gdyż jest rocznicą mojej pierwszej mszy świętej, odprawionej w Wilnie, w kościele Świętego Ducha w 1913 r. Zda się tak niedawno, a to już się pół wieku przewaliło. Wtedy śniło mi się, że w naszym baraku w łagrze 0,7, zwaliła się ściana. Nie wyrządzając nikomu szkody, wywróciła się na dwór, i to naprzeciw mego legowiska. Wyrwa była tak duża, żeśmy przez nią wychodzili z baraku na dwór. Cały łagier przybiegł oglądać tę niezwykłą katastrofę. Taki był sen, a co było na jawie?

Tego samego rana, leżałem jeszcze na narach, a potem tak niezdarnie się obróciłem na pościeli, że zwaliłem się z górnych nar i chlapnąłem na podłogę. Takie wypadki kończyły się w obozie często kalectwem, a nawet śmiercią. Moje nary były bardzo wysokie. Wypadła deska z brzegu, a z nią i ja. Jednak poniosłem tylko małe uszkodzenie cielesne.

W ten sam dzień rano ogłoszono w obozie etap na 60 ludzi. Należę i ja do niego. Jest to etap karny. Dlatego cały łagier odprowadza nas z wielką ciekawością i współczuciem. Gdy wychodzimy, zbiegli się wszyscy do bramy; dziwią się, pokazują palcami, machają rękami jak małe dzieci; a my starzy inwalidzi jak bohaterowie idziemy na spotkanie nowej, nieznanej doli. Przypomniał mi się wtedy mój sen, który tak dokładnie spełnił się dwukrotnie tego samego dnia. Ten etap był zupełną niespodzianką.

MOI TOWARZYSZE I PRZYJACIELE

Przy pełnej misce towarzysz,
i w biedzie towarzysz,
gdy piwa nawarzysz.

U nas mówi się jeszcze: „lepszy jeden przyjaciel niż dziesięciu wrogów". Ponieważ byłem w wielu krajach, a na Sybirze przeganiano mnie z miejsca na miejsce, poznałem wielu ludzi, miałem wielu kolegów i przyjaciół. Świadczyli mi oni wiele dobrego. Chciałbym tu, przynajmniej w części, wyrównać moje długi względem nich, choć przez dobre słowo.

— Zapłać Panie wszystkim naszym dobrodziejom, dla wielkości Imienia Twego, życiem wiecznym!

Bywali w naszych łagrach „przejazdem" mili goście z Białorusi, z Mandżurii i innych krajów. Trudność polegała na tym, że ani my gości, ani goście nas nie mieli czym ugościć. Cóż na to poradzić? Przynajmniej wspominaliśmy wspólnych znajomych, przekazywaliśmy dalej wiadomości do wolnego i z wolnego świata. W ten sposób nasze okropne życie się jak gdyby odświeżało i odradzało. Taka żywa poczta więcej nam dawała niż urzędowa.

Jak wiadomo, mogliśmy wysyłać tylko dwa listy na rok, komunikowanie się między obozami było niedozwolone, łączności z zagranicą żadnej, a w Sojuzie wszystko z pieczęcią kontroli i strachu. Urzędowe wiadomości nie odpowiadały prawdzie.

Wspomnę najpierw o dziwnym spotkaniu.

Pewnego razu w 0,13 widzę między „etapowcami" znajomego człowieka z bródką. Witamy się:

— Gdzie żeśmy się już spotkali? Ja pana znam.

— I ja też. Wiem, że mówię z duchownym.

Dobrze. Siadamy i wyliczamy, kiedy i w jakich obozach byliśmy. Jak najdokładniej przypomnieliśmy swoje dzieje i przekonujemy się, żeśmy się... nigdzie dotąd nie spotkali. Gapie pilnie się nam przysłuchują i zaczynają kpić.

— Co to może być?

Wobec tego spotykamy się po raz drugi. Spokojnie przeliczamy swoje lata, odsiadki, łagry, migracje, daty przybycia i etapów.

— Przecież nie mogliśmy się tak wciapać, żeby niespodziewanie, bez powodu jeden drugiego sobie przypomniał jako znajomego, jeśli go dotąd nigdy nie widział?

Ale po dokładnym „śledztwie" okazało się ostatecznie, że nie mogliśmy się dotąd nigdzie spotkać. Chyba, że na jakimś innym świecie? Ale w metempsychozę nie wierzyliśmy. A może we śnie? Ale to znów zabobony albo czary. Wstyd nam, tym bardziej że znów ciekawscy biorą nas na języki. Cały łagier z nas się śmieje. Nic dziwnego, że rozstajemy się z miłą bródką i „rozznajamiamy" na zawsze, a potem unikamy spotkań.

Najserdeczniejszą przyjaźnią związałem się z Grekiem, Andrzejem Fioratosem. Byliśmy w jednym wieku. Pierwszy raz spotkaliśmy się w Tajszecie w latach 1949-1950. Fioratos odważny, bez obawy spał pod narami, ja zaś nie mogłem się do tego zmusić, bo strasznie boję się myszy. Starałem się „wmeldować" do różnych kątów, byleby tylko nie wylądować pod narami, a jednak, mimo wszelkich zabiegów, na to mi przyszło. Wtedy na narach spali ci, co wywalczyli sobie na nich miejsce. Po dwóch słowach poznaliśmy się z Grekiem, w kilka dni przystaliśmy do siebie, a w parę tygodni zapanowała między nami głęboka i serdeczna przyjaźń. Szczęśliwie spotkaliśmy się z nim w czterech obozach i za każdym razem nasza przyjaźń umacniała się. Tak już Bóg kierował naszymi. krokami.

Fioratos był człowiekiem obytym w świecie. Urodził się na wyspie Cefalonii. Od 12 do 17 roku życia mieszkał z rodzicami w carskiej Rosji. Stąd

emigrował do Kanady. Pracował i kształcił się. Dorobił się niezgorszej fortuny w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w Chinach i Mandżurii. Wiele firm powierzało mu budowę młynów, elewatorów i domów — w Szanghaju, Dajrenie, Harbinie i innych miejscach w Chinach. W Dajrenie zastała go wojna, a w 1945 r. wkroczyli tam bolszewicy. Fioratos zaufał ich władzom. Myślał, że z Sowietami można tak samo prowadzić interesy, jak ze wszystkimi na świecie. Znał dobrze rynek chiński, angielski i rosyjski, to też z łatwością zdobywał zaopatrzenie dla bolszewickiej armii. Z wdzięczności za to w 1946 r. władze sowieckie opuszczając Mandżurię zabrały z sobą Fioratosa. Majątek mu zmarnowali, a jego samego wsadzili do więzienia na Syberii. Śledztwo i sąd odbyły się ściśle według sowieckich wzorów i zupełnie normalnie dostał „25" „za szpiegostwo na rzecz Anglii i współpracę z zagraniczną burżuazją". Fioratos nie mieszkał w Rosji od roku 1907, polityką się nie zajmował, a z Sowietami nie miał nic do czynienia, był obcym obywatelem — to były jego przestępstwa.

Fioratos, osadzony w łagrach na wymarcie, pozostaje w straszliwej niedoli spokojnym, cierpliwym i opanowanym filozofem. Nigdy nie stawia bezprzedmiotowego pytania: „Za co?" Niedolę znosi tak prosto i naturalnie, jak ongiś Sokrates. Na wolności opływał w dostatkach i nie był tak zahartowany na głód i zimno, jak ten, co o nim pisze. Jednak Grek nie narzeka. Z humorem i pogodą ducha podtrzymuje jeszcze innych nieszczęśników. Ja jeden tylko wiem o tragicznych dziejach Fioratosa i jego zmarnowanych możliwościach. Trzyma go i dodaje siły prosta, szczera i głęboka wiara w Boga. Z tej krynicy czerpie spokój i pokorę wobec Bożej Opatrzności. Zachował taką wiarę przez długie lata pomyślności, a potem przez smutne lata niewoli, choroby i groźby śmierci.

Gdy ten grecki filozof zaczyna mówić, nie można się po prostu oderwać od jego opowiadań. I oto, w najcięższym dla mnie czasie, kiedy wszyscy upadają na duchu, i władze mojej duszy słabną, Andrzej, choć sam zagrożony niemocą, potrafi mnie podtrzymać, a

nawet pobudzić do śmiechu i zabawić. Jego pełen głębi myśli, attycki humor i szczera przyjaźń działają jak lekarstwo. Ratują od tęsknoty, smutku i rozpaczy. Nigdy nie zapomnę tego wspaniałego człowieka. Wierzę mocno, że się spotkamy w szczęśliwej wieczności i tam już za łaską Bożą, nikt nas nie rozdzieli. Bo tu już go żywego chyba nie zobaczę. Bardzo był biedak niezdrowy. Gorzką naszą dolę dzielimy na dwie równe części, i tak przepołowiona jest łatwiejsza do zniesienia. I my, zupełni inwalidzi, wygłodniali jak przystało w sowieckim sojuzie, a tym bardziej w łagrach (nie w pokazowych, a zwykłych), cierpiąc na dystrofię i ogólne wyczerpanie, śmiejemy się jak mali chłopcy, żartujemy z siebie nawzajem, a nieraz i sprzeczamy się. Kpimy ze wspólnych wrogów, dzielimy się ostatnimi okruszynami, żyjemy jak rodzeni bracia.

Na początku zimy przeprowadziłem gruntowny remont jego podartej odzieży. Przez to zyskałem sławę wspaniałego krawca — amatora. W ostatnim czasie nie było między nami żadnych tajemnic, znamy wzajemnie wszystkie poruszenia duszy, wszelkie jej wahania. Dajemy sobie słowo, że gdy odzyskamy wolność, będziemy szukać jeden drugiego; snujemy plany przyszłego życia, z myślą o sobie i o przyjacielu.

I tak rozstaliśmy się i już więcej nic o sobie nie wiemy...

— Och, mój drogi Andrzeju! Gdzie jesteś teraz? Jak bardzo ci współczuję, miły Bracie, prawdziwy Przyjacielu w niedoli!

Pewnie już nie żyje mój serdeczny Andrzej. Gdyby ktoś wiedział cokolwiek o nim, błagam, na miłość Boga, o przesłanie wiadomości!

Inny mój przyjaciel, Białorusin, to Józef Groch, spod Grodna. Z tym przeżywamy lepszy okres, kiedy już otrzymujemy mniej więcej jednakowe paczki i złączyliśmy się na wspólny kociołek. Gotujemy razem kaszę na letniej kuchni. Prowadzimy planową gospodarkę. Moje krupy, jego słonina i na odwrót. A jemy z wielką uwagą, aby nie „przymulić" sobie dodatkowo skwarki należącej do drugiego. Na kucharza wybija się Groch, a ja staram się o opał. Do kuchni cisnęli

się inwalidzi — kułaki, zaś „dyrektor" nie dawał dostępu do pieca takiemu bosiakowi, co się pchał bez swojego opału. Ale jak zdobyć opał? Albo trzeba było przechytrzyć strażników i przenieść go z roboczej zony, tylko że łatwiej było przenieść za pazuchą żarzące węgle, jak przejść z drzewem przez bramę; albo kupić czy wymienić na coś innego, lub dostać drew kantem... albo skraść. Zdobyte drewno trzeba chytrze przechować do niedzieli, bo kuchnia „pracowała" tylko w wychodne dni. Jak przechować drzewo — to nowe zagadnienie, boć przecież wszędzie pełno ludzi. Bieda jednak nauczyła nas takiej mądrości, jakiej nie miałby i sam Salomon w sowieckim łagrze. A gdy nam się już wszystko udało i Groch przecisnął się przez szczelinę w ludzkiej ciżbie, wtedy już tylko pilnie patrzymy, żeby się kaszka nie przypaliła, żeby jej nie zepchnęli z ognia, i żeby jej nie wywrócili.

— Gotowe! Dziękować Bogu.

— Ależ gorąca! Poczekaj, dmuchaj, mieszaj...

Nie mogę się doczekać, bo apetyt aż za gardło łapie, śliny całe jezioro i słabo się robi. O nie! Nigdzie na świecie żadna kasza, choćby w nią kładli selery, pory, kalafiory, nie dorówna naszej łagiernej. A my najadamy się nią na cały tydzień. Wtedy dopiero zrozumiałem, co to znaczy kaszę krasić. Gdy nieraz jeszcze udało się nam zdobyć cebuli, czosnku lub pieprzu, to już kasza godna była książęcego stołu. Za każdym razem obiecujemy sobie, że gdy wyjdziemy na wolność, włożymy do kaszy łyżkę masła, łyżkę śmietany i kurzą łapkę. Ale dotąd nic o sobie nie wiemy. A ja potem, gdziekolwiek byłem, czy to w Warszawie, czy Rzymie, Paryżu, Londynie, czy Nowym Jorku, nigdzie nie jadłem tak smacznej kaszy, jak ta w obozie. Mówcie sobie, co chcecie...

Na nieszczęście bywały często „suche dni", kiedy nam brakowało to tego, to owego, a nieraz i wszystkiego. Chwalimy też kaszę z cukrem, ale wtedy trzeba było złożyć obydwie nasze porcje do jednej kaszy. Przy końcu zapasu kasza była zupełnie biedna; resztki krup gotujemy ze słoną rybką, a potem ledwie możemy ją zjeść, zaprawioną gorzkimi łzami. Ale w łagrze nic się nie wyrzuca, podobnie zresztą jak w

całym Sojuzie. Och, gdyby Amerykanie mogli pojeść trochę łagiernej kaszki, nauczyliby się szanować dary Boże, a zbytek odbiera im rozum, jak w Sowietach nędza.

Jak dla ciała kasza, tak dla duszy modlitwa. To też z Grochem łączyła nas i pobożność. Lubimy się modlić do naszego patrona świętego Józefa, i odprawiamy do niego mnóstwo nowenn, z intencją:

— Oby Bóg obdarzył nas zdrowiem i wolnością dla większej chwały swojej.

Dołączają się do nas i inni więźniowie. W sprzyjających okolicznościach, w dni świąteczne mogę po kryjomu odprawić mszę świętą, spowiadać swych penitentów. Po śmierci Stalina jest to łatwiejsze, bo zelżało prześladowanie religii.

Znów trzeba nieszczęścia, że mojego Grocha zabierają. To prawda, że znajduje się w sąsiednim, filialnym łagrze, dokąd nasi robotnicy chodzili na pracę. Mogę więc przez nich przesyłać mu pozdrowienia i wiadomości o sobie. A on mi się tym samym odwzajemnia. Ale w Wielkim Poście Grocha owładnęło takie przygnębienie, że złożył Bogu dziwny ślub:

— Spraw to, o Boże, abym choć przez karcer, ale wrócił do swego kolegi.

Groch tak pragnie przed Wielkanocą spotkać mnie, żeby odbyć spowiedź i przyjąć Wielkanocną Komunię świętą. I Bóg wysłuchał go. Jacyś stukacze nagadali, że Groch planuje ucieczkę z obozu. Posadzili go odrazu na pięć dni do karceru, a po tym zwrócili do naszego obozu. Możemy więc znów dokuczać swojemu Patronowi. Nie na darmo dokuczaliśmy mu, bo w roku 1955, 27 kwietnia, w samą uroczystość Opieki świętego Józefa opuszczam Sowiecki Sojuz. Myślę, że i mój przyjaciel, Józef Groch, doznał takiej samej opieki swojego Patrona.

Wspomnę jeszcze o jednym. Nazywał się Krywun-Zareczny, szlachcic ukraiński, ale zupełnie zruszczały, oficer marynarki floty czarnomorskiej, który uciekł do Rumunii i tam zrobił karierę. W rumuńskiej marynarce zdobył rangę, sławę i pieniądze. Chwalił się pięknością swej żony, pochodzącej ze starowierów.

— Rodzice nie chcieli jej wydać za mnie, bo uważali, że jestem heretykiem. Przymusili mnie, żebym przyjął ich wiarę i ich chrzest. Dla mnie nie stanowiło to żadnej różnicy, więc się zgodziłem. Nałożyli na mnie post. Jakoś go wytrzymałem. Wtedy nas pożenili.

W ten sposób Krywun został starowierem. Praktycznie, nie uznawał on żadnej religii. Nie mogę go nazwać ateuszem, raczej karierowiczem, dla którego życie to jedynie wygody, sława, poklask tłumu, a przede wszystkim grosz, bez którego nie ma ani wygody, ani powodzenia. Życie prawdziwie ludzkie, godne rozumnej istoty, nie stanowiło dla niego atrakcji. Takie typy plenią się wszędzie, wzrastają wokół nas w ustroju kapitalistycznym — to zgorzkniała śmietanka współczesnego społeczeństwa, bo ateizm liberalny jest gorszy od ateizmu komuny. W komuniźmie są jakieś idee, trzymają się przynajmniej uparcie programu. Dopóki nie zostaną wypaczone, warte są szacunku. A mieszczański (burżujski) liberalizm — to ani idea, ani program, to rozbujały zaczyn chlebowy, dla którego „bogiem jest brzuch" według słów Apostoła Narodów. Rzecz charakterystyczna, że sowiecki komunizm tak wykoszlawił swój program, że i sam Marks by go nie poznał.

Krywun doczekał się bolszewików w Rumunii; dopasował się od razu do nowej władzy. Był przedstawicielem Rumunii w rokowaniach z ZSRR. Jako praktyczny dyplomata, Krywun trzymał się mocno Rumunów, dogadzał zaś we wszystkim Sowietom i ze wszystkiego potrafił ciągnąć dla siebie zyski. Sowiety chętnie i bez żenady korzystały z usług Krywuna, ale gdy był im już niepotrzebny, wypłaciły po swojemu. Został aresztowany i wywieziony; wytoczono mu sprawę sądową i dostał „25" łagru w Sybirze.

Z tego rodzaju człowiekiem nie potrafię się przyjaźnić, ale jesteśmy razem, w jednej brygadzie. Ma arystokratyczne maniery, posiada także dużą wiedzę. Swoje talenty potrafił drogo sprzedawać w Rumunii i wspinał się wysoko po urzędniczej drabinie państwowej, aż nagle razem z drabiną zwalił się w przepaść.

Niespodziewanie Krywuna wyznaczają na brygadzistę, a mnie dają funkcję rozdzielania jedzenia. Na

tej posadzie znoszę wiele jego zaczepek i kaprysów. Jakoś mi wtedy wcale nie idzie. Zdrowie mam nijakie, nerwy nadszarpnięte, a brygada na pół zagłodzona i rozzłoszczona. To też wcale nie chcę obejmować tej pracy. Ale Krywun-Zareczny to prośbą i wymyślaniem, to groźbą i przymusem tak mocno z nią mnie związał, że w żaden sposób nie mogę się od niej oderwać. W pracy mam wiele niepowodzeń — kradzieże, niedobory i pomyłki. Dla świętego spokoju pokrywam deficyt ze swej normy, a każdy rozumie jak ciężko jest pić z kielicha, gdy w butelce pusto. Na dobitkę Krywun lubi podkreślać swój ateizm; powstrzymuję się od zbijania jego sofizmatów i nie odpowiadam na zaczepki. Czy można coś tłumaczyć o duchowych sprawach człowiekowi zżartemu materializmem? Artysta nie pokusi się śpiewać arii głuchemu. Żal mi tego zdolnego człowieka, który tak ciężko grzeszy przeciw Duchowi Świętemu. Nic na to nie mogę poradzić. I wtedy Pan Bóg poradził. Krywun zaczyna upadać na zdrowiu. Tym czasem w łagrze braknie leków. W ambulatorium wszystkim dają jakieś cudowne proszki, które leczą tysiąc i jedną chorobę, z wyjątkiem właśnie tej, na którą chorujesz. Chory otwiera usta, a sanitariusz sypie proszek na język i pokazuje na wodę. Nie słyszałem, aby ktoś się uskarżał, że mu ta kuracja zaszkodziła. A Krywun coraz bardziej stęka i męczy się. Śpi na dolnych narach pode mną. Z bólu zapomina o swym ateiźmie i często wzdycha:

— Mój Boże, mój Boże!

Więcej już nie występował przeciw wierze. Gdy go zabrali do szpitala, nie mogłem się o nim nic dowiedzieć. Myślę, że nie żyje i spotkał się z Bogiem, o którego nie dbał na ziemi.

Należałoby o wielu jeszcze pisać, ale na wszystko nie starczyłoby i wołowej skóry. I do tego nie mogę jasno mówić o tych, którym mógłbym swym opowiadaniem zaszkodzić, bo oni — tam...

Muszę jednak wspomnieć o ciekawym człowieku, profesorze, inżynierze X. Zna on doskonale języki klasyczne — grecki i łacinę, i to tak dobrze, że dokonywał

przekładów starych greckich dramaturgów na rosyjski. Z nowoczesnych języków włada francuskim, niemieckim, angielskim, holenderskim, i hiszpańskim. W czasie wojny w Hiszpanii pracował w laboratorium chemicznym przeciw generałowi Franco, a potem w czasie wojny światowej przeciw Hitlerowi. Po wojnie był zmuszony leczyć oczy nadwyrężone przy doświadczeniach chemicznych. I gdy w szpitalu przygotowywano go do operacji, nagle zostaje na rozkaz Stalina postawiony przed sądem. Dostał 10 lat. Jest to poważny człowiek, o dziwnie ujmującym obejściu, komunista ze starej gwardii. Widocznie w czymś nie dogadza przywódcom nowego ładu. Z natury rozmowny i przystępny, nie daje się wciągnąć w dyskusję na tematy polityczne. Grozi mu całkowita ślepota, gdyż nie dokończył swej kuracji. Takiego człowieka mogli skazać tylko super-obłąkańcy.

Siedzi też przez pewien czas profesor historii, Ukrainiec, człowiek głęboko wierzący i praktykujący.

Podobnie przebywam z Ukraińcem K., profesorem socjologii; to człowiek jak złoto — kulturalny, mądry, szczery i dobry przyjaciel. Lubi mówić, i ma o czym mówić, ale też milczeć umie, jest bowiem bardzo skromny.

Spotykam też profesora literatury P. W czasie wojny był wysłany zagranicę. Miał jako naukowiec specjalną pracę. Ale po wojnie, gdy Stalin pośpiesznie odwoływał z zagranicy pracowników i dawał im po 10 lat łagrów, odwołany został i profesor P. i dostał swoje dziesięć latek. Bardzo ciężko znosi łagier, mimo że regularnie otrzymuje przesyłki od rodziny. Zżera go niesprawiedliwość ustroju sowieckiego, zakłamanie i krzywda prowadząca do zguby narodu. Obawiałem się, że nie przetrzyma łagru, i żałowałem jako zdolnego i sympatycznego naukowca. Był to kompletny ateista, a jednocześnie człowiek dobrej woli. Gdy zaczął głębiej badać istotę Boga i Jego wszechmocy, zagadki życia i śmierci, tajemnice przyrody, uznał nonsens ateizmu i potrzebę Boga, aby nie wpaść w absurd i rozpacz.

Wielu profesorów, inżynierów, lekarzy, prawników, księży, literatów odsiadywało swoje wyroki. Kto

z nich dorobił się kary do roku 1947, mógł się uważać za szczęśliwego, bo jego wyrok opiewał tylko na dziesięć lat, ale kto nie zdążył na czas, ten już zarobił pełną „szpulę", czyli „wrzeciono". Do czego doprowadziłby Stalin cały swój Sojuz, gdyby na czas nie umarł? I Beria, którego za późno rozstrzelali? Ale do władzy dorwali się inni, z najgorszych ździebłko lepsi.

Pewnego razu łagierni uczeni zaczęli szukać w wolnym świecie odpowiednika sowieckich obozów. Jeden z nich znajduje go w starożytnym Egipcie; twierdzi, że niegdyś faraonowie stworzyli dla robotników budujących piramidy łagry podobne do naszych sybirskich. Inny mówi, że arystokracja rzymska miała prywatne łagry dla niewolników. Trzeci porównuje nasze obozy do hitlerowskich. W końcu doktor Kramer, znający świat, powiada:

— Widziałem w Ameryce wielkie szpitale dla chorych umysłowo; mogę je teraz porównać do tych łagrów. Ale jest i duża różnica między nimi. Tam chorych karmią wyśmienicie, dają więcej swobody i nie wymyślają tak, jak nam tutaj. Bardzo starannie ich doglądają, ale pilnują podobnie jak nas, tylko że nie ma konwojentów, drutów kolczastych i psów. Teren dla spacerów ogromny i cudownie urządzony. Wszędzie ławki dla odpoczynku.

Na to wtrąca doktor Okoń spod Witebska:

— Aleście trafili w sedno! Podkreślacie co nieistotne; a nie możecie dostrzec zasadniczej różnicy. W Ameryce ludzie mądrzy zamykają i strzegą wariatów, a w Sojuzie — na odwrót.

Pokazywano mi w łagrze Żyda, komunistycznego leadera. Natrząsano się z niego, że organizował w Ameryce komunistów na wyjazd do Sowietów. Zaraz po wojnie rząd Stanów Zjednoczonych pozwalał komunistom wyjeżdżać. Wtedy ten sprytny agitator wysłał do Sojuzu jedną partię, potem drugą, aż zaczęto go posądzać o celową a chytrą prowokację.

— Ty tylko zwodzisz biednych ludzi, a sam boisz się jechać i nie dowierzasz Sowietom.

— Nu, jak ja nie wierzę? Ja zaraz wezmę i sam pojadę!

Słowo się rzekło. Zapisuje się i pewny siebie jedzie. Nie musi długo czekać. Dostaje „dziesiątkę" za szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych. Siedzi razem ze mną w lagrze 0,7. Już niemłody, podchodzi pod pięćdziesiątkę. Mały opasły, niezgrabny. Chodzi samotnie po ścieżkach obozowych, wiecznie zamyślony. Nikt się do niego nie zbliża, bo wszyscy wiedzą, że fanatyk trzymający się ślepo linii partyjnej. O niczym innym nie chce mówić, jak o komunie, a łagiernicy nie interesują się tego rodzaju problemami.

Do przyjaciół też muszę zaliczyć Białorusina L., bez jednej ręki. Los zakpił z niego złośliwie. L. bowiem, to człowiek rozmiłowany w majsterkowaniu. Kupował gdzie mógł maszyny gospodarcze, doprowadzał je do porządku i remontował. I przy takich właśnie pracach strasznie się okaleczył. Cichy, małomówny, wiecznie coś majstrował jedną, lewą ręką, bo prawą miał odjętą aż do barku. Aż żal było patrzeć na tego nieszczęśliwego kalekę. Ale duszę miał całkiem zdrową, pełną miłości Boga i bliźniego, i ... ciekawości do najróżniejszych maszyn. Od urodzenia nic nie wiedział o polityce i zupełnie się nią nie interesował, a trafił do łagra na dziesięć lat... prawdziwa ofiara rewolucji.

ZBIEGOWIE

Uciec — nie uciec, a spróbować można.

Nie wiem, jakie kary stosuje wolny świat za ucieczkę, ale to wiem dobrze, że w Sojuzie karzą po drakońsku, bo „wybieg" uważa się tam za wielkie przestępstwo. Dekret z 15 kwietnia 1919 r. przewiduje znaczną dokładkę do wyroku, a za powtórną ucieczkę może nawet zapaść wyrok śmierci. Za carskiej Rosji chwytano zbiegów, zamykano w karcerach, poddawano surowszemu regulaminowi lub posyłano do karnego więzienia, ale jednak nie zmieniano wyroku. Świadczą o tym choćby przeżycia samego Stalina, który pięć razy uciekał z carskiego więzienia w Syberii. „Sprawiedliwość" hitlerowska stosowała straszliwą karę. Za jednego zbiega — dziesięć niewinnych ofiar skazywano na śmierć głodową. Wynika stąd, że poza hitleryzmem — najsurowsze kary za ucieczki istnieją w Sowietach.

W Sojuzie sam więzień powinien przyznać się do winy. I faktycznie, pod terrorem przyznają się do niepopełnionej winy ludzie zupełnie niewinni. A gdy na rozprawie sądowej wyjaśnia się, że więzień niesłusznie przyznawał się, i że należy go zwolnić z braku winy, wtedy skazuje się go za „złożenie fałszywych zeznań". Krewni także mają obowiązek donosić, jeśli tego nie zrobią, również będą skazani. A oskarżony ma wyrok przyjąć i podpisać jako słuszny. Widzimy, jaki to labirynt krętactwa i w kodeksie, i w praktyce. Prawa sowieckie przewyższają o całe piekło swym okrucieństwem i carskie, i faszystowskie, z wyjątkiem tylko Hitlera.

W 1953 r. w 0,7 próbował ucieczki jeden inwalida. Przygotował sobie chleb i potrzebne drobiazgi, a w czasie roboty przelazł przez ogrodzenie. Po pracy, przy apelu od razu zauważono jego ucieczkę. Zorganizowano pościg i po paru dniach ujęto go i pokazano nam z tryumfem. Spędzono nas na specjalny mityng, a jego wyprowadzono na ganek kancelarii. Był mocno zbity, twarz miał opuchłą, podbite oczy i cały w sińcach. Naczelnik szydzi z jego niezręczności, a i nas lży za to przestępstwo. Jednocześnie z pogardą wytyka jemu i nam, księżom, że duchowna osoba może tak postępować. Zbieg był bowiem pastorem protestanckim w Estonii.

— Jak my teraz możemy wierzyć duchownym?

Przyszło mi wtedy na myśl, jak faryzeusze zawstydzali Pana Jezusa za przekraczanie niedorzecznych przepisów. Podobnie i Herod szydził z Pana Jezusa wobec całego dworu, a Piłat wyprowadził Go w cierniowej koronie, ubiczowanego, pokazał tłumom i rzekł:

— Oto człowiek.

A tego nieszczęsnego zbiega oddano pod sąd. Co się z nim stało, nie wiem.

Po tym wypadku zaostrzono u nas dyscyplinę obozową. Przeprowadzono rewizję w barakach i osobistą, wycięto kieszenie w ubraniach, naszyto w trzech miejscach numery i stosowano wiele innych sposobów dręczenia.

W takich warunkach ucieczki stały się zupełnie niemożliwe. Sowieckie więzienia czy obozy można porównać jedynie do piekła, skąd nikt nigdy nie uciekł. Jedynie błatni, znając dobrze warunki sowieckiego życia, mogliby się może pokusić na ucieczkę, licząc na pomoc swych towarzyszy, ale i oni mają tylko cień nadziei.

A jednak ludzie próbują szczęścia. W naszym obozie zdarzył się i drugi wypadek. Zbieg był kulawy i ślepy na jedno oko. Takiemu trudniej zniknąć. Po ucieczce zarządzono na nas nagonkę. Władza obozowa beszta i obrzuca więźniów obelżywymi wyzwiskami.

— Inwalidzi symulują tylko choroby i oszukują Sojuz — wrzeszczeli — trzeba będzie wam teraz odebrać laski i kule, i pędzić bez litości do pracy.

Jednym słowem, jesteśmy wszyscy odpowiedzialni za zbiega. Tymczasem z całego łagru wiedziało o planowanej ucieczce zaledwie kilku jego kolegów, błatnych. Muszę przyznać szczerze, że cały obóz w duchu życzył zbiegowi pomyślności. Choć władze mszczą się na nas za ucieczki, to jednak my nie mamy pretensji do zbiegów.

Nasz zbieg był za młodu sportowcem. Próbował ucieczki dwa razy. Pierwszy raz wykazał wielką zręczność. Uciekał według z góry obmyślonego planu. Wybrał sobie mglisty poranek, gdy zwolniono nocą wartę, w dzień bowiem z czterech „ambon" pozostają tylko dwaj konwojenci, którzy strzegą po dwa boki. Nasz ślepy przystawił w narożniku drąg od ogórków zabrany z ogrodu, przelazł przez druty i przez wysokie ogrodzenie, tam przez pustą strażnicę normalnie zszedł po schodach i wsiąkł w gęstą mgłę. Po paru godzinach, przy powierce nie doliczono się jednego inwalidy. Rozpoczęły się poszukiwania w łagrze, ale gdy mgła opadła, zobaczono fatalny drąg przy ogrodzeniu i wyraźne ślady na wygracowanej ziemi między drutem kolczastym a główną zagrodą. Posłano od razu pogoń po śladach, ale psy zaczęły kichać i straciły ślad. Widocznie ślady były czymś posypane. Tak więc ślepego nie złapali i już o nim zapomniano. Jednak po roku znalazł się. Okazało się, że złapano go w towarowym pociągu na bocznicy, gdy spał. W ciągu tego roku przeszedł sąd, odsiedział w więzieniu i z dłuższym wyrokiem do nas wrócił. Za niego też i nam się dostało. Między innymi i nasz łagier uznano za buntowniczy i wprowadzono następujące zaostrzone przepisy:

1. Wewnątrz łagra zniesiono ogródki.

2. W nocy nie wolno przechowywać w łagrze żadnych narzędzi, nawet mioteł, szczotek, wieników. Wszystkie te przedmioty zabierano do roboczej zony.

3. Usunięto wszystkie żerdzie, tyczki, podpórki.

4. Odebrano starym i kalekom laski, a kule wzięto pod ostrą kontrolę.

5. Dozorcy zaostrzyli dyscyplinę; częściej nam dokuczali, mocniej wrzeszczeli i ordynarniej wymyślali.

Wkrótce po tej nagonce dochodzi do nas wiadomość, że dozorca, który najgorliwiej odbierał laski i kule, wpadł po pijanemu pod pociąg i stracił obie nogi.

Trzeba trafu, że nasz ślepy po trzech czy czterech miesiącach znów ucieka. No, teraz zjeżdża specjalna komisja, która daje porządnego bobu całemu zarządowi obozu, a na nas miota pioruny gniewu. Najbardziej do wściekłości doprowadza fakt, że żadni eksperci nie mogą odkryć sposobu ucieczki. Odkryli początek planu, ale stracili koniec, bo ślepy, niby czarownik, jakby w ziemię zapadł.

Zbieg zawczasu rozbił jedną lampę elektryczną na ogrodzeniu naprzeciw swego baraku. Wybrał ciemną noc, gdy rozszalała się śnieżna burza. W baraku rozsunął kraty w starym parapecie i nocą wydostał przez okno. Po tym próbował się podkopać żelazną miską pod płot, ale zamarznięta ziemia stawiła opór. Wtedy zdecydował się na inny plan. Ale jaki? Tu komisja i eksperci całkiem zgłupieli:

— To chyba jakieś czary? Nie miał bowiem żadnego ludzkiego sposobu ucieczki. Jak mógł przeleźć ogrodzenie gęsto obciągnięte drutem kolczastym? Nie miał żadnych narzędzi do wciągnięcia się na płot, i nie miał żadnego pomocnika, a sam był ślepy na jedno oko i kulawy na jedną nogę. I znów psy nie poszły śladem; zresztą teraz ślady zawiał śnieg.

— A jednak ślepego złapiemy i pokażemy wam! — obiecują.

Burczą telefony, trzaska telegraf, dudni radio na cały Sowiecki Sojuz. Złapali ślepego już po trzech dniach, wlepili mu, co i ile trzeba. Jednak gdy przyszło do pokazania go, to, choć był ślepy na jedno oko i podobny, okazało się, że to nie ten. Co robić? Przegnali tego, choć na pewno przyznał się do winy, gdy go uczciwie postraszono. A prawdziwy zbieg przepadł jak kamień w wodzie.

Władze znowu odbijają sobie na nas to niepowodzenie. Komisja przez cztery godziny trzyma nas na

mrozie, rozgrzewając ognistymi słowami. Przed wymarszem ślepy okradł w nocy katolickiego księdza — Br. Hryniewieckiego z Wilna. Zarzucono mu, że pomagał w ucieczce ślepemu, i że dał mu nowe trzewiki i kożuszek. Starego i zniedołężniałego księdza Hryniewieckiego oddano pod sąd. Grozi mu surowa kara. Obu brygadzistów z tego baraku wsadzili na dwa miesiące do BUR-u, a potem gdzieś wywieźli.

We wszystkich barakach poprawiono okna, a kraty lutowano i wzmocniono. Teraz nie mogłaby się przecisnąć nawet mysz. Jedynie pluskwy mają nadal otwarte swoje trakty. Zaostrzono jeszcze bardziej regulamin, przeprowadzono dokładniej rewizje, skrupulatniej liczono, a łajano... aż uszy więdły! Chodzimy w napięciu jak struny, i dopiero odetchnęliśmy troszkę na wiosnę, gdy wreszcie „wielki" Stalin odszedł do podziemnego carstwa.

Opowiadał mi pewien kolega, że w jednym z obozów był niemy inwalida. Gdy już mieli niemego zwolnić z łagra, błatni podstawili na jego miejsce swojego towarzysza, podobnego do kaleki, i tego władze wypuściły. Prawdziwy niemy nie wiedział o niczym i nadal siedział, teraz już pod nazwiskiem oszusta. Grupa błatnych czuwała w nowej sytuacji, i gdy wywoływano zbiega, wypychali niemego i za niego mówili. Wreszcie sprawa wykryła się. Po trzech miesiącach podrabiany niemy wrócił jak niepyszny do łagra, a prawdziwy odzyskał wolność.

Po ucieczce ślepego dozorcy biegali u nas raniutko po barakach; krzyczeli, wyzywali, aby tylko nikt nie przespał pobudki, zwłaszcza w święto. Ale w sam Nowy Rok nasza sala zaspała. Dzwon bije na wstawanie, a my nic, śpimy. Wtedy wpada dozorca i obsypuje nas ostatnimi słowami, tak że nie wiemy gdzie się podziać. Nigdy nie było nam tak ciężko wstawać, jak tego pierwszego dnia roku 1953. W baraku straszny ziąb, a kości bolą. Wszyscy niby się podnoszą, ale dalej siedzą na pościeli; niby to się ubierają, ale tylko dla oka. A krewki dozorca biega między narami i daje nam pieprzu. Ostry krzyk oraz rosyjskie, soczyste, dosadne i pełne treści słowa sypią mu się jak

z rękawa. Aż wreszcie jeden z naszych towarzyszy, siedzący na górnych narach, gdy dozorca aż kipiał „z czerwonego" oburzenia, poważnie odzywa się:

— Obywatelu naczelniku!

Dozorcy bardzo lubią ten tytuł.

— Obywatelu naczelniku!

— A! Co takiego?

A nasz inwalida mówi tak poważnie, jakby do samego Stalina.

— Życzymy szczęśliwego Nowego Roku.

Jest to tak niespodziewane, że dozorca baranieje. Burknął coś pod nosem, co mogło oznaczać „dziękuję" lub co innego, i wypadł za drzwi. A my, głodni i zziębnięci, i choć Nowy Rok zaczyna się od takiego powinszowania, śmiejemy się cały dzień.

PROKURATORZY I ADWOKACI

W naszym mieście jeden prokurator
porządny człowiek,
ale i on, prawdę mówiąc, świnia.
(Gogol)

Nasza grupa harbińska przeszła w Czycie przez długie śledztwo, dostaliśmy po „25", ale w naszej sprawie obeszło się bez prokuratorów i obrońców. Nie wiem, z jakim urzędem są oni związani w Sowietach, jakie mają zajęcia? A potem, kiedy zostałem oddany pod sąd ludowy (w 0,13, dnia 8 września 1954 r.) i ja, i wielu innych oskarżonych, nie mieliśmy adwokatów. Czym więc w Sojuzie zajmują się adwokaci? Nikt mi nie może odpowiedzieć na to pytanie; tak mi wyjaśniono że nic nie wiem. To znaczy, że adwokaci są potrzebni do większej parady, na wielkich, pokazowych rozprawach sądowych. I dlatego nie będę się nimi zajmował więcej.

Prokuratorzy? A, to już inna sprawa. Wiemy, w jakiej cenie byli oni u Gogola. Muszę tu stwierdzić, że w czasie mojego śledztwa nawet raz jeden pokazał się prokurator. Posłuchał trochę sprawy i śmiejąc się zapytał:

— Czy on ciebie nie bije?

— Nie, nie bije — odpowiadam — ale strasznie wymyśla.

— No, to głupstwo.

Tak więc prokurator pocieszył mnie i więcej już się nie pokazał. I nie zajrzał ani razu do mojej separatki.

Potem, gdy byłem we wspólnej celi, nagle weszła do nas grupa wojskowych. Między nimi olbrzymia kobieta w cywilnym ubraniu, ale z generalską miną. Świetnie spełniałaby rolę stracha na wróble. Obrzuca nas groźnym spojrzeniem i grzmi żeńskim basem:

— Jestem prokuratorem! Kto ma jakąś skargę, lub prośbę, niech mi ją zaraz przedłoży. Słucham.

Jesteśmy tak zaskoczeni tym niezwykłym faktem, że stoimy jak głupi, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego słowa. Pierwszy raz w życiu widzę prokuratora — kobietę i do tego takiego babsztyla. Z zachowania się oficerów, z ich sowieckiej nabożności, z jaką się kręcą wokół niej, możemy wnioskować, że to jakaś ważna „szyszka".

Dopiero gdy wyszli, okazało się jak nieopatrznie zmarnowaliśmy wspaniałą okazję, bo każdy z nas miał wiele pytań, próśb i skarg. To też przygotowujemy zawczasu materiał na drugie spotkanie, żeby znów się nie zbłaźnić. Notujemy w pamięci co powiedzieć, chociaż lepiej byłoby wszystko zapisać, ale nie mamy ani ogryzka ołówka, ani skrawka papieru; te rzeczy można otrzymać tylko na specjalną prośbę, wniesioną do władz. Za znaleziony kawałeczek ołówka przy rewizji wyznaczano surową karę.

Za jakieś dwa miesiące znów znajdujemy się przed obliczem onej prokuratorki. Teraz już się nie boimy. Każdy śmiało przedkłada swoje zmartwienia. A ona wszystkich słucha, wypytuje wykazując wiele cierpliwości, udziela rad, ostrzega, coś tam obiecuje — i tak wszyscy odeszli zadowoleni. Ja się nie wtrącam, więc ona sama mnie pyta:

— A wy nie macie pytań?

— Ja chciałbym rozmówić się na osobności.

— Dobrze, zawezwę was.

Odpływa od nas powoli i dostojnie jak paw. A my cenimy dobrą jej duszę, zamkniętą w potężnym cielsku.

Umocnieni obiecankami prokuratorzycy, zaczynamy wyczekiwać ulgi jak kania deszczu. Przeszedł tydzień a potem i drugi, a ona mnie nie wzywa. Wystosowałem więc do niej podanie przypominając dane mi prokuratorskie słowo, ale bez skutku. Po-

dobnie i nikt z kolegów nie doczekał się od tego pudła niczego z wielu obiecanek. Kto tu ponosi winę? Czy ta ogromna baba, czy olbrzymi Sojuz stojący za nią?....

Raz jeszcze przychodzi do mnie w czasie śledztwa prokurator z grupą oficerów. Inni nagabywali mnie, a prokurator milczał. Podobnie było gdy nam odczytywali dekret z Moskwy, skazujący na „25" bez sądu, prokurator stał i milczał. Zastanawiałem się, dlaczego to u nich prokuratorzy i adwokaci tak uparcie milczą? Widocznie nie reprezentują w swych osobach niezależnego głosu społeczeństwa.

Na koniec wspomnę o jednym prokuratorze spośród białych oficerów, z którym spotkałem się w szpitalu i łagrach. Brał udział w pierwszej wojnie światowej, a po rewolicji 1917 r. przystał do białych generałów. Ironią losu było, że ten mój znajomy miał stanowisko wojennego prokuratora i prowadził śledztwa wielu bolszewików. Uważali go więc za znienawidzonego wroga. Wreszcie po drugiej wojnie sowieci go schwytali. Prowadzono bardzo długo jego śledztwo. Sędziowie śledczy i prokuratorzy zmarnowali dużo czasu, sporządzili wiele protokołów i w końcu dali mu „25". Obawiał się, że go rozstrzelają. Ale do tej tragedii wmieszało się i coś z komedii. Ani prokuratura, ani przewód śledczy nie dogrzebali się faktu, że on był białym prokuratorem przeciw czerwonym. Jak można było przegapić taką winę? Postawiono mu same nic nieznaczące i małoważne zarzuty i dostał „25" — po prostu za nic, a do głównego zarzutu nie dotarli, choć był bardzo znanym człowiekiem. Oto wszystko, co mam do powiedzenia o prokuratorach.

ZE ZŁA DOBRO

Jednemu szczęście płynie jak rzeka obficie,
a drugi w nieszczęściu pędzi całe życie.

Rok 1954. Znów mamy komisówkę. Ach! Jak na nią liczę, choć jednocześnie i boję się. Bo po wyjściu ze szpitala, tj. od 15 sierpnia 1952 r. przydzielano mnie do różnych robót — do gospodarstwa i do lasu, na kolej i do tartaku, do remontów, a najwięcej do piłowania drewna w roboczej zonie. Spodziewałem się więc, że mnie komisja sanitarna wreszcie skreśli z listy roboczej, tym bardziej, że i wiek domagał się tego, i zdarte siły. Z lamusa wiadomości łagiernych wydobywam wszystkie sposoby przygotowania serca na komisję. Musi robić wrażenie zupełnie zmarnowanego. Po wykonaniu odpowiednich zabiegów idę na tę komisję. Przeglądu dokonują jak zwykle dwie kobiety, lekarki. Jedna opukuje, obsłuchuje, a druga pisze. Podchodzę i ja do niej. Obsłuchała i mówi:

— Wspaniałe serce — do pracy!

Druga zapisuje wynik badania, a ja omal że nie płaczę. Natychmiast po komisówce przydzielono mnie do brygady na roboty budowlane. Budowano właśnie specjalne pomieszczenie dla obróbki drzewa. Każdy z moich nowych kolegów ma wyznaczone swoje miejsce i wie co robić. Brygadzista pyta mnie:

— Umiesz obrabiać drzewo siekierą?

— Piłowałem drzewo i rąbałem też, ale innych . . .

— Będziesz więc w belkach wiercił dziury, po dwie, jedna przy drugiej.

Dobrze. Pracowałem cały dzień; strasznie się bałem, żeby nie spaść, bo belki były bardzo wysoko. Praca idzie mi niesporo i niezdarnie, ale ja się naprawdę bardzo staram. Jednak wieczorem nie pochwalono mego wkładu w sowieckie budownictwo, co więcej nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Następnego dnia wycofują mnie od wiercenia i dają je lepszemu robotnikowi, a mnie brygadzista przydziela pod komendę Macieja Piotrusiewicza, który przed wojną był sędzią. Mój zwierzchnik, choć niewielkiego wzrostu, okazuje się o wiele silniejszy ode mnie. Praca w łagrach nie zdołała jeszcze wyssać z niego wrodzonych sił.

Dostajemy polecenie noszenia krokwi. Aby szybciej wykonać normy, w Sowietach — jak miałem możność zauważyć — budują zawsze ze świeżego materiału. Piotrusiewicz, mając mocne i zdrowe serce, chce mi pomóc. Bierze krokwie zawsze z grubszego końca, a mnie zostawia przy cienkim. Lecz dla mnie i ten cienki zdaje się za ciężki. Co na to poradzić? Nikt tu nie winien. Bo moich zwierzchników poganiają wyżsi od nich, i tak ciągnie się łańcuch wzwyż do samego dyktatora, a w dół dochodzi kolejka do mnie. Zdaję sobie sprawę, że pracować muszę, bo wszyscy moi koledzy w brygadzie pracowali zgodnie,szczerze i bardzo zręcznie. Lubię się im przyglądać, jak im praca „paliła się w rękach". Cieśla ma siekierę szeroką, cienką, a ostrą jak brzytwa. On nie ciosa kłody, nie obrabia jej, ale ją czesze, struga, gładzi i nadaje taki połysk, że błyszczy jak lustro. Wtedy majster oddala się na kilka kroków, przymruża oko, spojrzy ze znawstwem na swoje dzieło, chwilę się nim rozkoszuje, a po tym wskaże palcem i powie jedno:

— No, jak?

Byłbyś chyba chomąt albo cep, gdybyś się nie zachwycił i nie pochwalił. Odpowiesz mu więc:

— Ta-a-ak, wspaniała robota!

Wtedy posadzi cię na swoją belkę, ogładzi ją ręką, a tobie da zakurzyć. A to drzewo rosło w odwiecznej puszczy, dochodząc do wieku 50-60 lat, było równe, strzeliste jak maszt. Samo potrafiło oczyścić się z sęków i pełną koroną śmigało w niebo do słońca.

Piękne jak panna, a mocne i zdrowe jak juhas, dochodziło do pełni sił, dojrzałego wieku. A i teraz drzewo ma szczęście, bo cieśla go nie psuje i nie marnuje, dostało się bowiem w ręce pierwszorzędnego majstra — to prawdziwy mistrz w fachu. Cieśla tylko żałuje i złości się, że taki cenny materiał nie został zużyty do ważniejszych celów, i że użyty w stanie surowym zgnije i nie wytrwa jak powinien w stuletniej służbie dla dobra człowieka. A nam żal też i majstra, że go za młodu nie skierowano do nauki, nie dano możności do studiów inżynierskich, że nie jest teraz budowniczym czy architektem.

Zdaję też sobie sprawę, że ja do tej pracy absolutnie się nie nadaję, bo nie mam ani przygotowania, ani uzdolnienia, ani siły. Podobnie jak nie nadaje się do zawodów hippicznych stary, okulały koń gospodarski. Będę tylko marnował czas, psuł robotę, wpadnę w jakąś chorobę, albo się okaleczę i będę tylko zawadą dla innych. Robotnicy muszą podganiać wyznaczoną normę, albo i przekroczyć ją, a każdy niezdara w brygadzie tę normę obniża. Na trzeci dzień Piotrusiewicz mówi do mnie:

— Będziemy teraz przenosić gotowy materiał na górę, a surowy do obróbki. Najpierw rozpoczniemy od beleczek.

— Dobrze. Zaczynajmy, niech będą i belki.

Pracować we dwóch i lżej, i weselej, ale potrzeba mieć dużo sprytu i wciągnąć się w pracę. Trzeba na komendę podnieść belkę, na komendę zarzucić na plecy, a potem iść równo i zrzucić ją jednocześnie, bez nerwów i strachu, w przeciwnym razie można okaleczyć i siebie, i kolegę. Dlatego też Piotrusiewicz łagodnie, ale stanowczo wciąga mnie do harmonijnej pracy. W teorii wiem już dobrze, jak trzeba robić, ale w praktyce wiele jeszcze razy pudłuję, za co otrzymuję „objazd". Ale zdaję sobie sprawę, że praca ta jest ponad moje siły. Narażam się na zerwanie serca lub przepuklinę, a miałem już okazję widzieć w szpitalu takich ryzykantów. Siadam więc na belce i mówię Piotrusiewiczowi:

— Dosyć. Już więcej nie dam rady.

Nadszedł na to brygadzista i pyta:

— Dlaczego nie podnosisz belki?

— Ja ją podnoszę, ale ona jakoś nie chce się podnieść.

Tego samego dnia wieczorem przenoszą mnie za to do innego baraku i wciągają do brygady remontowej. Nazajutrz nowy brygadzista pognał nas do remontu baraku. Dają mi gracę i każą przygotowywać zaprawę. Dwaj inwalidzi noszą i przesiewają piasek, jeden wozi samociągiem wodę, a ja z drugim robotnikiem miesimy to murarskie ciasto. Na nas dwóch przypada najcięższa praca.

— Dawaj, dawaj! Popędzają majstrzy.

— Źle wymieszane. Pokrzykują.

— Za dużo wody, syp więcej piasku.

Podchodzi komendant, ogląda robotę, kręci nosem:

— Dodaj im szóstego do pracy, bo widzę, że im za ciężko — mówi do brygadzisty. Ucieszyliśmy się tym bardzo, ale na próżno, bo nasz brygadzista nie lubi, żeby robotnikom było lekko. Gdy dopominamy się o szóstego, zabiera nam piątego. Ot, licho! Na to ja już zupełnie się buntuję. A brygadzista jeszcze dolewa oliwy do ognia:

— U mnie nie będziesz miał tak, jak w poprzedniej pracy. Ja ciebie nauczę jak trzeba pracować.

To też, gdy po obiedzie odzywa się dzwon na pracę, nie idę wcale. Brygadzista pogania mnie i straszy, ale ja już się uparłem. Wtedy łagodnieje, obiecuje lżejszą robotę, jednak nie daję się wziąć na lep, i do żadnej pracy nie chcę iść.

Nazajutrz wysyłam do kierownika łagru następujące pismo:

„1. Niedomagam mocno na anemię i w roku 1952 dwukrotnie miałem transfuzję krwi, co uratowało mnie od śmierci. Teraz znów osłabłem. Jeśli chcecie, żebym dalej ciężko pracował, wyślijcie mnie najprzód do szpitala na nową transfuzję krwi, to może mi starczy sił na dalsze półrocze takiej roboty.

2. Mam już 65 lat, a więc dawno przekroczyłem wiek obowiązujący do pracy; w Sojuzie Sowieckim

zabroniono przymuszać do pracy inwalidów, tym bardziej, że za inwalidę zostałem uznany już w 1949 r.

3. W roku 1950 i 1952 byłem w Centralnym Szpitalu i przeszedłem dwie poważne operacje, a więc wyznaczanie mnie teraz do ciężkich prac, jak poprzednio w brygadzie budowlanej, a obecnie w remontowej, jest niedopuszczalne i wbrew prawu".

Po doręczeniu pisma czekam długo na jego wynik, ale na roboty nie chodzę, choć jestem w wielkim strachu, że wszystko się źle skończy. A koledzy straszą:

— Wykombinowałeś strasznie niebezpieczną grę, bo na ogół w Sowietach mocno karzą za sabotaż, a ty przecież jesteś na Sybirze i w łagrze. Pomyśl co robisz?

Ja jednak zbuntowałem się przeciw całemu światu. Teraz sam sobie się dziwię, co mi się wtedy stało. Nikogo się nie radzę i nikogo nie chcę słuchać. Przeszły w ten sposób trzy tygodnie. Cały łagier patrzy na mnie ze zdziwieniem, chyba myślą, że zwariowałem. Wszyscy brygadziści spoglądają na mnie ze złością, bo moje postępowanie jest niebezpiecznym posiewem. Jednak władze jakoś się mnie nie czepiają. Nie było jeszcze takiego wypadku, bo dotąd wszystkich opornych z reguły pędzono do karceru. Myślę — albo coś wielkiego wygram, albo przegram resztki. Boję się, ale trwam w uporze.

Wreszcie zwaliła się zapłata i to taka, że wszyscy aż ciężko westchnęli. Przyzwyczajony do mej nowej swobody, siedzę na przyźbie z chorym lekarzem Niemcem i wygrzewam się w słońcu. Wykorzystujemy czas i uczymy się wzajemnie, ja jego rosyjskiego, a on mnie niemieckiego. Korzyści nie miałem z tego prawie żadnej, bo moja pamięć okulała na obie nogi. Nagle wołają mnie:

— Do etapu!

Etap w łagrze, toż to normalna rzecz, ale teraz dołączyli mnie do karnej grupy i wysyłają do specjalnego roboczego obozu. Dotychczas nikt u nas takiej kary nie miał i nikt nie wie, co tam jest.

Ale obaj brygadziści z naszego baraku odetchnęli z ulgą, a jeden z nich powiedział mi:

— To ci się należy. Żebyś choć poszedł do jakiejś najlżejszej pracy, ale uparłeś się jak kozioł — jeden przeciw wszystkim. No i cóż? Teraz się nauczysz.

Jasna rzecz, że od nich wyszedł rodzaj kary. A moi koledzy? Jedni mi współczują, inni się śmieją:

— Sam sobie winien, nie trzeba igrać z ogniem.

A ja się czuję jak tonący na głębinie.

Mimo wszystko jednak składam całą swą nadzieję w ręce Niebieskiej mojej Patronki, Matki Bożej, bo w dzień Jej święta, 2 lipca, wychodziłem z łagru:

— Kiedy wszystko jakby się przeciwko mnie sprzysięgało, Matka Boska mnie zawsze ratowała — to i teraz nie opuści, a poratuje...

A tymczasem pomiędzy skazanymi inwalidami przechodzi zatrwożony szept:

— Pędzą nas do O,13, to najcięższy roboczy łagier.

— Aleśmy wpadli, niech Bóg zachowa!

ZWOLNIĆ!

Zapomniałem nawet
jak się u nich drzwi otwiera.

Nr 0,13 — Wichrówka.

Gdy nas ujrzeli, wszyscy się mocno krzywią:

— Po co nam przysłali tych starych dziadów? Będą tylko obniżać normę. Żeby tu ani chwili nie zostali! Gnać ich precz.

Śmiejąc się i złoszcząc obstępują nas robotnicy pierwszej i drugiej kategorii — młodzi, wielcy, zdrowi; cieśle, stolarze, tracze, budowniczy, technicy — wszyscy oni specjaliści w obróbce drewna. Łagier i zona robocza, którą nazywano fabryką, przytulone są do potężnej tajgi. W 0,13 robotnikom płacono, dlatego starali się wyciągnąć najwyższą normę; karmiono też lepiej, a oprócz tego więźniowie dokupują żywność z zarobionych pieniędzy. A my, inwalidzi, choćbyśmy i wyrobili wyznaczoną normę, to i tak dostaniemy swoją chudą i bardzo skąpą inwalidzką rację żywnościową — gdzie nam się równać z nimi? Można by było ich nazwać normalnymi ludźmi; tylko jakiś dziwny znak — świadectwo niewoli, przeświecał z ich oczu, zatruwał życie i przygniatał do ziemi. Nie widać w nich było junackiej brawury, dziarskości i młodzieńczej wesołości; nie słychać śpiewu, hałasu, śmiechu. Wyglądali jak zdrowe i mocne buhaje, zgięte w codziennym jarzmie; jeszcze nie zakosztowali życia i pełnej swobody, a już zaczynali się starzeć w pańszczyźnie bolszewickiej. Błatnych nie można dostrzec, a może się tu przyczaili, bo pomiędzy takimi mocnymi ludźmi i im nie byłoby wesoło. Łagier nazywa się

Wichrówka, leży na zboczu krągłej góry, tak że z jednej strony rozciąga się obszerny, wolny horyzont.

Długo stoimy w grupie na placu obozowym i nikt nie spieszy się nas przyjąć. Jesteśmy podobni do gromady nowych, dzikich zwierząt, przywiezionych na pokaz. Brakuje tylko, żeby się na nas rzucili i wypchnęli z powrotem za bramę. To dopiero byłoby widowisko! Ale nasi młodzi koledzy nie myślą o młodzieńczych żartach; mało u nich było człowieczego podobieństwa; każdy z nich jadł, spał i mieszkał wśród syberyjskich lasów, przypominając chodzące drzewa.

Wpisali mnie od razu do brygady remontowej. Czuję się w tym obcym, gęstym tłumie bardziej samotny niż Robinson na bezludnej wyspie. Każą mi przybijać listwy — obcinki pod wyprawę murarską ścian. Robota choć nie ciężka, ale jednostajna i nudna, jak nasza kasza bez żadnej okrasy; a brudna jak codzienne łagierne życie. Ale i do takiej prostej pracy potrzebna umiejętność i wdrożenie. To też tłukę młotkiem po palcach i spieszę się bez celu, męczę bez potrzeby, a i tak wyznaczonej normy nie mogę wyciągnąć. Wstyd mi wobec kolegów. Na moich pisarskich rękach zdziera się skóra, a u tych murarzy, zdunów, blacharzy, kowali, ślusarzy widzę na rękach skórę zgrubiałą, zrogowaciałą; odciski na dłoniach, stwardniałe jak podeszwy; nie zeźre ich ani wapno, ani sól, cement ni farba i ocet. Deski czy narzędzia nie kaleczą im rąk; a ja, czego się dotknę, to zaraz i krew. I boli to i wstyd. Muszę przy tym zawiązawać rany i przerywam pracę. O moje uszy obijają się wyzwiska, jakie mi dają: „niedojda", „tuman", „elegant". Pewnego razu odpowiadam złośliwie takiemu szydercy:

— Ja się twojego zawodu nauczę w parę dni, a ty mojego nie opanujesz i za piętnaście lat.

Aż usta otworzył ze zdziwienia i zamilkł. Bo i prawda, — oni tacy mądrale, że potrafią przybijać listwy, a ja taki . . .

No, wreszcie skończyły się stróżyny, a mnie przenieśli na lżejszą pracę. Samotnie okopuję kartofle. Znam tę pracę z młodych lat, więc chętnie się do niej zabieram. Pracuję na łonie natury, nikt mnie nie

pogania, nie przeszkadza. A tylko co przeszedł ożywczy deszczyk, pogoda ciepła, powietrze czyste, można oddychać pełnymi piersiami.

Ale żeby to było w ojczyźnie, a nie na Sybirze! Nie zapomnieliście chyba o malusieńkiej muszce, o maszkarze, a to drobne licho potrafi obrzydzić życie, kąsa, tnie i wsącza w ciało swój jad. Praca staje się piekłem. Chyba przyjdzie zapłakać, ale ja na to ciut ciut za stary.

A inwalidzi, którzy nie pracują, uśmiechają się przyjaźnie. Ci mają ręce wolne, mogą się od muszek opędzać, to też ich tak nie atakują na wolnej przestrzeni, zresztą mogą uciec do baraku, bo ona nie lezie do chałupy. Śmieją się ze mnie, bo nie rozumieją mego nieszczęścia. Mówią, że jestem bardzo nerwowy. Teraz gotówbym raczej nosić belki w 0,7, czy też mieszać murarską zaprawę. Dlaczego ja tam nie chciałem pracować? Doprawdy zgłupiałem. Niedola co minęła zdaje się mniejsza od obecnej.

Po kilku dniach przez łagier przelatuje okrzyk:

— Ko-o-o-mi-sówka! Biegiem do ambu-u-la-torium!

Pytam inwalidów:

— Skąd ta nieoczekiwana komisówka?

— Nic nie wiadomo. Coś bardzo ważnego nas spotka, bo lekarze skrupulatnie obsłuchują, opukują, przeglądają i przepytują. Inwalidzi muszą się spodziewać nowej biedy, bo nas tu przysłali za karę.

— Tak, tak. Myśmy się nigdy nie spodziewali zmiany na lepsze. Wchodzę na komisówkę z wielkim strachem; widzę, siedzą jak zwykle dwie kobiety — lekarze. Ale gdy tylko przestąpiłem próg, starsza spojrzała na mnie, od razu machnęła rękami i zawołała:

— Idźcie sobie, idźcie! Nie trzeba, nie trzeba...

Zdumiałem się ociągając z odejściem, wtedy ona powtarza:

— Idźcie, nie ma potrzeby!

Nie rozumiałem zupełnie, czy mam się cieszyć, czy smucić? Koledzy pytają:

— Co tak krótko? Co z tobą?

— Tak i tak — mówię — nic nie rozumiem, co się stało.

— Aleś ty głupi, czego się smucisz? Ona ciebie zwolniła z pracy.

— Przecież mnie nie badała, nawet do stołu nie dopuściła.

— To nic nie znaczy. Idź spać!

— Jeśli tak, to dziękować Bogu.

I już po obiedzie nie wróciłem do milutkich kartofli.

— Bądźcie zdrowe — powiedziałem im — a i wy zawzięci brygadziści z 0,7, i wy wszelkiego rodzaju muszki na całym świecie. Jestem inwalidą uwolnionym od pracy.

Ciężko jest ciągnąć saneczki pod górę, ale gdy się już tam znajdziesz, zapominasz o kłopotach i trudach, i lecisz z góry jak błyskawica. Taki moment wyrówna wszystko, byleby tylko nie wywrócić się. Oto i ja znalazłem się na samym szczycie inwalidzkiego szczęścia. Po jakichś trzech, czterech dniach wciągnięto mnie na listę nie pracujących. Teraz i ja mogę spacerować po łagrze, wolny w niewoli. Cieszę się i boję, po prostu nie mogę uwierzyć w to, co było już zapisane i ogłoszone. Jak to się stało? Jestem w położeniu człowieka, którego powiadomiono, że w czasie jego nieobecności spłonął mu dom z całym dobytkiem. A gdy w rozpaczy poszedł na pogorzelisko, ujrzał, że to spalił się dom sąsiada, a jego ocalał i cały dobytek jest nienaruszony. Nie może wierzyć swoim oczom, nie wie, czy pożar śnił mu się, czy teraz ogląda cud we śnie.

Zorganizowano nową brygadę inwalidów bez pracy. Dano nam osobny ciasny barak w samym kącie łagru. W brygadzie znaleźli się przeważnie wzięci do niewoli Japończycy, a brygadzistą został Baba-san. Trzyma się po generalsku, bo i naprawdę był japońskim generałem. Wygląd miał bardzo śmieszny — „krótki”, gruby i niezgrabny. Japończycy bardzo go poważali, bo miał jakieś wysokie wojenne odznaczenie oraz dużą wiedzę i rozum.

Inwalidami bez pracy nikt się teraz nie interesuje, jakby nas na świecie nie było. Wszystko trzeba było zdobywać przebojem, aby nie zginąć z głodu. Japończycy nie znali rosyjskiego, a Baba-san „źdźbłko". Nie wiemy na co czekamy. Wreszcie dowiadujemy się, że same władze nie mają pojęcia, na co my czekamy. Najśmieszniejsze było to, że my, „siedząc" już tyle czasu, nie poznaliśmy jeszcze ducha komunizmu, w którym nikt nie wie co go czeka. Inaczej rozwaliłaby się partia, i dyktatura. A gdyby kogo za bardzo wzięła ciekawość, żeby się dowiedzieć, szybko miałby do czynienia z kodeksem karnym, paragraf 58, punkt 6. Mówi on o szpiegostwie. Bez tajemnicy i pełnej izolacji komuna musiałaby zginąć.

Po jakimś czasie zjechała do nas nowa komisja i zaczęła spisywać, kto chce wyjechać, do kogo i gdzie? Kto może wziąć osobistą odpowiedzialność za inwalidę? I kto go przyjmie na utrzymanie? Ale ja nie miałem żadnego krewnego na Białorusi. Albo wymarli, albo poginęli w czasie wojny, lub w obozach niemieckich czy sowieckich. Paczki przysyłały mi moje dobrodziejki, przeważnie obce, stare kobiety, a ja nie wiedziałem, czy one same na siebie mogą zarobić. Z wielkimi więc wątpliwościami podałem parę adresów, aby nie marnować nadarzającej się okazji. Na to, żeby napisać, porozumieć się listownie, rozmówić czy wypytać kogo trzeba, nie mogłem dostać pozwolenia i nie było czasu, a do odsiedzenia w łagrach pozostało jeszcze dwadzieścia lat.

— Ratuj mnie, Boże, z domu niewoli!

Prawda, że gdy pojadę na Białoruś, będę wolny w kraju pozbawionym wolności, wyjdę z ciasnej klatki do przestronniejszej; ale byle tylko wyjść spod straży, to będzie już wielka łaska Boża.

A więc zapisałem się. Czekam co będzie. A nasz wielki łagier wydaje się teraz taki ciasny, że nie mogę znaleźć spokojnego kąta. Do tego głośnik radiowy ryczy i zgrzyta na cały obóz. Idę do biblioteki. Książek dużo, ślicznie oprawione, stoją pięknie, a czytać nie ma co. Najwięcej tytułów o wojnie i kołchozach (temat narzucony). Są one nieskończenie nudne. Żaden materiał do nauki, dla ciekawości lub

wypoczynku. Znajduję kilka książek z opisami przyrody. Ze starej literatury — Sołtykow, Dobrolubow i nic poważniejszego. Żadnej książki białoruskiej, ukraińskiej lub polskiej.

Wszyscy kandydaci na wolność stali się bardzo ostrożni, mówią po cichu, żeby się z czym nie wygadać. Stukaczy już się teraz nie spotyka, ale w Sowietach trzeba umieć nie tylko mówić, ale jeszcze bardziej milczeć. Jednakże po śmierci Stalina życie w łagrach stawało się bardziej naturalne. Nerwy się uspokoiły, a dozorcy przemawiali do nas po ludzku. Więźniowie snuli plany, jak się urządzą na wolności. Wiele bowiem zmieniło się i tam w domu, i tu w łagrach. Dzieci więźniów podorastały i poszły szukać własnego chleba; innym ktoś umarł, innego wywieźli na Sybir lub na dziewicze pola, albo do łagrów. Jeszcze innych łagierników wyrzekły się żony i wyszły powtórnie za mąż. Tych życie było zatrute i nie cieszyli się z wolności. Podobnie przeżywali ci, których czekał kołchoz; nie wyczuwało się, żeby ktoś chętnie się do niego wybierał.

Jednak wielka nadzieja w Bogu, bo gdy zmarł ten „wielki Niegodziwiec" powoli szło ku lepszemu. A Stalin zmarł w najlepszym momencie. Kończył się dziesięcioletni termin więźniom aresztowanym w latach 1945-1946. Gdyby Stalin żył, dostaliby oni nowy wyrok lub zsyłkę (swobodne osiedlenie). Dla mnie jego śmierć najbardziej potrzebna; gdyby nie umarł, to ja nie dożyłbym wolności — musiałbym dociągnąć swoje „25", a te kończyły mi się w 1974 r., a miałbym wtedy 84 lata.

OPIESZAŁA WOLNOŚĆ

Przed czasem kukułeczka kukała...

Mamy obiecaną wolność i jesteśmy na nią „zapisani", jednak rodzi się ona długo i w ciężkich mękach. Czasem matka dając życie dziecku płaci za nie swoim. Może i Malenkow za naszą wolność zapłacił swoją wolnością? W Wichrówce ogłoszono wszystkim, że każdy inwalida, który chce uzyskać wolność, musi najpierw przekroczyć dwa wysokie progi — „aktirowkę" i Sąd Ludowy. Później jednak okazało się, że taka procedura zajmie wiele lat. Zaczęto więc zwalniać bez owych „progów". Ale my musieliśmy jeszcze przeskakiwać przez te przeszkody.

Najpierw wysłali nas do szpitala nr 0,11 na „aktirowkę", aby stwierdzić naszą niezdolność do pracy. Wzięto tu nas na obserwację, potem przyszedł rentgen, analizy, lekarze specjaliści i Główna Komisja. Ja zostałem umieszczony w oddziale lekarza rezolutnego i wrzaskliwego. Wziął ode mnie analizy i pyta:

— Co ci dolega?

— Nic specjalnego, tylko ogólne wyczerpanie.

Jak nie wsiądzie za to na mnie (okazało się, że to był żyd);

— Co ty sobie myślisz? Nie potrafisz podać żadnej choroby. Po coś tu więc przyjechał? Nie dostaniesz zupełnie zwolnienia.

Przestraszyłem się i zamilkłem. Jednak nie umiem wymienić żadnej choroby. Wtedy on mnie po prostu przegnał i sam beze mnie coś nagryzmolił w protokole. Wypadam od niego jak oparzony. Biegnę do rentgena. Tam mnie prześwietlili i coś zapisali, ale i tu zerżnąłem się jak niedouczony student:

— Boli serce?
— Nie.
— A płuca bolą?
— Nie.
— Kaszlesz? Masz zadyszkę?
— Nie, nie.
— Ci nie pokrzykiwali, ale powiedzieli:
— Hm.

A potem długo chodziłem po zonie jak zbity.

— Co teraz zrobią ze mną? Żebym sam sobie nie zamknął drogi do wolności...

Moi roztropni koledzy pokazali lekarzom całą listę najcięższych chorób, wtedy moje szanse swobody jeszcze bardziej zleciały w dół i spadły do zera.

— Nie, nie potrafię żyć w dzisiejszym przebiegłym świecie, a ten krzykliwy lekarz napewno mnie nie przepuści.

Nazajutrz jest niedziela, ale komisja pracuje, bo ją mocno poganiano. Moja kolejka wypada po obiedzie, ale lekarz major, który był naczelnikiem szpitala i przewodniczącym komisji, nie przyszedł — był biedak pijany. Badają mnie bez niego; i teraz choć się nie boję, to jednak nie umiem dobrze przedstawić swoich chorób; ogarnął mnie jakiś dziwny paraliż rozumu i woli. I wstydzę się i lękam. Podobnie kiedyś potykałem się na egzaminach w szkole. Ale lekarka rozmawia ze mną spokojnie i wypytuje dokładnie, a sekretarka wpisuje wszystko do protokołu.

*

Wreszcie 8 września 1954 r., w dzień święta Narodzenia Matki Boskiej, w łagrze w Wichrówce wyznaczono Sąd Ludowy. Zasiedli: przewodniczący, dwóch asesorów, prokurator, sekretarz i lekarz — ekspert, czyli sąd „pokazowy" w pełnym składzie. Nim doszło do mnie, już kilku uwolniono, jednego zatrzymano, i jednemu przerwano rozprawę, bo go pochwycono na fałszerstwie. Wszyscy obecni aż głośno wzdychali słysząc jego niezręczne krętactwa.

— Po co on kłamie? Zamazał swoją sprawę, a i nam może zaszkodzić.

Od razu go aresztowali i gdzieś wywieźli. Wreszcie przyszła kolej i na mnie. Wiele przeżyłem w życiu, a ostatnio miałem za sobą rok więzienia i pięć lat łagrów, z tych „25" z łaski Moskwy. Czułem się wówczas jak zawieszony pomiędzy piekłem i niebem. Nie odczuwam strachu, ale dusi mnie jak gdyby ciężka zmora.

— Niech będzie co ma być. Będę mówił, co mi dane będzie mówić.

Sekretarz zespołu sędziowskiego czyta paragraf 58, na podstawie którego zostałem skazany. Punkty 4, 6, 10 i 11 — ciężkie oskarżenia, za które mógłbym być rozstrzelany, gdyby wtedy nie skasowano kary śmierci. Sekretarz czyta również zręcznie zredagowany wyrok moskiewskiej „Trojki" — „OSO" — zaocznego sądu. Ale teraz, mimo mojego dużego wyroku zdawało mi się, że cały skład sądowy patrzy na mnie przychylnie.

Potem lekarz ekspert czyta protokół Głównej Komisji ze szpitala nr 0,11, który przedstawiał stan mojego zdrowia. Słucham w zdumieniu. Okazało się bowiem, że doktór-krzykacz, co mnie tak nastraszył, obdarzył mnie tyloma przez siebie wykombinowanymi, nieznanymi mi chorobami, że powinienem się radować ze stanu zdrowia. Mam bowiem poważne wady serca, dystrofię trzeciego stopnia i jakąś inną bez numeru, za słabe ciśnienie, anemię i coś jeszcze, czego nie zrozumiałem. Sędziowie słuchają uważnie eksperta i przyglądają mi się ciekawie, prokurator spokojnie siedzi, nie mieszając się wcale, a sekretarz pilnuje tylko papierów. Publiczność — zdaje mi się —jest po mojej stronie. Wyczuwam już, że zwyciężę. Jeszcze przewodniczący stawia mi kilka pytań, odnośnie czterech punktów oskarżenia, ale prokurator nie zbija mnie, mogę więc mówić swobodnie, choć pełen bojaźni.

Wreszcie sędziowie chwilę się po cichu naradzili i przewodniczący zapytał prokuratora, czego się domaga. Ten wstał i krzyknął na całą salę:

— Z w o l n i ć!

Wtedy sąd wyszedł na naradę. Wszyscy oczekują wyniku z ciekawością, a ja z nadzieją na miłosierdzie

Boże. Wrócili wkrótce i sekretarz odczytał wyrok sądowy:

— Zwolnić z dalszej kary łagru.

Otrzymałem więc uroczyste ludowe rozgrzeszenie. Przy tym sąd nie orzekł, że zwalnia z powodu stanu zdrowia, nie! — po prostu postanowił „zwolnić". Wygląda to tak, jakby nie było rezolucji z 1949 r., a ja byłem skazany tylko administracyjnie. Zdawało się, jakby im wstyd było przyznać się, że mnie aresztowali i trzymali w więzieniu i łagrach bezprawnie. Wynika stąd, że według sowieckich praw powinni mi zapłacić za wszystkie lata przymusu i za utracone zdrowie. Odszkodowania się nie zrzekłem, i czekam na nie aż dotąd.

CZEKAJ!

Moja dola —
na końcu pola.

Jeszcze siedzimy w Wichrówce. Miejscowi więźniowie zazdroszczą nam z początku tak szybkiego uwolnienia, ale wkrótce przywykli do niego. Wreszcie zaczynają się naśmiewać z tej, jak ją nazywali „przyciętej" wolności. Bo, choć zostaliśmy zwolnieni, to jednak nadal siedzimy na miejscu i podlegamy staremu regulaminowi. Dawno już sąd zebrał swe manatki, zabrał papiery i wyjechał. Już i jesień przechodzi, syberyjska zima siada na kark, a my czekamy nadal.

— Kiedy nas stąd zabiorą?

— Wiem tyle co i ty.

Po długich jak zwykle ceremoniach wywożą nas z 0,13 i wyrzucają z pociągu na głuchym punkcie 0,5. Na co to nam było potrzebne? Tutaj czekamy znów sześć tygodni, nic nie robiąc, naprzykrzając się jedni drugim i nie wiedząc co z nami będzie.

Łagier leży na wyniosłości góry. Lato może tu być piękne i spokojne w całkowitym odosobnieniu, ale teraz, na początku zimy, miejsce to wydaje się nam taką pustynią, w jakiej tylko mogą żyć mnisi-pustelnicy, co pędzą czas na postach, modlitwie i specjalnej pracy. Ale my mamy tylko post i możemy się modlić, kto ile pragnie. Jesteśmy izolowani i strzeżeni według przepisów, przy pełnym aparacie władz, kancelarii, oraz przez zwykły zespół dozorców, konwojentów i psów. A nas inwalidów, nie było więcej niż 70 osób. Na parkanie palą się lampy, na strażnicach dyżuruje czterech konwojentów. Chyba i jeden

dozorca mógłby nas upilnować. Gdyby nam zagrożono, że cofną nam zwolnienie z łagru, nikt by się nie zbliżył nawet do bramy. Zresztą nie ma tu żadnej pokusy. Łagier leży w pustym polu — ani ludzi, ani lasu; mróz aż trzeszczy, wyją wichry, sypie śniegiem. Nie byliśmy już ani więźniami, ani łagiernikami, i gdyby nawet wyganiano nas, nie mamy gdzie iść, bo za bramą grozi nam zguba.

Na Syberii na ogół w zimie nie ma mocnych wichrów, ale na tej wyniosłości dniem i nocą wyje, świszcze i płacze przenikliwy wiatr. Marzniemy, ile wlezie. Łagier nie jest przygotowany do zimy, a zima wczesna i ostra.

Męczy mnie myśl i dziwi, że moi znajomi koledzy zapisywali się na wyjazd za granicę, ja tylko wybieram się na Białoruś. Dlaczego więc przyłączono mnie do grupy zagranicznej? Ludzie snują się jak cienie; wiadomości lub listów nie mamy znikąd. Każdy szuka miejsca, aby się zagrzać, a tu ze wszystkich kątów zieje pustka, ziąb i nuda... Żeby przynajmniej się z kimś pokłócić, ale i tej przyjemności nie można zdobyć, bo nikt nie ma ochoty.

Aż wreszcie, dzięki Bogu, etap.

Przywożą nas znów do Tajszetu, nr. 0,25, do tego samego łagra, w którym rozpoczęliśmy w roku 1949 naszą Kalwarię. Nie mogę go poznać. Zupełnie się zmienił. Dawne baraki, zrobione z chlewów i stajni, zastąpiono nowymi, „eleganckimi" budynkami. Są podobne do koszar, zbudowane planowo, wysokie i przestrzenne.

Nasze nary nie mają przegród, to też spaliśmy pokotem jeden obok drugiego, bez sienników i pościeli. Ścisnęli się inwalidzi zebrani z różnych łagrów ANGAR-łagu. Na szczęście opału nie brak, marzniemy więc w samą miarę. Ciągną mnie do siebie różni nieznajomi, tak że nie mogłem się połapać, kto z nich lepszy, aż znalazłem się na górnych narach w grupie żywych i obrotnych ludzi, którzy mówią bardzo dużo i szybko; jak się okazuje to Polacy. Słucham ich ciekawie; mieli dużo wiadomości z łagrów sowieckich, z Polski i z całego świata. Mam tu okazję do porównania

charakteru polskiego z innymi, i widzę, jak bardzo różnią się Polacy od nas. Wydaje się, że białoruski charakter bardziej zbliżony do słowackiego, a nawet chorwackiego, niż do polskiego. Moi towarzysze zasypali mnie pytaniami, ale gdy odpowiadam zaraz mi przerywają i mówią sami. Mają oryginalne i śmiałe myśli i wypowiedzi, ale nie dopowiadają ich do końca; zbijają jedni drugich, zapominają o czym mówili, i wreszcie tworzy się chaos i hałas. Rozpraszają moją nudę i z łatwością stają się mymi przyjaciółmi, ale ja, nie mając żadnego planu, odrywam się od nich, chętnie przystając na pogwarki z innymi.

W Tajszecie dowiaduję się, że władze sowieckie mają zamiar wysłać mnie do Polski, a nie na Białoruś. Dlaczego do Polski? Formalnie jestem obywatelem polskim, bo mam paszport polski. Ale faktycznie urodziłem się na Wileńszczyźnie, na terytorium obecnej sowieckiej Białorusi. Z rozmów okazuje się, że jest w obozie wielu Ukraińców i Żydów, którzy też wyjeżdżają do Polski. Zastanawiam się, czy mam protestować? Bo nie to jest ważne, gdzie znajdę lepsze warunki życia, lecz to, czego wymaga większa chwała Boża. Koledzy informują mnie, że na Białorusi jest nie tylko ostre prześladowanie wiary, ale że księży nie dopuszczają do posług duchownych.

W Tajszecie zebrała się masa ludzi. Choć łagier jest wielki, to jednak ciasnota jeszcze większa. Narodowościowo obóz przedstawia wielką pstrokaciznę — od Japończyków i Koreańczyków do Niemców i Jugosłowian. Nikt tu nie szuka kłótni, lecz i nie dochodzi do zżycia się, tak jedni drugim dojedli. Każdy tylko pragnie, aby jak najszybciej rozjechać się. Choć od dawna sądownie przyznano nam wolność, to wciąż na nowo odbywają się spisy, ankiety, dokumentacje itd. A jednak Tajszet wisi nam nad głową. Tylko trzech ludzi z naszego baraku, jakby zmówiwszy się, w jednym czasie wyrwali się na wolność bez pozwolenia i dokumentów — Japończyk, Polak i Żyd — po prostu wzięli i umarli! Reszta nas wlecze nadal swoją niedolę.

Potem dowiaduję się, że po uzyskaniu wolności niektórych białoruskich księży nigdzie nie chcą mel-

dować, a nie meldowanych przepędzają z miejsca na miejsce. To znaczy, że muszą się tułać, jak żyd wieczny tułacz. Muszę więc chwycić za pierwszy najbliższy brzeg, tylko nie za swój.

Nareszcie do naszego łagra zagląda słońce wolności. Pierwszych wywołują Japończyków. Nie na darmo mają oni na sztandarze czerwone słońce w białym polu. Znikają po cichu, zabierani małymi grupami. Potem idą Koreańczycy. Było ich koło trzydziestki, samych młodych, energicznych ludzi. Na pożegnanie (nie z nami, ale z sobą) wyprawili szumną kolację z przemówieniami, pieśniami, i zażyłą, towarzyską rozmową. Mamy możność widzieć między nimi nadspodziewaną przyjaźń i serdeczność. Na swój bal przynieśli tylko łagierną, mizerną kolację oraz parę baniek marmolady; za to ich mowy były gorące, aż im skośne oczy błyszczały, a zręce żywo gestykulowały i coraz wybuchał dźwięczny śmiech, dziecięco radosny — taki, jakim tylko potrafią się śmiać wschodnie narody. Jeden przemawia, a wszyscy słuchają uważnie, potakują, kiwają głowami, albo też przeciwnie — sprzeczają się, aż się złoszczą. Ale w końcu gubi się wszystko w kaskadach rozkosznego, gromkiego śmiechu. Było nam białym wstyd, że nie umiemy tak się wspólnie cieszyć, serdecznie i po bratersku żyć, i tak kulturalnie żegnać, jak żółci azjaci.

Na koniec w Tajszecie pozostała tylko stara Europa, która umiała odbierać wolność, i choć o tę wolność walczyła w czasie dwóch światowych wojen, to jednak wolności dawać nie chciała.

Jak czasem stary zegar długo brzęczy, skrzypi, stęka, zanim nie wybije dwunastej, i nasz wreszcie wybił:

— Etap, etap!

Wychodzi wielki etap: Rumuni, Niemcy, Słowacy, Węgrzy, Bułgarzy, Polacy, Żydzi. Dołączono do nich kilku Ukraińców i jednego Białorusina. Na miejscu pozostają tylko Jugosłowianie.

Żegnam Tajszet bez najmniejszego żalu, bo to najnudniejszy łagier w całym Sybirze. Zbudowany między błotami, ogrodzony wysokimi słupami, tworzy

w ten sposób wielką klatkę dla „ludzkich zwierząt”, którymi byli najlepsi w Sowietach ludzie. Władze mało zajmowały się tego rodzaju więźniami, bo nie pędzono ich do roboty, a więc tacy tylko obciążali kancelarię. Dozorcy i konwojenci jednak starannie ich pilnowali i dokładnie przeliczali. Była tu jedna dodatnia strona, że zabrali od nas kryminalnych i błatnych. Menu obozowe wiecznie to samo, jedynie po śmierci Stalina nie brak chleba. Ale ustawiczna owsianka, lub kasza jęczmienna tak już nam obrzydła, że nie możemy patrzeć w miski. Trzeba się zmuszać do jedzenia, aby przed uzyskaniem wolności nie umrzeć.

Do wszystkich naszych utrapień dochodzi jeszcze jedno. Spotykamy w Tajszecie znajomego z 0,7, naczelnika „kultury” — Tancurę. Już tam, jako główny „wychowawca” łagru, w roku 1953 ośmieszył siebie na zawsze, kiedy zagroził ostro inwalidom:

— U kogo znajdziemy książki do nabożeństwa, obrazki religijne albo coś w tym rodzaju, niech potem narzeka sam na siebie. Tancura wtedy zaostrzył kurs antyreligijny, aby zniszczyć wszelkie przejawy wiary. Wybrał się ze swym oświadczeniem w najgorszy czas, gdyż po śmierci Stalina osłabło prześladowanie religii. Tancura dostał wyższe stanowisko i spotkaliśmy go w Tajszecie. Tutaj największą jego zasługą było to, że milczał. Przechodzi przez łagier bardzo się spiesząc, nie patrzy na nikogo, jakby co skradł. Odkąd go pamiętam, zawsze go widzę nadętego. W życiu nie widziałem bardziej od niego nudnego ateusza.

Jak niewierzący i bezbożnicy mogą się cieszyć i żyć beztrosko, gdy sobie uroili, że mkną w mrok i nicość? Ciało stanie się mierzwą, a dusza się rozwieje, jak mgła nad topielą lub fabryczny dym. Jak może do tego stopnia zawładnąć rozumnym człowiekiem niedowiarstwo, żeby się chwalił publicznie, że po śmierci będzie śmieciem, a dusza kompletnym zerem? I te wypociny nazywają nauką. Twierdzą bowiem:

— Natura ma swe siły. Są prawa przyrody. Natura ma swój cel. Natura zrodziła i rozwija życie na ziemi.

Pomyślcie jednak, wy, ludzie obdarzeni rozumem! Natura sama nie ożywiona i nierozumna, skąd może mieć „siły", albo „prawa" czy „cel"? I jak mogła stworzyć życie, kiedy sama od wieków martwa? Nauka ma obowiązek badać i zastanawiać się nad przejawami i prawami przyrody, ale zagadnienie początku istnienia i celu życia trzeba pozostawić religii, bo inaczej dochodzi się do absurdu. Tylko religia może nam dać odpowiedź na wszystkie niezaspokojone pytania o naszym istnieniu, bo religia ukazuje nam Twórcę nieba i ziemi, który jest wiecznie mądry i wszechmocny. Jedynie więc rozumną rzeczą jest pracować dla Boga, zbawienia duszy i dobra ludzkości. Ale żyć i trudzić się jak ateiści dla szczęścia człowieka, który jutro stanie się gnojem i wiecznym zerem, to straszny absurd. Lepiej już szybciej umrzeć. Materialistyczna filozofia, jak możemy to widzieć na własne oczy, w praktyce prowadzi do głodu i rozpaczy (Chiny).

Nikt nam nie mówił, że jedziemy na wolność. Jednak sami domyślamy się tego, widząc że skierowali nas na zachód, na Wielką Transsyberyjską Magistralę, że gonimy słońce, i że przybywa dnia. A więc — do Europy! I rosła nasza nadzieja w miarę, jak oddalamy się od nieszczęsnego Tajszetu, który wypił tyle naszych łez.

— Daj, Boże, w dobry czas!

NA ZACHÓD

Nie zginął ten,
co złożył los w ręce Boga.

Muszę przyznać, że tym razem podróż się udała. Nie można jej nawet porównać do dawniejszych, bo wszystko się zmieniło na lepsze. Przede wszystkim wypuszczano nas z pod klucza co sześć, a nie co dwanaście godzin. Kto więc nie dorwał się do śledzia, a poprzestał tylko na chlebie i wodzie, mógł od biedy jakoś wytrzymać. Wodę dostajemy częściej, chłodną zamiast wrzątku, który nam się należał według przepisów. W przedziałach stłoczono wielu ludzi, ale można choć z trudem leżeć, prawda, że na gołych deskach i bez pościeli. Błatnych tu nie ma, mamy spokój, tym bardziej, że już nam nie wymyślano. W większych miastach wychodzimy na „odpoczynek". Gnano nas wtedy do więzienia. Tak było w Krasnojarsku, Omsku, Nowosybirsku, Świerdłowsku i w Moskwie. Gdyby w wagonie była większa swoboda i wygoda, lepsze jedzenie i pościel, można by omijać miejsca odpoczynku, obejść się bez konwoju i skrócić podróż o jakie trzy czy cztery tygodnie.

Nie ma co mówić o każdym postoju. Więzienia wszędzie przepełnione. Wszędzie spędzamy cztery do pięciu dni na gołych deskach w ubraniu, przy czym więcej się męczymy niż wypoczywamy. Wypełniano też dokładnie wszystkie punkty programu, a więc: liczenie, rewizja, łaźnia, rozmieszczanie i posiłek. Rewizje są bardzo dokładne. W Omsku zabrano mi igłę, bo przydała się rewidującemu. Przy następnej rewizji straciłem stare pióro, a w Świerdłowsku kontroler wygrzebał kawałek starej żyletki; zasłużyłem

więc na karę. Jednak dobry ten człowiek nie ukarał mnie, tylko wyrównał krzywdę wyrządzoną przepisom tak kwiecistym przemówieniem i tak ślicznie mnie zawstydził, że miałem twarz w płomieniach.. nie za siebie — za niego, że taki tępak. Nasiąkli bowiem przekonaniem, że więzień, choć już jest wolny, powinien jechać jak niewolnik, że nikt im tego nie wyperswaduje.

W Omsku transport podzielono na dwie grupy. Rumuni i Bułgarzy jadą na Czelabińsk, a resztę — skierowano trasą przez Ural do Moskwy na Świerdłowsk. W naszym przedziale jest tak przestronnie, że aż nie było ciasno. Dziwnie teraz ułożyło się sąsiedztwo — Niemiec leżał obok Żyda, Polak przy Ukraińcu, Słowak razem z Węgrem. Samochcąc tworzy się ścisła „przyjaźń między narodami".

Tylko jeden Słowak, Kliment X. psuje całą naszą harmonię. Jest to nieznośne stworzenie. Powierzchowność ma sympatyczną: młody, gładki jak malowana lalka, nie może usiedzieć na jednym miejscu, do tego straszliwa papla. Ale był on kaleką moralnym, choć podawał się za praktykującego katolika. Jak mógł pogodzić wiarę i modlitwę z rozpustą i parszywym językiem — nie mogę zrozumieć? Całymi dniami bajdurzy o swoich przygodach, mówiąc ze wszystkimi detalami, pełen cynizmu i zwierzęcego zadowolenia. Nie zważa na to, że go wielu nie chce słuchać i ma wstręt dla jego przechwałek. I gdy zdawało się, że już skończył, on zręcznie podłazi do innych, po cichu rozpoczyna swoje opowieści — aż się zapala na nowo, rży jak koń i tak bez końca. Wymyślano mu, ale on się niczego nie wstydzi. Chybaby i sam czort nie potrafił lepiej zwodzić ludzi, jak ten bezwstydny fagas.

Próbuję przemówić mu do sumienia, wtedy słucha uważnie i — zdawało się, — że bierze do serca każde słowo. Wkrótce jednak słyszę, jak zręcznie moje napomnienia zmienia w sprośne kawały. I nie mogę powiedzieć, żeby chciał mnie drażnić, czy robić na złość. Nie! Klement miał zdrowy rozsądek i był na swój sposób uczciwy, ale tak się zżył ze swoją roz-

pustą, że pił ją jak wodę i oddychał nią jak powietrzem.

Trzebaż takiego wstydu, żeby z sympatycznego i od wieków katolickiego narodu słowackiego wyszło to wstrętne pokractwo. Nie widziałem podobnego nawet pomiędzy chuliganerią. I po co Bóg utrzymuje podobne zielsko? Bóg dopuszcza pokusy, bo one doświadczają i hartują naszą cnotę. Pokusa jak gimnastyka czy sport wzmacnia naszą wolę i przez to zdobywamy zasługi na niebo. Jednak nieszczęsny człowiek-zwierzę sam się pakuje do piekła.

Na nieszczęście pokusy wiodą człowieka do grzechu. Wtedy trzeba pokutować, uniżać przed Bogiem i modlić się. Grzech i pokuta ćwiczą nas i dają praktykę życiową; uczą żeby człowiek za dużo nie ufał sobie, ale wierzył i opierał się na Bogu. Pan Bóg w odwiecznej swej mądrości nie na darmo dopuszcza pokusy, a nawet i grzechy, podobnie jak rodzice dozwalają, aby dziecko upadło i zakrwawiło nosek, a w ten sposób nauczyło się mocno stać i szybko biegać. Tak i ten szałaput Słowak, co chętnie, a na własną zgubę, zastępował setkę czartów, miał w Bożym planie swoje nieszczęsne miejsce jak Judasz. Trzeba się modlić za gorszycieli, ale i wystrzegać się ich jak zarazy.

Nocą przejeżdżamy przez pasmo Uralu, nie zauważając granicy między Azją i Europą, i wreszcie dobijamy do Moskwy. Ponieważ w Moskwie znajduje się władza Sowieckiego Sojuzu, która na sądzie w Wichrówce obwieściła nam: „dać wolność", spodziewamy się, że tu dostaniemy ją bez żadnego oszustwa, a w każdym razie, że spotka nas jakaś nowość i to na pewno bardzo przyjemna.

Gwarzymy więc i cieszymy się. Bierze nas ciekawość popatrzeć na słynną Moskwę, ale z naszej strony okna w pociągu zabite deskami, a z kącików przez korytarz patrzymy na ukos i Moskwa tylko nam miga. Widać, że pokrywa ją gruba warstwa śniegu; domy przypominają nasze miasteczka, jak Lida lub Oszmiana. Ale to nic. Zaraz wyjdziemy z pociągu i zobaczymy centrum stolicy.

Wychodzimy z pociągu i...widzimy, ale nie możemy uwierzyć oczom. W Moskwie okrąża nas stołeczny konwój z nastawionymi ostrymi bagnetami i wobec tłumu ludzi prowadzi w takiej sowieckiej procesji do znajomego gawrona (worona).

W ten sposób jedziemy w Moskwie na „wolność" — do więzienia na Krasnej Preśni. Przechodnie przyglądają się nam z wielkim zdziwieniem, myślą pewnie, że to zbrodniarze większego kalibru. Po długiej, ciężkiej podróży ledwie powłóczymy nogami, za to konwojenci — to młodzi, zdrowi i po zęby uzbrojeni ludzie.

Spodziewaliśmy się, że matuszka — Moskwa pokaże się nam, obcokrajowcom, w całej krasie, ale zamknięci w moskiewski woron, — który był podobnie jak na Sybirze z blachy, bez okien, z maleńkim „judaszem" w drzwiach, zasłoniętym plecami konwojenta, — nie możemy widzieć ani sami siebie, ani przyjaciel przyjaciela.

Możemy za to szybko porównać więzienie moskiewskie z sybirskim i stwierdzić, że w niczym tamtym nie ustępuje. Co innego więzienie na Łubiance. Bo tam — jak mnie poinformował znajomy ksiądz — jest część na pokaz. Tam lokaje na pokaz podają cztery razy dziennie jedzenie na pokaz. Roznoszą je w rękawiczkach. Takie więzienie, jak i pokazowe kołchozy i fabryki, służą dla gości z zagranicy. Po zwiedzeniu bezkrytyczni turyści porównują je do amerykańskich. A na Krasnej Preśni wielki urodzaj ludzki. Rozchodzi się różnojęzyczny hałas jak przy wieży Babel. Ściśnięty w wielkiej sali tłum przyjął nas bardzo życzliwie, a nawet i błatni, którzy się gnietli w swym kącie i zagłuszali politycznych. Błatni wdrażają nas w moskiewski porządek: „niczego się nie bójcie, niczego się nie wstydźcie, wszystkiego się domagajcie, choćby na siłę". Potrafią oni sprytnie przymocowywać do patyczków żyletki i golić jeden drugiego. Nas, sybiraków, dziwi bardzo ta nowość, bo na Sybirze za żyletkę groził mocny karcer, a tu moskiewski dozór patrzył przez palce.

My też golimy szczecinę i nadstawiamy uszu na moskiewskie nowinki. Na ogół tutejsi błatni są bar-

dziej podobni do ludzi. Nie słychać takich plugawych słów i bluźnierstw jak na Syberii. Przy tym nikogo z nas nie okradziono, co tam byłoby wielkim dziwem gdyby u nas było coś do skradzenia. Muszę więc na koniec powiedzieć, że moskiewscy błatni tworzą najbardziej kulturalną grupę chuliganów w całym Sowieckim Związku.

W Moskwie spotykamy się z nowymi, młodymi więźniami, z których z czasem wyrośnie charakterystyczna kategoria, lub banda sowieckiego chuligaństwa. Nie boją się oni więzienia, owszem, uważają je za swój zwykły dom. Wygodną okolicznością jest dla nich to, że po śmierci Stalina władze złagodziły warunki i zmniejszyły wyroki. Złodziejaszkowie owi chętnie przyjmują dwa do trzech lat kary więzienia i uważają je za śmiesznie krótki przypadek. Wychodzą na wolność jak na paromiesięczny odpoczynek, i wiedzą dobrze, że wrócą do więzienia jak do ojcowskiej chaty. Pomiędzy młodymi chuliganami i starą milicją sowiecką utrzymuje się bez przerwy współzawodnictwo, w którym dochodzą do bardzo wysokich wyników sprytu i zręczności, o jakich nie śniło się ani amerykańskim gangsterom, ani policji. Sposoby kradzieży doszły do takiej perfekcji, że milicja sowiecka jest wobec nich bezradna.

NA POŁUDNIE... POĆMA NR 1

Naucz się tylko skakać,
bo pracy bieda cię nauczy.

Zamiast na zachód, Moskwa pędzi nas na południe. Dziwimy się temu coraz bardziej i znów strach zagląda w oczy. Gdzież oni nas wloką? Przejeżdżamy Riazań, a potem nasz pociąg zaczyna zawracać ku wschodowi. Nikt z nas nie umie powiedzieć, dokąd nas wpakują. Czy to komedia, czy tragedia? Spotykałem na Sybirze Polaków, których dwa czy trzy razy wozili na polską granicę, innych znów nad morze Kaspijskie, żeby przez Iran wypuścić na wolność, a stamtąd — nie wiadomo dlaczego — zawracali na Sybir i znów pakowali do łagru.

Wreszcie nas zatrzymano, aby wysłać do grupy łagrów Sarańsk — Poćma w Mordowskiej ASRR. Skierowali nas do Poćmy Nr 1. Od razu nam się tu nie poszczęściło. Zima nie chce odejść, a wiosna nie spieszy się z przyjściem. Pogoda podobna do południowych jesieni. Pada deszcz, a przed nami parę kilometrów zabłoconej wioskowej drogi. Dobrze, że teren piaszczysty, a błota, kałuże i wykroty możemy ominąć, obejść lub przeskoczyć. Teraz już nas nie ustawiano piątkami i każdy szedł jak mu było wygodniej. I już nie straszą, że będą strzelać. Prowadzą nas jak zwykłych więźniów, a straż idzie z przodu i z tyłu. Ale z bagażem jest dużo kłopotu. Już mamy wychodzić.

— Poczekajcie! Przyjedzie ciężarówka.

Czekamy, oglądamy się. Jakoś długo jej nie ma.

— Pójdziemy! Ciężarówka nie przyjdzie.

Zarzucamy worki na plecy, węzełki tak samo, a kuferki do rąk, jak kto mógł, i wleczemy się. Deszcz pada, prawda, niewielki.

— Stój! Przynieście tu rzeczy. Złożymy je na stacji. Składajcie je w kącie. Ciężarówka przywiezie je potem.

Dobrze. Składamy rzeczy w kącie, a sami idziemy. Przeskakujemy zręcznie kałuże, żwawo i spiesznie dążymy do łagra, bo i wieczór nadchodzi, a my wygłodniali i przemoczeni. Dochodzimy do miejsca i już mamy zamiar odpocząć, gdy tymczasem:

— Do szeregu! wracamy po rzeczy, bo ciężarówka nie przyjdzie.

Zupełnie nie chce się iść, ale pada komenda. Teraz już jedni obchodzą kałuże, a inni nie. Jesteśmy strasznie zmordowani, gdy z workami, kuferkami, koszykami wędrujemy bez żadnego porządku przez kałuże i błoto. Jest już ciemno i ciągnie ziąbem, a potem gorąco i niesamowicie ciężko. Spełniła się wtedy groźba: „Biada wam, bogaczom". Bo niektórzy ciągnęli z Sybiru wiele śmiecia, a pozostawili tam swoje siły. Tym razem ja mogę się bardzo cieszyć, że byłem dostatecznie biedny.

Życie w Poćmie, jak zresztą sama nazwa wskazuje, jest ciemne, bez żadnego przejaśnienia. Rygor troszkę mniejszy, ale straż nadal czujnie strzeże. Mamy tu sporo wygody, ale i nie mało ucisku. W Poćmie już nas nie ganiają, odzywają się jak do ludzi, i nieraz zwracają się przez „wy", zamiast sybirskiego „ty". Nie krzyczą na nas „Ej, ty chamie" itd. Chleba wystarcza, ale jest taki sam jak na Sybirze — czarny, ciężki, nieprzyjemny w smaku i niezdrowy. Porcję szarego, sitkowego, wydają tylko na receptę lekarską. Choć jedzenie lepsze, ale daleko mu do normalnego. Inwalidzi narzekają i chorują nie z braku pokarmów, ale z ich jakości i jednostajności — wiecznie krupy, brak zieleniny, cukru, tłuszczów i mlecznych produktów. Kto nie chciał wstawać i iść do jadalni, nikt go nie pędzi. Tylko kuchnia nie wydaje spóźnionym posiłków. Ale jakoś dziwnie niema kandydatów na przespanie pory jedzenia.

Na salach pełno ćmiących papierosy, i w dzień, i w noc.. Na dziesięciu palaczy przypada jeden niepalący, a i ten żałuje, że się nie wciągnął za młodu do palenia, bo dym nie pozwala wytrzymać w baraku nawet jednej godziny, a trzeba siedzieć 24. Chcemy uciec na dwór, ale marna wiosenna pogoda i liche ubranie zmuszają do powrotu. I dodatkowa przyjemność — głośnik radiowy, włączony od szóstej rano do dwunastej w nocy. Bez przerwy grzmi muzyka, śpiew, gimnastyka, a najwięcej lekcji i propagandy, których nikt nie słucha. Ale „sala" wyłączyć głośnika nie dawała, bo wszyscy płacili za niego po rublu miesięcznie. Moje nerwy już nie wytrzymują zgrzytania i ryku radiowego w połączeniu z hałasem sali, a ucieç nie można, bo znów zima. Za to są gazety. Zdarzają się nawet polskie. Chwytam, czytam i ... oddaję innemu, bo i Warszawa w ślad za Moskwą naszpikowana propagandą.

Dlaczego to tylko Niemcy dostają bogate paczki z Czerwonego Krzyża? Reszta inwalidów przygląda im i z przykrością milczy. A oni dostawali konserwy, cukier, miód (!), marmoladę i inne produkty. Możemy od nich swobodnie kupować.

— Wiesz? Niemcy sprzedają miód.

Od tak dawna nie widzieliśmy miodu. Biegniemy. Ażeby trafić im lepiej do serca, pytamy po niemiecku. Słyszymy stale tę samą odpowiedź.

— Mieliśmy, nie mamy. Sprzedany.

Aż w jednym miejscu był. Miód naturalny, słodki, tylko cena „słona". Odważyłem się jakoś i kupiłem. Ale miód szybko „wziął" i rozszedł się, a potem życie jeszcze bardziej zgorzkniało.

Kramik w Poćmie przyjeżdżał częściej jak na Sybirze i odznaczał się większą rozmaitością. Wykładano dużo towaru, byle tylko starczyło kopiejek. Zegarki praktyczne, piękne, niedrogie, i zapewniano, że się nie psują. Scyzoryki, żyletki, brzytwy. Na Sybirze nie wolno było mieć zegarków, a za scyzoryk czy żyletkę — ciężka kara. A tu — zupełna swoboda!

Były i walizki, teczki, przybory do palenia i mnóstwo papierosów. Zawalone stoły kiełbasą, ale gdy się zbiegł tłum w mig ją rozchwytano i połowa odchodziła z pustymi rękami. A i ci, co kupili, też niezbyt zadowoleni, bo przez kilka dni kiełbasę zjedli, a pieniądze rozeszły się. Ja kupuję jakiś roślinny tłuszcz (niech go wilk pożre!). Bardzo był reklamowany i długo u mnie leży, bo wstręt bierze przy jedzeniu, a szkoda wyrzucić. Na cukier czekamy wiele tygodni, bo go w kramiku nie było. Aż zapytałem o to samego naczelnika, gdy przechodzi obok, elegancko ubrany w wojskowy mundur.

— Przepraszam, czy będzie kiedy w kramie cukier? Już tyle czasu czekamy.

— Ja nie mam cukru dla dzieci, a wy tu jeszcze...

Wlazłem mu na odcisk. nawet na myśl mi nie przyszło, żeby pod Moskwą i to takiemu naczelnikowi mogło się coś podobnego przytrafić w roku 1955.

Szykujemy się do wolności. Od nudy bronimy się grą w szachy lub nawet w karty, których już nam nie zabraniano. Udało mi się wtedy zaprzyjaźnić z dwoma miłymi ludźmi, Bułgarem i Serbem. Podobni do siebie jak bliźnięta, co prawda nie z twarzy, ale z charakteru; gaduły i bardzo weseli ludzie. Szczerzy jak czyste złoto i zaprzyjaźnieni jak rodzeni bracia; ale szybko widzę, że Bułgar bardzo ciemny, a Serb bardzo jasny. Okazuje się, że ich narodowości są podrabiane, bo Bułgar jest Ormianinem, a Serb Rosjaninem. Kiedyś emigrowali oni, jeden do Bułgarii, a drugi do Serbii, i mieli obywatelstwo tych krajów. Obydwaj to inteligenci, wierzący, obyci w świecie, i — jak większość więźniów — posadzeni bez żadnej winy. Przyjemnie porozmawiać z ludźmi, którzy mają co mówić, potrafią mówić i lubią słuchać. Dla mnie rozmowa z nimi była tym ciekawsza, że interesowali się tematami religijnymi. Biegam do nich po po kilka razy na dzień i mam wypoczynek dla schorowanych nerwów. Zobowiązali mnie do utrzymania z nimi kontaktu i na wolności, podali mi adresy, abym do nich pisał. Rad jestem z tego. Obiecałem, pamiętałem, i ani razu nie napisałem, bo dowie-

działem się, że i w tych krajach wolność ograniczona i krucho tam ze swobodą. Po co więc narażać na przykrości swych przyjaciół?

Najmilej w Pocmie wypadają święta Bożego Narodzenia 1954/55 r. Łagierne władze nie forsowały ateistycznego programu i nie zabraniały świętować jak kto chciał, z wyjątkiem publicznych nabożeństw. Wigilię urządzano w grupach narodowych. Najładniej urządzili ją greko-katolicy ukraińscy. Rej tam wodził młody ksiądz I.R. Ukraińców było dużo. Podzielili między siebie role. Jedni przygotowują wilię, inni przepisują kolędy i szykują chór. Za Ukraińcami poszli inni. Nawet i obojętni religijnie oraz ateusze dają się wciągnąć w nastrój świąteczny. Sami co prawda nie urządzali dla siebie nic specjalnego, ale z uznaniem patrzą na wierzących, a potem dołączają się do swoich ziomków i szczerze im pomagają, zwłaszcza przy stole.

Nadchodzi wilia. W naszym baraku w pierwszej kolejce zasiadają do stołu Ukraińcy. Zaprosili i mnie do siebie. Ich wieczerza jest braterskim spotkaniem w niewoli, w pełni religijna, w miarę patriotyczna, a nawet niezupełnie biedna. W rozmowach wzajemnych, w przemówieniach przebija tęsknota do rodziny, domu i wolności. Życzenia są stosowne do dnia:

— Oby to już była ostatnia wigilia w niewoli! Niech Bóg szybko doprowadzi do domów.

— Szczęśliwego powrotu do swoich.

— Daj Boże wolność ojczyźnie!

— Daj Boże, daj Boże!

Popłynęły rzewne kolędy. Łączy się w nich dziwnie radość ze smutkiem, ziemia z niebem, Wszechmocny Bóg jako Dzieciątko, promienna gwiazda wśród ciemności nocy, anielskie pieśni z okrucieństwem Heroda, święte kolędy w biednej stajni..... Wszystko to stwarza świąteczny nastrój, a czasem i łzy w oczach. Pieśni ukraińskie nie mają konkurencji. Piękne głosy, zaprawione w śpiewie zarówno w kościele, jak i w domu, w polu czy na weseliskach, i to tak solowe, jak w zespołach. Ich śpiew pociąga i zachwyca, podbija i uspakaja.

I ZNÓW MOSKWA

Wybierasz się w drogę,
polecaj się Bogu.

Czekaliśmy osiem miesięcy, — ale już teraz jedziemy naprawdę na wolność! Jest wczesna wiosna, ziemia dopiero co rozmarza, śniegu już nie ma, ale i życia na ziemi nie widać. Przychodzi na myśl ten czas, „*kiedy ziemia była pusta i próżna. I rzekł Bóg: niechaj ziemia zrodzi ziele zielone, które daje nasienie. I stało się tak*". (Ks. Rodz. 1, 10-11).

A teraz każdej wiosny staje się tak, że ziemia rodzi zioła i drzewa „*według rodzaju* swego". „*I ujrzał Bóg, że wszystko było dobre*". A źli, ślepi ludzie, nie mogą tego dojrzeć i mają zamiar nasz dobry, piękny świat zniszczyć, i już trzymają w rękach płonące żagwie — atomowe.... Może nagle zniknąć wszelkie życie na ziemi i zostanie Wielkie Wszechświatowe Popielisko. Komu to potrzebne?

Kierujemy się na północ, jedziemy do Moskwy. Wszędzie budzi się wiosna, ale też wszędzie gołe, czarne pola; to wstrętna zima mrozem i wiatrami tak się zabawiała, niszcząc na ziemi życie. Jednak wróg to bardzo ostrożny, choć rojuszony — zima tylko przydusza, ale nie zabija życia, zachowuje i otula lodem i śniegiem biedną ziemię, mrozem oczyszcza powietrze, a wreszcie gdy nastaje wiosna, zapłakawszy, pełna pokory ustępuje, bo nadszedł czas...

Do Moskwy dowozi nas i dobrze strzeże zwykły konwój wojskowy. Jesteśmy do niego tak przyzwyczajeni, jak konie do swych panów. I nagle czujemy

się strasznie osamotnieni, gdy konwój odchodzi od nas i nikomu nas nie przekazuje. Oglądamy się jak człowiek ograbiony, którego bandyci rozebrali i porzucili gołego na ulicy. Ale nagle zjawia się jakiś cywil i, nie mówiąc kim jest, obejmuje energicznie nad nami komendę, a my wdrożeni do jarzma, chętnie poddajemy się jego rozkazom. Nikt go nam nie przedstawił i on się nie wylegitymował żadnymi dokumentami, ale gdy uchwycił w ręce cugle i bat, idziemy posłuszni jak koń bruzdą przy orce. W wolnym świecie tak jak on mógł się zachować tylko żulik, ale w Związku Sowieckim wiemy, że to urzędowa osoba. Jest to człowiek delikatny, ale stanowczy. Oprócz niego wokół nas krążyły w pewnej odległości jeszcze jakieś anonimowe postacie. Spojrzeć na takiego, udaje, że nie widzi.

Moskwa. Z pociągu wprowadzono nas do pasażerskiego pustego autobusu, w którym nie ma krat, a okna nie zasłonięte. Możemy więc swobodnie się rozglądać. Autobus jedzie z południa na zachód przez centrum miasta. Kto nie widział wielkich miast, jak Rzym, Paryż, Londyn, Nowy Jork, Chicago, dla tego i Moskwa może wydać się dziwem. Moskwa zamyka w sobie całą Rosję. Gdy podjeżdża się do niej widać najpierw wioskę, dalej typowe miasteczko, potem robi kolejno wrażenie gródka, grodu i wreszcie stolicy. Są domki z ogródkami, na które miło jest spojrzeć, ale przedmieścia i dzielnice do samego centrum niezbyt dadzą się chwalić. Moskwa — miasto olbrzymie i ruch wielki, bogactwo na pokaz. Prawdę mówiąc, obecne miasto przestało być Moskwą, zatraciło swój charakter, zmieniło wygląd. To już nie ów starodawny gród carów, bojarów, gród cerkwi, ale typowe wielkie, nowoczesne mieścisko. Czasem wystrzeli z daleka fabryczny komin, czasem wypłynie nowomodny cukierkowaty dom propagandowy, a reszta to stare, połatane, albo też nowe tandetne lub wycackane budynki. Czasem trafi się coś ciekawego i pięknego, ale zwykle monotonia. Czyż to jest Moskwa?

A gdzie to Moskwa znana całemu światu, mająca „40 x 40" [1]) cerkwi, budowanych w ciągu ośmiuset lat? Większość z nich, były to piękne, stylowe, ślicznie ozdobione, olbrzymie i nieskończenie bogate. Nie ma ich! A gdy ich nie ma, to nie ma i Moskwy! Jest wielkie miasto przemysłowe, centrum komunizmu, ale wszystko razem — tandeta. Cerkwie zamieniono na składy lub mieszkania, albo stoją poniszczone, opuszczone, bez okien, obdarte.

Kreml. Tu tylko Moskwa została sobą. Piękny, stary, stylowy zakątek. Jednak ciasno mu pomiędzy nowoczesnymi budowlami. I obecnemu rządowi tu za ciasno — zwaliłby dawno i bez żalu wszystko co stare, tylko mu odwagi brak. Odnawiano kremlowską cerkiewkę, która cała ginęła w rusztowaniach. Tak gęsto nimi obstawiona, że żadna z kopuł nie może się z nich przebić do nieba. To symbol. W ten sposób „obrusztowana" jest cała cerkiew prawosławna w Związku Sowieckim pod opieką bezbożnego rządu.

Nie wypuszczono nas ani na chwilę z autobusu i tylko przez okna możemy oglądać ze źdźiwieniem historyczną Moskwę. Przejeżdżając koło mauzoleum Lenina-Stalina, autobus zwalnia, możemy więc widzieć je i porównać z otoczeniem. Ani rozmiarami, ani stylem nie pasuje do kremlowskich pałaców, jakby ktoś na pośmiewisko przed frontonem klasycznego historycznego pałacu postawił kiosk z piwem. Nasi inwalidzi odrazu przezwali tę przybudówkę „owoszczechraniliszcze", czyli skład warzyw. Ciekawe jaką ideę mieli architekci, którzy planowali to „cudactwo"? Czy chcieli zelżyć Kreml, czy wyśmiać nieboszczyków, bo udało im się i jedno, i drugie.

Nie pokazano nam ani sztucznego moskiewskiego morza, ani cudów podziemnej kolei, ani, co gorsze, nie widzieliśmy muzeów. Zdawałoby się, że choćby dla propagandy powinni je pokazać. Cerkwi — oprócz tych opuszczonych i kremlowskiej — więcej nie dostrzegliśmy. Dojrzeliśmy tylko na horyzoncie nowy uniwersytet na Wróblowych Górach. Zdaje się,

---

1) „Sorok-sorokow"

że jest on podobny do warszawskiego „Pałacu Kultury", tylko że wyżej położony i większy. Jeśli tak, to nie żal, że go z bliska nie widzieliśmy, bo Polacy swój pałac wyśmieli jako zabawkę bez gustu i zbyt kosztowną. Nie pokazano nam też pokazowego więzienia. Ale niech tam! Nie żałujemy, bośmy ich dosyć mieli na Sybirze. Co prawda, nie pokazowych.

Za to ulokowano nas w pierwszorzędnym, zagranicznym pociągu. W każdym przedziale tylko po cztery osoby. Siedzimy wśród luster, w pełnym komforcie. Każdy ma miejsce do spania, choć twarde i bez pościeli. Do takich luksusów wcale nie pasujemy. Otrzymane na drogę, nasze nowe ubrania (ale wiadomo — sowieckie, krój ich i materiał więzienny, ordynarny), podczas podróży, przy częstych przesiadkach, pobycie w więzieniach, zaszmelcowały się, to też wyglądamy w nich, jak klasyczni, sowieccy chuligani. Ten jasny, czysty, ładny, błyszczący wagon, po sybirskich pociągach i woranach, dziwi nas i poprostu onieśmiela, aż obawiamy się przysiąść na ławkach.

Wkrótce po odjeździe ze stacji, przewodnik wzywa nas na obiad do wagonu restauracyjnego. Formalnie już nie jesteśmy więźniami, a kierownik zajmuje się nami, jako zagranicznymi turystami. Obiad dają nam bezpłatnie, a nawet i nie skąpy, choć czujemy się po nim dobrze głodni. Po raz pierwszy od roku 1948 mam w ręku normalny nóż i widelec. Przed obiadem kierownik zabronił nam stanowczo zamawiać przy posiłku alkohol, ale prywatnie pozwolił „na jednego", naturalnie na własny rachunek.

Do całkowitej swobody nie zabrakło nam i muzyki. Po powrocie do przedziałów słyszymy grzmiące radio. Teraz stare dziady cieszą się jak małe dzieci. Krzywi się na to tylko jeden, a tym... byłem ja. Dokąd jeszcze rzępoliła muzyka, to pół biedy, ale gdy rozpoczęto nadawać jakąś lekcję, której nikt nie słuchał, podkradłem się do głośnika i wyłączyłem go. Uch! Jak się na mnie skrzywił „wolny lud".

— Przecierpiałem tyle — myślę — przetrzymam i ten ostatni dzień.

Szybko wjeżdżamy na Białoruś. Czy będę mógł zobaczyć Mińsk? Mamy tam przyjechać głęboką nocą. Męczy mnie niepewność, jak przekroczymy granicę sowiecką? Czy to mało nasłuchaliśmy się o niej nieszczęśliwych historii? Przecież wracali więźniów z powrotem, przeprowadzali rewizje do naga, zabierali każdy papierek, każdy adres. Zdenerwowany tymi myślami, przemęczony podróżą i wszystkimi przeżyciami jestem niezdolny do snu. I wymyśliłem:

— Położę się, ale nie będę spać. Gdybym nawet się zdrzemnął, to się w Mińsku i tak obudzę. A może zobaczę tam kogo znajomego?

Dobrze. Leżę i wiem, że nie śpię, bo tak mi chudemu człowiekowi bez pościeli twardo, czuję wszystkie kości, boki bolą; kręcę się jak piskorz na patelni, pomrukuję sam nie wiem co, stękam, jakbym się zabierał do konania i. . .przebudziłem się. Szarzeje już i robi się brzask.

— Mój Boże! A gdzież Mińsk? Fiu, fiu! Przespałem go.

A więc ugrząłem w ten sen, jak pijany podróżnik w przygodne błoto. Ale pocieszam się, że widzę jeszcze białoruską ziemię. Pociąg płynie miękko, łagodnie, kiwa się w takt, jakby odmawiał pacierze. Wypada mi dołączyć się do niego:

— Mój Boże, wierzę w Ciebie.

— Całą nadzieję w Tobie pokładam.

— Za wszystko Cię wychwalam . . .

Patrzę i cieszę się swoją krainą, co budzi się z długiego zimowego snu. A i u mnie wstaje nowy dzień — jeszcze w niewoli, ale szybko ma się w wolność zamienić. Gdy znajdę na zachodzie wolność dla siebie, pozostawię w niewoli ojczyznę na wschodzie. „Kiedyż, o Boże, będziemy mogli połączyć naszą osobistą wolność z pełną swobodą zniewolonego narodu?"

— Bo trzeba wolności, ziemi człowiekowi! [1]).

Mijamy Puszczę Białowieską. Ona dla mnie rodzona, ciekawsza i milsza niż hałaśliwa, harda Moskwa. Łagodny szum sosen, poważny szelest dębów,

---

1) „Bo treba swabody, ziemli czeławieku!" (początek rewolucyjnego hymnu).

przyciszony szept brzóz i drżący szmer osik, wszystko to wzbudza wspomnienia młodości i moje dziecięce szczęście. A tu bliska Puszcza Białowieska, choć okaleczała dwoma światowymi wojnami, choć rozdarta teraz bezwstydną granicą, a jednak „biała i czysta". Pragnąłbym się w niej zatrzymać i pogościć, bo tak dawno jak tu byłem. Ale nie można. Pociąg huczy i niesie na zachód, bez odpoczynku, bez pamięci — to przecież ekspres. Zatrzyma się na chwilkę, popije wody, zagryzie węglem, puści parę i znów gna, gna... Nagle zawyje na alarm aż echo odpowiada w Białowieży, i wystraszy tam przerażonego wilka, zatrwoży samego niedźwiedzia, i zadziwi starego, brodatego żubra. Podnosi się żubr, przeciąga; ziewnął aż ziemia zadrżała i myśli:

— Ciężko żyć żubrowi, kiedy żelazne konie wdzierają się w naszą wolną, żywą puszczę. Trzeba się bronić.

Podszedł żubr do potężnego dębu, aby naostrzyć rogi. Z tym starodawnym dębem przyjaźni się od młodego i często mu opowiada o swej niedoli, a teraz zaryczał aż zadrżała puszcza na obu końcach. Ryk jego doniosło echo do naszego pociągu, a zatrwożeni pasażerowie dziwili się:

— Jak to może być? Niebo bez chmur, a grzmi?

Ja też oglądam się ze ździwieniem, bo nie wiem czy to wszystko mi się zdawało, czy śniło?

Dojechaliśmy do Brześcia. Czekamy wiele długich godzin. Kierownik nadal okazuje nam życzliwość, jednocześnie pilnując starannie. Może boi się, żebyśmy nie pozostali w Sojuzie? Myślę, że gdyby nawet ktoś zwariował, to i tak by nie został. Wypuszcza nas po dwóch do miasta.

— Nie odchodźcie za daleko i nie marudźcie.

— Dobrze, dobrze.

Chodzimy, strzelamy oczami na boki. Miasto tandetne, niczym nas nie zadziwia. Nerwy napięte, a w duszy zamęt — nie możemy się wcale uspokoić, to też szybko wracamy do grupy. Do Polski jedzie nas czterdzieści osób. Polacy, Ukraińcy, Żydzi i ja jeden „tutejszy". Rozmawiamy z sobą mało. Nie łączy już nas nic wspólnego, oprócz kierownika. Podczas bezce-

lowego błąkania po stacji poczułem na sobie czyjś natrętny wzrok, który mnie świdruje. Wziąłem się do zamaskowanego kontrwywiadu. Ludzi było niemało i to wszystko przygodni. Wynalazłem „go" w samym kącie. Siedział za załomem ściany i śledził nas przenikliwym wzrokiem. Oczy nasze na moment się spotkały i zrozumieliśmy się wzajemnie. Po mnie przeszły mrówki, a on udał obojętność.

— Och, szelmo, przejrzałem cię!

Na stacji był czynny wielki kiosk. Książki, broszury, gazety. Obejrzałem wszystkie. Same rosyjskie. Zapytałem:

— Czy są książki białoruskie?

— Białoruskie? Nie, nie ma.

— Dlaczego nie ma?

— Dlatego, że nie ma.

Zdziwiłem się bardzo, a oni ździwili się, że ja się dziwię. Prowadzenie dalej rozmowy na ten temat mogło być dla nich kłopotliwe, a dla mnie niebezpieczne. Choć w syberyjskich łagrach i więzieniach sprawy narodowościowe być może nie występowały zbyt jaskrawo, ale i tam przeważał stary, carski reżym. Rosjan było mniej niż innych narodowości, mimo to w czytelniach i bibliotekach dostawaliśmy wszystko wyłącznie po rosyjsku. Ani ukraińskich, ani białoruskich książek czy gazet nigdy nie dostarczano, choć Ukraińców było dwa razy tyle co Rosjan.

*

Delegat polski rejestruje nas w wagonie i sam wypełnia każdemu ankietę:

— Kto, gdzie był? Dokąd chce jechać? Do kogo?

Każdemu wydaje blankiet na bezpłatny bilet do stacji docelowej i daje na rękę po sto złotych w papierkach.

Teraz idziemy do polskiej kasy biletowej, dostajemy bilety i szukamy miejsca w pociągu jak wolni obywatele. Nasza brygada, która od Poćmy trzymała się razem, rozprasza się i nikt już nami nie dyryguje, a nasz moskiewski opiekun niepostrzeżenie znikł i nie pożegnał się z nami. Ale i my nie pożegnaliśmy się

nawzajem. Po prostu nikomu to do głowy nie przyszło. Czuję się teraz jak człowiek, który po wielkiej podróży i niebezpiecznej burzy zszedł z okrętu na ląd. Zdawało mi się, że się wszystko jeszcze kołysze, a pod nogami chwieje się ziemia.

Granicę Polski przejechałem dnia 27 kwietnia 1955 r. o godzinie szesnastej, w dzień Opieki świętego Józefa, mojego Patrona.

Słońce przetoczyło się na zachód. Dzień spokojny i na świecie pocieplało. Chodzę po peronie wzdłuż pociągu, czekając na odjazd. Słońce wyszło z za chmury i zajrzało mi w same oczy. Oglądam się naokoło. Nikt mnie nie pilnuje i nie podgląda — jestem już wolny! Ale jeszcze byłem niespokojny jak ptak, co odwykł od wolności a wyrzucili go z klatki, lub jak więzień, któremu zdjęto kajdany i wypchnięto za bramę. W żaden sposób nie mogę ogarnąć swej wolności.

Ach, dzięki Bogu! Nie potrzebuję już więcej opieki „rządu ludowego" i bezpłatnej warty. Jadę na zachód do Siedlec. Tam przyjął mnie biskup i skierował do seminarium duchownego, gdzie 28 kwietnia, w dzień święta Pawła od Krzyża, odprawiłem mszę świętą, dziękując Bogu za uwolnienie od krzyża i kalwarii Sybiru.

Potem otrzymałem od władz polskich paszport zagraniczny. I po wielu kłopotach wyjechałem do Rzymu 23 listopada 1959 r.

Nazwiska, którymi posługuję się we Wspomnieniach są albo autentyczne, albo zastąpione początkowymi literami lub pseudonimami. Z wiadomej przyczyny niektórzy więźniowie byli sądzeni pod przybranymi nazwiskami, których sądy sowieckie nie rozszyfrowały. Największą przeszkodą w używaniu prawdziwych nazwisk była obawa, żeby nie narazić tych o których piszę, a którzy są pod bolszewickimi rządami, na niebezpieczeństwo. Zrozumiałe też, że przy olbrzymiej masie więźniów w łagrach, nie mogłem zapamiętać nazwisk, nawet największych mych przyjaciół.

Autor

SPIS TREŚCI

Str.

O AUTORZE 5

WSTĘP 9

CZĘŚĆ PIERWSZA. *OD HARBINA DO CZYTY*. Więzienie 17

Przed pamiętnym Bożym Narodzeniem 19

Jak nas „ukradli"?... 24

„No... i pojechaliśmy!" 29

Jak nas „sprzedawali"? 35

Więzienie 39

Głodówka 43

Śledztwo 46

Nadchodzi czas doświadczenia 53

Koszmar 59

Kuszenie 63

Str.

Zakończenie śledztwa. *Artykuł 206* 68
Gdzież sąd? 72
Czekamy 78
„25" i w drogę... 81
Irkuck 85
I gdzież dalej? 90

CZĘŚĆ DRUGA. *WĘDRÓWKA PO ŁAGRACH* 93
Tajszet 95
„Błat" i „błatnyje" 102
Czas już jeść 107
Brack 113
Szpital Centralny 118
I znów chuligani 121
I jeszcze w szpitalu 126
Przewodnik niewidomych 133
Krzyżowa droga 140
Archimandryta Fabian Abrantowicz 146
Archimandryta Andrzej Cikoto 150
Duchowieństwo 154

Str.

Msze święte w obozie 160

Łagier 0,20 166

„A któż jest moim bliźnim?" 173

Kradzieże 179

I ja też wpadłem 184

Czy już czas mi umierać? 190

Znów w szpitalu 195

„Nie umrę, ale żyw będę" 200

Łagier 0,7 206

CZĘŚĆ TRZECIA. *BLIŻEJ WOLNOŚCI* 213

Komisówka 215

Sny i wróżby 223

Moi towarzysze i przyjaciele 229

Zbiegowie 240

Prokuratorzy i adwokaci 246

Ze zła dobro 249

Zwolnić! 255

Opieszała wolność 261

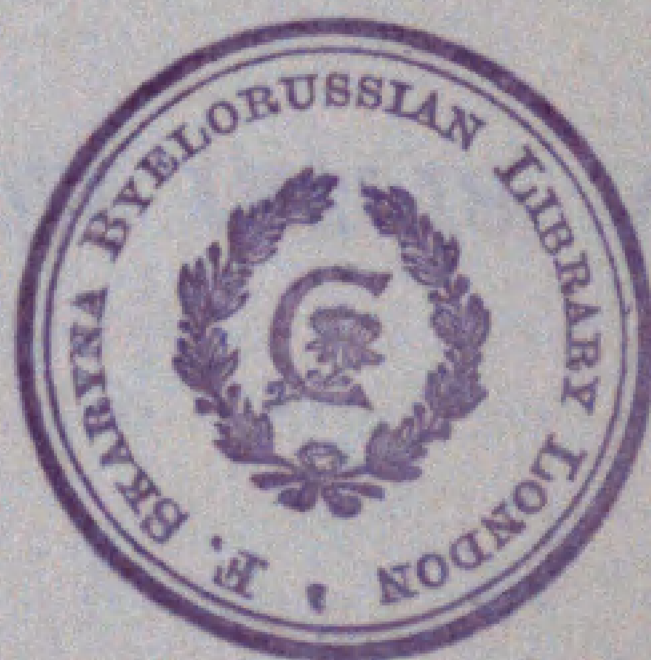
Czekaj! 265

Str.

Na zachód 271

Na południe... Poćma nr 1 276

I znów Moskwa 281

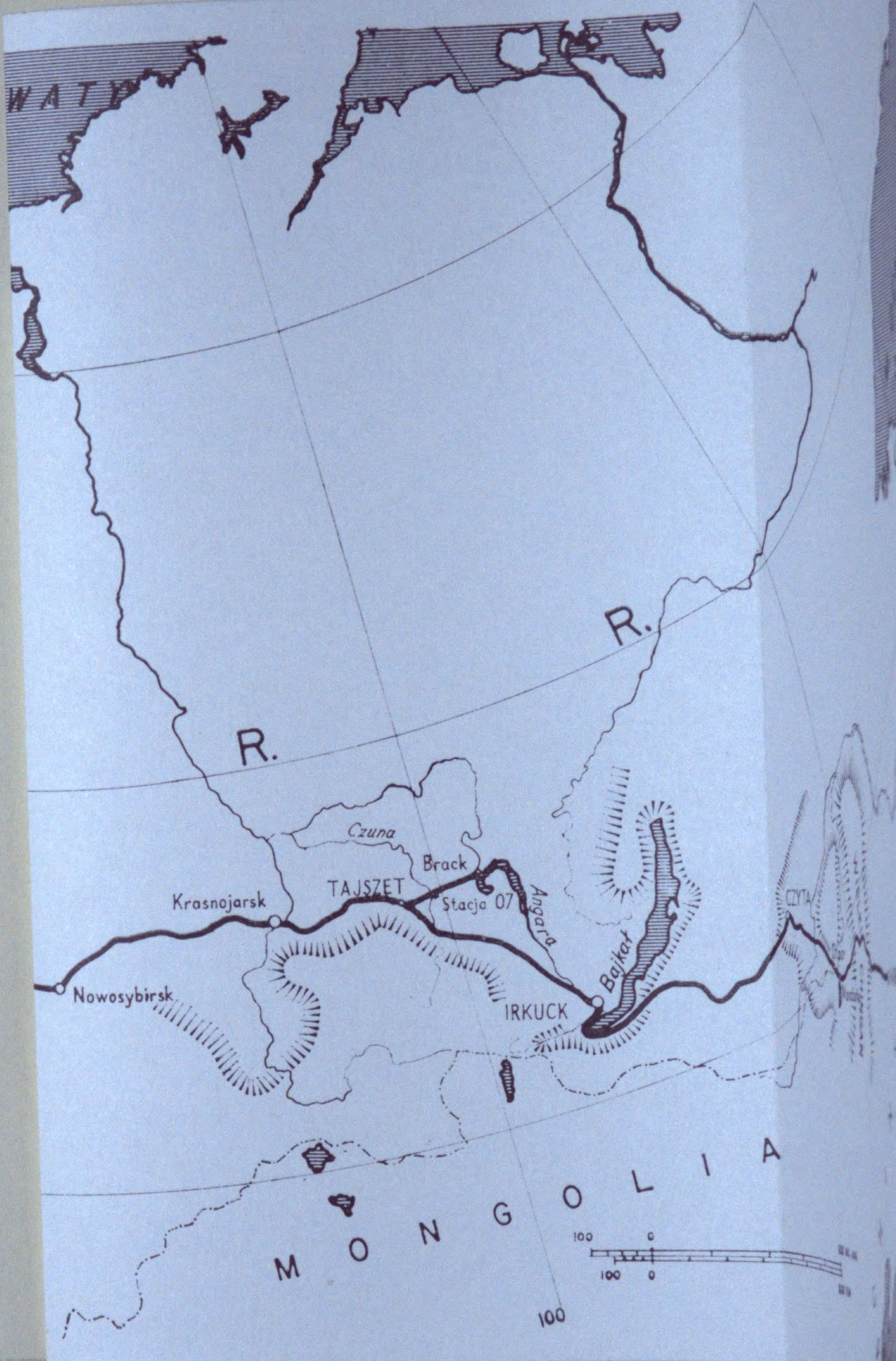


Druk ukończono w sierpniu 1966 r.

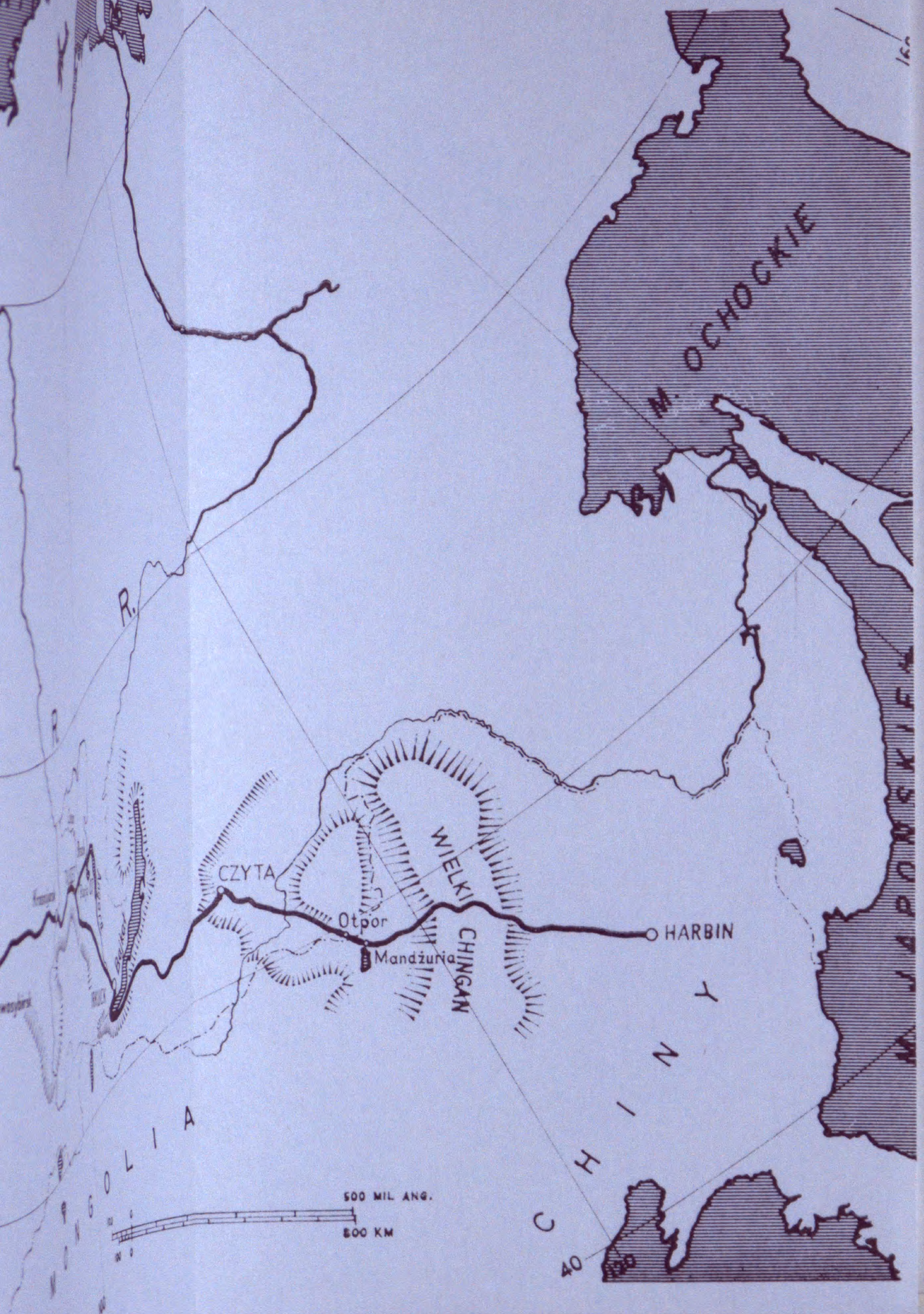


60
FINLANDIA
BAŁTYK
POLSKA
50
20
Siedlce
BRZEŚĆ
Mińsk
MOSKWA
Gorki
Riazań
POT'MA N°I
M. CZARNE
40
40
M. KASPIJSKIE


70
OCEAN
LODO
Gorki
Kirow
Z.
S.
Perm
U
R
A
L
Swierdłowsk
Omsk
60
80


WATY
R.
R.
Czuna
Brack
TAJSZET
Krasnojarsk
Stacja 07
Angara
Bajkał
Nowosybirsk
IRKUCK
CZYTA
MONGOLIA
100
0
100
0
100

niej w Harbinie. Zostaje ona przez chińskich komunistów brutalnie rozgromiona, księża aresz-



niej w Harbinie. Zostaje ona przez chińskich komunistów brutalnie rozgromiona, księża aresztowani, więzieni, a następnie jak „towar" sprzedani przez Chińczyków Rosjanom, którzy „cenny nabytek" osadzają w wojskowym więzieniu i przeprowadzają długi proces śledczy, by bezpodstawnie skazać za niepopełnione przestępstwa na 25 lat i dalej po tyrańsku maltretować w obozach pracy.

Czytelnik odbędzie z autorem jego bolesną wędrówkę od aresztowania w Harbinie, poprzez więzienia, łagry, Sybir, dalsze więzienia w Moskwie, aż do uwolnienia go w 1955 roku.

Czytelnik polski zna dobrze Rosję, często z własnych przeżyć, lub relacji osób najbliższych, gwałtem deportowanych, a uwolnionych dopiero w tak zwanej „amnestii" 1941 roku. Książki: „W domu niewoli", „Na nieludzkiej ziemi", „Książka o Kołymie", „Między młotem a sierpem", „Ślad bosej nogi", „Inny świat", „Kazachstańskie noce" — pokazały nam rzeczywistość „Raju". Ale wielu mogło ulec wrażeniu, że jednak i w Rosji zachodzą „głębokie przemiany", że „wiele się zmieniło" . . . Zapewne i to i tamto zmieniło się i w Rosji, ale system zakłamania, terroru, bezprawia — trwa nadal. Nadal miliony ludzi cierpi poniewierkę i udręki więzień politycznych i łagrów. Żeby się o tym przekonać, trzeba tam być, trzeba tego doświadczyć. Oby Bóg chronił nas przed tym!

Pamiętnik napisany jest obiektywnie, z pełną wyrozumiałością dla prześladowców, a zarazem barwnie i plastycznie, a miejscami nawet z humorem.

Tę książkę należy przeczytać, by wraz z autorem przeżyć jego „dzieje duszy", by poznać sowiecką rzeczywistość, a jednocześnie zbudować się przykładem twardej determinacji, z jaką ks. Hermanowicz — w tych najtrudniejszych warunkach — zmagał się w obronie szarganej natury i godności ludzkiej. Z wytrwałością pełną chrześcijańskiej miłości dążył zawsze — choć często niestety daremnie — do zwycięstwa prawdy nad fałszem i sprawiedliwości nad przemocą.

Książka ma do spełnienia wielkie zadanie, ma być świadectwem danym prawdzie. Tak wobec swoich — w pierwszym rzędzie, jak i wobec obcych.Wdzięczność należy się tym wszystkim, którzy dopomogli do wydania jej po polsku jak i tym, którzy robią dalsze starania, by ukazała się i w innych językach. Równocześnie z naszym wydaniem przygotowuje się wydanie hiszpańskie. Miejmy nadzieję, że Zachód nie da się uśpić i zwieść perfidnej propagandzie, która chce imponować światu pokazowymi instytucjami jak więzienia-hotele, idealne zakłady poprawcze, wspaniałe szkoły itd. — ale która zataja istotny obraz życia i najokropniejszą poniewierkę, jaką cierpi szary człowiek w ustroju komunistycznym w Rosji.

Od postawy każdego z nas, czytelników, zależeć będzie, do jakiego stopnia książka ks. Hermanowicza spełni swoje zadanie.

Wydawnictwo Biblioteki Polskiej

Obwoluta według projektu **Janiny Chrzanowskiej**